

PATRICIA SIMPSON

TO SAMO NIEBO

PROLOG

Lipiec 1938

Michael Cavanetti odebrał kartonowe pudło i zaniósł je na boczne podwórze, gdzie miał ustawiony podręczny warsztat stolarski. Przez cały dzień zajmował się głównie piłowaniem nadających się już tylko na opał starych mebli, toteż całe ubranie, a także twarz i włosy, miał pokryte pyłem i trocinami. Przerwał pracę tylko na moment, żeby wpuścić listonosza i pokwitować odbiór pakunku, całkowicie ignorując przy tym lekceważące spojrzenie, jakim przedstawiciel służb pocztowych Stanów Zjednoczonych obrzucił jego wytarte i wystrzępione robocze ubranie. Po dwóch miesiącach od momentu przybycia do Ameryki Michael zdążył się już przyzwyczać do takich spojrzeń.

Mocnymi ciemnymi palcami rozerwał opakowanie kartonu, dopiero teraz pozwalając sobie na lekkie skrzywienie ust. Ci wszyscy Amerykanie, zawsze żujący gumę, zawsze arogancy i niecierpliwi, uważali go za głupca tylko dlatego, że kupił tu stary dom. A przecież nie mieli pojęcia, jaki miał plan.

Już wkrótce będzie tu winnica - wspaniała winnica na południowym stoku schodzącym w stronę morza. W przybudówce na tyłach domu były już przygotowane sadzonki najlepszych szczepów ze starego kraju. Zrujnowana rezydencja będzie przebudowana na skromny, ale stylowy klasztor benedyktyński, obok niego stanie kaplica, w której wnętrzu już wkrótce rozbrzmiewać będą cudownie piękne, potężne i łagodne jednocześnie, dźwięki' starych chorałów gregoriańskich śpiewanych przez zakonników, którzy zgodnie z planem mieli tu przybyć lada dzień. Mając do pomocy takich trzydziestu nawykłych do ciężkiej pracy mężczyzn, Michael mógł być pewny, że z głównymi pracami przy budynkach i samej winnicy upora się w ciągu jednego roku. Jakże zmienią się wtedy te lekceważące spojrzenia okolicznej ludności.

Odwinął tekturowe pudło z resztek papieru i zajrzał do środka. Cóż to takiego - czyżby suknia zakonna?! Z fałdów uniesionej do góry wełnianej tkaniny wysunął się długi sznur paciorków różańca i upadł prosto w trociny. Michael podniósł różaniec, otarł go pośpiesznie i paroma dmuchnięciami oczyścił z resztek pyłu. Potem przyjrzał się temu, co jeszcze pozostało w pudle. Był to konopny sznur do przewiązywania zakonnej sukni, mnisi kaptur i jakaś koperta.

Zmarszczył brwi, chwycił kopertę, otworzył ją i pośpiesznie zaczął czytać napisaną po włosku wiadomość. Potem przez dłuższą chwilę patrzył gdzieś w przestrzeń. Czuł, jak pod wpływem szoku uginają się pod nim kolana. Jego starszy brat Niccolo zginął w morskiej

katastrofie wraz z całą resztą trzydziestoosobowej grupy benedyktyńskich zakonników. Po wypłynięciu z Włoch statek natrafił na gwałtowny sztorm i zatonął. Nikt się nie uratował.

Michael osunął się na kolana, zupełnie nieświadomy tego, że klęczy w trocinach. Ukrył twarz w dłoniach i zapłakał. Długo nie mógł się uspokoić. Jego brat Niccolo, taki silny, taki mądry. Jak to możliwe, że nie żyje?!

Teraz już nikt nie przyjedzie, nie przyłączy się do niego tu, w Ameryce.

Michael zgniótł list w papierową kulę. Zaciśniętą w pięść dłoń przycisnął do pobladych warg. Ogarnął go paniczny lęk, znacznie przerastający normalną reakcję na osobiste nieszczęście, jakim była utrata najbliższej osoby. Jego brat, ksiądz Niccolo, nie żyje. A razem z nim przepadła też najpilniej strzeżona tajemnica benedyktyńskiego wina. Bez księdza Niccoli nie będzie już nigdy słynnego rieslinga św. Benedykta. To prawda, że przywiezione wcześniej szczepy nadal bezpiecznie leżały złożone w przybudówce. I to prawda, że on sam, Michael, potrafił uprawiać ziemię i dbać o winorośl lepiej niż ktokolwiek inny. Ale bez mistrzowskiej ręki Niccoli w samym procesie wytwarzania wina nigdy nie powstanie tak cudownie słodki eliksir, ta niezwykła i najbardziej przez znawców poszukiwana odmiana klasztorного rieslinga.

Przepadło jednak jeszcze coś więcej, nie tylko tajemnica cudownego eliksiru. Wraz z Niccolą musiała też umrzeć tradycja - tradycja, która przetrwała nienaruszona od średniowiecza. Śmierć Niccoli oznaczała koniec dziedzictwa Cavanettich.

A dla Michaela Cavanettiego to oznaczało koniec świata. Cóż można było z tym zrobić? Jak to możliwe, żeby spuścizna tylu wieków miała tak po prostu przestać istnieć?! Święta Mario, Matko Boża, co się teraz stanie? Michael jeszcze niżej pochylił głowę, wciąż ściskając w dłoni kulę papieru z nieszczęsną wiadomością. Zdawał sobie sprawę, że w chwilach takich jak ta pozostaje tylko jedno - modlić się.

Nie potrafiłby powiedzieć, jak długo się modlił. Prawdopodobnie trwało to kilka godzin. W każdym razie nie przestawał się modlić aż do chwili, kiedy zabrakło mu już i sił, i łez. Wtedy westchnął głęboko, przeżegnał się i podniósł wzrok, zamierzając się podnieść. I nagle poczuł, że brakuje mu tchu w piersiach i że ponownie opada na kolana. Bez słowa wpatrywał się w tajemniczą ciemną sylwetkę, wznoszącą się niemal tuż nad nim, a oddaloną od niego ledwie o metr lub dwa.

Była to postać jakiegoś wysokiego mnicha w ciemnym habicie. Jego dłonie ukryte były w szerokich rękawach, twarz pozostawała w cieniu kaptura.

- Bracie Michaelu! - odezwał się mnich. Jego głos był mocny i głęboki.

- Tak, to ja - odpowiedział Michael, podnosząc się z klęczek. Czuł, jak serce

gwałtownie wali mu w piersi. Ta ciemna figura przejmowała go lękiem, choć sam nie potrafiłby powiedzieć dlaczego.

- Wzywałeś mnie.

- Ja... ja nikogo nie wzywałem.

Mnich uroczyście skinął głową.

- Pojawiłem się w odpowiedzi na twoje modły.

- Moje modły?

- Tak. Przybyłem tu, żeby ci pomóc.

Michael machinalnie strzepnął trociny z kolan i wyprostował się. Czyżby to był jakiś cud? Jeszcze raz spojrzął na postać w habitcie.

- Ale kto mógłby cię przysłać?

- A kto wysłuchuje naszych modłów i kto odpowiada na nie? - tym samym tonem spytał mnich.

- No tak... - bąknął Michael i znów zaczął otrzepywać trociny z włosów i ramion. Jeśli to był cud, to ten mnich musiał być aniołem, a nie można przecież zwracając się do anioła wyglądać aż tak nieporządnie. - Ale co teraz można zrobić? Całe wielowiekowe dziedzictwo Cavanettich przepadło. Mój brat nie żyje, a to oznacza koniec wszystkiego.

- Dziedzictwo przetrwa. Jestem tu po to, żeby zastąpić twego brata.

- A więc znasz tajemnicę wina?

- Oczywiście - odpowiedział mnich i lekko zachichotał. - Prawdę mówiąc, bracie Michaelu, to właśnie ja byłem tym pierwszym, który kiedyś poznał jego tajemnicę.

- *Capperi*? - Michael machinalnie cofnął się o kilka kroków. Poczul za sobą krawędź stołu warsztatowego i na oślep zaczął szukać jakiegoś ostrego narzędzia. Udało mu się chwycić dłuto, ale mnich znów tylko zachichotał.

- Dlaczego się mnie boisz? - zapytał.

- Ponieważ wiem, kim jesteś. Słyszałem o tobie. To ty jesteś tym mnichem czarownikiem - Cosimo Cavanetti!

- Nie jestem żadnym czarownikiem.

- Wobec tego jak się tu dostałeś? Wytlumacz mi!

- Zostałem wysłany po to, żeby ci pomóc.

- Ale wysłany nie przez Boga, tylko przez szatana! - Michael przeżegnał się i znów wpatrywał się w mnicha. Przerazał go bezkształtny cień zamiast twarzy pod mnisim kapturem.

- Przybyłem tu, żeby ci pomóc, bracie Michaelu, a nie żeby ci szkodzić. Przynajmniej ci

to, więc nie bój się mnie. I nie trać nadziei. Ty i ja razem doprowadzimy tę winnicę do owocowania po to, żeby nowy kapłan, który się urodzi, mógł przejąć dziedzictwo i podtrzymywać tradycję.

- Ale jak to możliwe? Zawsze musiało być dwóch Cavanettich - kapłan, który potrafił robić to wino, i drugi - już bez święceń - który umiał pracować i dbać o ziemię w winnicy.

- Przyjechałeś do nowego kraju, bracie Michaelu. Do kraju, w którym żyje się inaczej. I dziedzictwo, i tradycja muszą się tu trochę zmienić, dostosować do nowych czasów. Następny kapłan będzie nie tylko kapłanem, ale i człowiekiem umiejącym pracować w winnicy. Odtąd wystarczy więc jeden Cavanetti. I właśnie ten Cavanetti będzie miał moc kapłańską większą niż którykolwiek z jego poprzedników.

- Nie rozumiem. O czym ty mówisz?

- Mówię o przyszłości, bracie Michaelu. Jeden z twoich synów będzie tym mężczyzną i tym kapłanem.

- Ale ja przecież nawet nie jestem żonaty.

- Ożenisz się.

- I będę miał syna?

- Będziesz miał dwóch synów.

Michael powoli odłożył dłuto na blat warsztatu.

- I wtedy dziedzictwo Cavanettich będzie utrzymane?

- Możesz być tego pewny. Gdy twój syn stanie się mężczyzną, pozna wszystkie tajemnice, wszystko. Ten łańcuch nie zostanie zerwany, bracie Michaelu.

- To znaczy, że powinienem pozostać tu, w Ameryce?

- Tak. Wszystko stanie się tak, jak ma się stać. A ja będę tutaj, żeby ci pomagać. Będę twoim aniołem stróżem. Nie zawsze będziesz mnie widzieć, ale odtąd możesz być pewny, że zawsze jestem obok.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Seattle, grudzień 1991

Jessica Ward co chwila mrużyła powieki, usiłując w gęstej mgle wypatrzeć skręt prowadzący z głównej ulicy na Moss Cliff Road. Zjazd nigdy nie był dobrze oznakowany i łatwo go było przeoczyć, tym bardziej że ostatni raz odwiedzała tę okolicę jakieś pięć lat temu. Przypomniała sobie sklep z antykami mniej więcej kilometr przed skretem, a paręset metrów dalej charakterystyczne wysokie drzewo. Teraz trzeba było jeszcze wypatrzeć kamienne filary, oznaczające wjazd do prestiżowej enklawy Moss Cliff, wydzielonego rejonu luksusowych posiadłości należących do najbogatszych i najbardziej szacownych rodzin miasta Seattle. We mgle łatwo można było przeoczyć nawet te wielkie słupy z szarego kamienia.

W chwilę później Jessica dostrzegła spowite mgłą bliźniacze kolumny i skrzyła na prowadzącą między nimi drogę, obsadzoną po obu stronach pięknymi cedrami, pokrętnie obiegającą całą enklawę. Jechała ostrożnie prowadzącą nieco pod górę główną jezdnią, od której co kilkaset metrów odgałęziały się wąskie asfaltowe wjazdy, prowadzące do bram w ogrodzeniach prywatnych parków otaczających ustronne posiadłości z widokiem na Puget Sound. W tej mgle i zapadającej już ciemności trudno było zobaczyć cokolwiek. Na dobrą sprawę nie można było dostrzec nawet śladu życia czy choćby jednej zapalanej lampy.

Jessica dojechała już prawie na samą górę, do znajomego miejsca, gdzie skręcało się w stronę urwiska nad oceanem, gdy w świetle reflektorów jej samochodu pojawiła się obramowana złotem reklamowa tablica z wymalowaną na niej postacią mnicha w kapturze. Wielkie ozdobne litery głosiły WINNICA ŚW. BENEDYKTA, a namalowana poniżej strzałka wskazywała na lewo.

- Tego tu przedtem nie było - mruknęła pod nosem, po czym skrzyła w lewo i jeszcze raz popatrzyła na nowy, efektowny znak.

Gdy w chwilę później znów spojrzała przed siebie, dosłownie zmartwiała. Tuż przed samochodem, najwyraźniej oślepiona światłem reflektorów, majaczyła jakaś ciemna figura.

- O Boże! - jęknęła, z całej siły naciskając na hamulec. Opony zapiszczały gwałtownie, a wynajęty w wypożyczalni wóz zarzucił na wilgotnym asfalcie i dwoma kołami wylądował w płytkim rowie odwadniającym pobocze jezdni.

Spojrzała przed siebie, drżąc z przerażenia na samą myśl o tym, że mogłaby kogoś zabić. Na granicy światła wciąż widać było zarys ciemnej sylwetki stojącej obok drogi. To w każdym razie oznaczało, że ten ktoś nadal utrzymywał się na własnych nogach. Najpewniej

więc w ogóle nie został potrącony, ale sama możliwość takiego wypadku wstrząsnęła Jessicą do głębi. Zupełnie rozdygotana wysiadła w końcu z samochodu.

- Czy nic się panu nie stało? - zawołała drżącym głosem. Niewyraźna postać obróciła się ku niej, a Jessica poczuła nagle, jak przez jej kręgosłup przebiega jakiś niezwykle, niesamowity dreszcz. Ten ktoś miał na sobie coś bardzo dziwnego. W ciemności można to było uznać za rodzaj jakiejś wielkiej kurtki z kapturem, ale taka kurtka byłaby doprawdy niezwykle długa, sięgała przecież prawie do ziemi. Choć może było to tylko złudzenie, w tak niewyraźnym oświetleniu..

- Czy wszystko w porządku? - spytała ponownie, robiąc parę kroków, żeby lepiej widzieć. Jednak nie za bardzo chciała się oddalać od samochodu, który bądź co bądź gwarantował jej jakieś bezpieczeństwo. Wystarczająco wiele samotnych kobiet - stawało się ostatnio ofiarami różnych napaści. Nawet jeszcze tego popołudnia, już na lotnisku, zdążyła przeczytać w miejscowej gazecie, że jakaś kobieta została zamordowana właśnie w tej okolicy, niedaleko Winnicy św. Benedykta. Głównym podejrzanym był skazany już za zabójstwo mężczyzna, który zbiegł z grupy więźniów pracujących w ramach resocjalizacji i nadal przebywał na wolności. Może ten dziwnie ubrany osobnik jest właśnie owym zbiegłym mordercą w przebraniu? Ale postać, do której zwracała się Jessica, odwróciła się bez słowa i zaczęła się oddalać. Przez moment cała sylwetka widoczna była w pełnym świetle reflektorów. Jessica patrzyła szeroko otwartymi oczami. Czyżby wzrok ją mylił? Mogłaby przysiąc, że oddalająca się postać była ubrana dokładnie tak samo, jak ten mnich namalowany na tablicy. Czy morderca mógł się przebrać w strój zakonnika?

- Proszę zaczekać! - krzyknęła. - Chciałam pana przeprosić! Ja po prostu nie widziałam...

Przez moment miała nawet zamiar biec w ślad za nim, ale oddalająca się postać zdawała się nie zwracać na nią żadnej uwagi. W chwilę później skręciła z drogi i znikła w ciemności.

- Ja chciałam... - jeszcze raz zaczęła Jessica i w końcu zamilkła. Nie widziała już nic poza mgłą i gęstymi kępami wysokich paproci. Przez chwilę jeszcze stała w pewnej odległości od samochodu, usiłując nasłuchiwać kroków odchodzącej postaci, ale i te odgłosy bez reszty tłumiła gęsta roślinność i jeszcze gęstsza mgła.

Pełna rozterki machinalnie odrzuciła do tyłu ciemne, wijące się włosy, które opadły jej na czoło. Co właściwie powinna teraz zrobić? Zaczekać, żeby sprawdzić, czy ten ktoś po chwili nie wróci? Z pewnością nie należało tego robić, zwłaszcza jeśli miałyby to być ten zbiegły więzień. Nie wyglądało na to, żeby odniósł jakiegokolwiek obrażenia.

Najprawdopodobniej więc po prostu uciekł.

Jessica nagle zdała sobie sprawę, że wciąż jeszcze cała drży. Najlepsze, co mogła teraz zrobić, to ruszyć stąd jak najszybciej. Schronić się w nieodległym już przecież domu, do którego jechała, i wypić tam filiżankę gorącej herbaty dla uspokojenia nerwów.

Przeszła kilka kroków, dzielących ją od samochodu, słysząc bardzo k. wyraźnie, jak kamyki żwirowatego pobocza skrzypią pod jej butami z czarnej skóry. Całkowicie wyczerpana opadła na siedzenie fotela za kierownicą. Po chwili wciąż drżącymi rękami zapięła pas bezpieczeństwa i powoli wyjechała z pobocza na jezdnię.

W parę minut później minęła już ostatni zakręt i znalazła się w pobliżu najwyższego punktu długiego nadbrzeżnego urwiska. Z racji wysokości i lekkiego wiatru mgła była tam o tyle rzadsza, że przepuszczała nawet część promieni księżyca, a Jessica mogła dostrzec kilka świateł w oddali, co od razu dodało jej ducha. Z poczuciem prawdziwej ulgi wrzuciła czwórkę i pomknęła drogą w dół wiedząc, że jest już naprawdę bardzo blisko celu.

Były to bowiem światła starego domu Cavanettich. W miarę zbliżania się Jessica mogła już rozróżnić długą linię dachu, poprzecinanego wystającymi pionowymi okienkami poddasza. Za tym dachem, kiedy się podjechało bliżej, można było widzieć letni dom jej ojca, Roberta Warda. Był to niski budynek, zaprojektowany niegdyś tak, by uosabiał całą elegancję lat dwudziestych.

Elegancja ta gasła jednak zupełnie w zestawieniu z ową stojącą tuż obok rezydencją w dawnym włoskim stylu. Posiadłość rodziny Cavanettich, do której należała zarówno dzierzawiona ziemia, jak i budynki winnicy św. Benedykta, sąsiadowała z posiadłością Wardów już od wielu lat i porównanie głównych budynków obu rezydencji nie zawsze wypadało na niekorzyść tych ostatnich. Zaczęło się bowiem od tego, że Michael Cavanetti kupił kiedyś ten kompletnie zrujnowany budynek dosłownie za grosze i przez wiele lat mieszkał w rozpadających się ścianach pod przeciekającym dachem. Aż do momentu, gdy już miał dość pieniędzy i dość wolnego czasu, żeby zabrać się do odbudowy i gruntownego odnowienia - ze znakomitym rezultatem. Jednak z dawnych lat Jessica wciąż jeszcze pamiętała pogardliwe spojrzenia i komentarze różnych krewnych i znajomych jej ojca, którzy przy okazji takich czy innych wizyt spoglądali z okien gościnnego pokoju na rozpadające się ściany żaloznego domostwa Cavanettich i czynili złośliwe uwagi na temat „tych Włochów z sąsiedztwa”, używając przy tym słów, których nikt nawet nie próbował tłumaczyć pięcioletniej dziewczynce.

Jednak sama Jessica zawsze lubiła ten stary dom, nawet wtedy, gdy jeszcze pozostawał kompletnie zrujnowany i odarty z dawnej urody przez wieloletnie niszczące

działanie słonego oceanicznego wiatru i od nieustających jesiennych i zimowych opadów. Niecodzienna architektura budynku pobudzała dziecięcą wyobraźnię. Wysokie okna, wymyślne ozdoby i fantazyjnie profilowane gzymsy - wszystko to sprawiało, że całość bardziej przypominała świąteczny tort niż jakikolwiek dom. Mała dziewczynka wymyślała więc sobie najróżniejsze historie na temat tej rezydencji i tajemniczego milionera, który wybudował ją dla swej pięknej włoskiej żony. Później także ojciec dodatkowo podniecał jej wyobraźnię, wymyślając dla swej córeczki własne, pełne prawdziwie twórczych pomysłów opowieści na temat dziwnych losów tej niezwyklej budowli. Ale to wszystko działo się wiele lat temu, kiedy Robert Ward był jeszcze pełnym energii i pomysłów szczęśliwym człowiekiem, dodatkowo opromienionym wielkim sukcesem jego ostatniej sztuki na Broadwayu. I on, i jego rodzina byli wówczas naprawdę szczęśliwi. Tyle że od tego czasu w życiu ich wszystkich zaszły dramatyczne zmiany.

Jessica wyciągnęła rękę i wyłączyła ogrzewanie. Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy z tego, że zrobiło się jej nieprzyjemnie gorąco, głównie z racji zdenerwowania i nagłego przyływu adrenaliny. Z głośnika włączonego przy okazji radia dobiegł ją głos spikera, kończącego właśnie serwis wiadomości:

- Przypominam państwu, że mamy dziś piątek, trzynastego grudnia. Minęła dziewiętnasta trzydzieści.

Piątek trzynastego! To tłumaczyło wszystko. Dzień rzeczywiście układał się raczej mało sympatycznie. Najpierw jej samolot mocno się opóźnił z powodu mgły, a to z kolei spowodowało, że po wynajęciu samochodu trafiła akurat na największe korki popołudniowego szczytu komunikacyjnego. I na zakończenie omal kogoś tam nie przejechała!

A należało się wycofać od razu, kiedy tylko pojawiły się pierwsze oznaki kłopotów. Twardo postawić na swoim i przynajmniej raz po prostu mu odmówić. Mogła przecież zadzwonić i powiedzieć: „Przepraszam, tato, ale w tym roku nic z tego. Mam już dość stałego ratowania ciebie wciąż z tego samego. Jestem tym zmęczona i najzwyczajniej w świecie chora. „

Tyle tylko, że ona przecież nigdy nie zdobyłaby się na powiedzenie czegoś takiego swemu ojcu, choć doprawdy sama nie wiedziała, dlaczego wciąż mu pomaga. Czy robiła to z miłości, z poczucia obowiązku, czy też może z poczucia winy? Nie potrafiłaby już odpowiedzieć na takie pytania. Z pewnością było w niej wciąż wiele miłości dla ojca, ale też co najmniej tyle samo żalu i głębokiej urazy. Ta świadomość sprawiała, że czuła się w jakiś sposób winna, a przy tym i samolubna, ponieważ chciała żyć już bez niego, na własną rękę.

Tego właśnie. pragnęła bardziej niż czegokolwiek na świecie. Chciała stabilnej, niezależnej egzystencji, w której można by było coś sensownie planować i wiedzieć czego się spodziewać. A o życiu z ojcem można było powiedzieć wszystko, ale na pewno nie to, że było w jakimkolwiek sensie stabilne czy przewidywalne.

W radio zabrzmiała znana przygrywka i któryś z idoli piosenki zaczął śpiewać „*My sweet home*”. Jessica trzasnęła klawiszem i przerwała wokaliście w pół słowa.

Uśmiechnęła się gorzko. Dom, słodki dom - akurat! Jessica wcale nie chciała jeździć do domu na święta. Właściwie nigdy nie potrafiła przyjąć za własną tej powszechnie propagowanej wersji Gwiazdki z kart świątecznych, gdzie rodziny zbierają się wokół idealnie udekorowanych drzewek i trzaskających ogniem kominków. Wyjawszy może kilka lat z najwcześniejszego dzieciństwa, jej własne święta Bożego Narodzenia niczego takiego z pewnością nie przypominały. A czy przypominały u kogokolwiek innego? Jessica skłonna była i w to wątpić, choć gdzieś tam w głębi duszy trwało w niej skryte pragnienie, żeby taki właśnie obraz świąt mógł okazać się prawdziwy. Była to resztką nadziei, że w jakiś tam sposób rodzina może być doskonała i zjednoczona - choćby tylko na ten jeden szczególny wieczór w roku.

Teraz na dobrą sprawę nie potrafiłaby nawet odpowiedzieć na pytanie, gdzie w ogóle jest jej dom. Wynajmowała wcale przyzwoite mieszkanie w typowo amerykańskim apartamentowym bloku niedaleko uniwersytetu Stanforda w Kalifornii, ale z całą pewnością nie mogłaby tego nazwać swoim domem. Owszem, spała i jadła posiłki w tym swoim dość surowo umeblowanym apartamencie, ale większość czasu spędzała na uniwersytecie, gdzie była zastępcą profesora przy katedrze astronomii. Robert Ward już kilka lat temu sprzedał ich rodzinny dom w Seattle, kiedy się okazało, że wielkie pieniądze ostatecznie się skończyły i nie stać go na jego utrzymanie. Oczywiście prawdziwy powód sprzedaży posiadłości Wardów nigdy nie został publicznie ujawniony; Jessica zadbała o to szczególnie pilnie. Przy każdej nadarzającej się okazji opowiadała wszystkim, że ojciec ze względów profesjonalnych postanowił przenieść się bliżej nowojorskich scen i - jak niemal każdy szanujący się amerykański dramaturg - zamieszkać w stylizowanym na farmę wiejskim domu w Connecticut.

Opowieść o wiejskim domu była całkowicie przez nią zmyślona, choć rzeczywiście chodziło o Connecticut. Udało się jej bowiem umieścić ojca w renomowanym ośrodku detoksykacji alkoholowej w New Haven. Po kuracji Robert Ward wytrzymał w abstynencji jakieś trzy miesiące. Potem jednak bardzo szybko wrócił do poprzedniego trybu życia, zapijając się dniami i nocami, podczas gdy stojąca na biurku maszyna do pisania pokrywała

się kurzem. Teraz już na stałe mieszkał w ich letnim domu przy Moss Cliff - jedynej posiadłości, która pozostała w rękach tak bogatej do niedawna rodziny Wardów.

Wszystko się zmienia - i życie, i ludzie. Jessica wiedziała o tym aż za dobrze. Minęła rezydencję Cavanettich i skręciła w następny podjazd. Parterowy dom Wardów był pogrążony w ciemności, nawet lampy nad głównym gankiem nikt nie zapalił na jej przyjazd. Przez chwilę poczuła coś w rodzaju dzieciennego żalu, ale też natychmiast zabroniła sobie takich myśli. Dawno już powinna była z tego wyrosnąć. Gwałtownym ruchem zaciągnęła ręczny hamulec.

Natychmiast po otwarciu drzwi poczuła ostry zapach whisky i zastarzałego papierosowego dymu. Skrzywiła się i sięgnęła do kontaktu.

W dużym frontowym pokoju wciąż pozostawały te same meble w stylu lat sześćdziesiątych, z okresu, kiedy to zarówno zawodowe, jak i uczuciowe życie Roberta Warda miało jeszcze jakieś trwałe oparcie. To wnętrze było nadal wysprzątane i czyste, tyle tylko, że teraz wyglądało na nie zamieszkane. Za to z głębi następnego pomieszczenia dobiegał jakiś dziwny, powtarzający się odgłos. Jessica natychmiast pobiegła w tę stronę.

W półmroku rodzinnego salonu dostrzegła źródło tego dziwnego dźwięku - domowy projektor filmowy, wysyłający biały strumień światła przez mgłę papierosowego dymu. Rolka z filmem już dawno się przewinęła i teraz koniec celuloidowej taśmy rytmicznie uderzał o metal. Bóg raczy wiedzieć, jak długo to już trwało. Ojciec spał, odchyłony do tyłu w głębokim fotelu ustawionym obok projektora, nie słysząc ani nie kończących się uderzeń końca taśmy, ani przyjazdu córki.

Jessica pochyliła się nad nim i wyłączyła projektor. Wyjęła szpulę z taśmą i włożyła ją do okrągłej metalowej kasety z naklejonym napisem *Pieć, w którym da się żyć*. Był to tytuł sztuki, za którą ojciec otrzymał nagrodę na Broadwayu. Często przeglądał jej filmowe nagranie, w nadziei na inspirację i powrót natchnienia, ale ostatecznie jedyną stałą inspiracją okazywał się zawsze alkohol.

Jessica odłożyła kasetę z filmem i spojrzała na ojca. W bezwładnie wyciągniętej ręce wciąż jeszcze ścisnął pustą szklanekę po whisky. Sięgnęła po nią i odstawiła na stolik. Potem uważniej przyjrzała się jego poszarzałej twarzy. Nietrudno było dostrzec, że nie golił się już od kilku dni, a sądząc z wymiętej koszuli i pogniecionych spodni, nie zmieniał również ubrania. Przystojna niegdyś męska twarz była teraz wychudła i pomarszczona, brązowe włosy gęstej przed laty czupryny całkowicie już zszarzały i siwymi przetłuszczonymi pasmami zwisały wzdłuż czaszki. Nawet skarpetka nad opadłym kapciem była przetarta na wylot, a widoczny przez dziurę koniec wielkiego palca sprawiał wrażenie jakiegoś dziwnego oka,

obserwującego intruza, który ośmielił się wejść do domu.

Należałoby go natychmiast położyć do łóżka, ale Jessica nie miała dość siły, żeby go ruszyć, kiedy był nieprzytomny. Mogła więc jedynie go okryć, żeby się nie przeziębził. Przyniosła lekką kołdrę z jego sypialni i otuliła go możliwie najszczelniej, szczególnie pieczołowicie opatulając stopy. Przy okazji nie mogła nie zauważyć licznych dziur, wypalonych papierosami w poszewce kołdry.

Pozostawiła śpiącego ojca i poprzez obszerny hall przeszła do kuchni. Odłożyła torebkę i z prawdziwym przerażeniem patrzyła na obraz rozpaczliwego pobojuwiska. Brudne szklanki, talerze z resztkami jedzenia, jakieś otwarte i zaschnięte puszkę, puste butelki i nie opróżnione popielniczki stały dosłownie wszędzie. Przepiętny kosz na śmieci leżał przewrócony i przywalony co najmniej metrową stertą starych gazet i tygodników. Jessica złapała się za głowę. Zawsze źle znosiła wszelki nieporządek, a na widok tego kosmaru poczuła się po prostu chora. Postanowiła jednak przede wszystkim wyładować rzeczy z samochodu.

Wniosła dwie wielkie torby z produktami, które kupiła po drodze w spożywczym dziale jakiegoś supermarketu. Podróżne walizki ustawiła w sypialni od frontu, a ciężki podręczny teleskop pozostawiła w hallu. Potem jeszcze upewniła się, że samochód jest zamknięty, równie pieczołowicie zamknęła za sobą frontowe drzwi domu i dopiero wtedy poczuła się w miarę bezpieczna. Mogła się już zabrać za ten cały bałagan w kuchni.

Lodówka była praktycznie pusta, zgodnie zresztą z jej przewidywaniem. Samotna butelka ketchupu stała na straży paru podejrzanych puszek. Po otwarciu zamrażalnika znalazła tylko grubą warstwę lodu i zmrożoną na kość plastikową torebkę z groszkiem. Po prostu haniebne, stwierdziła w duchu i postanowiła, że rozmrozi to wszystko zaraz następnego dnia.

Właśnie zaczęła planować, w jaki sposób zabierze się do decydującej walki ze śmieciami, gdy od frontu dał się słyszeć dzwonek u drzwi. Jessica zastygła w nagłym przerażeniu. Kto mógłby składać wizytę o tak późnej porze? A jeżeli to goście - jak skryć przed nimi ten zawstydzający odór whisky i papierosowego dymu? Rzuciła się do ściennej szafy w rozpaczliwym poszukiwaniu domowego dezodorantu. Na szczęście na którejś z półek znalazła to, czego szukała. Po drodze do drzwi wypryskała z rozpylacza niemal całą zawartość, a samą puszkę po sprayu wrzuciła do stojącego przy oknie wysokiego wazonu.

Dzwonek odezwał się jeszcze raz. Jessica poprawiła dłonią włosy i wyjrzała przez wizjer frontowych drzwi. Nawet przez mocno zniekształcające soczewki natychmiast rozpoznała krągłą sylwetkę niedużej, cokolwiek przysadzistej kobiety w ciemnym palcie z

futrzanym kołnierzem. Odpięła łańcuch i otworzyła drzwi.

- Maria! - wykrzyknęła uszczęśliwiona i uśmiechnęła się na powitanie przybyłej.

Maria podeszła do niej z wyciągniętymi ramionami. : - Jessica! *Mia bambina!* - zawołała i uścisnęła ją serdecznie, Jessica odpowiedziała jej podobnym uściskiem, objęła pulchną szyję i ramiona starej kobiety, przytuliła się do niej - i z satysfakcją poczuła znajomy zapach. A więc jednak nie wszystko zmienia się na tym świecie! Maria di Barbieri nadal pachniała czosnkiem, mąką i drożdżami, a Jessica to uwielbiała. To był zapach dzieciństwa - zapach kuchni, w której wtedy królowała Maria i w której ona, Jessica, przed laty czuła się szczęśliwa.

Maria cofnęła się o krok.

- Popatrzcie no tylko! - zawołała. - Jesteś teraz taka piękna, taka dorosła!

Jessica uśmiechnęła się.

- Bo jestem już dorosła, Mario. Mam trzydzieści lat.

- Trzydzieści! - Maria plasnęła w dłonie i pokręciła głową z niedowierzaniem. - No nie!

- Tak!

- I taka wysoka!

- Taka byłam już od dawna.

Maria wciąż nie chciała w to uwierzyć.

- Wejdz, Mario - powiedziała Jessica. - Proszę.

- Ja tylko na chwilę.

Lekko utykając stara kobieta weszła do hallu, gdzie zatrzymała się, żeby zdjąć z głowy staroświecką chustę. Okazało się, że jej włosy są już zupełnie siwe i dziwnie kontrastują z ciemną, oliwkową karnacją. A w pełnym świetle Jessica wyraźnie dostrzegła jej zatroskane spojrzenie.

- Stało się coś złego, Mario? Co?

- Ach!.. - wykrzyknęła Maria i zawahała się przez chwilę. - Nie uwierzyłabyś mi, dziecko. Nie uwierzyłabyś. Zobaczyłam, jak przejeżdżałaś, i dlatego przybiegłam jak tylko mogłam najprędzej.

- Ale dlaczego? Co się stało?

- Nie było cię tu przez całe lata, *bambina*. Więc nie wiesz, co się dzieje w tym wielkim domu. Nie wiesz, co się dzieje!

- A co się dzieje? Usiądź i opowiedz, proszę.

Maria pociągnęła nosem i rozejrzała się dookoła. Jessica zaczęła się już nawet

obawiać, że stara kobieta mimo wszystko poczuła nie tylko zapach lawendowego odświeżacza powietrza. Te obawy były jednak płonne. Maria spokojnie pozwoliła się zaprowadzić do frontowego pokoju, gdzie przysiadła na brzeżku krzesła, nie zdejmując palta i nawet się nie rozpinając.

- Mam naprawdę bardzo mało czasu - wyjaśniła. - Ta okropna pani Cavanetti lada chwila może wrócić.

Jessica skinęła głową, przypominając sobie, jak przez bardzo wiele lat uważała, że to właśnie Maria jest panią Cavanetti. Widziała, jak każdego dnia wychodzi z ich domu, idzie do skrzynki na listy, ustawionej obok wjazdu do posiadłości, a potem wraca z korespondencją. Jessica nigdy nie zauważyła tam żadnej innej kobiety. Ani ona, ani jej ojciec nigdy nie rozmawiali z żadnym z Cavanettich, ponieważ ci mówili jedynie po włosku i zawsze trzymali się wyłącznie swoich. Nie mówiąc już o tym, że ciotka Edna zawsze surowo zabraniała małej Jessice jakichkolwiek kontaktów z tą cudzoziemską rodziną utrzymując, że są oni prawdziwym sąsiedzkim nieszczęściem. Ci okropni Włosi jakoby urywali głowy kurczętom i pozwalali swym kozom paść się na reprezentacyjnym trawniku od frontu. Coś zupełnie niewyobrażalnego!

Któregoś dnia Jessica zobaczyła przez okno, jak jeden z chłopców od Cavanettich dźwiga do domu naręcze drewna na opał i wtedy niebacznie - bo w obecności ciotki Edny - zaczęła się głośno zastanawiać, jak też może mieć na imię i ile może mieć lat. Wtedy ciotka po prostu zaciągnęła zasłony i kategorycznie zabroniła jej jakiegokolwiek podglądania sąsiadów. Ona, ciotka Edna, w ogóle nie dbała o to, jak może mieć na imię ten chłopak i jej zdaniem podobnie powinna postępować Jessica.

Dopiero dużo później dziewczynka dowiedziała się, że Maria jedynie pracowała u Cavanettich jako kucharka i pomoc domowa. Gdy matka Jessiki któregoś dnia nagle opuściła męża, córkę i dom, ciotka Edna od razu opowiedziała się po stronie siostry i odtąd pojawiała się niezwykle rzadko.

Sam Robert Ward był zbyt zaabsorbowany swym osobistym dramatem, żeby zwracać jakąkolwiek uwagę na swą sześciolletnią córkę. Tak więc któregoś popołudnia zdarzyło się, że osamotniona i głodna Jessica akurat przechodziła obok słupa ze skrzynką na listy Cavanettich, gdy pojawiła się tam Maria. Dziewczynka z zaciekawieniem, ale i lękiem przypatrywała się osobie, która przecież ni stąd, ni zowąd mogła urwać głowę kurczakowi.

Maria odpowiedziała równie uważnym spojrzeniem, jednak Jessica, ku swemu zaskoczeniu, dostrzegła w nim przede wszystkim ciepło i pełną humoru życzliwość. Maria zapytała dziewczynkę, jak się jej ostatnio żyje, a w szczególności czy odżywia się

odpowiednio. Jak na swój wiek wydawała się bowiem trochę za chuda, a z ojcami przecież nieraz tak bywa, że są zbyt zajęci, żeby dbać o jedzenie. Jessica skinęła głową potakująco. Czuła ssanie w żołądku, a jej ojciec tego rana w ogóle nie podniósł się z łóżka. Nie mówiąc już o tym, że w lodówce nie było praktycznie nic. Tak więc gdy Maria zapytała ją, czy lubi kruche ciasteczka, dziewczynka natychmiast kiwnęła głową. W tym momencie smakowałaaby jej nawet pieczona brukiew.

Właśnie wtedy po raz pierwszy złożyła wizytę w kuchni Marii. Było to wielkie i białe, olśniewająco czyste pomieszczenie, zawsze rozbrzmiewające pogodnym śmiechem, zawsze pełne cudownych zapachów i wspaniałych domowych potraw i łakoci.

Jessica zjadła wówczas - wręcz pochłonęła! - obfity posiłek, składający się z przepysznych *ravioli*, jeszcze smaczniejszych winogron i - na zakończenie - gorących ciasteczek niemal prosto z pieca. Wtedy też przyznała się Marii do wszystkiego. Opowiedziała jej, jak bardzo teraz tęskni za matką i w ogóle nie wie, co ma ze sobą zrobić. Maria objęła ją białym od mąki ramieniem, przytuliła mocno do siebie i zaczęła pocieszać melodyjnymi włoskimi zdaniami, których Jessica oczywiście w ogóle nie rozumiała, ale których sens doskonale odgadywała sercem..

Głębokie westchnienie Marii wyrwało Jessikę z tych dawnych wspomnień.

- Ach, ta pani Cavanetti! - stara kobieta pokręciła głową. - Będzie na mnie wściekła! *Capperi!* Nie powinnam była się w to mieszać!

- Ale w co?

- Zatelefonowałam do Niccoli. Zatelefonowałam i powiedziałam „Nick, musisz wracać! Wszystko jedno, co on ci przedtem powiedział czy nie powiedział, teraz masz wracać. Jest ciężko chory i leży w szpitalu, a w końcu to twój ojciec. Masz wracać, Niccolo!”

- To znaczy, że stary pan Cavanetti jest w szpitalu?

Maria skinęła głową.

- Miał kolejny wylew do mózgu.

- Kolejny?!

Kucharka wzniosła oczy ku niebu.

- Pan Michael jest bardzo chory. Bardzo. Prawie w ogóle nie mówi od pięciu lat. A teraz leży i nie może się nawet ruszyć. Cała lewa strona sparaliżowana!

- Nic o tym nie wiedziałam!

- Nikt nie wiedział! Ta pani Cavanetti po prostu go ukrywa w jego sypialni. W domu jest tak, jakby on w ogóle nie istniał! Więc kiedy go znowu zabrali do szpitala, powiedziałam sobie: „Dość tego! Przynajmniej ty, Maria di Barbieri, musisz wreszcie zadzwonić do Nicka!”

Niccolo jest dobrym chłopcem, od dziecka był taki, i mało mnie obchodzi, co opowiada o nim pani Cavanetti. Zawsze byłam pewna, że pomógłby swemu ojcu, gdyby się tylko dowiedział, jak ta kobieta go traktuje.

- I zadzwoniłaś do niego?

- Tak. Przyjechał tak szybko, jak tylko mógł. Ach, moja droga, żebyś ty wiedziała, jaki to piękny mężczyzna!

Jessica nagle poczuła jakiś dziwnie bolesny skurcz serca.

- To znaczy, że jest tutaj?

- Nie, teraz go tu nie ma. Zostawił tylko swoje bagaże i od razu pojechał do szpitala. A mówiłam mu: „Niccolo, nie zostawiaj tu swoich rzeczy, bo twoja macocha się wścieknie. „ Ale on oczywiście powiedział, że sobie z nią poradzi. Za to ja się boję, że teraz będzie Wściekła na mnie - bo do niego zadzwoniłam! A ja nie jestem taka Silna jak on. Nie wytrzymuję jej okropnych ataków wściekłości, mam już za słabe serce. Ach, Boże...

- Posłuchaj, Mario - przerwała jej Jessica. - A gdybyśmy tak przeniosły bagaże Nicka do nas? Jeżeli Isabella nie pozwoli mu zatrzymać się w tamtym domu, zawsze będzie mógł odebrać stąd swoje rzeczy i przenieść się do hotelu. Uradowana Maria podniosła się z krzesła.

- Miałam nadzieję, że zechcesz mi pomóc. Dobra z ciebie dziewczyna. Naprawdę dobra - i ciągle niezamężna? Chciałabym wiedzieć, dlaczego. No dalej, pokaż mi tę rękę!

Jessica wyciągnęła lewą dłoń w jej stronę.

- Tylko nie nabijaj sobie głowy żadnymi pomysłami, bardzo proszę.

- Taka dziewczyna jak ty już dawno powinna mieć męża.

- Bierzemy samochód? - przerwała jej Jessica i sięgnęła po kluczyki.

- Tak, bardzo się nam przyda. Wiesz, jaki jest Niccolo: sześć walizek. Sześć wielkich walizek! To ja powinnam mieć tak dużo ciuchów! - mruknęła, wiążąc chustę pod pulchnym podbródkiem.

ROZDZIAŁ DRUGI

Niccolo Cavanetti rzeczywiście miał masę bagażu. Jessica wyciągała po kolei każdą walizę z bagażnika samochodu i taszczyła do hallu. Kiedy już wszystkie zostały przeniesione, zorientowała się, że trzy z nich były ciemnobrązowe, a pozostałe trzy czarne - dwa różne komplety. Czyżby Niccolo przyjechał *tu* z kimś? Może *już był* żonaty? Wcześniej jakoś nie przyszło jej to do głowy. Znowu poczuła ten sam dziwny skurcz serca i natychmiast skarciła samą siebie za to, że w ogóle ją obchodzi, czy Niccolo Cavanetti jest żonaty, czy nie. Zostawiła walizki we wnęce, postanawiając, że stan cywilny Nicka w ogóle nie będzie jej interesować. Zdażyła jednak odejść ledwie o kilka kroków, gdy nagle zrobiła pełny zwrot do tyłu i - nie podejmując dyskusji z własnym sumieniem na temat dopiero co podjętego postanowienia - wróciła do walizek. Sprawdziła przywieszki bagażowe linii lotniczej. Jej przypuszczenie okazało się uzasadnione. Na kartonikach przyczepionych do czarnych walizek wypisane było nazwisko C. Nichols, 10 Burberry Avenue, St. Louis, Missouri. Kim, u diabła, mógł być ten jakiś C. Nichols? Jessica wydeła wargi i zaczęła sprawdzać walizki ciemnobrązowe. Tam z kolei mogła przeczytać: L. Girard, 1601 Linden Street, St. Louis, Missouri. A więc żadna z tych walizek nawet nie należała do Nicka. Czyżby pomylił bagaże i w ogóle o tym nie wiedział?

To dopiero pomieszanie z poplątaniem! Ale teraz i tak nie mogłaby nic na to poradzić, trzeba było czekać, aż sam się po nie zjawi. Jessica wzruszyła ramionami i postanowiła zabrać się za sprzątanie kuchni, mając nadzieję, że się z tym upora przed jego ewentualnym przyjazdem. Nie chciała, żeby ktokolwiek mógł się zorientować, w jak rozpaczliwym zaniedbaniu i brudzie potrafił teraz żyć jej ojciec.

Na godzinę przed północą zasadnicza batalia została wygrana. Wciąż jeszcze utaplaną w mydlinach dłonią Jessica otarła czoło, drugą ręką podparła się pod bok i popatrzyła na swoje dzieło. Wszystkie blaty szafek, kredensów i stołów lśniły czystością, podobnie jak ustawione na odpowiednich półkach naczynia. Wnętrza lodówki i szafek na produkty zostały wymyte i wytarte, po czym wypełnione przywiezionymi z supermarketu produktami. Do gruntownie wyszorowanego kosza na śmieci został włożony odpowiedni plastikowy worek. Narożny stolik śniadaniowy wraz z należącymi do niego krzeselkami został wypucowany szmatką nasączoną specjalnym płynem do pielęgnacji drewna. Wyprane firanki suszyły się już w wirówce, a przetarta pastą podłoga lśniła po prostu jak nowa.

Jessica zrobiła głęboki wdech i uśmiechnęła się z satysfakcją. Czystość i porządek naprawdę mogły być lekarstwem dla zbolalej duszy. Teraz należało jeszcze tylko wziąć

prysznic i przebrać się przed pojawieniem się Nicka. Na razie wciąż miała na sobie stare dżinsy i wytarty podkoszulek ojca. Zwinięte w węzeł włosy upchnęła pod jakąś baseballową czapką z napisem „Mariners”. Gdyby ktoś ją teraz zobaczył, pomyślałby, że ma do czynienia ze sprzątaczką.

Sięgnęła po sukienkę, w którą zamierzała się przebrać, i ruszyła do łazienki. Tam jednak okazało się, że w środku jest jeszcze większy brud i bałagan niż ten, który zastała w kuchni. Popatrzyła na zasmarowaną umywalkę, zdeptaną podłogę i brudne ścianki kabiny prysznicowej, i westchnąwszy ciężko oparła się o futrynę. Na samą myśl, że miałyby się tu wykapać, robiło się jej niedobrze. Założyła ręce na piersiach i pokiwała głową. No cóż, jeszcze co najmniej godzina szorowania, a potem może wreszcie będzie mogła odpocząć.

Zdażyła tylko odnieść sukienkę z powrotem do sypialni, gdy znów dał się słyszeć dzwonek u drzwi. Jessica zastygła w bezruchu. To musiał być Niccolo, była tego pewna. A ona nadal wyglądała jak sprzątaczką.

Dzwonek znów się odezwał. Może powinna udawać, że zasnęła i nic nie słyszy? Nic z tego. Z ganku Nick łatwo mógł widzieć światła zarówno w gościnnym pokoju, jak i w jej sypialni. Wniosek oczywisty, że ktoś jednak musiał tu być na nogach. A poza tym trzeba było oddać bagaże, nawet jeśli nie należały do niego. Musiała mu więc otworzyć, nie było innego wyjścia.

Ruszyła w stronę drzwi. Co w końcu komu do tego, jak ona teraz wygląda?! Nie zamierzała przecież robić wrażenia na Niccoli Cavanettim. Przejmowanie się własnym wyglądem byłoby nonsensem, w każdym razie ona już teraz nie miała wątpliwości, że jest ponad to. Na wszelki wypadek zerknęła przez wizjer, żeby się upewnić, że to rzeczywiście Niccolo, a nie ktoś obcy. Tak, to musiał być on. Nawet zniekształcona przez grubą soczewkę jego wysoka sylwetka robiła wrażenie. Czasami jej się śnił - i wtedy był chyba właśnie taki. Trochę niewyraźny, a jednak nie było wątpliwości, że to był on. I znów coś kolnęło ją w sercu. Przekręciła klamkę i otworzyła drzwi.

Przez dłuższą chwilę szeroko otwartymi oczami patrzyła na stojącego przed drzwiami mężczyznę. Czy się pomyliła, czy też to jednak był Niccolo Cavanetti? Miał te same ciemnobrązowe włosy i czarne tokańskie oczy, i te same bardzo szerokie ramiona, które pamiętała sprzed lat. Ale na tym też kończyło się wszelkie podobieństwo. Ten tu Niccolo - jeśli to Niccolo! - był naprawdę eleganckim, wspaniałym mężczyzną, nieporównanie bardziej światowym od tamtego prostego chłopaka, który przecież nawet nie marzył, żeby kiedykolwiek tak wyglądać. Nienaganna fryzura, kosztowne okulary w cienkiej metalowej oprawie, lekki płaszcz z kaszmirowej wełny, równie modne spodnie i pantofle ze skóry tak

lśniącej, że odbijało się w niej całe światło zawieszanej nad wejściem lampy.

- Jessica? - zapytał.

Przeniosła wzrok z obuwia ponownie na twarz gościa. Czuła się tak zakłopotana, że przez chwilę nie wiedziała, co ma powiedzieć. Tak niemądrze wpatrywała się w niego, a jednocześnie nawet nie pomyślała o tym, jak sama wygląda! To dopiero musiał być wstrząsający widok! Machinalnie dotknęła dłonią poplamionej baseballowej czapki.

- Kibicujesz Marinersom? - spytał rozbawiony.

- Ty jesteś Nick?

- Cole.

- Proszę? - spytała zaskoczona.

- Jestem Cole. Cole Nichols.

Wyciągnął do niej opaloną dłoń, proporcjonalną, ale mocną i tak wielką, że mógłby chyba nią objąć całą jej drobną rękę, od palców aż po przedramię. W ostatniej chwili zauważyła, że jej dłoń pokryta jest zaschniętą pianą i pośpiesznie cofnęła rękę, żeby wytrzeć ją w za duży podkoszulek.

- Właśnie sprzątałam - wyjaśniła, uśmiechając się przeproszająco. Podała mu rękę, przez cały czas zastanawiając się nad tą zaskakującą zmianą personaliów. Co prawda w dzieciństwie rzeczywiście zaczęła go nazywać - z amerykańska - Cole, ale skąd to dziwne nowe nazwisko?

- Jak ci się żyło przez te lata? - zapytał.

- Dobrze. A tobie?

- Mnie również nieźle - uśmiechnął się i nadal stał w tej samej odległości, jakby czekając na jej pierwszy ruch.

A Jessica nagle znów poczuła się skrępowana. Czy powinna go może objąć i uścisnąć, czy też podanie dłoni w zupełności wystarczy?

- Wejdz, Cole - powiedziała i ruszyła przodem w stronę ustawionych w hallu walizek.

- Zobaczyłam nazwisko Nichols na przywieszkach tych bagaży i nawet pomyślałam, że omyłkowo zabrałeś cudze.

- Nie wiedziałas, że Cole Nichols to ja?

- A powinnam? - spytała.

- Zaraz... To znaczy, że ogóle nie wiesz, kto to jest Cole Nichols? Naprawdę nie wiesz? - skrzyżował ramiona na szerokiej klatce piersiowej i uśmiechnął się, pokazując wszystkie zęby.

- No cóż... zestawienie imienia i nazwiska wydaje się jakby znajome. - Znów patrzyła

na jego uśmiechniętą twarz. Na czole miał charakterystyczną pionową zmarszczkę, tuż nad oprawką okularów, i to nadawało mu wyraz stałego skupienia. Gdzie ona już widziała tę twarz? W telewizji? Czy może w jakimś tygodniku? Pokręciła głową i bezradnie wzruszyła ramionami.

I wtedy Cole zaczął się śmiać w sposób już zupełnie niepohamowany. Śmiał się dosłownie całym sobą i tak szczerze, że po chwili musiał nawet otrzeć powieki.

- Ona rzeczywiście nie wie, kim jest Cole Nichols! To doprawdy wstrząsające! - podniósł rękę i zrobił nią taki ruch, jak gdyby coś rzucał bardzo daleko. Jessica przyglądała się temu i pytająco uniosła brew.

- Amerykański futbol - odpowiedział. Ale ona znów tylko wzruszyła ramionami w poczuciu pełnej bezradności.

- Zespół St. Louis Bulls. Ten, który ma największe szanse na wygranie Superpucharu!

W jego twarzy była taka pewność, iż powinien być rozpoznany, że Jessica mimo woli poczuła się winna.

- Wiesz, Cole, ja nie za bardzo śledzę wydarzenia sportowe. A już zwłaszcza futbol.

Roześmiał się jeszcze głośniej.

- Tak więc oto jest ktoś, kto nie zna Cole'a Nicholasa. Rzeczywiście coś niesłychanego!

Jessica nagle poczuła się poirytowana. Czyżby on naprawdę uważał, że jest tak sławny, iż każdy musi go rozpoznawać? Jakaż zarozumiałość i jakie rozdęte ego! Przez trzynaście lat nic się w tym względzie nie zmieniło. Od dzieciństwa nie znosiła, kiedy ktoś próbował z niej pokpiwać - zwłaszcza jeśli to był chłopak, a już szczególnie Nick. A teraz on śmiał się jej prosto w twarz.

- Mam rozumieć, że to jest żart, który cię tak niezmiernie bawi? - zapytała chłodno.

- Ależ nie - powiedział Cole i natychmiast przestał się uśmiechać. - Nie, no skądże...

- Wyglądałeś na mocno rozbawionego.

- Zaraz, zaraz! - podniósł dłonie w pojednawczym geście. - Ani przez chwilę nie zamierzałem ci imponować ani się wywyższać.

- Mogłeś się przedstawić jako Niccolo.

- Myślałem, że to jest oczywiste.

- Może dla ciebie i twoich futbolowych fanów, ale skąd ja miałam o tym wiedzieć? Na żadnej z walizek nie było nazwiska Cavanetti.

- Nie było, ponieważ zmieniłem nazwisko.

- Dlaczego?

Resztką uśmiechu znikła z twarzy Cole'a.

- Sądzę, że nietrudno ci będzie zgadnąć, Jess.

- Zgadnąć? - skrzyżowała ręce na piersiach i wojowniczo uniosła podbródek. - Więc to już prawie teleturniej!

Wciąż była na niego zła. W dodatku, rozgniewana lub zdenerwowana, miała zwyczaj robienia kąśliwych uwag, których nieraz później żałowała.

- I co dostanę, jeżeli podam właściwą odpowiedź? Lodówkę? Czy może magnetowid?!

Teraz i jego oczy błysnęły, a Jessica poczuła się odrobinę winna. Z całą pewnością mogła bez większego trudu odgadnąć powód zmiany nazwiska i zdawała sobie sprawę, że sarkazm był tu nie na miejscu. Ale on też nie miał prawa żartować z niej w ten sposób! Nie była już tą chudą nastolatką, która uparcie łąziła za nim przed wieloma laty, ale poważną dorosłą kobietą. Już otwierała usta, żeby dodać, co sądzi o jego rozdętym ego, gdy gdzieś sprzed domu dał się słyszeć niecierpliwy sygnał samochodowy.

Cole odwrócił się i zrobił parę kroków w stronę schodów. Jessica spojrzała w ślad za nim i dostrzegła luksusowego czarnego Jaguara, zaparkowanego tuż obok jej wynajętego wozu. Cole uspokajająco pomachał dłonią osobie, która trąbiła.

- To pewnie L. Girard, od tych pozostałych trzech walizek - powiedziała bezbarwnym głosem Jessica.

Cole ponownie obrócił się ku niej. Jego zachowanie wyraźnie stało się bardziej powściągliwe.

- Tak, to Lucy Girard. Na granicy wytrzymałości po bardzo ciężkim dniu. - Ruszył w stronę stojących pod ścianą waliz i chwycił w każdą dłoń po dwie największe tak lekko, jak gdyby nie ważyły więcej niż puchowe jaśki. Jessica wzięła pozostałe dwie najmniejsze i ruszyła w ślad za nim.

- Piękny wóz - powiedziała, kiedy Cole otwierał bagażnik. - Dziękuję - odparł. Wstawił wszystkie walizy, a kiedy zamknął pokrywę, Jessica dostrzegła sylwetkę jakiejś blondynki na prawym siedzeniu.

- Lucy Girard nie była zachwycona moją macochą - powiedział Cole.

- Tak?

- Zwłaszcza kiedy się okazało, że ta wiedźma nie chce nas wpuścić do domu.

- Nie przyjęła was?!

Cole potrząsnął głową.

- Nie ma sprawy. Zamówiłem miejsca w hotelu prawie obok szpitala. Będę miał bliżej do ojca. No, to na razie, Jess, trzymaj się - wyciągnął do niej rękę na pożegnanie. - I dziękuję za pomoc.

- Drobiazg. - Jessica zdziwiła się, że dłoń Cole'a mimo chłodu jest taka ciepła. Ona sama czuła się zmarznięta i wyjątkowo sztywna, zwłaszcza w porównaniu z nim. No cóż, była znów spięta, jak to ona. I ich dzisiejsze spotkanie kończyło się dokładnie tak, jak to ostatnie przed trzynastu laty - niezręcznie i rozczarowujące.

- Przepraszam za zamieszanie, Jess. - Nie ma sprawy. Cześć.

Skrzyżowała ręce na piersiach i stała tak w ciemności, czekając, aż uruchomi silnik. Potem Cole pomachał jej jeszcze na pożegnanie, błysnął światłami i z cichym pomrukiem silnika ruszył w stronę wyjazdu.

Jessica jeszcze przez pewien czas patrzyła w ślad za oddalającymi się światłami Jaguara. Tak więc teraz był to Cole. Ona pierwsza tak go zaczęła nazywać przed laty, a teraz cały świat znał go właśnie pod tym imieniem. W jakiś sposób nawet jej to pochlebiało. A poza tym to imię dziwnie teraz do niego pasowało. Imię Nick było znacznie lepsze dla tamtego zbuntowanego młodzieńca o rozwichrzonych włosach. Ale ten mężczyzna, który dopiero co podawał jej rękę, z całą pewnością nie miał już nic wspólnego z Nickiem.

Jessica wróciła do domu, zamknęła za sobą drzwi i zgasiła światło na ganku. Potem od razu zabrała się do sprzątanania i mycia łazienki, szorując emalię i kafelki z siłą tajfunu, co zresztą odpowiadało szybkości i napięciu kłębiących się w jej głowie myśli. Prawdę mówiąc przez cały czas myślała o Cole'u i o tym, jak się zmienił.

Zawsze był wysoki, a nieskończone godziny ciężkiej pracy w winnicy już wtedy wpłynęły na rozwój tej wspaniałej muskulatury pod gładką oliwkową skórą jego ramion i barków. Wyrósł na chłopca, a potem mężczyznę znacznie wyższego i mocniejszego, niż można by się spodziewać, sądząc po drobnej posturze jego włoskich rodziców. Ani Michael Cavanetti, ani jego żona Teophila nie mieli więcej niż sto sześćdziesiąt parę centymetrów. Tymczasem Cole musiał mieć blisko metr dziewięćdziesiąt.

Jessica spryskała detergentem ściany kabiny prysznicowej i zaczęła je zmywać specjalną gąbką, jednocześnie rozpamiętując szczegóły zupełnie nowej - przynajmniej zewnętrznie - osobowości Cole'a. Zdecydowanie konserwatywny styl ubioru i fryzury, układne maniery. Nosił się teraz całkiem inaczej, świadczyła o tym elegancja całości i każdy element szytej na miarę garderoby. Ale nie tylko to było w nim inne. Zmienił wszystko - nawet swe imię i nazwisko - chyba właśnie po to, żeby się do końca odciąć od rodziny, od jej firmy i jej dziedzictwa, które od najmłodszych lat obciążało go odpowiedzialnością zbyt wielką, by mogły jej podołać barki jednego młodego człowieka.

Jessica zastanawiała się, co też o tym wszystkim może myśleć stara Maria. I co by teraz powiedział Michael Cavanetti, gdyby się dowiedział, że jego syn wyrzekł się rodowego

nazwiska. Może nawet nie byłby tym zaskoczony? W końcu to właśnie on sam wydziedziczył swego syna wiele lat temu, więc może wyda mu się naturalne, że Cole odciął się całkowicie od swej włoskiej przeszłości i od ojca, którego zapewne zapamiętał głównie jako surowego i nigdy nie wybaczonego nadzorcę codziennej ciężkiej harówki.

To wszystko było naprawdę bardzo smutne. Pamiętała przecież ten dawny, szczęśliwy czas, kiedy ojciec i syn jeszcze się kochali. To dlatego potem tak trudno było jej zrozumieć, dlaczego Michael Cavanetti stał się nagle tak surowy i nieczuły, oskarżając syna o rzeczy, których ten wcale nie zrobił, i obwiniając go o kłopoty, przed którymi Niccolo właśnie chciał go uchronić. To chyba przede wszystkim Isabella, nowa żona Michaela, stała między ojcem i synem - coraz skuteczniej zatruwając stosunki między nimi.

Jessica przygryzła wargi i uważnie spryskała sprayem całą powierzchnię lustra. Potem przecierała ją i polerowała dopóty, aż ze szkła znikła ostatnia najdrobniejsza plamka.

Teraz więc było tak, jak gdyby Niccolo Cavanetti gdzieś znikł czy po prostu umarł, a na jego miejsce pojawił się nagle ktoś obcy. Jessica spojrzała na swe odbicie w lustrze i wykrzywiła się sama do siebie. I co w końcu złego w tym, że tak się stało? Przecież ona sama w przypływie emocji życzyła kiedyś śmierci Niccoli Cavanettiemu. A w każdym razie przysięgła sobie nigdy już o nim nie myśleć. Tymczasem teraz znów od co najmniej godziny rozmyśla tylko o nim, jak jakaś rozmarzona nastolatka.

Postanowiła z tym skończyć. Łazienka była już praktycznie wysprzątana, wszystko wokół ponownie lśniło czystością. Mogła więc w końcu wziąć ten wymarzony gorący prysznic.

Pozwalając sobie wreszcie na luksus odczuwania zmęczenia, podstawiła twarz pod bijące z góry mocne strumienie, zmywające z niej także wszystkie trudy i przykrości tego nieudanego dnia. Odrzuciła do tyłu włosy, polala je obficie szamponem i dokładnie wymasowała. Pomogło, ale tylko na chwilę. Nieproszone myśli o Cole'u i o dawnych czasach powróciły niemal natychmiast.

Już od szkolnych lat przyzwyczała się wszystkie wakacje spędzać właśnie tu, w małym letnim domu na odludziu Moss Cliff. To właśnie najbardziej jej odpowiadało, bo przynajmniej tu nie musiała się tłumaczyć przed kolegami i koleżankami, dlaczego nie mogliby wpaść do niej po zajęciach. W Moss Cliff nie było chłopaków, którzy chcieliby na przykład złożyć oficjalną wizytę i spotkać się z jej ojcem. Największym przerażeniem napawała ją myśl, że ktoś z jej szkolnych kolegów mógłby przypadkiem zobaczyć, że jej ojciec jest pijany. Wszyscy bez wyjątku byli przekonani, że Robert Ward jest wziętym dramaturgiem, zbyt zajęтым swymi nowojorskimi sprawami, żeby pojawiać się na szkolnych

zebraniach rodziców czy spotykać się z nauczycielami. Jessica potrafiła utrzymać w tym błędnym przekonaniu wszystkich, nie tylko swych kolegów, ale także nauczycieli i dyrekcję szkoły.

Za to tu na miejscu, w Moss Cliff, nie musiała aż tak bardzo udawać. I ona, i jej ojciec zazwyczaj spędzali cały dzień spokojnie - on na zmianę pił albo coś czytał, ona pisała, grała na gitarze albo zajmowała się domem.

Każdego lata przed wakacjami cieszyła się na myśl o tym, że znów będzie spotykać się z Marią, a także z Cole'm i panem Cavanettim, i że wspólnie będą jadać posiłki na tarasie starej rezydencji. Jednak w miarę jak przestawała być podlotkiem, coraz trudniej przychodziło jej przełamywanie lodów w kontaktach z Cole'm. On był po prostu aż o pięć lat starszy i coraz częściej patrzył na nią jak na niemądrą smarkulę.

Gdy skończyła trzynaście lat, Cole miał iść na studia. Dość ostro spierał się wtedy z ojcem, jaką uczelnię ma wybrać. Chciał studiować na uniwersytecie Notre Dame, podczas gdy ojciec upierał się przy University of Washington - ponieważ wtedy Cole mógłby nadal mieszkać w domu na Moss Cliff i częściej pomagać w winnicy. Tymczasem chłopiec chciał się raz wreszcie uwolnić od tej niewolniczej pracy i być jak najdalej od winnicy i od mieszkającej już z nimi macochy. Na szczęście Isabella również wolała, żeby jej pasierb był jak najdalej od ojca. Tak więc Cole pojechał do Notre Dame i przyjeżdżał tylko na wakacje.

Jessica z uśmiechem wspominała te trzy kolejne lata. Z nieopierzonego podlotka przekształcała się powoli w młodą kobietę i za każdym razem, kiedy zbliżała się pora akademickich wakacji, była pewna, że Cole wreszcie to w niej zauważy. On jednak wydawał się obojętny na jej rozkwitające wdzięki, być może także dlatego, że jego ojciec od razu po przyjeździe każdego dnia już od świtu zwał na niego tyle roboty w winnicy, ile się tylko dało. W rezultacie zmordowany pracą Cole wieczorami marzył tylko o tym, żeby położyć się spać.

Wreszcie przyszedł czas świętowania dyplomu. Michael Cavanetti wydał na cześć syna przyjęcie z wytoczonymi beczkami najlepszego wina i wynajętą orkiestrą. Sproszono wszystkich znajomych i sąsiadów z okolicy.

Cole wystąpił w wypożyczonym smokingu i wydawał się w nim tak dorosły i tak przystojny, że Jessica po prostu nie potrafiła oderwać od niego oczu. Jej koleżanki z pewnością śmiałyby się z niej, gdyby tylko wiedziały, jak bardzo go w tym momencie ubóstwiała. Powiedziałyby jej pewnie, że przecież to wciąż bardzo zwyczajny chłopak z jakiegś tam włoskiej rodziny, bez pieniędzy i z mocno niepewną przyszłością. Ale Cole zawsze fascynował Jessikę. Był inny niż ci wszyscy chłopcy - nawet ci z najstarszych klas jej

średniej szkoły. Wszyscy oni, kiedy czasem przystawiali się do niej, wydawali się jej nadmiernie wygadani, lekkomyślni i nieodpowiedzialni. Udawali przed nią kogoś, kim nie byli. Natomiast Cole był spokojny, pewny siebie i naprawdę poważny.

Wszyscy pozostali jej koledzy jeździli samochodami, które dostali od swoich rodziców. Tylko Cole jeździł naprawdę własną starą półciągarówką, którą sam wyremontował i polakerował w szopie na zapleczu winnicy. Tamci myśleli tylko o tym, żeby zabrać ją do swego lśniącego wozu i potem całować się z nią w jakimś ustronnym zakątku nad oceanem. Natomiast Cole nigdy nawet nie popatrzył na nią w ten sposób.

Tą uroczystością z okazji otrzymania dyplomu najbardziej przejęta była Maria. Była tak szczęśliwa i dumna z Cole'a, że na zmianę śmiała się i płakała, nie mogąc ani przez chwilę usiedzieć na miejscu. Cole nie tylko ukończył studia z wyróżnieniem, ale w dodatku stał się najwybitniejszym w dziejach swej uniwersyteckiej drużyny quarterbackiem, czyli rozgrywającym amerykańskiego futbolu, bijąc przy okazji wszystkie uczelniane rekordy swoich poprzedników na tej pozycji. Maria popłakiwała głównie na myśl o tym, że matka Cole'a nie dożyła tej wspaniałej chwili. Jessica wiedziała, że Cole bardzo słabo pamiętał swoją matkę, ponieważ była stale obłożnie chora w latach jego najwcześniejszego dzieciństwa, a zmarła, kiedy miał zaledwie pięć lat. Tak więc nie tylko dla Jessiki, ale i dla Cole'a Maria stała się w jakiś sposób substytutem matki, obdarzając oboje spontaniczną miłością i ciepłem, a także produktami swej wspaniałej kuchni. Robiła naprawdę wszystko, co mogła, żeby choć w części wyrównać tym dzieciom to, co było nie do wyrównania.

Jessica została zaproszona na to przyjęcie razem z ojcem. Wystroiła się w nową, głęboko wyciętą sukienkę w nadziei, że Cole wreszcie zauważy, jak bardzo jest kobieca i że ma już siedemnaście lat. Zdawała sobie sprawę, że to była jej ostatnia szansa. Wkrótce bowiem i ją samą czekał wyjazd na studia, trudno też było zgadnąć, co dalej będzie robił Cole. Mogli się już nigdy więcej nie zobaczyć. Jego może to niewiele obchodziło, ale Jessica postanowiła wyznaczyć mu swoje uczucia, niezależnie od ceny, jaką przyszłoby jej za to zapłacić. Dlatego poprosiła go, żeby po przyjęciu przyszedł do niej do domu, gdzie miał otrzymać od niej specjalny prezent.

Tym prezentem - jak to sobie obmyśliła - miało być jej chronione dotąd dziewictwo. Nie miała ochoty oddawać się żadnemu z tych beznadziejnie głupich chłopaków ze szkoły, a zresztą żaden z nich też nie potraktowałby czegoś takiego naprawdę poważnie. Natomiast Cole potrafiłby docenić jej poświęcenie, była tego pewna. Zresztą tak naprawdę nie byłoby to aż takie poświęcenie. Chciała mu się oddać. Nieraz zdarzało się jej spoglądać na obnażony tors Cole'a i zastanawiać się, jakie też byłoby to odczucie, gdyby tak mogła go dotknąć,

przytulić się do niego, poczuć jego skórę. Przyglądała mu się często, jak bez wysiłku ustawia w stosy ciężkie skrzynki z butelkami wina, jak zrzuca z ciężarówki bale sprasowanej słomy i godzinami ładuje stosy winogron do maszyny wyciskającej sok. Na pamięć znała każdy centymetr jego skóry, każdy nawet najdrobniejszy miesień, ledwie zauważalnie przesuwający się pod napiętą oliwkową skórą jego ramion, klatki piersiowej i brzucha. Ubóstwiała jego ciało bardziej, niż jakikolwiek miłośnik dawnej rzeźby mógłby uwielbiać najpiękniejszy antyczny brąz.

Kiedy tak myślała o tym wszystkim, była już pewna, że Cole odgadł wtedy, co miało być tym jej prezentem. Spóźnił się ponad wszelką przyzwoitość, bo najwyraźniej chciał się spóźnić. Kiedy w końcu zadzwonił do jej drzwi, Jessica była już naprawdę wściekła. Spędziła ponad dwie godziny czekając na niego, na zmianę poprawiając włosy albo makijaż, to znów upewniając się, że specjalnie kupiony krążek antykoncepcyjny jest właściwie założony. Przez cały czas bała się usiąść, żeby nie pognieść sukienki. Kiedy wreszcie usłyszała dzwonek, spojrzała na drzwi niemal z nienawiścią. Bolały ją nogi od długiego stania na wysokich obcasach, bolały ją plecy i kręgosłup, a przede wszystkim bolała ją zraniona dusza.

Zamiast więc natychmiast otworzyć, pobiegła do swej sypialni, wrzuciła na siebie jakąś starą sukienczynę, na bose stopy wciągnęła tenisówki i niedbale zmierzwiła włosy. Potem w końcu otworzyła drzwi i ziewnęła mu prosto w twarz. Prezent dla niego? Och, w ogóle już zapomniała, że miał po to przyjść. Zostawi go w jego domu jutro rano, czy to mu odpowiada?

Cole przyjął całe to jej zachowanie z niezwykłym spokojem i z tym cholernie denerwującym, ledwie widocznym uśmieszkiem. Pamiętała jeszcze, że podał jej rękę. Sukinsyn. Potem przeraziła się, że Cole mógł bez trudności przejrzeć całe to jej udawanie. Wolałaby raczej umrzeć, niż pozwolić, żeby się dowiedział, jak bardzo to odtrącenie ją zraniło. Ale z drugiej strony - dlaczego w ogóle miałyby się interesować akurat nim?! Przed nią był uniwersytet, nowi chłopcy z uczelnianych korporacji, a potem może na przykład życie, polegające na pomaganiu cierpiącym i potrzebującym. Po co miałyby się w ogóle oglądać za tym Niccolą Cavanettim?

Gdy wreszcie uspokoiła się trochę, rzuciła się na łóżko, żeby się do reszty wypłakać i w końcu może nawet usnąć. Wszystko wciąż było oszustwem. Całe jej życie było płataniną stale nakładających się na siebie kłamstw i przemilczeń, wprowadzania ludzi w błąd tylko po to, żeby chronić reputację ojca i ukryć przed światem pustkę własnej egzystencji. Teraz nie mogła już wierzyć nikomu, ani choćby zwierzyć się z lęków czy marzeń. Niccolo był jedyną osobą, której pragnęła zaufać. Odtąd jeszcze bardziej będzie się musiała pilnować, żeby nie

zostać przyłapaną na kłamstwie. A może tak się stało dlatego, że Cole odkrył, jaka naprawdę była jej rodzina? Tak czy inaczej skazana była na samotność i głęboko ukrywany wstyd, który miał spalać ją od środka - już zawsze.

Jessica odsunęła narzutę, na której leżała. Na szczęście pościel pod spodem była czysta. Zgasiła lampę i przed ostatecznym ułożeniem się do snu podeszła jeszcze na chwilę do frontowego okna, żeby spojrzeć na niebo.

Lubiła niebo i lubiła gwiazdy. Kiedy patrzyła tam w tę nieskończoną przestrzeń, nie musiała już udawać, że jest wciąż bogatą Jessicą Ward, córką nadal wziętego dramaturga. Kiedy przykładała oko do okularu teleskopu, nie miała nazwiska, wieku ani pozycji społecznej. Wobec gwiazd i mgławic była nic nie znaczącą mikroskopijną drobiną i wszelkie problemy stawały się nieskończenie małe. A niebo było bezkresną przestrzenią czarnego aksamitu pokrytego brylantami i któryś z tych gwiazdnych klejnotów czekał, być może, na odkrycie właśnie przez nią. Podczas patrzenia w niebo nigdy nie traciła zapału ani spokojnej cierpliwości.

Odsunęła zasłonę z okna i zaczęła przypatrywać się temu, co było za szybą, żeby przyzwyczać wzrok do widzenia w ciemności. Nagle odruchowo otuliła się zarzuconym na ramiona szlafrockiem z niejasnym poczuciem, że coś jest nie w porządku. Wpatrywała się w rosnące za trawnikiem krzewy i drzewa, a jej wyćwiczone w obserwacji oko dostrzegało natychmiast wszystkie zmiany. Obok rozłożystej araukarii był jakiś ciemny kształt, który nie pasował do reszty znajomego obrazu. Jessica przymrużyła oczy czując z przerażeniem, jak pojedyncze włosy jeżą się jej na karku.

Ktoś tam stał przed domem i patrzył właśnie w jej okno. Czując, jak serce nagle podchodzi jej do gardła, ostrożnie wycofała się poza ewentualne pole widzenia, po omacku poszukując dłonią chwościka sznura od zasłon. Na szczęście udało się zasunąć je bez problemu, pozostawiając po tamtej stronie ten napawający lękiem cień sylwetki w spiczastym kapturze.

ROZDZIAŁ TRZECI

Gdzieś tam w mroku, naprzeciwko jej okna, stał ten sam mnich. Jessica pędem wybiegła z sypialni i przede wszystkim sprawdziła kolejno wszystkie okna i drzwi, żeby się upewnić, że są dobrze zamknięte. W tych czasach nikt nie mógł przecież wiedzieć, jacy szaleńcy bląkają się na wolności i czego się po nich można spodziewać. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie obudzić ojca, ale zdała sobie sprawę, że i tak byłby wciąż nieprzytomny.

Nic się zresztą nie działo. Nikt nie usiłował wybijać okien ani przekręcać klamki u drzwi. Po kilku godzinach szarpiącego nerwy siedzenia w kuchni tuż przy telefonie, z palącymi się wszystkimi światłami, krańcowo wyczerpana Jessica wróciła w końcu do sypialni i padła na łóżko, kompletnie wyczerpana.

Rano obudziła się koło dziewiątej. Czuła się bardzo zmęczona, ale wiedziała, że powinna wstać. Mogła być pewna, że ojciec będzie spał jeszcze długo, postanowiła więc, że szybko upiecze jakieś ciasto i zanieśie je do sąsiadów. Zapyta o zdrowie pana Cavanettiego i przy okazji wywie się wszystkiego, co się da, na temat tego tajemniczego mnicha. W najgorszym razie przynajmniej ostrzeże sąsiadów, że ktoś włóczy się w pobliżu ich domostw.

Włożyła luźną sukienkę z dżerseju, przepasaną szerokim paskiem z nabijanej matowym mosiądzem skóry. Przez cały czas starała się nie dopuszczać do świadomości wciąż tkwiącego w niej niepokoju, wywołanego tym, co zobaczyła za oknem. Nie odsunęła zasłony.

W półtorej godziny później zeszła z ganku z gotowym ciastem, ułożonym na specjalnej podstawce z przezroczystą plastikową pokrywką. Zamknęła za sobą drzwi i spojrzała na araukarię. Oczywiście nikogo przy niej nie było. Może więc to, co dostrzegła w nocy, było rezultatem zmęczenia i nadmiernie pobudzonej wyobraźni? Ale Jessica wiedziała, że nie powinna się oszukiwać. Widziała go. I to dwa razy.

Poranek był chmurny i mglisty i Jessica lekko dygotała z zimna, idąc szutrową ścieżką wzdłuż wysokiego żywopłotu. Skręciła przy wyjściu na drogę, podniosła wzrok i lekko gwizdnęła przez zęby. Dopiero teraz zobaczyła, jak zmienił się dom Cavanettich.

Przyjeżdżając późnym wieczorem nie dostrzegła tych zmian, gdyż było już zbyt ciemno. Na pewno to już nie był ten dom, który pamiętała sprzed pięciu lat. Teraz to była rezydencja na pokaz.

Szła jak zaczarowana, nie odrywając wzroku od tak niezwykle zmienionej budowli. Cały dom pomalowany był teraz na nowo, w odcieniu bladego różu - tak delikatnego, jak najłżejsze różowe wino. Filigranowe ozdoby i gzymsy przy oknach pomalowane były

odrobinę ciemniejszym kolorem, podobnie jak i głęboko rzeźbiony fryz. Ku obramowanemu teraz kolumnami głównemu wejściu prowadziły wielkie marmurowe schody, również utrzymane w dawnym włoskim stylu.

Także otoczenie domu bardzo się zmieniło. Jessica szła wyłożoną szerokimi, płaskimi kamieniami ścieżką prowadzącą przez idealnie utrzymany trawnik, najwyraźniej stale przycinany nawet jeszcze w grudniu. Oczywiście nie mogło już być mowy, żeby na czymś takim mogły się paść kozy. Przy wejściu na schody była przykręcona mosiężna tabliczka *i* napisem WINTHROP HOUSE, 1888. Jessica lekko uniosła brew. Najwyraźniej ten dom został już wciągnięty do narodowego rejestru zabytków, co było sporym sukcesem państwa Cavanettich.

Gdy nacisnęła przycisk, otworzyła jej Maria. Rozpromieniła się na jej widok.

- Ach, Jessica! Wchodź, proszę cię bardzo!

- Dziękuję, Mario. Czy pani Cavanetti jest w domu?

- Tak, jest w salonie. Zaraz cię zaanonsuję.

Jessica znów uniosła brew. Zaanonsuje ją? To też coś nowego. Nieco rozbawiona ruszyła w ślad za Marią przez długi hall, prowadzący do salonu, ze zdumieniem podziwiając niezwykle zmiany, które całkowicie przekształciły również wnętrze domu. Gdziekolwiek rzuciła okiem, widziała nowe tapety, świeżo położone boazerie, stylowe meble z masywnego dębu, rżnięte kryształ i kosztowne koronki. Nawet dawny znajomy zapach tego domu gdzieś znikł.

W chwilę potem Maria poprosiła ją do głównego salonu, gdzie Isabella Cavanetti przyglądała się próbkom tapety, które wynajęty przez nią młody dekorator kolejno przykładał do ściany.

- Już za chwilę się tobą zajmę, Jessico - rzuciła przez ramię, nie patrząc nawet na nią. - Jeszcze moment.

Przechyliła głowę i niecierpliwie pstrykała palcami. Dekorator wybrał następną próbkę i przyłożył ją do ściany.

- Teraz znów wszystko jest za niebieskie. Ten wzór ma lekki odcień brzoskwini, a błękit po prostu zabija róż, nie uważa pan? - głos Isabelli był nieco gardłowy, ale melodyjny, jak gdyby brała lekcje śpiewu.

Dekorator przyjrzał się zestawieniu tapety z ozdobną framugą.

- Tak, sądzę, że ma pani rację, pani Cavanetti. A co pani myśli o tym?

Jessica spojrzała na nową próbkę. Ta, przynajmniej jej zdaniem, była w oczywisty sposób za jaskrawa. Popatrzyła na Isabellę, zastanawiając się, czy rzeczywiście aż tak się

przejmuje odcieniem tapety, czy też po prostu był to pretekst, żeby kazać jej czekać. Podejrzewała, że o to właśnie chodziło.

Pani Cavanetti była wysoką kobietą o delikatnych kostkach i nadgarstkach, i wciąż świetnych nogach, których smukłość jeszcze podkreślała ciemnymi pończochami i czarnymi pantofelkami na wysokich obcasach. Jak zawsze była wytwornie ubrana, tym razem w suknię z lekkiej wełny i bezbłędnie dobraną wzorzystą apaszkę. Jej czerwono - rude włosy miały szczególny połysk, który na pierwszy rzut oka mógł się wydawać jej naturalnym odcieniem, chociaż Jessica wiedziała od Marii, że Isabella musi sobie farbować włosy już od dawna. Wyglądała jednak na osobę pełną sił i energii nawet w wieku sześćdziesięciu pięciu lat. Isabella nagle się odwróciła.

- Co ty o tym sądzisz, skarbie? Czy to pasuje do dywanu i do reszty?

Wyrwana ze swych rozmyślań Jessica potrząsnęła głową, popatrzyła na próbkę i powiedziała:

- Wydaje mi się to za bardzo brzoskwiniowe jak na..

- No właśnie! Za bardzo brzoskwiniowe! - Z irytacją spojrzała na dekoratora. - Czy naprawdę nie ma pan niczego innego?

- Ależ pani Cavanetti! - zaprotestował młody człowiek. - Przecież przepatrzyliśmy wspólnie każdą z tych kilkudziesięciu przyniesionych próbek. Ciągle wydaje mi się, że ta pierwsza..

- Och, ta pierwsza była okropna, po prostu okropna! - Isabella podniosła ręce do góry w geście desperacji. - Nie wierzę, żeby pan nie miał jeszcze czegoś, co by naprawdę tu pasowało!

- Ależ oczywiście, pani Cavanetti! Coś znajdziemy. Najprawdopodobniej musieliśmy w tym pośpiechu coś przeoczyć.

- No pewnie! - Isabella przyłożyła dłonie do skroni - Do Świąt pozostało ile - jednaście dni? - a tapety wciąż jeszcze nie są położone. To po prostu oburzające! Właśnie tak - oburzające!

Młody człowiek gorączkowo przerzucał kolejne strony wielkiego skoroszytu z próbkami, podczas gdy Isabella wykrzykiwała obraźliwe epitety pod jego adresem. Jessica instynktownie współczuła temu biedakowi. Pani Cavanetti przygważdżała go raz za razem i trwało to pewnie godzinami.

Jessica spróbowała jakoś rozładować atmosferę.

- Ale muszę powiedzieć, pani Cavanetti, że dom naprawdę wygląda wspaniale.

- Tak sądzisz? - Isabella odwróciła się do niej. - No cóż, chciałam, żeby wszystko było

gotowe na świąteczne przyjęcie, które zamierzam wydać, ale sam Bóg tylko wie, ile to mnie kosztuje trudu i nerwów. Stale są z czymś kłopoty!

- No a co pani powie o tym? - dekorator przyłożył do ściany próbkę z wzorem w drobne zgaszone prążki, o fakturze grubego drukowanego perkalu.

Isabella wyduła wargi.

- No cóż, w zestawieniu z dywanem wygląda to nawet nieźle.

- I jednocześnie wydobywa ten różowy odcień. Proszę się tylko przyjrzeć - przyłożył próbkę do ściany. - Wprost idealnie. Tak, to jest właśnie to, pani Cavanetti. Sam nie wiem, dlaczego wcześniej nie wzięliśmy tego pod uwagę.

- Kiedy będzie pan mógł to położyć?

Jessica znów spojrzała na pojemnik, który wciąż trzymała w ręku. Na przezroczystej pokrywie widać było grube krople skondensowanej pary. Lekkie ciasto pewnie już zdążyło opaść, a wtedy byłoby do niczego. Tymczasem jednym uchem wciąż słyszała dyskusję pani domu z udręczonym dekoratorem. W końcu Isabella pozwoliła mu odejść i zwróciła się do Jessiki.

- Dzięki Bogu, przynajmniej to mam wreszcie z głowy!

Jessica uśmiechnęła się i podała jej ciasto.

- Pomyślałam, że może kawałek czegoś takiego mógłby pomóc w przetrzymaniu przedświątecznych stresów.

Isabella przyjęła pojemnik.

- Jak to miło z twojej strony - powiedziała. Postawiła pudło z ciastem obok wazonu na jakimś bocznym stoliku i nawet nie zajrzała do środka.

- A jak się czuje pan Cavanetti?

Isabella z wolna obróciła się i spojrzała na Jessikę.

- Czuje się nieźle, mniej więcej tak, jak można się było spodziewać. Jeżeli, oczywiście, nie wystąpią żadne nagłe pogorszenia. Między innymi dlatego nie za bardzo ucieszyło mnie pojawienie się Nicka. Wiesz o tym, że przyjechał, prawda?

- Tak, wiem.

Wargi Isabelli zacisnęły się w cienką linię.

- Obecność Nicka na pewno nie wpłynie dobrze na stan zdrowia Michaela. Wiesz, że nigdy za bardzo się nie lubili. Teraz jego przyjazd tylko zdenerwuje ojca - Isabella uniosła dłoń i dotknęła szyi, przy okazji poprawiając apaszkę. - Nick zresztą zawsze tak wpływał na ludzi.

- Wydaje się, że jednak bardzo się zmienił, nie sądzi pani?

- Może zewnątrz! - Oczy Isabelli zwęziły się nagle. - Ale mnie on nie oszuka. Nie słyszałaś, że znów wpakował się w poważne kłopoty gdzieś tam na wschodnim wybrzeżu? Powiem ci otwarcie, że nie chcę tu takich śmieci jak on. Bo on wciąż jest śmieciem. Przykro mi to mówić - w końcu to syn mojego męża - ale jest śmieciem i niczym więcej!

- A jakie to kłopoty, w które wpakował się Nick?

- Zgwałcił jakąś kobietę w Filadelfii.

- Co takiego?! - wykrzyknęła Jessica. - Nie wierzę!

- Lepiej uwierz - powiedziała Isabella i znów poprawiła apaszkę na szyi. - Tak właśnie zachowuje się śmieć. Teraz nazywa się Cole Nichols - jakie to wygodne! Myśli, że wystarczy zmienić imię i nazwisko i już nikt nie wpadnie na to, że wciąż jest Włochem. - Roześmiała się szyderczo. - Ciekawe, co zrobi teraz? Znów zmieni nazwisko, żeby nikt nie wiedział, że popełnił kryminalne przestępstwo?

- Nie wierzę, żeby Cole mógł to zrobić.

- No cóż, nie możesz go zbyt dobrze znać, prawda? Byłaś ledwie podlotkiem, kiedy stąd wyjechał.

- Ale mimo wszystko...

- Ci futbolowi gwiazdorzy są przekonani, że świat należy do nich - że są ponad prawem i mogą zrobić wszystko. No więc tym razem Nick dostanie to, na co zasłużył.

- Czy już został postawiony przed sądem?

- Nie, ale wkrótce będzie. A ja nie mogę się już tego doczekać. Mam nadzieję, że wsadzą go na dobrych kilka lat. Żałuję tylko, że nie wypadło to trochę wcześniej, bo wtedy nie zdążyłby tu przyjechać, żeby zadrećzać mego biednego męża.

Jessica była wstrząśnięta, a równocześnie i zdumiona tym, co usłyszała. Cole nigdy nie wydawał się jej typem gwałciiciela. No, ale też rzeczywiście nie znała go aż tak dobrze. Przecież nawet nie wiedziała, że stał się gwiazdą wyczynowego sportu. Jej wiara w niego nie miała w gruncie rzeczy żadnych podstaw, poza jakimś irracjonalnym wewnętrznym przekonaniem.

Isabella spojrzała na zegarek:

- Obawiam się, że będę musiała skrócić twoją wizytę, Jessico, ale od rana jestem ze wszystkim spóźniona, a muszę jeszcze odebrać Franka z lotniska.

- Och, proszę się nie przejmować. I tak wpadłam tylko na chwilę, żeby zapytać o stan pana Cavanettiego. W którym szpitalu jest teraz?

- W Medycznym Centrum Uniwersyteckim. Ale na razie nie powinno się go jeszcze odwiedzać.

Jessica ruszyła w stronę wyjścia, a Isabella odprowadziła ją aż do hallu.

- Aha, przy okazji chcę ci powiedzieć, że wydajemy przedświąteczne przyjęcie w piątek wieczorem. Miło mi będzie cię widzieć. Stroje wieczorowe - w rozsądnych granicach. O ósmej.

- Dziękuję. Przyjdę z przyjemnością - odpowiedziała Jessica. Isabella otworzyła przed nią drzwi.

- A może interesuje cię spotkanie naszego związku winiarzy jutro wieczorem? Odbędzie się to w Falls Winery, będzie degustacja win i też coś w rodzaju świątecznego przyjęcia. Sponsoruje to Towarzystwo Etnologiczne miasta Seattle, będą różne lokalne znakomitości. Chciałabyś pójść?

- A czy pani będzie mogła, skoro pan Cavanetti jest w szpitalu?

- No cóż, to spotkanie to jeden z towarzyskich obowiązków, których po prostu nie można uniknąć. Będzie tam każdy, kto się liczy.

Jessica skinęła głową i ruszyła do wyjścia.

- Gdybyś się zdecydowała, to tylko zawiadom Marię. Możesz się zabrać razem z nami, jeżeli chcesz. Frank też się tam wybiera. - Dobrze. Dziękuję.

- No to na razie - Isabella zamknęła za nią drzwi, a zamyślona Jessica wolno schodziła marmurowymi schodami. Na ostatnim stopniu zatrzymała się na moment. Zupełnie zapomniała zapytać o tego tajemniczego mnicha.

Po powrocie zastała ojca w kuchni. Siedział nad szklanką soku pomidorowego zmieszanego pół na pół z wódką i czytał gazetę. Wejścia córki początkowo w ogóle nie dostrzegł. Dopiero po dłuższej chwili poniósł wzrok znad zadrukowanej płachty.

- O, jesteś, Jess. Siadaj.

Nawet słowem nie wspomniał o wysprzątej i lśniącej czystością kuchni i łazience. Najpewniej w ogóle tego nie zauważył. Jessica Usiadła na krześle i spojrzała na pełną szklankę, której nie wypuszczał z dłoni. Najchętniej wyrzuciłaby ją przez okno, żeby przerwać to nieustanne picie - raz na zawsze. Ale wiedziała doskonale, że natychmiast po jej wyjściu nalałby sobie następną.

- Jak długo tu zostaniesz? Przez święta? - spytał.

- Tak. Wyjeżdżam zaraz potem.

- To wspaniale, że przyjechałaś. Nie miałem rodzinnych świąt już od nie wiem jak wielu lat.

Jessica spuściła wzrok. Czy oni oboje w ogóle kiedykolwiek mieli coś takiego jak rodzinne święta? - pomyślała z goryczą. Chyba ta gorycz sprawiła, że postanowiła być twarda

i nieustępliwa. Podniosła głowę.

- Nie przyjechałam tu dla rodzinnych świąt, tato. Doskonale o tym wiesz.

Robert Ward przejechał palcami po zwisających włosach i pociągnął dłuższy łyk z trzymanej w dłoni szklanki. Jego wzrok już znów stawał się zamglony.

- Rozumiem. To Wes cię wezwał?

- Tak. - Pochyliła się i oparła łokcie na stole. - Posłuchaj mnie, tato. Musisz się wziąć za siebie. Wes mówi, że nie płacisz rachunków. Tegoroczne podatki za ten dom ja musiałam zapłacić. Zabiorą ci go, jeżeli nie będziesz pilnował terminów.

- Naprawdę nie zapłaciłem? Byłbym przysiągł, że tak.

- Nie, nie zapłaciłeś. O inne sprawy też w ogóle przestałeś dbać. Gdzie jest poczta?

Ojciec zerknął na nią kątem oka.

- Poczta?!

- Korespondencja! Wes mówi, że telefonował i pisał do ciebie kilkanaście razy i nigdy nie otrzymał odpowiedzi. W końcu zadzwonił do mnie. Wspominał o jakiejś terminowej umowie dotyczącej wynajmu terenu.

Robert Ward lekceważąco machnął ręką.

- My nie wynajmujemy żadnego terenu. Wesowi musiało się coś pomylić.

- A cały ten teren, na którym jest winnica? Przecież Cavanetti dzierżawią go od nas.

Ojciec wzruszył ramionami.

- Chyba rzeczywiście. Ale po tylu latach to już pewnie przeszło na ich własność.

Jessica zacisnęła wargi.

- Tato, czy ciebie już w ogóle nie interesuje, co jest, a co nie jest twoją własnością?

W odpowiedzi tylko podniósł szklankę, unikając wzroku córki.

- Po prostu nie lubię interesów i nie mam do tego głowy. W końcu jestem artystą, do cholery!

Najchętniej odpowiedziałaby mu, że jest pijakiem a nie artystą, ale powstrzymała się i tylko westchnęła.

- Tato, musisz wreszcie doprowadzić do jakiegoś porządku te twoje sprawy. Wes mówi, że już zupełnie nie masz pieniędzy.

Podniosła się z krzesła.

- Musimy przyjrzeć się tej umowie dzierżawy i sprawdzić, jakie są opcje. Może na przykład mógłbyś sprzedać tę ziemię i dałoby ci to przynajmniej jakiś kapitał.

Zamiast odpowiedzi przez dłuższy czas dopijał swój pomidorowo - alkoholowy cocktail. Potem Jessica zorientowała się, że ojciec znów wbił oczy w czytaną wcześniej

gazetę i że nie ma zamiaru kontynuować rozmowy na temat dzierżawy. Ujęła się pod boki.

- No więc?

Robert Ward zrobił uspokajający gest.

- Dobra. Zajmę się korespondencją.

- Kiedy?

- Jak przeczytam gazetę.

- A kiedy to będzie?

- Kiedy skończę.

Jessica patrzyła na niego, usiłując zapanować nad narastającym w niej gniewem. Wiedziała, że ojciec znów jest na najlepszej drodze do kolejnego upicia się do nieprzytomności. Chwyciła położoną na stole torebkę w nadziei, że ojciec spyta, dokąd idzie, ale on nawet na nią nie spojrział.

Wybiegła z domu i wskoczyła do samochodu. W chwilę później już jechała w dół Moss Cliff Road, precyzyjnie zmieniając biegi i prowadząc bardzo pewnie, mimo deszczu i sporej szybkości. Postanowiła zignorować zalecenie Isabelli i na własne oczy zobaczyć, w jakim stanie jest Michael Cavanetti.

Zaparkowała przed szpitalem, mieszczącym się w ogromnym wieżowcu ze szkła i kamienia. Za automatycznymi drzwiami, które same otworzyły się przed nią, zapytała o numer pokoju Michaela Cavanettiego, a potem weszła do windy i nacisnęła ósemkę. Miała jeszcze chwilę, żeby się nad tym wszystkim zastanowić.

Czy z każdym rodzicem zawsze muszą być kłopoty? Alkoholowa choroba jej ojca bardzo poważnie przyhamowała rozwój jej własnej kariery i najpewniej było to już nie do odrobienia. Natomiast starego pana Cavanettiego zawsze uważała za kogoś takiego, kogo chciałoby się mieć za ojca. To był ten typ mężczyzny - silny, a zarazem pełen ciepła, ciężko pracujący, ale przy tym życzliwy i spokojny. Jednak w miarę, jak Cole zaczął dorastać, jego ojciec stawał się coraz bardziej szorstki i surowy, wymagając o wiele za dużo od kilkunastoletniego chłopca. Aż w końcu doszło do tego, że zbuntowany chłopak oświadczył, iż zamierza żyć własnym życiem i porzucić winnicę św. Benedykta. Skończyło się to tym, że ojciec wydziedziczył Cole'a, a ich stosunki nigdy już nie były takie jak dawniej.

Drzwi windy otworzyły się bezszelestnie i Jessica skierowała się w stronę długiego korytarza na ósmym piętrze. Podeszła do stanowiska informacji i zapytała o pana Cavanettiego.

Dyżurna pielęgniarka popatrzyła na nią i zdjęła wielkie okulary, ukazując zastygłą w nieżyczliwym grymasie twarz i chłodne szare oczy.

- Przykro mi, proszę pani. Tylko członkowie rodziny mogą odwiedzać pana Cavanetti.

- Ale dlaczego?

- Na żądanie pani Cavanetti.

Pielęgniarka ponownie założyła okulary, jakby na znak, że rozmowa jest skończona. Jessica stała tam jeszcze przez chwilę, zastanawiając się, co może zrobić. W końcu jechała blisko dwadzieścia kilometrów, żeby zobaczyć Michaela Cavanettiego.

- No cóż, trudno! - westchnęła i ruszyła do wyjścia. Akurat w chwili, gdy w głębi korytarza pojawił się wysoki mężczyzna.

- Jessica!

Obróciła się i zobaczyła Cole'a, który uśmiechając się zmierzał w jej stronę. Nie można było nie podziwiać sposobu, w jaki się poruszał - długi krok, niezwykle lekki i pewny. Znow miał świetne pantofle, z pewnością robione na miarę. Ciemnoniebieskie spodnie elegancka koszula i granatowy żeglarski sweter - który jeszcze bardziej podkreślał złotawą opalenizną twarzy - dopełniały jego stroju.

- Cześć, Cole!

- Przyszłaś tu może, żeby odwiedzić mego ojca?

- Prawdę mówiąc, tak. Ale okazało się, że nie wpuszczają nikogo poza członkami rodziny.

- Chyba żartujesz?! - ujął ją za łokieć i poprowadził z powrotem do stanowiska informacji.

Tym razem pielęgniarka natychmiast zerwała się z miejsca. - Och, pan Nichols! Dzień dobry! - Jej surowa dotąd twarz nagle rozkwitła w uśmiechu.

- Cześć, Norma. Jak się czuje mój ojciec?

- Lepiej. Dużo lepiej. I nie śpi w tej chwili - gdyby chciał pan do niego zajrzeć.

- Posłuchaj, Normo, to jest Jessica Ward. Znała mojego ojca od lat i jest dla niego jak rodzona córka. Tak więc kiedykolwiek zechce go odwiedzić, ma być wpuszczona bez przeszkód, rozumiesz?

- Och! - powiedziała Norma i skinęła głową Jessice. - Przepraszam. Nie wiedziałam.

- W porządku, nie ma sprawy - Jessica uśmiechnęła się do niej, ale pielęgniarka już znow całą uwagę zwróciła na Cole'a.

- Panie Nichols... to znaczy, czy może mogłabym mówić po prostu Cole?

- Oczywiście.

- Otóż, Cole - przesunęła w jego stronę bloczek białych kartoników. - Mój wnuczek oddałby wszystko za twój autograf.

Jessica patrzyła, jak Cole pisze na kartoniku krótką dedykację i stawia pod nią zamaszty podpis. Tak naprawdę jednak przyglądała się przede wszystkim fascynującej linii jego profilu. Do tej chwili w ogóle nie przychodziło jej do głowy, że Cole może być nie jakimś tam zwyczajnym zawodnikiem, tylko prawdziwą gwiazdą futbolu. Przyglądała się jego dłoniom, kiedy pstryknął długopisem i oddał go pielęgniarce. Te dłonie były opalone i zgrabnie ukształtowane, z długimi palcami - nie na tyle grubymi, by sprawiały wrażenie niezgrabnych, ale też nie na tyle szczupłymi, by mogły być słabe. Takie dłonie świadczyły o znacznej zręczności, a jednocześnie zaskakującej sile. Jessica przypomniała sobie, jak ciepła wydała się jej ta dłoń, kiedy żegnali się zeszłej nocy.

- Dzięki, Cole - powiedziała rozpromieniona Norma. - To było niezwykle miłe z twojej strony!

Cole uśmiechnął się do Jessiki i poprowadził ją w głąb korytarza.

- Bycie futbolowym idolem ma swoje zalety - powiedział. - Można kogoś uszczęśliwić przez samo napisanie swego nazwiska na kawałku kartki.

- Nie wiedziałam, że jesteś aż tak sławny. Jak się nazywa ta twoja drużyna, o której wspominałeś?

- St. Louis Bulls! - Cole roześmiał się mimo woli. - Jakim cudem udało ci się nigdy o nas nie słyszeć? Przecież w tym roku jesteśmy na najlepszej drodze do zdobycia Superpucharu!

Zatrzymali się przed drzwiami pokoju Michaela Cavanettiego. Jessica z pewnym zaskoczeniem poczuła, że dłoń podtrzymująca jej łokieć nagle stężała.

- Muszę cię uprzedzić, Jess - nie chciałbym, żeby to było dla ciebie szokiem. On się bardzo zmienił.

- Co to znaczy - zmienił?

- Postarzał się. Bardzo. Przyglądałem mu się dziś z samego rana, kiedy jeszcze spał. I całe szczęście, że spał, bo to, co zobaczyłem, naprawdę mną wstrząsnęło.

- Nie widziałeś go przecież przez trzynaście lat.

- Wiem. Ale i tak trzynaście lat nie powinno było zmienić go aż tak.

Otworzył przed nią drzwi. W pokoju, niedaleko okna, stało tylko jedno łóżko, w którym leżał drobny i wychudzony, rozpaczliwie stary człowiek. Błada dłoń, spoczywająca na kołdrze, pokryta była ciemnymi wątrobowymi plamami, na tle poduszki rysował się charakterystyczny nos, niczym garbaty dziób jakiegoś ptaka. Jessica zrobiła głęboki wdech, zmobilizowała wszystkie swoje umiejętności udawania i podeszła do Michaela Cavanettiego z uśmiechem na ustach.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Odczekała chwilę, nim odezwała się - niezbyt głośno, by nie naskoczyć chorego. Ojciec Cole'a z wolna obrócił głowę w stronę dwojga młodych ludzi, którzy stali obok jego łóżka. Ogromnym wysiłkiem woli Jessice udało się utrzymać uśmiech na wargach również w tym momencie, gdy spojrzała w dół na wychudłą i wynędzniałą twarz tego człowieka, o którym wiedziała, że jest Michaeliem Cavanettim.

Rzeczywiście bardzo się zmienił. Jego żałośnie stare osiemdziesięcioletnie ciało wydawało się tak wychudłe i pomarszczone, jak zapomniane jesienią na krzaku, zeschnięte na słońcu i niepogodzie winne grono. Jego niegdyś czarne i gęste włosy posiwiały i przerzedziły się do tego stopnia, że wyglądały teraz jak rzadkie nitki pajęczce, rozsypane na łysej głowie, również pokrytej brązowymi plamami. - Wystające kości policzkowe wyglądały jak jakieś półki skalne pod zapadającymi się gdzieś w przepaść oczami, a nos i oczy sprawiały wrażenie za dużych w stosunku do drobnej, pomarszczonej twarzy. - Dzień dobry, panie Cavanetti - powiedziała Jessica, z tym samym wysiłkiem woli starając się kontrolować brzmienie swego głosu. Wyciągnęła rękę i dotknęła wychudzonej dłoni starca.

Wpatrywał się w nią, mrugając powiekami, i nagle najwyraźniej ją rozpoznał. Już wiedział, kim była - świadczył o tym wyraz jego oczu. A zatem jego pamięć wciąż pozostawała sprawna. Michael Cavanetti próbował coś powiedzieć, ale język i wargi nie chciały mu być posłuszne.

Jessica leciutko poklepała go po wychudzonej ręce.

- W porządku, panie Cavanetti. Wpadłam tylko, żeby się z panem przywitać - delikatnie ścisnęła jego dłoń. - Proszę zobaczyć, kto jest tu razem ze mną - powiedziała i przyglądała się, jak oczy starego człowieka powoli wędrują wzdłuż wysokiej sylwetki młodego mężczyzny - jego syna, którego się wyrzekł i wypędził z domu trzynaście lat temu.

Poczuła, jak ręka Michaela Cavanetti wolno obraca się pod jej dłonią.

- To Niccolo przyszedł - powiedziała i uśmiechnęła się.

- Cześć, tato. - Cole wysunął się teraz przed Jessikę i patrzył na leżącego nieruchomo ojca. - Maria powiedziała mi, że jesteś w szpitalu.

Wargi Michaela znów drgnęły, a w otwartych teraz szeroko oczach odbijały się silne emocje, których treści Jessica nie potrafiła jednak odczytać. Może stary człowiek poczuł się zaniepokojony albo może po prostu wstrząsnął nim widok syna, tak niezwykle wysokiego i przystojnego, w pełnym rozkwicie męskiej młodości.

- Pielęgniarka mówi, że czujesz się już o wiele lepiej - ośmielił się powiedzieć Cole. -

Może już wkrótce będziesz mógł wrócić do domu.

Michael z wysiłkiem wciągnął powietrze, a jego wychudła dłoń zacisnęła się na ręce Jessiki. Widać było, jak walczy, jak usiłuje unieść głowę i coś powiedzieć, ale z jego warg wydobywały się tylko gardłowe, kompletnie niezrozumiałe dźwięki.

- Co pan chciałby powiedzieć, panie Cavanetti? - spytała Jessica. Zapadnięte oczy Michaela z niezwykłą intensywnością wpatrywały się na zmianę w nią i w Cole'a, jak gdyby błagając ich, by coś zrobili. Udało mu się jedynie potrząsnąć głową, która zaraz potem znów opadła na poduszkę. Wyczerpany wysiłkiem, ponownie zamknął oczy. Jessica spojrzała na Cole'a.

- Jak myślisz, co on chciał nam powiedzieć? Wydawał się czymś niezmiernie podniecony.

- Nie wiem. Nie byłem w stanie wychwycić choćby jednego zrozumiałego słowa z tego, co usłyszałem.. - Cole wyciągnął rękę i dotknął dłoni ojca. - Tato, posłuchaj mnie, proszę. Wiem, że się kłóciliśmy. Wiem, jak bardzo cię rozczarowałem, rezygnując z pracy w winnicy, i być może zasłużyłem na to, żebyś mnie wydziedziczył. Ale teraz chcę ci pomóc. - Wpatrywał się w jego twarz niezwykle intensywnie, usiłując dostrzec coś, co świadczyłoby o tym, że ojciec go usłyszał. Ale Michael Cavanetti wciąż leżał nieruchomo.

- Tato, pozwól mi jakoś ci dopomóc - powtórzył Cole.

Pergaminowe powieki uniosły się. Michael popatrzył na syna, jak gdyby mierząc go wzrokiem, a w jego wilgotnych oczach pojawił się błysk. Cole wytrzymał te oględziny bez słowa, znieruchomiały w oczekiwaniu.

Jego ojciec jeszcze raz próbował coś powiedzieć. Na chwilę zamilkł, jakby koncentrując się w nadludzki wysiłku, i w końcu wydusił z siebie jedno lub dwa niewyraźne słowa. - W nich? - spytał zaskoczony Cole. - Ale w jakich „nich”? - Nie, nie! - powiedziała Jessica. - To brzmiało raczej jak „mnich”.

Palce Michaela zacisnęły się na dłoni Jessiki, która natychmiast spojrzała na niego.

- Czy powiedział pan „mnich”? - zapytała.

Michael Cavanetti ledwo zauważalnie skinął głową. W tym momencie otworzyły się drzwi i pojawiła się w nich pielęgniarka z tacą i lekami.

- Przykro mi, proszę państwa. Teraz pan Cavanetti będzie musiał odpoczywać.

Cole pochylił się nad ojcem.

- Wkrótce wrócimy, tato. Nie martw się.

Jessica wolno podniosła się i puściła dłoń starego człowieka. Wraz z Cole'm wyszli na korytarz.

- Jak myślisz, co on chciał nam przez to powiedzieć? - spytała.

- Wypowiadając to słowo „mnich”?

- Tak.

Cole potarł dłonią czoło.

- Naprawdę nie wiem. Może pod wpływem tych lekarstw po prostu mówi coś niedorzecznego.

- Nie, nie sądzę. Ścisnął mi dłoń, kiedy zapytałam, czy powiedział „mnich”. To było świadome, jestem tego pewna.

- Ale to przecież kompletnie niedorzeczne - Cole ujął jej dłoń i swobodnym ruchem wsunął ją sobie pod ramię. Razem poszli korytarzem w stronę wyjścia. Jessica zazwyczaj czuła się skrępowana, gdy ktoś brał ją za rękę, a już zwłaszcza takim pozbawionym wahań gestem właściciela. Tym razem jednak zupełnie jej to nie przeszkadzało, może dlatego, że przez cały czas myślała o Michaelu Cavanettim.

- Chciałabyś może przed wyjściem wypić ze mną kawę tu na dole?

- Nie, dziękuję. Muszę *już* wracać.

- Wobec tego pozwól, że cię odprowadzę do samochodu. Nie mogła odmówić, więc tylko skinęła głową.

Resztę drogi korytarzem do windy przeszli w milczeniu. Kiedy automatyczne drzwi już się za nimi zamknęły, Jessica oparła się o poręcz, a Cole nacisnął przycisk parteru. Potem obrócił się i zaczął się jej przyglądać.

- Jest strasznie stary - powiedział. - Nigdy bym nie przypuszczał, że aż tak się zmieni.

Jessica kiwnęła głową.

- Myślę też, że wyraźnie nie chce wracać do domu. I chyba ma po temu jakieś powody.

- Nie bardzo rozumiem. Zawsze chciał tam być, nie lubił wyjeżdżać z domu. Skąd miałyby się wziąć taka zmiana?

- Trudno mi sądzić na pewno - wzruszyła ramionami Jessica, przyglądając się świecącym cyferkom, wskazującym kolejne piętra. - Ale czy Maria nie wspomniała ci, że Isabella teraz zamyka go w jego pokoju na górze? Nie pomyślałeś, że może twoja macocha po prostu źle go traktuje?

- Och, wiesz przecież, jak Maria czasem przesadza.

Drzwi windy otworzyły się z lekkim szelestem. Cole przepuścił Jessikę przed sobą.

- Gdzie postawiłaś samochód? - zapytał.

- Niedaleko wjazdu. Tam po prawej.

Cole zszedł po schodach razem z nią, odprowadził ją na parking, ale zwlekał z pożegnaniem się. Otwierając drzwi wozu zapytała go po chwili wahania:

- Powiedz mi, Cole... Czy słyszałeś kiedykolwiek o jakimś mnichu w winnicy?

- Nie rozumiem. O jakim mnichu?

- Czy jest ktoś, kto podaje się za mnicha, albo przebiera się w habit z kapturem?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Dlaczego pytasz?

- Bo od mojego przyjazdu tutaj zobaczyłam kogoś takiego już dwa razy. Najpierw wczoraj wieczorem, na zakręcie Moss Cliff Road. A potem koło północy widziałam go, jak stał pod drzewem i wpatrywał się w okno mojej sypialni.

- Mnich podglądacz? - Cole uśmiechnął się. - To byłoby coś nowego!

- Daj spokój z żartami, mówię zupełnie serio - wcisnęła klucz zapłonu i usadowiła się za kierownicą. - A jeśli ten mnich ma coś wspólnego ze stanem twojego ojca? Może to on go przeraził albo coś mu zrobił?

- Mało prawdopodobne. Nie bardzo sobie wyobrażam mnicha włóczącego się po winnicy. Może po prostu wydało ci się, że zobaczyłaś kogoś takiego?

Jessica przecząco potrząsnęła głową i uruchomiła silnik. Nikt jej nie wmówi, że nie widziała tego, co widziała. Cole pochylił się nad wciąż uchylonymi drzwiami wozu.

- Czy wybierasz się może na tę imprezę winiarzy w Falls Winery jutro wieczorem?

- Jeszcze nie wiem. Może. A ty się wybierasz?

Cole skinął głową.

- Lucy chce spróbować tutejszych win i jedzenia. A ja chętnie spotkam różnych starych znajomych. Może więc tam się zobaczymy.

Uśmiechnęła się bez słowa. Cole zamknął drzwi wozu, a jego długie palce jeszcze na chwilę zatrzymały się na ramie wpółotwartego okna. Jessica przyglądała się jego opalonej dłoni, a potem włączyła kierunkowskaz, wrzuciła bieg i odjechała. W tylnym lusterku jeszcze przez chwilę widziała go, jak wciąż moknąc w drobnym deszczu patrzył za nią, dopóki jej samochód nie zniknął w gęstniejącym ruchu.

Jessica mocniej zacisnęła dłonie na kierownicy. Nie potrafiła sobie przypomnieć takiego przypadku, żeby w ciągu ostatnich lat ktokolwiek patrzył za nią, gdy gdzieś odjeżdżała.

Shawn Cavanetti otworzyła swą rzuconą na łóżko podróżną walizkę. Podparła się pod boki i przyglądała się jej zawartości. Nadal nosiła ciasną skórzaną spódniczkę, gdyż uważała, że wciąż jeszcze nic się specjalnie nie rzucało w oczy - zwłaszcza gdy nakładała wypuszczony na wierzch za duży podkoszulek. Kątem oka spojrzała na swe widoczne z

profilu odbicie w wewnętrznym lustrze szafy i wciągnęła brzuch. Potem obróciła się frontem i spojrzała ponownie. Uśmiechnęła się, ukazując zęby, miejscami wysmarowane ciemnoślwiwkową szminką do warg. Bawił ją prowokacyjny obrazek i nadruk na podkoszulku - CHŁOPCY LEPSI NIŻ ŚMIERĆ. Była to grupa punkrockowa, na której koncert udało się jej dostać kilka tygodni temu. Spodobał się jej ten zespół, ale jeszcze bardziej spodobał się jej teraz wyraz zgorzienia i wręcz szoku na zastygłym w poczuciu niewybaczalnej zniewagi obliczu Isabelli - kiedy to Shawn po wejściu do domu zrzuciła z siebie sztuczne futerko i ukazała się teściowej w tym właśnie podkoszulku.

To była cała Isabella. Nazwać taką starym wapnem to o wiele za mało! Shawn sięgnęła do torebki po papierosy, zapaliła i zaciągnęła się głęboko. Tak, to dopiero prawdziwa frajda! Zwłaszcza że nie mogła zapalić ani w samolocie, ani w drodze z lotniska - było wprost się do pomyślenia, żeby ktoś poważnie się skaził papierosowym dymem wytworzył zapach wnętrza luksusowego Mercedesa Isabelli.. by już nie wspomnieć o jej równie delikatnie pachnącej, nienaganej fryzurze. Isabella Cavanetti nigdy, ale to nigdy nie mogłaby pachnieć czymś tak pospolitym jak tytoniowy dym.

Shawn spojrzała na trzymany w dłoni długi, cienki papieros i wydeła wargi. Naprawdę powinna już przestać palić, skoro była w ciąży. Słyszała nieraz, że to jest szkodliwe dla płodu. No dobra, przyrzekła sobie, jeszcze dopalę tę paczkę i potem już z tym koniec.

Białą dłonią o krótkich palcach sięgnęła do walizki po spakowane tam rzeczy. Zaciągnęła się jeszcze raz i właśnie zamierzała rozpocząć przekładanie wszystkiego do szafy, gdy powstrzymało ją pukanie do drzwi.

To była Isabella.

- Lepiej nie zabieraj się do rozpakowywania - powiedziała lodowato.

Shawn nawet nie mrugnęła okiem. Szyderczym spojrzeniem zmierzyła teściową od góry do dołu, po czym po prostu odwróciła się plecami i wróciła do otwartej szafy.

Isabella zbliżyła się na dwa kroki.

- Powiedziałam, żebyś nie zabierała się do rozpakowywania.

- Nie jestem głucha, pani C. - odpowiedziała Shawn i sięgnęła po kolejny wieszak.

- I nie mów do mnie pani C. To po prostu okropne!

- Trzeba nas jakoś rozróżniać. Skoro każda z nas jest teraz panią Cavanetti, ludzie łatwo mogliby nas mylić.

- To zupełnie niemożliwe.

Shawn zignorowała jej słowa i rozprostowała bluzkę na wieszaku.

- Czy Frank nie powiedział ci, że nie pozwalam palić w tym domu?

- Nie - Shawn spojrzała na tłący się czubek papierosa z udanym zaskoczeniem. - Nie powiedział. No, ale to jest cały Frank. Zawalił sprawę, jak zwykle!

Doprowadzona do ostateczności Isabella podeszła do walizki i zatrzasnęła jej wieko, a potem jeszcze oba zamki. Shawn obróciła się do niej.

- Ej, co to ma znaczyć?!

- Chcę, żebyś stąd natychmiast wyjechała, Shawn. Frank w ogóle nie mówił, że miałabyś się u nas zatrzymać i obawiam się, że nie zdołam już teraz przygotować odpowiednich warunków pobytu.

- Jakich znowu „warunków”? - Shawn ujęła się pod boki. - Na miłość boską, pani C, zbliżają się święta, najbardziej rodzinny czas w całym roku! A ja jestem częścią rodziny, czy się to komuś podoba, czy nie. Co miałabym robić? Siedzieć sama w Bostonie, jak ostatniego lata, kiedy wy oboje szwendaliście się po kurortach Europy?!

- Prawdę mówiąc, mało mnie obchodzi, gdzie miałabyś się podziać - Isabella zrzuciła walizkę na podłogę. - Gdybym nie była tak bardzo zaskoczona, od razu zasugerowałabym, żebyś została na lotnisku albo w ogóle kupiłabym ci bilet powrotny.

- Więc pani uważa, że może nie liczyć się z tym, iż jestem pani synową? I że pozwolę, żeby mnie wciąż spychano gdzieś w kąt? Otóż, pani C, oświadczam, że mam tego dość!

- Ja też mam dość tego aroganckiego nieliczenia się z tym, co mówię. Powiedziałam, że masz się stąd zabierać, Shawn. I to już!

Shawn zaciągnęła się głęboko i wypuściła kłęb dymu przez nozdrza, wiedząc doskonale, jak bardzo to niegodne damy zachowanie rozwścieczy Isabellę. A cóż za jędrza, doprawdy! Nic dziwnego, że z Franka zrobił się żaloszny mięczak. Mając taką matkę nie miał szans na nic innego.

- Powiedziałam, że masz się stąd wynosić, i to już!

- A jeżeli tego nie zrobię?

- Zadzwońię po policję i każę cię wyrzucić za drzwi. Frank się z tobą rozwodzi, wiesz o tym.

Shawn uśmiechnęła się.

- Nie sądzę, pani C. Prawdę mówiąc - wyciągnęła z kieszonki złożony we czworo papier i jakąś ostemplowaną kopertę - sądzę nawet, że dopiero teraz zarówno pani, jak i mój ukochany mąż, zaczniecie być dla mnie naprawdę mili.

- A to czemu?

- Z uwagi na to. - Shawn pokiwała tam i z powrotem trzymanym między dwoma palcami listem. Przez moment dostrzegła błysk zainteresowania w oczach Isabelli, która

jednak natychmiast potrafiła to opanować.

- A cóż to jest, jeśli wolno wiedzieć?

- No więc, po pierwsze. - Na oczach patrzącej na to ze zgrozą Isabelli, Shawn wgniotła niedopałek do stojącej w pobliżu doniczki z jakąś afrykańską rośliną - Po pierwsze podejrzewam, że pani nawet nie wie, jak naprawdę mam na imię.

- Nie Shawn?

Shawn z satysfakcją potrząsnęła głową.

- Otóż nie. To jest moje drugie imię. Na pierwsze mam Iona. Czyż to nie koszarne? Nie mogę pojąć, jak mojej mamie mogło przyjść do głowy coś tak okropnego!

- Być może gdybyś w ogóle wiedziała, kto był twoją matką, znalazłabyś jakąś odpowiedź - powiedziała zjadliwie Isabella.

Shawn postarała się nie pokazać po sobie, że ten celny sztych do niej dotarł. Skąd Isabella wiedziała? Od Franka? Dotychczas Shawn była pewna, że jej mąż nie zdradzi nikomu, iż była dzieckiem adoptowanym. Zaciśnęła na moment usta i wysiłkiem woli opanowała się.

- Tak czy inaczej naprawdę nazywam się Iona Shawn Gilbertson, obecnie Iona Shawn Cavanetti, i mieszkam w Bostonie razem z pani kochanym syneczkiem Frankiem - skrzyżowała ręce na piersiach. - A czy pani kiedykolwiek mieszkała w Bostonie, pani C?

Spostrzegła, że Isabella nagle zamruwała powiekami. Ach, doskonale. A więc jednak trafiła w jakąś szczelinę jej pancerza. Już ta stara suka zaczyna się bać, powiedziała sobie Shawn. Pysznie! Zupełnie tak, jak w jej ulubionych serialach telewizyjnych.

- A co to może mieć do rzeczy? - zapytała Isabella, dumnie unosząc podbródek.

- No cóż, chodzi o to, że kilka tygodni temu dostałam ten tu dziwny list od człowieka z... - spojrzała na trzymaną w ręku kopertę - z Firenze, w Italii.

- Firenze to po włosku Florencja - poprawiła ją Isabella.

- Czy tak? - Shawn roześmiała się. - Powinna była się domyślić. W każdym razie we Włoszech.

Isabella wcale nie wyglądała na rozbawioną.

- I czego ten człowiek chciał? Bo widzę, że umierasz z chęci poinformowania mnie o tym - starała się wyglądać na znudzoną, ale Shawn dostrzegła isierkę niepokoju w jej oczach.

Znów spojrzała na trzymany w ręku list.

- Otóż jakieś biuro prawne z Florencji poszukuje osoby, która kiedyś była żoną faceta o nazwisku Marcello di Leona, utrzymując, że ta żona została by spadkobierczynią posiadłości

di Leona, gdyby się tam zgłosiła. Ma to jakoby coś wspólnego z pokutą tego faceta za grzechy, bo na starość stał się strasznie religijny.

- A dlaczego miałyby to obchodzić mnie?

- Dlaczego?! - Shawn ponownie złożyła list we czworo i schowała do kieszonki. - Ponieważ przed wyjściem za mąż ta kobieta nazywała się Isabella Buccaliero. Czy to nie dziwne nazwisko - Buccaliero?

- Nie wiem - Isabella wzruszyła ramionami. - We Włoszech pewnie jest dość pospolite.

- Rzecz w tym, że ów prawnik najwyraźniej wywiedział się jakoś, że Isabella Buccaliero zmieniła swe nazwisko na Isabella Cavanetti - w skrócie I. Cavanetti. Potem udało mu się wpaść na ślad, odnalazł adres I. Cavanetti w Bostonie i wysłał ten list w przekonaniu, że trafił na panią. Ale - Shawn podeszła bliżej - w rzeczywistości trafił na mnie. To moje I - jak Iona..

Shawn uśmiechnęła się widząc, jak Isabella odwraca się od niej i podchodzi do okna. Poszła w ślad za nią.

- No więc co przeciętny człowiek zrobiłby w takim przypadku? Po prostu wyrzuciłby ten list do śmieci, jako doręczony omyłkowo i do niczego nieprzydatny. Ale ja tak nie zrobiłam, o nie! Więcej - zadałam sobie trochę trudu, żeby sprawę zbadać dokładniej. Po prostu odrobiłam lekcję, droga pani C.

- O? - głos Isabelli miał zabrzmieć szyderczo, ale lekko się załamał.

- Nie przypuszczała pani, że takie dziewczyny jak ja też czasem odrabiają lekcje?

Isabella nie odpowiedziała. Nie odwróciła się też od okna. Shawn wzięła swoją walizkę, ponownie położyła na łóżku i z głośnym trzaśnięciem zamków otworzyła wieko:

- No więc odrabiając tę lekcję dowiedziałam się, droga pani C, że urodziła się pani we Włoszech i jako bardzo młoda osoba wyszła za mąż za tego właśnie Marcello di Leona. Natomiast w wieku lat osiemnastu uciekła pani do Stanów Zjednoczonych ze swoim kochankiem i przez jakiś czas mieszkała w Bostonie. Później przyjechała pani tu do Seattle i wyszła za pana Cavanetti. Zapomniała pani tylko o jednym.

- I o czymże to? - zapytała Isabella, odwracając się ku niej.

- Nie otrzymała pani rozwodu. Isabella popatrzyła na nią z wściekłością.

- Ty mała przybłędo! Myślisz, że ktokolwiek uwierzy w tę twoją głupią, wymyśloną historyjkę? Jesteś po prostu śmieszna!

- Naprawdę jestem? - Shawn sięgnęła po spódniczkę supermini i pokazała ją Isabelli. - No dobrze. Jak pani sądzi, czy to będzie odpowiednie jako strój na to uroczyste spotkanie

śmietanki towarzyskiej w tym waszym Stowarzyszeniu Winiarzy?

- Nie! - Isabella wyrwała jej spódniczkę. - Nie pójdziesz do Stowarzyszenia. I w ogóle nigdzie nie pójdziesz. Co najwyżej na najbliższy dworzec autobusowy!

- Na pewno nie! W każdym razie dopóki mam ten list, który dowodzi, że jest pani bigamistką!

- Ten list niczego nie dowodzi i ty doskonale o tym wiesz!

- No cóż? Ciekawe jednak, co powiedzieliby pani moi przyjaciele z najwyższych sfer, gdybym ich poinformowała, że żyła pani w grzechu z Michaeliem Cavanettim i że pani ukochany synek Frank jest bękartem!

- Ta twoja beznadziejnie nędzna i podła intryga nigdy ci się nie powiedzie, Shawn!

- Taak? No, to niech pani spróbuje, pani C. - Shawn znów wzięła się pod boki. - Spróbuj mnie tylko teraz odesłać, a ja odeślę ten list do „Seattle Times”. I co stanie się wtedy z biednym Frankiem? Będzie to dla niego kompletna ruina, zwłaszcza jeżeli w rezultacie nie dostanie też w spadku tej winnicy św. Benedykta. A za to ten jego braciszek, jak mu tam? - Niccolo! - dostanie wszystko!

- Nie dostanie. Został wydziedziczony.

- Niech pani lepiej to sobie przemyśli, pani C. - Sięgnęła po spódniczkę i bez trudu wyjęła ją z nie stawiających już oporu palców Isabelli. - I proszę pamiętać jedno: jeśli będę traktowana dobrze, ja też będę panią traktować odpowiednio. Jak Kuba Bogu, tak...

- Oszczędź mi kazań, ty wredna suko! - Isabella wybiegła, trzaskając za sobą drzwiami.

Shawn z uśmiechem popatrzyła za nią. Wciąż trzymając w rękach odebraną Isabelli minispódniczkę, chwyciła ją niczym wymaginanego partnera na balu i w tanecznych obrotach przemierzyła cały pokój aż do otwartej szafy.

Wreszcie będzie miała trochę prawdziwej zabawy! A przy okazji pozna tych ludzi z wyższych sfer, tę ich śmietankę towarzyską, o której tyle opowiadał jej Frank. Isabella nie będzie już w stanie temu zapobiec.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Robert Ward był w dość różowym humorze, kiedy Jessie wróciła ze szpitala późnym popołudniem. Przywitał ją w drzwiach, ze szklanką w dłoni.

- Cześć, Jess. - Język cokolwiek mu się plątał. Odpowiedziała na pozdrowienie i odwiesiła płaszcz do szafy. - Czy wiesz, że pan Cavanetti jest w szpitalu? - Wiem. Stary grzyb! Ale jak stary jest tak naprawdę? Ma chyba ze sto lat. - Osiemdziesiąt.

- O Chryste! To znaczy, że ja mam już sześćdziesiąt osiem - znów pociągnął ze szklanki.

- Czy widziałeś kiedyś mnicha w pobliżu naszego domu?

Pokręcił głową.

- Nie, a dlaczego pytasz?

- Och, tylko tak... - Skierowała się do kuchni, a ojciec ruszył w ślad za nią.

- No a co z tą zaległą korespondencją? Zabrałeś się za nią?

- No, znalazłem ją. W każdym razie chyba większość z tego, co przyszło. Ułożyłem to na kuchennym stole.

- Wspaniale - powiedziała i spojrzała na stół. Był wręcz zasypany kopertami, a część z nich leżała też na podłodze. Jessica pochyliła się, żeby je podnieść. Ułożyła je w kilka plików razem z pozostałymi, potem jeszcze ustawiła porządnie krzesła. - Przejrzę to wszystko, ale najpierw zrobię ci uczciwy obiad.

- Nie jestem taki głodny, Jess. Nie musisz mi gotować.

- Musisz jeść, tato. Jesteś wyraźnie wychudzony - powiedziała, otwierając szafkę. - No więc na co miałbyś ochotę?

Zanim zdążył odpowiedzieć, dał się słyszeć dzwonek u drzwi. Jessica popatrzyło surowo na ojca.

- Zostajesz tutaj! - rozkazała kategorycznie i pobiegła do drzwi frontowych. Na progu stała Maria ze sporym rondlem w jednej i parasolem w drugiej ręce.

Jessica poczuła aromat, wydobywający się spod szklanej pokrywy rondla.

- Ach, Mario! A cóż to jest? Pachnie po prostu bosko!

- Twoje ulubione *manicotti*? Robiłam je dziś po południu i przypomniałam sobie, jak bardzo to lubiłaś.

- *Manicotti*? To wprost nie do wiary! A ja właśnie zabierałam się do zrobienia obiadu.

- No więc już go masz.

- Dziękuję ci, Mario. Naprawdę mnie psujesz.

- Muszę już wracać. Dzisiaj pani Cavanetti to kłębek nerwów. Myślę, że to żona Franka tak ją zdenerwowała - rozłożyła parasol, zamierzając wracać.

Jessica spojrzała na ścieżkę, ginącą w zapadającym już zmroku. Pomyślała, że z uwagi na tego blakającego się w okolicy mnicha stara kobieta nie powinna wracać sama.

- Odprowadzę cię, Mario - powiedziała i pobiegła zanieść rondel do kuchni.

- To niepotrzebne, *bambina* - powiedziała Maria. - Nie musisz.

- Ale dzięki temu będziemy mogli porozmawiać, a poza tym przyda mi się łyk świeżego powietrza.

Wyciągnęła z szafy jakiś prochowiec i stary parasol. Zapięła się na parę guzików i ruszyła w deszcz wraz z Marią.

- Powiedziałaś, że Frank tym razem przyjechał z żoną? - spytała. - Nawet nie wiedziałam, że w ogóle się ożenił.

- Większość ludzi też o tym nie wiedziała. Takie było życzenie pani Cavanetti.

- Ale dlaczego?

- Bo Frank ożenił się bez aprobaty matki. Zresztą, sądząc już po samym wyglądzie Shawn, sama też nie pomyślałabym, że Frank zwiąże się z kimś takim.

- Dlaczego? Co to za typ dziewczyny?

- Taka z tych ostrych, chudych i strasznie wymalowanych. Jak te od tych - jak ich nazywają? - punk rockersów. Ufarbowała sobie włosy na czarno z pomarańczowymi pasemkami. . Jessica zachichotała.

- Nic dziwnego, że pani Cavanetti nie jest zachwycona. Maria skinęła głową.

- A sam Frank, czy wygląda na szczęśliwego? - Franco? - Maria rozczapierzyła palce w nieokreślonym geście. - Znasz go przecież, *bambina*.. Odnosi się do żony zupełnie tak samo, jak i do matki. Robi wszystko, co Shawn mu każe. Czasami to nawet myślę, że Franco po prostu jest... Ale dajmy temu pokój, i tak już za dużo gadam. Doszły już do głównej drogi i skręciły w podjazd, prowadzący do rezydencji Cavanettich. Jessica patrzyła pod nogi, starając się omijać co większe kałuże.

- Ten dom bardzo się zmienił od czasu, kiedy tu byłam po raz ostatni - powiedziała.

- Ach, co tu mówić! To nie do uwierzenia, ile pieniędzy pani Cavanetti wciąż ładuje w to wszystko! A przede wszystkim skąd je, u licha, bierze?

- Ja sądziłam, że to winnica przynosi takie duże dochody. Maria potrząsnęła głową.

- Wcale nie takie duże. I powiem ci, Jessico, że pan Cavanetti nigdy nie pozwoliłby na coś takiego, gdyby nie był taki chory. Nigdy! Wszystkie pieniądze idą na dom, podczas gdy winnica niszczy. Ona wynajmuje nielegalnych imigrantów, najtańszą siłą roboczą, jaką

można znaleźć. Widziałam nieraz, jak włóczą się po winnicy, deptając wszystko, nie dbając w ogóle o usuwanie starej łozy. A sypialnie, w których śpią, wyglądają potem jak chlew! Ale ona tak jakby tego nie widziała. W ogóle jej to nie obchodzi! Najważniejszy jest jej „historyczny” dom, jej przyjaciele i podróżowanie po Europie.

- Pani Cavanetti pojechała do Europy?

- Tak, ostatniego lata, razem z Franco.

- Mimo że pan Cavanetti był chory?

- Oczywiście. Wynajęła pielęgniarkę, żeby się nim opiekowała - Maria skrzyła w stronę kuchennego wejścia do domu. - Mówię ci, *bambina*, to się źle skończy. Boję się tego, naprawdę!

- Może Cole będzie mógł pomóc. Maria położyła dłoń na klamce.

- Może.

- Isabella wspomniała mi, że Cole popadł w jakieś poważne kłopoty, że ma mieć sądową sprawę, chyba w Filadelfii. Mówiła ci o tym?

- *Si*. - Spojrzenie starej kobiety stwardniało. - Ale powiedziałam jej, że nie wierzę, żeby Niccolo mógł zrobić coś takiego. Wtedy pokazała mi jakąś gazetę, gdzie było jego zdjęcie i wszystko. Ale ja i tak nie potrafię w to uwierzyć.

- Może więc ona kłamie?

- Pewnie tak. Tylko po co miałyby kłamać akurat o tym?

- Powiem ci, Mario, że ludzie bywają dziwni. I robią dziwne rzeczy.

- Chyba tak. - Maria w końcu przekreśliła klamkę i otworzyła drzwi. - Wejdiesz może i napijesz się kawy?

- Nie, dziękuję. Muszę przecież biec do ojca. No i do twoich pysznych *manicotti*!

Maria zamknęła parasolkę, a potem spojrzała na Jessikę.

- No cóż, pamiętaj, że zawsze cię tu oczekuję, *bambina*. Nie omijaj mnie przy żadnej okazji. Bardzo brakowało mi ciebie w tej mojej kuchni przez ostatnie lata.

Jessica uścisnęła Marię i już miała odejść, kiedy jeszcze sobie coś przypomniała.

- Posłuchaj, czy zdarzało ci się kiedykolwiek widzieć mnicha, kręcącego się tu po okolicy?

- Nie. A dlaczego pytasz?

- Bo wczoraj koło północy widziałam jakiegoś mnicha koło naszego domu. A dziś w szpitalu stary pan Cavanetti też powiedział o mnichu. To znaczy - wymówił wyraźnie tylko to jedno słowo: mnich.

Maria spojrzała na nią uważnie.

- Może pan Cavanetti po prostu przypomniał sobie pomysł kampanii reklamowej, którą kiedyś chciał rozwinąć? Dawniej dużo o tym myślał.

- A co to miała być za kampania?

- Och, w gruncie rzeczy wciąż to samo - tajemna recepta rieslinga Św. Benedykta, strzeżona od wieków przez mnicha. Ale teraz liczą się już tylko reklamy w telewizji. Powinnaś je kiedyś obejrzeć, bo są naprawdę zabawne.

- Zabawne?

- W tej reklamie jest taki gruby zakonnik, robiący się na waźniaka, który po prostu nie może się powstrzymać, żeby co chwila nie wpaść do tej piwnicy z winem. Za każdym razem kiedy to widzę, zaczynam się śmiać.

We wnętrzu trzasnęły jakieś drzwi i dał się słyszeć głos Isabelli:

- Mario! Gdzie się podziewasz?

- Muszę bieć - powiedziała Maria, zdejmując z szyi szalik. - Dobranoc.

- Dobranoc, Mario. I dziękuję za obiad.

Jessica podniosła kołnierz płaszcza i ruszyła z powrotem do domu. Kiedy obok niej nie było już Marii, od razu zrobiło się ciemniej i zimniej. Zmarzniętymi palcami ścisnęła rączkę parasola, a idąc wzdłuż żywopłotu co chwilę rzuciła niespokojne spojrzenia w stronę majaczących w mroku krzaków, na wpół spodziewając się, że za chwilę zobaczy postać w kapturze. Ale nic takiego się nie pojawiło.

Doszła już do jezdni, a potem skręciła na podjazd prowadzący do domu. Dzięki Bogu, zostawiła zapaloną latarnię nad schodami ganku. Ruszyła w stronę zbawczego kręgu światła jeszcze szybszym krokiem.

Była już blisko, gdy nagle jej stopa obsunęła się na mokrym kamieniu. Omal się nie przewróciła, wrzasnęła „Auu!” i utykając zrobiła jeszcze parę kroków. To pewnie staw skokowy. Kostka mocno ją bolała. Pochyliła się, żeby ją trochę rozmasować, przeklinając przy okazji zbyt śliskie podeszwy pantofli.

Wreszcie wyprostowała się i nagle zamarła. Dosłownie zabrakło jej tchu.

Ledwie o sześć, siedem metrów od niej stała znajoma postać w kapturze. Jessica nagle poczuła, że na całym ciele ma gęsią skórę, że nie jest w stanie krzyknąć ani nawet się ruszyć. Wciąż trzymając nad głową przechyloną pod dziwnym kątem parasolkę, wpatrywała się bez słowa w stojącego przed nią mnicha.

Ten też stał w miejscu, nie próbując zbliżyć się do niej. Poruszały się czasem tylko niektóre fałdy jego habitu i rękawów, podwiewanych przez wiatr. Był wysokim mężczyzną, musiał mierzyć co najmniej metr osiemdziesiąt. Jego twarzy wciąż nie można było dostrzec,

nikła w cieniu kaptura.

- Kim jesteś? - spytała w końcu. Mnich milczał.

- Czego chcesz ode mnie?

Mnich nadal nie odpowiadał.

- Jeżeli chodzi o tamto zdarzenie na drodze, to już wtedy chciałam przeprosić. Po prostu nie zauważyłam na czas!

Zrobiła krok w stronę domu. Mnich nie rzucił się za nią, nadal po prostu stał i patrzył. To dodało jej odwagi, zrobiła kilka następnych kroków. Nieco bokiem, utykając przez cały czas, zbliżyła się do schodów prowadzących na ganek. Pokonała je z trudem, ani na moment nie spuszczając oczu z wciąż nieruchomej postaci. W końcu chwyciła klamkę i wpadła do środka.

- Tato! - krzyknęła rozpaczliwie.

Ojciec nie odpowiedział. Jessica pośpiesznie zamknęła drzwi na klucz i usiłowała dodatkowo założyć łańcuch. Zmarznięte palce tak się trzęsły, że dwukrotnie nie potrafiła włożyć końcówki w otwór grubej mosiężnej blachy.

- Tato! - krzyknęła ponownie. Odpowiedzią znów była cisza.

Utykając ruszyła korytarzem, wciąż krańcowo przerażona tym, co przed chwilą zobaczyła.

- Tato, gdzie jesteś?

Odnalazła go śpiącego w tym samym głębokim fotelu. Zawahała się przez moment, a potem siadła przy nim, wprost na podłodze, opierając się plecami o boczną ścianę fotela i podciągając objęte rękami kolana aż pod brodę. Usiłowała jakoś opanować drżenie, które wstrząsało jej całym ciałem.

- Tato - szepnęła prawie bezgłośnie. - Tato, on tam jest!

Gdyby nawet krzyczała, i tak nic by to nie pomogło. Ojciec był znowu pijany do nieprzytomności.

Następnego ranka Jessica odwiedziła Isabellę, żeby zapytać, czy coś wie o jakimś mnichu. Jednak Isabella była pewna, że nikt nigdy nie był wynajmowany do reklamowania winnicy w przebraniu mnicha, a ona sama również nigdy nie dostrzegła takiej postaci na terenie swojej posiadłości.

Tak więc okazywało się, że mnicha widziała tylko ona i nikt poza nią. Wydawało się to naprawdę dziwne. Rzekomy mnich musiał zatem być jakimś niezrównoważonym osobnikiem - na przykład szukającym odwetu za incydent, podczas którego omal go nie przejechała. Albo nawet mógł być tym zbiegłym z więzienia zabójcą, o którym czytała w

lokalnej gazecie.

Po rozmowie z Isabellą zdecydowała się zadzwonić na policję. Podała dokładny opis owego „kręcącego się w pobliżu domu osobnika” - takim terminem określiła go policja - i przyjęła obietnicę, że zmotoryzowany patrol pojawi się w odpowiednim czasie i rozejrzy się w terenie wokół jej domu. Jessica odwiesiła słuchawkę, nie czując, by ta obietnica specjalnie dodała jej ducha.

Niemal natychmiast po odłożeniu słuchawki telefon znów się odezwał. Dzwoniła Isabellą z dość szczególną prośbą. Otóż, jak się okazało, jej synowa Shawn nie przywiozła ze sobą niczego odpowiedniego na tę uroczystą imprezę w Stowarzyszeniu Winiarzy. Isabellą akurat miała migrenę i nie mogła zawieźć synowej do odpowiednich sklepów, a sama Shawn w ogóle nie знаła miasta. Czy Jessica byłaby tak miła i zechciała, może jeszcze przed południem, pojechać z nią i pomóc jej kupić coś odpowiedniego?

Jessica zgodziła się, choć nie za bardzo cieszyła ją perspektywa chodzenia po sklepach z żoną Franka. Nie wierzyła w tę migrenę Isabelli, która najpewniej po prostu nie miała ochoty towarzyszyć swojej synowej, a może nawet - jeśli podany przez Marię opis Shawn był wierny - w ogóle nie chciała z kimś takim pokazywać się publicznie.

Kiedy w pół godziny później podjechała pod sąsiedni dom i zobaczyła schodzącą po schodach Shawn, już wiedziała, że oba jej domysły były trafne.

Shawn miała na sobie czarną minispódniczkę, jakieś obcisłe legginsy z czarnej koronki i koszmarne kanciaste kamasze, nad którymi jarzyły się gryzącym fioletem damskie skarpetki, zwinięte w obwarzanki na wysokości kostek. Czarno - pomarańczowe włosy ściągnęła na jedną stronę i związała wstążką w purpurową i czarną kratkę. Ogromne srebrne kolczyki w kształcie krucyfików huśtały się tuż nad kołnierzem okropnego sztucznego futra. Jessica starała się nie spoglądać na nią, kiedy ta zbliżała się do samochodu.

- Sie ma! - powiedziała Shawn i klapnęła na fotel z prawej strony.

- Dzień dobry, jestem Jessica Ward - odpowiedziała, wyciągając rękę na powitanie. - Miło mi cię poznać.

Shawn potrząsnęła jej dłonią i lustrującym spojrzeniem obrzuciła twarz i strój Jessiki, która jak zwykle ubrała się raczej dyskretnie i powściągliwie - w skromny pulower i długą czarną spódnicę.

- Podobno znasz Cavanettich od bardzo dawna?

- Tak. - Jessica objechała kolisty podjazd i skręciła ku głównej drodze. - Właściwie od dzieciństwa.

- Ale założyłem się, że o mnie dotąd nie wiedziałas, prawda?

- Rzeczywiście - Jessica spojrzała na nią. - Jak długo ty i Frank jesteście małżeństwem?

- Prawie dwa lata.

- Dwa lata? - Jessica uniosła brew. - To dziwne, że pani Cavanetti nigdy nawet nie wspomniała, że Frank jest żonaty.

- Bo ona mnie nienawidzi. Nie chciała, żebyśmy się pobrali.

- No cóż, Isabella ma w sobie coś z zionącego siarką smoka - przyznała Jessica. - Ale wkrótce się do niej przyzwyczaisz.

Podczas jazdy do miasta całą uwagę poświęciła kierowaniu, toteż rozmawiały raczej niewiele, aż do momentu, gdy dojechały do jednego z pawilonów z butikami, w samym centrum. W miarę zbliżania się do śródmieścia Shawn coraz częściej wykręcała głowę, starając się obejrzeć co bardziej znane miejsca, budowle i konstrukcje użyteczności publicznej - przystań promową, słynną iglicę Space Needle, rynek zwany Pike Place Market, a potem jeszcze Pioneer Square. Z twarzy Shawn gdzieś znikł wyraz stałego znudzenia, co Jessica obserwowała z dyskretnym uśmiechem.

Weszły do jednego z butików, w których Jessica spodziewała się znaleźć coś, co byłoby odpowiednio wytworne na to wieczorne przyjęcie, a jednocześnie wystarczająco zbuntowane przeciw konserwatywnym regułom, by zadowolić Shawn. Zdawała sobie sprawę, że jej zadanie to coś takiego jak próba połączenia ognia z wodą - miała pomóc wyszukać suknię, która podobałaby się jednocześnie i Isabelli, i jej synowej.

Staroświecki dzwonek nad drzwiami zabrzączał, kiedy weszły do środka. Jessica szła z tyłu za Shawn i spostrzegła, że wszyscy sprzedawcy i w ogóle cały personel natychmiast zwrócili baczną uwagę na pojawienie się młodej osoby z czarnymi i pomarańczowymi włosami. Udając, że są zajęci poprawianiem ekspozycji albo porządkowaniem wyłożonego towaru, przez cały czas ukradkiem śledzili Shawn przeglądającą to, co było na wieszakach i ladach. Jessica nagle poczuła, że ją to gniewa. Czy ci ludzie myśleli, że Shawn weszła tu po to, żeby coś ukraść?

Żaden z ekspedientów nie podszedł, żeby pomóc Shawn w wyborze. Zapewne uznali, że nic z tego, co mieli w ofercie, nie spodoba się jej - a już z całą pewnością nic z tego, co ona miała na sobie, nie spodobało się im. Jessica odczekała jeszcze parę chwil, żeby sprawdzić, czy ktoś w ogóle podejdzie do nich i zapyta, w czym mógłby pomóc. Zauważyła, że do kilku następnych klientek, które pojawiły się po nich, natychmiast podbiegał ktoś z personelu. Prowokująco ubranej Shawn najwyraźniej nikt w ogóle nie zamierzał obsłużyć.

Shawn wzięła jakieś okulary słoneczne, włożyła je i obróciła się do Jessiki z

zartobliwie pytającym grymasem. Potem pozostawiła je na nosie, nie dbając o zwisającą tuż obok jej ucha przywieszkę z ceną, i skierowała się w stronę długiego rzędu wieszaków z ręcznie dzierganymi swetrami. W tej samej chwili jeden z ekspedientów stanął na jej drodze.

- Jeśli nie zamierza pani tego kupić, proszę zostawić okulary na miejscu i nie nosić ich po sklepie.

Shawn zsunęła okulary na czubek nosa i spojrzała na ekspedienta ponad oprawką.

- Co takiego?

- Jeśli pani nie kupuje okularów, proszę je zostawić tam, skąd je pani wzięła.

Jessica nagle poczuła narastającą w niej falę gniewu. Podeszła do ekspedienta.

- Co panu pozwala przypuszczać, że ona nie zamierza kupić tych okularów?

Ekspedient obrócił się w stronę Jessiki, najwyraźniej zaskoczony, że ktoś tak normalnie ubrany towarzyszy tej podejrzanego punkówie.

- No cóż, ja... ja po prostu przypuszczałem.

- Przypuszczał pan co?

- Że ta pani tylko oglądała.

- Przed chwilą oglądała! - Jessica ujęła Shawn pod ramię.

A teraz kupi. Tyle że już nie u was, tylko w sąsiednim sklepie! - Wyciągnęła rękę po okulary, a Shawn podała je bez słowa protestu. Jessica złożyła je starannie i włożyła do kieszonki służbowej koszuli ekspedienta, który nagle pobladł i zupełnie stracił rezon.

- No więc zrobił pan swoje, panie... - spojrzała na plastikową plakietkę z nazwiskiem ekspedienta - panie Loren. Towar jest już bezpieczny i z pewnością nikt go nie ukradnie.

Odwróciła się i wyszła ze sklepu, pociągając za sobą Shawn. Każda forma nietolerancji i bigoterii oburzała ją od najwcześniejszych lat, kiedy to jako mała dziewczynka musiała słuchać pogardliwych wypowiedzi na temat tej brudnej włoskiej rodziny Cavanettich. Wychodząc ze sklepu jeszcze trzasnęła za sobą drzwiami na znak protestu.

- Bardzo dobrze, Jessico! - zawołała Shawn, wznosząc zaciśniętą pięść w geście zwycięstwa. - Tak właśnie trzeba!

Jessica zmarszczyła brwi, nie całkiem pewna, czy rzeczywiście szukała aprobaty akurat takiej osoby jak Shawn.

- Byłaś naprawdę bombowa! - mówiła dalej Shawn. - Pokazałaś mu, gdzie może to sobie wetknąć! I o to chodzi!

Od tego momentu nastawienie Shawn do niej najwyraźniej się zmieniło i Jessica mogła chyba nawet liczyć na jakąś chęć dogadania się. W następnym sklepie uważnie przepatrywała wywieszane na niezliczonych wieszakach stroje, usiłując wypatrzeć coś

odpowiedniego. Nie trudno było zauważyć, że Shawn uwielbiała czerń. Z równą pewnością można było przyjąć, że zawsze musiało też być coś szokującego w tym, co decydowała się włożyć na siebie. Ostatecznie Jessica zasugerowała coś, co Shawn przyjęła wręcz entuzjastycznie.

Wyszły ze sklepu z rzeczywiście efektowną czarną suknią z atłasu z mnóstwem cekinów i koronek, z olbrzymimi poduszkami, poszerzającymi ramiona, i z parą stylowych pończoch naśladowujących te sprzed kilkudziesięciu lat, z czarnym szwem z tyłu. W ten sposób Shawn mogła wystąpić na przyjęciu w stroju prawdziwej gwiazdy filmowej z lat czterdziestych - nie zapomniały nawet o odpowiedniej, niesłychanie długiej cygarnicze. Shawn była tak rozemocjonowana, że chciała się wystroić w to wszystko natychmiast, nie czekając na wieczór. Wymusiła też na Jessice przyrzeczenie, że pomoże jej w odpowiednim „zrobieniu” włosów.

Jessica wysadziła ją przed marmurowymi schodami domu Cavanettich. Shawn wbiegła na górę do drzwi wejściowych, obróciła się jeszcze i rozpromieniona pomachała ręką na pożegnanie. Jessica też się uśmiechnęła, choć był w tym i odcień melancholii. Mimo wszystko była trochę zaskoczona tym, że już prawie - a przynajmniej pół na pół - polubiła tę dziwną osóbkę, i teraz z życzliwym zaciekawieniem czekała na wrażenie, jakie młoda pani Cavanetti zrobi na tym uroczystym przyjęciu. W ogóle wieczór zapowiadał się znacznie bardziej interesująco, niż można by się było spodziewać.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Resztę popołudnia Jessica spędziła przekopując się przez stos zaległej korespondencji, podczas gdy jej ojciec najspokojniej czytał gazetę. Już wkrótce odnalazła list, wysłany przez prawnika jej ojca, Wesa Haleya. Wyjęła z koperty załączony dokument i przeczytała go. Dotyczył on umowy dzierżawy ziemi, którą zawarły rodziny Cavanettich i Wardów kilkadziesiąt lat temu. Ważność umowy kończyła się w pierwszy dzień świąt, dwudziestego piątego grudnia tego roku. Jessica jeszcze raz bardzo uważnie przeczytała tekst umowy. Jej ważność można było przedłużyć, była w niej też klauzula, dająca Cavanettim prawo pierwokupu, gdyby teren winnicy miał zostać sprzedany. Położyła dokument do kartonowego pudełka z napisem „Do załatwienia”. Już sama myśl o sprzedaży resztki posiadłości Wardów bardzo się jej nie podobała, ale nie widziała innego sposobu na natychmiastowe rozwiązanie finansowych problemów ojca. Nie miał już żadnych dochodów, a ona sama otrzymywała tylko skromne wynagrodzenie na stanowisku zastępcy profesora. Właściwie wszystko, co posiadali, łącznie z wielkim rodzinnym domem, sprzedali już wiele lat temu. W dodatku było coraz bardziej oczywiste, że jej ojciec nie będzie mógł się obejść bez kolejnej bardzo kosztownej kuracji i równie kosztownej stałej opieki - jeżeli nie przestanie pić, i to natychmiast. Po południu zjedli we dwoje nieco wcześniejszy obiad - choć, prawdę mówiąc, ojciec ledwie go tknął. Potem Jessica wykapała się i zaczęła się szykować na wieczór, który miała spędzić na uroczystym przyjęciu Stowarzyszenia Winiarzy. Wybrała suknię o prostym kroju tuniki z jedwabiu w odcieniu ciemnego nefrytu, wyrzuconą na zharmonizowane z tą tuniką obcisłe spodnie, podkreślające smukłość jej długich i zgrabnych nóg. Kolor góry był prawie czarny, co szczególnie pięknie podkreślało dyskretny blask naszyjnika z turmalinów, który obejmował jej szyję. Stopy wsunęła w czarne pantofelki na wysokich obcasach i mogła już obejrzeć się w lustrze.

Dość często zdarzało się jej żałować, że nie jest drobniejsza, choćby taka, jak była jej matka. Ciotka Edna nieraz mówiła, że jej matka wygląda jak gazela albo tańcząca na scenie królowa elfów. Dlaczego ona, Jessica, nie odziedziczyła choćby części tej zwiewności i lekkości? Na tych obcasach będzie pewnie równa wzrostem albo i wyższa od większości mężczyzn na tym spotkaniu.

Wytarła ręcznikiem i rozczesała chmurę czarnych jak heban włosów, potem jeszcze przejechała palcami po co bardziej wijących się lokach. Były już niemal suche. Doskonale. Gdyby próbowała zrobić to suszarką, skończyłoby się na tym, że wyglądałyby bardziej na zmierzwione niż uczesane.

Poszła do łazienki, żeby się umalować, i ze zdziwieniem zdała sobie sprawę, że coś tam nuci pod nosem. Z przyjemnością myślała o tym, że już wkrótce pojedzie na to przyjęcie i - nie ma co ukrywać - przynajmniej przez jakiś czas będzie daleko od ojca, a także od tego włóczącego się mnicha. Przed godziną pojawił się wóz z zapowiedzianym patrolem, ale policjanci nie znaleźli żadnych śladów intruza. Zresztą tego się właśnie spodziewała, choć sama nie umiałaby powiedzieć dlaczego.

Pochyliła się w stronę lustra, żeby nałożyć tusz na rzęsy, a potem podkład i odrobinę różu na policzki. Na zakończenie przejechała ciemnoczerwoną szminką po wargach. Lubiła jej kontrast ze swą jasną, mlecznobiałą cerą.

Ojciec nadal spał w fotelu przed telewizorem. Jessica bezgłośnie powiedziała mu „Dobranoc!”, chwyciła torebkę i pobiegła do domu Cavanettich, żeby dotrzymać obietnicy, że przed wyjazdem pomoże Shawn w uczesaniu.

Pojechali Mercedesem, z Frankiem za kierownicą. Isabella ostatecznie zdecydowała się zostać w domu. Nadal dokuczała jej migrena, toteż postanowiła wcześniej położyć się do łóżka. Jessica czuła się nawet odrobinę rozczarowana, że pani Cavanetti nie widziała swej synowej w nowej kreacji, bo Shawn wyglądała doprawdy oszałamiająco. Nawet Frank patrzył z jawnym podziwem i wręcz zdumieniem, kiedy jego żona niczym filmowa gwiazda schodziła po marmurowych schodach. Shawn czuła się jeszcze odrobinę niepewnie w stylowych pantofelkach na morderczo wysokich obcasach, ale Jessica nie wątpiła, że to kwestia najwyżej paru minut praktyki. Później już swobodnie będzie mogła tańczyć.

Przyjęcie było wydawane w winnicy Woodinville, o jakieś pół godziny jazdy samochodem od domu Cavanettich. Jessica siedziała na tylnej kanapie Mercedesa, po przekątnej w stosunku do Franka i podczas drogi mimo woli raz po raz mogła widzieć jego profil, tak podobny do profilu Cole'a i jednocześnie tak bardzo odmienny. Bracia mieli ten sam odcień skóry i podobny kształt nosa i podbródka, ale rysy Franka wydawały się bardziej miękkie i jakby zaokrąglone w porównaniu z ostrymi rysami Cole'a. Frank był też niższy i nie tak wspaniale zbudowany. Był o dziesięć lat młodszy, miał dopiero dwadzieścia pięć lat i właśnie kończył studia prawnicze na uniwersytecie Harvarda.

Został też wychowany w zupełnie innym środowisku niż Cole. Nie zdążył zaznać niedostatku, nie umarła mu matka we wczesnym : dzieciństwie i nigdy nie spróbował ciężkiej pracy w winnicy w roli zwykłego robotnika. Isabella posyłała go do najbardziej renomowanych prywatnych szkół, dbając o to, żeby już od najwcześniejszych lat zawierał przyjaźnie, które później miały mu pomóc w karierze. Jessica słyszała, że Frank świetnie gra w tenisa, ale i tak nie wyglądał na sportowca. Wydawał się jednak otwarty i przyjacielski, i z

pewnością miał dobre maniere. Jessica pomyślała, że jego koleżanki z uczelni pewnie uważały go za bardzo atrakcyjnego chłopaka. Ją samą jednak coś w tej jego uprzejmości i wdzięku stale uwierało. Czasami miała wrażenie, że Frank sam nie wierzy w te wszystkie miłe rzeczy, które tak gładko mówi innym.

Frank otworzył drzwi żonie i pomógł jej wysiąść z wozu. Jessica wysiadła sama i ruszyła w ślad za nimi w stronę domu rodziny Nelsonów, który przylegał do winnicy. Rezydencja utrzymana w stylu farmy z czasów królowej Wiktorii jarzyła się od świateł. Zielone girlandy z gałęzi sosny i jodły obramowywały główne wejście, za którym można było w głębi dostrzec ogromną choinkę, ustawioną we wnęce ozdobnego wykuszowego okna. Ze środka dobiegała muzyka i rozbawione głosy zebranych już gości. To wszystko rzeczywiście było bardzo bliskie temu, co Jessica uważała za wzorzec domu podczas zimowych świąt, a cała jego atmosfera wróżyła bardzo przyjemny wieczór. Tak w każdym razie pomyślała, wchodząc tam w ślad za Frankiem i Shawn.

U progu powitała ich pani Nelson. Dobrze znała zarówno Franka, jak i Jessikę, toteż z obojgiem zamieniła kilka uprzejmych zdań. Potem musiała odejść, żeby przywitać następnych gości.

Jessica stanęła z boku, zerknęła na Shawn i uśmiechnęła się. Shawn wyglądała po prostu wspaniale. Stylowy kapelusz i welonik bez reszty skryły pomarańczowe pasma w jej włosach, a styl kreacji dodawał odrobinę potrzebnej powagi tej wyzywająco młodej buzi. Czarna atłasowa suknia wspaniale podkreślała zgrabną sylwetkę i biust, odsłonięty w odważnym dekolcie. Nic dziwnego, że dziewczyna z taką urodą zafascynowała Franka i że ostatecznie się z nią ożenił.

- Byłaś już kiedykolwiek na tego rodzaju degustacji win? - zapytała swą młodą towarzyszkę, gdy Frank oddalił się na chwilę, by do zaimprovizowanej szatni odnieść ich balowe szale.

- Nie - odpowiedziała Shawn. Przyglądała się otaczającym ich osobistościom i nawet nie spojrzała na Jessikę. - Ja piję głównie piwo. No i coś mocniejszego, od czasu do czasu. Ale pić wino? Przecież to dno!

Mówiąc to, nie przestawała przypatrywać się kolejnym pojawiającym się gościom, aż Jessica zaczęła się zastanawiać, czy Shawn wypatruje kogoś konkretnego. Nie zdążyła jednak o to zapytać, bo Frank właśnie wrócił.

- Czy może mógłbym coś paniom przynieść? - zapytał.

- Tak, ale spróbuj nas czymś zaskoczyć, skarbie! - odpowiedziała Shawn. Dotknęła czubka jego nosa końcem swej długiej cygarniczki - szczęściem miała dość rozumu, żeby nie

zapalać papierosa w tak zatłoczonym pomieszczeniu. Frank bez słowa odsunął na bok cygarniczkę.

Nagle Jessica poczuła, że ktoś ją mocno obejmuje od tyłu. Niewiele brakowało, by krzyknęła z przerażenia.

- A ty, skarbie, na co miałabyś ochotę? - Głos był roześmiany i jakby znajomy.

Obróciła się na pięcie.

- Greg! - wykrzyknęła, wciąż pozostając w obejmujących ją ramionach.

- Jessica! O, ho, ho! - Greg obejrzał ją od stóp do głów, najwyraźniej zachwycony zarówno jej wyglądem, jak i tym, że udało mu się ją przestraszyć. - Wyglądasz lepiej niż milion dolarów! - pozwolił jej odsunąć się, ale tylko na krok. - A co zrobiłaś z włosami, że prawie ci się nie kręca?

- Wyprasowałam żelazkiem.

- Imponujące!

Chciała się odsunąć jeszcze trochę, ale Greg nadal nie zamierzał jej puścić. Wciąż ten sam niebieskooki Greg Kessler... ale to raczej jego należałoby zapytać, co zrobił ze swoimi włosami. Ubyło ich bardzo dużo od czasu, kiedy widzieli się ostatni raz. Żeby to zrekompensować, zapuścił brodę i wąsy. Nie dało się też ukryć, że sporo przybyło mu w pasie.

- Jess, tak długo się nie widzieliśmy! - pocałował ją w policzek, a Jessica z kolei klepnęła go po plecach. Prawie jak za dawnych czasów.

Kiedyś przez parę miesięcy sądziła nawet, że jest w nim zakochana, nie zdając sobie sprawy, że brało się to raczej z rozbudzonych hormonów niż z serca. To właśnie on - już praktycznie - nauczył ją zakładania krążka antykoncepcyjnego. Studiowali na tej samej uczelni i byli ze sobą prawie dwa lata, ale potem się to jakoś rozplynęło i skończyło ostatecznie, gdy Jessica wyjechała na dalsze studia do Kalifornii. Ani wtedy, ani nigdy później nie miała poczucia, że coś straciła.

- Przyjechałaś tu, żeby odwiedzić ojca? - zapytał, prowadząc ją w kierunku stołu, na którym ustawiony był długi szereg różnych butelek i karafek.

- Tak. A ty co teraz porabiasz, Greg?

- No cóż, najogólniej można by powiedzieć, że znalazłem się w odpowiednim czasie w odpowiednim miejscu - jeśli wiesz, co mam na myśli. - Sięgnął po butelkę Merlot i nalał spory kieliszek. Kiedy chciał nalać drugi, Jessica dotknęła jego ramienia.

- Dla mnie nie, dziękuję.

- Co takiego?! Więc ty nadal nie pijesz? - odstawił butelkę. - To po prostu nie do

uwierzenia!

- Jakoś nigdy nie potrafiłam w tym zasmakować. - Jessica uśmiechnęła się. Oczywiście za nic nie przyznałaby się, że tak naprawdę picie czegokolwiek po prostu ją przerażało. Obawiała się, że gdyby tylko łyknęła parę kieliszków, mogłaby popaść w alkoholizm tak jak jej ojciec.

Greg tymczasem sączył wino.

- Wcale niezłe - powiedział.

- No więc co teraz robisz, Greg?

- No cóż, jak może wiesz, po śmierci ojca odziedziczyłem sporą posiadłość. Potem ją sprzedałem i kupiłem większy teren niedaleko waszego letniego domu.

- Chcesz powiedzieć, że kupiłeś ziemię tu, na Moss Cliff?

- I to bardzo blisko. Za rzeką, z którą graniczy winnica św. Benedykta, jest takie wzgórze, pamiętasz? No więc to ja jestem jego właścicielem - Greg uśmiechnął się z satysfakcją i znów podniósł do ust kieliszek z winem.

- Podejrzewam, że wartość tych terenów ogromnie wzrosła w ciągu ostatnich lat?

- Jeszcze jak! - pociągnął kolejny łyk i pochylił się ku niej, aż Jessica poczuła zapach alkoholu. - To będzie interes stulecia, mówię ci, Jess! Podzielę to na działki i odsprzedam firmie, która zbuduje na nich osiedle luksusowych domów dla ludzi naprawdę bogatych. Zdajesz sobie sprawę, ile każdy z nich zapłaci za kilkusetmetrowy dom z ogrodem i takim widokiem na winnicę i rzekę?

Jessica pytająco uniosła brew.

- Bardzo dużo! Tylko tyle ci powiem. - Greg znów się uśmiechnął. - Bardzo dużo i jeszcze więcej. To szalony biznes! Przez chwilę jeszcze rozmawiali o dawnych czasach, a potem Greg poprosił ją do tańca. Jessica początkowo czuła się odrobinę speszona, ponieważ na obcasach była nieco wyższa od niego. Jednak Greg najwyraźniej w ogóle tego nie zauważył, co można było pewnie przypisać także i oddziaływaniu dobrego wina.

Po paru tańcach wrócili, żeby się czegoś napić. Jessica usłyszała, Jak w głębi hallu ktoś zawołał: - Hej, popatrzcie no, jest Cole Nichols!

Obróciła się i zobaczyła Cole'a, który właśnie wchodził pod rękę z Lucy Girard. Jessica uważnie przyjrzała się Lucy, która była raczej niska i dość mocno zbudowana, czego nie mógł ukryć czarny kostiumik z lamowaną złotem stójką zamiast kołnierza. Nie było to w złym guście, ale obok kogoś takiego jak Cole Lucy wcale nie wyglądała olśniewająco, czy choćby elegancko. Raczej sprawiała wrażenie kogoś bardzo przeciętnego, co mocno zdziwiło Jessikę. Dotąd skłonna była przypuszczać, że Cole gustuje raczej w kobietach dużo bardziej

efektywnych. Ale Lucy miała miłe oczy i sympatyczną buzię, co - dość paradoksalnie - w jakiś sposób dodało ducha także i Jessice. Może zatem Cole szukał czegoś więcej, a nie tylko zewnętrznej urody?

- Cole Nichols! - wykrzyknął niski mężczyzna, stojący obok nich przy stole. - A cóż on tu robi?!

- Cole Nichols?! - powtórzył Greg. Najwyraźniej to nazwisko zrobiło na nim wrażenie.

- Czy to znaczy, że wiesz, kto to jest? - spytała Jessica. Ciekawiło ją teraz, czy Greg sam rozpozna w nim chłopaka, którego przecież musiał widywać w szkolnych czasach.

- No pewnie, że wiem! - wykrzyknął Greg. - To najlepszy *quarterback* od czasów Joe Namatha!

W tym momencie Cole dostrzegł Jessikę i pochylił głowę w ukłonie. Odpowiedziała uśmiechem.

- Więc ty go znasz?! - Greg patrzył na nią okrągłymi ze zdumienia oczami. - O rany! Przedstaw mnie, można cię prosić?

Jessica nie potrafiła oprzeć się pokusie zażartowania sobie z Grega. Wzięła go pod ramię.

- Oczywiście! Chodźmy. - Ruszyła przodem, przeciskając się przez spory tłumek, który zebrał się wokół Cole'a. Ten był o głowę wyższy od wszystkich, którzy go otaczali, natomiast niska Lucy została nagle całkowicie zasłonięta.

Prawie wszyscy mężczyźni - a także co odważniejsze kobiety - zasypywali Cole'a pytaniami, głównie o najbliższy mecz i przede wszystkim o to, czy jest już zdrowy i wróci na boisko. Jessica obróciła się do Grega.

- Czy Cole doznał jakiegoś urazu?

- A ty w ogóle o tym nie słyszałaś? - zdziwił się Greg, przepychając się do środka kręgu. - Już dwa razy zniesiono go z boiska. Stracił przytomność, choć nikt się nawet z nim nie zderzył - tak zupełnie bez przyczyny. Niektórzy mówili, że nagle zabrakło mu ducha walki. W każdym razie trener skreślił go ze składu na sobotni mecz. I na niedzielny również.

Jessica patrzyła na Cole'a, który tymczasem - rozluźniony, uśmiechnięty i najwyraźniej pełen sił - cierpliwie odpowiadał na padające ze wszystkich stron pytania, usiłując jednocześnie jakoś przedostać się z hallu do głównego salonu. Nie wyglądał na chorego, przeciwnie - zdawał się tryskać zdrowiem. Nie włożył okularów, jego twarz opalona była na ciemnozłoty kolor, a czarne oczy iskrzyły się humorem i temperamentem.

- Greg, czy chciałeś przez to powiedzieć, że podczas gry nagle ni stąd, ni zowąd upadł

na boisko nieprzytomny?

- Tak. W tym momencie piłka nawet nie była w grze. I nagle - bums! Padł do tyłu jak podpiłowana sosna.

Cole ostatecznie jakoś przedostał się do Jessiki, z przepraszającym uśmiechem odsuwając na bok otaczających go wielbicieli. Gdy wreszcie wyrwał się z ich kręgu, w jego oczach, mimo wszystko przebijało znużenie.

- Oni są jeszcze gorsi od dziennikarzy! - powiedział, stając przy stole obok Jessiki i Grega.

- Czy tak jest wszędzie? - spytała Jessica.

- No pewnie! - włączyła się energicznie Lucy. - Gdziekolwiek się pojawi - w restauracji, w szpitalu, na postoju taksówek! Podejrzewam, że tak samo jest nawet tam, gdzie na drzwiach jest napisane „Dla panów”!

Cole zachichotał i kiwnął głową.

- To jest Lucy Girard, terapeutka, która zajmuje się moim zdrowiem. i Lucy wyciągnęła rękę.

- Cześć! - powiedziała, energicznie potrząsając dłonią Jessiki i patrząc przy tym prosto w oczy. Jessica ze zdziwieniem stwierdziła, że jej wcześniejsze instynktowne uprzedzenie do tej kobiety gdzieś przepadło i że właściwie mogłaby ją polubić od pierwszej chwili.

- Ty pewnie jesteś Jessica Ward - powiedziała Lucy.

- Tak. Miło mi cię poznać. A to mój przyjaciel, Greg Kessler.

- Cześć, Greg! - powiedziała Lucy i potrząsnęła jego dłonią równie energicznie.

- Terapeutka, co? - powiedział dość dwuznacznie Greg, oglądając ją od góry do dołu. - W porządku, terapeutka.

Jessica również podejrzewała, że Lucy może być dla Cole'a czymś więcej niż tylko terapeutka, ale oczywiście zachowała to dla siebie. Natomiast Greg najwyraźniej podejrzewał to samo, tyle że zdążył już wypić wystarczająco dużo wina, żeby nie zważać na to, co wypada. A swoją drogą, czy te tak zbieżne podejrzenia mogły być uzasadnione? Czy Lucy dbała jedynie o stan mięśni i stawów Cole'a, czy też łączyło ich coś jeszcze? A może rzeczywiście była jego kochanką? Taką osobą, która naprawdę liczyła się w jego życiu?

Cole tymczasem wyciągnął rękę do Grega.

- Cześć! - powiedział. - Wiesz, że cię pamiętam?

- Pamiętasz... mnie?! - Oszołomiony Greg wpatrywał się w sławnego futbolowego gwiazdora, wciąż nie kojarząc jego dawnego wcielenia.

- Grałeś w szkolnej drużynie Ridgemont Raiders, prawda?

- Prawda - Greg zmrużył oczy i wpatrywał się w stojącego przed nim wysokiego mężczyznę. - Ale skąd ty o tym wiesz?

- Bo parę razy spuściliśmy wam niezłe lanie. Pamiętam taki nasz mecz w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim, kiedy to...

- Chryste Panie! - przerwał mu Greg. - Więc ty jesteś Nick! Nick Cavanetti! - Wzniósł oczy ku niebu. - Nick Cavanetti, no, kto by - pomyślał! Ale dlaczego zmieniłeś imię i nazwisko?

- Dla większości ludzi było zbyt trudne do wymówienia - odpowiedział Cole bez mrugnienia okiem. - Poza tym tak długie nazwisko nie mieściło się na plecach dresu.

Greg wciąż nie mógł wyjść z podziwu.

- Nick Cavanetti! Jezu, w życiu bym nie przypuścił!

Lucy stanęła obok Cole'a i wzięła go pod rękę. Sięgała mu ledwie do kieszonki marynarki. Jessica nieraz zastanawiała się, jak to może być, kiedy wysoki mężczyzna w rodzaju Cole'a całuje się z kobietą tak niską, jak na przykład Lucy. Przecież to wymagałoby niemal cyrkowej akrobacji!

- Słuchajcie, chłopaki! - mówiła tymczasem Lucy. - Możecie sobie wspominać futbol i dawne czasy nawet przez całą noc, ale ja przyszłam po to, żeby wreszcie poznać te słynne miejscowe wina. Więc może ruszmy tam wreszcie! - Wskazała na specjalny stół, przy którym odbywała się degustacja. Jednocześnie kątem oka spojrzała na Jessikę, uśmiechnęła się i wzniosła oczy ku niebu. Był to niemy komentarz na temat tego, co dzieje się z facetami, kiedy zaczną gadać o futbolu.

Jessica też się uśmiechnęła.

Teraz Cole ich prowadził, a Jessica zauważyła, jak wiele osób obracało się i patrzyło w ślad za nim. Zastanowiła się, jak też się można czuć, kiedy się już jest kimś tak znanym. Jak się żyje ze stałą świadomością, że ludzie wciąż się gapią. Nie przypuszczała, żeby jej się to mogło podobać.

- No więc proszę cię bardzo, Lucy! - Cole popatrzył na zastawiony butelkami stół. - Zacznijmy od czegoś lekkiego. - Sięgnął po smukłą zieloną butelkę z etykietką Falls Winery. - To z winnicy naszych gospodarzy.

- Jaki to gatunek? - spytała Lucy.

- *Chenin Blanc*. - Cole ostrożnie nalał jedną trzecią kieliszka i podał Lucy. - Ty też się napijesz, Jess?

Gdy przecząco potrząsnęła głową, obrócił się w stronę Grega.

- A ty?

- *No pewnie!* - Gregowi najwyraźniej imponowało, że oto podaje mu wino sam Cole Nichols.

- No a wobec tego co dla ciebie, Jess? - zapytał Cole, - Może trochę miejscowej wody mineralnej? Gazowana i podobno doskonała! - To mogłoby być niezłe.

Cole wyjął butelkę ze srebrnego wiaderka, wypełnionego kawałkami lodu, otworzył i nalał Jessice. Była mu wdzięczna, że zatroszczył się o to, żeby i ona nie pozostała bez szklaneczki w dłoni.

Na koniec nalał trochę *Chenin Blanc* również dla siebie. Podniósł kieliszek, zatrzymał go na poziomie oczu.

- Uważaj teraz, Lucy. Pierwszą rzeczą, na którą należy zwrócić uwagę, jest kolor. Dobre wino ma czysty kolor, ewentualnie z pewnymi delikatnymi alikwotami innych barw.

- No więc to... - Lucy lekko wydeła wargi - to mi wygląda na kolor jasnożółty.

Jessica przechyliła głowę, żeby spojrzeć na kieliszek Cole'a. - Jak chusteczka z szyfonu - powiedziała po chwili.

- No właśnie. Teraz spróbujmy trochę zakreślić kieliszkiem, o tak. Widzicie, jak wino przylega do szklanej ścianki? Dobre wino będzie spływało takimi łezkami, czasami wyciągniętymi w kształt nieco dłuższych smug.

Lucy i Greg skinęli potakująco głowami. Jessica zauważyła, że jakiś stojący pod ścianą starszy pan przysłuchuje się uważnie słowom Cole'a.

- Zawirowanie wina w kieliszku uwalnia też jego zapach, czyli tak zwany bukiet. Powąchajcie!

Lucy zmarszczyła nos.

- Wciągnąć powietrze przez dziurki?

- Właśnie - Cole wsunął koniec nosa do otworu kieliszka. - Należy wciągnąć powietrze dość mocno, ale krótko, parę razy. - Podał kieliszek Jessice, która spróbowała zrobić to samo.

- No i co czujecie?

- Czuję zapach kwiatów! - wykrzyknęła uradowana Lucy.

- Świeżych - dodał Greg. - Bardzo świeżych.

- A ja czuję zapach melona - powiedziała Jessica. Cole uśmiechnął się do niej.

- Doskonale! Następny, czwarty krok, to spróbowanie wina. Wciągamy do ust troszeczkę, nie więcej niż łyżeczkę od herbaty, i rozprowadzamy po całej powierzchni jamy ustnej, także i od spodu języka, żeby wszystkie nasze kubeczki smakowe w tym uczestniczyły. I nie połykaj tego jeszcze, Lucy - ostrzegł ją z uśmiechem. - Teraz odchylamy

głowę do tyłu i wciągamy odrobinę powietrza przez wargi, a po chwili wydychamy to przez nos. Czujecie nagle uderzenie smaku? Ale wciąż jeszcze nie połykajcie tego!

Lucy uśmiechnęła się.

- Teraz zacznijcie postępować tak, jak gdybyście usiłowali żuć to wino. Po prostu ruszajcie szczękami i starajcie się poczuć pełnię smaku - wszystkie jego odcienie. A teraz możecie już połknąć.

- O Boże! - westchnęła Lucy.

- Jaki jest wasz werdykt? - spytał Cole.

- Pycha! - wykrzyknęła rozpromieniona Lucy, pijąc kolejny łyk. - Bardzo gładkie - dodał Greg.

Lucy zwróciła się do Cole'a.

- No, a ty sam, co o tym sądzisz?

- Dla mnie to wino lekkie, delikatne, ale przy tym żywe, z dyskretnym aromatem melona. Smak właściwy dla tych okolic, z leciutkim odcieniem charakterystycznym dla winnic rosnących na podłożu głównie krzemionkowym. W sumie dobre, dobrze zrównoważone wino.

- Zapowiada się świetna zabawa! - Lucy odwróciła się w stronę stołu uginającego się od różnych butelek. - Spróbujmy teraz innego.

- Ale najpierw należy zatrzeć pamięć poprzedniego smaku. Zjedz jakiegoś herbatnika. A potem zgryź orzech laskowy. To na nowo pobudza kubeczek smakowy.

- Lubię wszystko, co pobudza! - oświadczył Greg. Włożył do ust dwa orzechy naraz i zerknął znacząco na Jessicę. Ta jednak patrzyła w inną stronę.

Lucy sięgnęła po najbliższą butelkę.

- Spróbujemy tego?

W tym momencie stojący nieopodal starszy pan, który nie przestawał ich obserwować, podszedł do nich. - Przepraszam, panie Nichols, czy można?

- Tak?

- Mimo woli usłyszałem cały pański wykład o degustacji. Wydaje się pan dużo wiedzieć o winach, zwłaszcza jak na zawodnika.

- No, coś tam wiem.

- Pozwoli pan, że się przedstawię. Jestem Miles Davidson i pisuję do „Seattle Review”.

Jessica zauważyła, że Cole jakby zastygł na moment i dopiero po chwili zmusił się do uprzejmego uśmiechu.

- Miło mi cię poznać, Miles. Co mógłbym dla ciebie zrobić?

- Otóż zastanawiałem się po prostu, czy zaryzykowałbyś degustację na ślepo? Chciałbym poznać twoją opinię o pewnym gatunku wina.

Cole wzruszył ramionami.

- Oczywiście. Czemu nie?

- Doskonale! To będzie materiał na świetny artykuł! - Miles podszedł do stołu. - Proszę się odwrócić, a ja wybiorę butelkę.

Cole obrócił się plecami. Jessica patrzyła na niego, zastanawiając się, jak on to robi, że zachowuje wciąż dobry humor, choć ludzie bez przerwy go nagabują.

- Gotowe - powiedział dziennikarz i podał napełniony w jednej trzeciej kieliszek. Cole postępował dokładnie tak samo jak poprzednio. Najpierw przyjrzał się barwie wina, potem przeszedł przez wszystkie kolejne etapy, które wcześniej objaśniał Lucy. Różnica polegała tylko na tym, że tym razem robił to wolniej i z większym skupieniem. Jessica patrzyła na niego zafascynowana, aż do momentu, kiedy wypłuł próbowane wino do specjalnego naczynka, przygotowanego na taką okoliczność.

- Na oko wygląda niezłe, ale jest raczej wodniste - powiedział Cole. - Cienkie, słabe, bez wyrazu. Nieciekawie, Prawdę mówiąc, w ogóle nie do picia. Ja w każdym razie nie polecałbym tego wina. Nie umiałbym też rozpoznać winnicy ani wytwórcy - spojrzał na dziennikarza. - Kto to produkuje, jeśli można wiedzieć?

Dziennikarz obrócił butelkę nalepką w stronę Cole'a. Ten spojrzał i przez chwilę milczał. Jessica popatrzyła na niego, zastanawiając się, dlaczego nic nie mówi. Twarz Cole'a stężała, znikło z niej całe ciepło i resztkę uśmiechu. Jego czarne oczy nagle wydały się jej twarde jak kamienie.

- Czy to jakaś podstępna sztuczka, jakiś trick?! - zapytał gniewnie. Dziennikarz potrząsnął głową.

- Niestety, nie. Sam sobie zadawałem to pytanie: co właściwie myślą ludzie, którzy coś takiego wytwarzają? I to pod taką firmą! Jak można najbardziej renomowany w całym kraju Johannisberg Riesling zamienić w takie świństwo?

Jessica spojrzała na etykietkę butelki i, ku swemu wielkiemu zaskoczeniu, rozpoznała na niej znajomą sylwetkę mnicha.

A zatem Cole przed chwilą oznajmił publicznie, że duma winnicy Cavanettich, słynny riesling św. Benedykta - po prostu nie nadaje się do picia.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Cole obrócił się na pięcie i bez słowa wyszedł z salonu. Zaskoczony Greg tylko popatrzył za nim, a Lucy usiłowała go jeszcze zatrzymać. Najwyraźniej jednak wiedziała, że w takich przypadkach lepiej za nim nie iść. Jessica wzięła z niej przykład i również pozostała na miejscu.

- Co go nagle ugryzło? - zapytał Miles, wciąż trzymając w dłoni butelkę nieszczęsnego rieslinga. - Wyglądał tak, jak gdyby coś go mocno rozgniewało.

Greg dopił do dna resztkę *Chenin Blanc*.

- To pan nie wie? Cole Nichols jest spokrewniony z właścicielami winnicy św. Benedykta.

- Naprawdę? Nic o tym nie wiedziałem.

- Jest synem Michaela Cavanetti. - Ale przecież nazwisko...

- Zmienił nazwisko.

Miles Davidson zamyślił się, od czasu do czasu spoglądając w stronę wyjścia, za którym znikł Cole. Jessica poczuła nieprzyjemny skurcz w żołądku. Podpity Greg zupełnie niepotrzebnie opowiedział to wszystko dziennikarzowi. Cole przecież mógł nie chcieć ujawniać swego prawdziwego nazwiska reporterom. Jej obawy jeszcze wzrosły, gdy po chwili usłyszała, jak Miles Davidson pyta panią Nelson, czy mógłby skorzystać z telefonu. Jeśli postanowił zadzwonić tak nagle, to najpewniej łączyło się to właśnie z osobą Cole'a.

- Przepraszę was na chwilę - powiedziała Lucy. - Spróbuję go odnaleźć i trochę uspokoić.

Jessica mimochodem zerknęła w stronę okna i nagle w zapadającym już zmierzchu dostrzegła w głębi wysoką sylwetkę Cole'a. Z rękami w kieszeniach i z powiewającym na wietrze krawatem Cole szybkim krokiem mijał główny podjazd i wąską ścieżką zmierzał gdzieś w stronę budynków gospodarskich farmy. Jessica była zaskoczona, że po tylu latach sprawa złej jakości tego wina wciąż jeszcze tak bardzo go obchodziła. Powiedziała sobie jednak, że przecież wcale nie zna Cole'a aż tak dobrze. Być może dla niego liczyło się coś więcej, nie tylko sportowy rozgłos i własny atrakcyjny wygląd. Mogła przecież istnieć jakaś ukrywana strona jego osobowości* o której wiedzieli tylko nieliczni. Sama myśl o tym wywołała w niej nagłą falę współczucia. W końcu któż lepiej od niej mógł wiedzieć, jak to jest, kiedy się nieustannie musi ukrywać jakąś część własnego życia?

Po wyjściu Cole'a Jessica nie miała już ochoty tańczyć. Razem z Gregiem wmieszali się w tłum gości, przystając tu i ówdzie, żeby chwilę porozmawiać z tym czy z tamtym.

Wróciła też Lucy, której nie udało się odnaleźć Cole'a. Jessica nie powiedziała jej, że go widziała. Uznała, że tak będzie lepiej. Zresztą sama Lucy w chwilę później powiedziała, że Cole ma bardzo wybuchowy temperament i lepiej będzie, jeżeli przez jakiś czas pozostanie sam. Potem w towarzystwie Milesa Davidsona ruszyła do stołu z winem, żeby spróbować innych gatunków. Miles wydawał się szczególnie ucieszony, że może wystąpić przy niej w roli nauczyciela.

Koło jedenastej wieczorem Greg był już niebezpiecznie blisko kompletnego ubzdryngolenia, a w dodatku wypite wino nastrajało go *amoroso*. Jego dłoń coraz częściej próbowała objąć Jessikę w talii i ześlizgnąć się niżej, chociaż za każdym razem obrywał za to po łapach, a sama Jessica odsuwała się możliwie daleko, żeby nie było wątpliwości, jak bardzo to się jej nie podoba. Mimo to w pewnym momencie Greg zrobił jej już zupełnie jednoznaczny propozycję. żeby pojechać do jego apartamentu w centrum Seattle i sprawdzić, jak dalece się oboje zmienili - tak zewnątrz, jak i wewnątrz.

Jessica chłodno podziękowała mu za tę ofertę i w chwilę później Wymknęła się przez hall do kuchni, gdzie chciała wypić szklanek zimnej wody, a także bezpiecznie skryć się przed dalszymi awansami Grega.

Lekkim krokiem przestąpiła próg kuchni i, ku swemu zdumieniu, zastała tam Cole'a, który stał oparty o ścianę i pił kawę. Miał rozluźniony krawat i rozpięty guzik koszuli, a jego rozwiane przez wiatr włosy nadal sterczały w różnych kierunkach. Wyglądał na zmęczonego, a jasne światło kuchennych jarzeniówek wyraźnie wydobywało bruzdy w kącikach jego oczu.

Jessica zatrzymała się niemal w miejscu.

- Przepraszam! - powiedziała. - Nie chciałam ci przeszkodzić.

- Ja tylko piję kawę.

- Ale wyglądasz na człowieka, który nie chce towarzystwa.

- Ciebie nie uważam za towarzystwo - wypił resztkę kawy i przyjrzał się Jessice sponad filiżanki. Nigdy dotąd tak na nią nie patrzył, a już zwłaszcza wtedy, kiedy miała ledwie siedemnaście lat i oddałaby wszystko za choćby jedno takie taksujące spojrzenie. Poczula, że się czerwieni i pośpiesznie odwróciła się do kredensu, przesadnie długo wybierając szklanek.

- Chyba przyjmę to jako komplement - powiedziała i podeszła do zlewu, by nalać sobie zwykłej wody z kranu.

- Miałem na myśli tylko to, że przynajmniej ty nie będziesz żądać ode mnie, żebym cię bawił. Mam już potąd rozrywania i bawienia ludzi - westchnął z pewną goryczą. - Czuję się tak, jakbym bez przerwy był na scenie. I bardzo często mam ochotę powiedzieć im

wszystkim, żeby sobie poszli do diabła.

- I tak jesteś niezwykle cierpliwy. Nie sądzę, bym potrafiła wytrzymać choćby połowę tego co ty.

- Dzięki za dobre słowo. - Uśmiechnął się. - Chcesz może kawy? Przypadkiem to naprawdę dobry gatunek.

- Nie, dziękuję. Gdybym wypła kawę, nie mogłabym potem zasnąć.

- Wciąż żyjesz trochę jak zakonnica, prawda?

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała, wypijając kolejny łyk wody.

- Z zasady ubierasz się skromnie. Żadnych alkoholi. Żadnej kawy po dziewiętnastej, a w domu i w łóżeczku najpóźniej o... - spojrzął na zegarek - o dziesiątej? Na to bym stawiał.

- No więc tu się pan myli, panie Nichols - skrzyżowała ramiona na piersiach, nadal jednak trzymając szklankę w długich smukłych palcach. - Czasami zostaję poza domem nawet na całą noc.

- Naprawdę? - jego przygasłe dotąd oczy nagle znów błysnęły. Zapewne kpiąco, no ale coś się tam w nich pojawiło. - I w jakimże to celu?

- No nie, panie Nichols. W końcu dziewczyna musi mieć jakieś tajemnice.

- Dziewczyna? Przecież widzę, że nie jesteś już dziewczyną. Nagła fala gorąca rozeszła się w niej od środka i Jessica poczuła, że za chwilę znów się zaczerwieni. Nie powinna niczego po sobie pokazać. Ten mężczyzna odtrącił ją przed laty - w każdym razie taki sens miało jego ówczesne zachowanie. Nie miała zamiaru znowu wyjść przy nim na idiotkę.

Poszukała więc ratunku w paru kolejnych łykach zimnej wody z kranu.

- Skąd możesz wiedzieć, czy jestem czy nie jestem? - spytała ironicznie. - Chyba nie za wiele można dostrzec pod tym, jak to określiłeś, skromnym ubiorem?

- Mam bujną wyobraźnię - odparł Cole i odstawił filiżankę. - Cenię to, co pozostaje tajemnicą i prowokuje do odgadnięcia.

- A co tym razem jest tą tajemnicą?

- Na przykład to, co kryje się pod tymi luźnymi warstwami jedwabiu. - Spojrzął na nią ponownie. - Tak jak tajemnicą jest dla mnie powód, dla którego wciąż chcesz to wszystko zupełnie niepotrzebnie ukrywać.

- Niczego nie próbuję ukrywać. Po prostu nie lubię, kiedy jest mi zimno.

- Akurat! - roześmiał się Cole. - Ja tam pamiętam cię w sukience, która powinna była chyba spowodować natychmiastowe zapalenie płuc.

- Takie sukienki są w sam raz dla gorących nastolatków, które mają znacznie więcej

hormonów niż rozumu.

- Więc teraz potrafisz już panować nad swoimi hormonami, tak?

- Mam nadzieję - odpowiedziała, chociaż wszystko, co w tym momencie czuła, zaprzeczało temu oczywistemu kłamstwu. Przecież to właśnie Cole sprawiał, że teraz na zmianę robiło się jej zimno i gorąco, a gwałtownie bijące serce raz po raz usiłowało wyskoczyć jej z piersi. Mogła się tylko modlić o to, żeby mimo wszystko nie zauważył, jak naprawdę na nią działa - zarówno fizycznie, jak i psychicznie.

- Wciąż ta sama, nienaganna Jessica Ward. Założę się, że tymczasem wyszłaś za jakiegoś dentystę, masz dwoje dzieci i oczywiście kota. - Wcale nie. - No więc psa?

- Nie za bardzo sprawdza się pan w odgadywaniu, panie Nichols. Może lepiej powróćmy tam, gdzie czekają pańscy wielbiciele i gdzie będzie pan mógł udowodnić, że przynajmniej tańczyć umie pan lepiej niż odgadywać.

Że też potrafię to wszystko mówić nawet nie mrugnawszy okiem, pomyślała.

- Ja bardzo dobrze tańczę! - oświadczył Cole.

- Więc proszę to tam udowodnić. Z kimkolwiek.

Cole spojrział na nią rozbawiony. - Proszę bardzo. Idziemy. - Wziął ją za ramię i poprowadził do głównej sali.

Jessica kątem oka zerknęła na niego. Naprawdę się uśmiechał i wyglądało na to, że znów odzyskał humor. Z jakiegoś powodu bardzo ją to ucieszyło.

Podeszli do parkietu, kiedy akurat przebrzmiały ostatnie takty jakiegoś szybkiego tańca, zastąpione teraz przez nastrojową aranżację znanej piosenki o miłości. W tym momencie Jessica zawahała się na moment, ale Cole tylko się uśmiechnął i pociągnął ją za sobą, doskonale zdając sobie sprawę, iż nie spodziewała się, że to właśnie z nią zamierza tańczyć. A już zwłaszcza coś tak sentymentalnego. Objął ją i przyciągnął bliżej.

Starła się patrzeć gdzieś wprost przed siebie, by widzieć tylko jakiś neutralny kawałek skóry jego szyi nad kołnierzykiem koszuli. Nie chciała dopuszczać do świadomości tego, jak bardzo działała na nią jego bliskość - choćby tylko to, że oto jego ręka obejmowała ją, a dłoń dotykała jej pleców. Próba beznamiętnego oglądania wciąż tego samego punktu na jego szyi też nie dała spodziewanego rezultatu, ponieważ wzruszało ją nawet najdrobniejsze drgnięcie ścięgien pod tą opaloną skórą. Podobnie było z tą fascynująco męską, ostrą linią szczęki. Co by to było za uczucie, gdyby tak można było jej dotknąć? Lekko przesunęła swą dłoń nieco wyżej, bardzo ostrożnie, żeby nie można było tego uznać za pieszczotę. Wszystko po to, żeby teraz w okolicach karku móc czubkami palców od czasu do czasu poczuła dotknięcie jego włosów. Od lat marzyła, żeby je pogłaskać.

Nawet nie zdawała sobie sprawy, że przymknęła oczy. Otworzyła je, kiedy Cole się do niej odezwał.

- Podoba ci się ta muzyka? - zapytał. W jego głosie można było wyczuć lekkie rozbawienie.

- Prawdę mówiąc, tak.

- A ja ani razu nie nadepnałem ci na nogę. Zechciej łaskawie to zauważyć.

- Zauważyłam. Udowodniłeś, że dobrze tańczysz.

- Za to ty wciąż jesteś usztywniona. To bez sensu, Jess! - lekko uściskał jej dłoń. - Taniec może dać naprawdę wiele radości, kiedy się człowiek rozluźni.

- Jestem rozluźniona.

- Nieprawda. No, spróbuj to zrobić! - Przyciągnął ją do siebie mocniej obejmując w talii. - Pewna Brazylijka przed laty nauczyła mnie, jak naprawdę poczuć radość z tańca. Po prostu rozluźnij się i pozwól przytulić się tak, żebyśmy mogli wzajemnie wyczuwać wszystkie ruchy naszych ciał.

Przyciągnął ją tak blisko, że jej biust poprzez jedwab dotykał teraz jego klatki piersiowej, a udami mogła wyczuwać jego uda.

- Wyobraź sobie, że jesteśmy zespoleni, że stanowimy jedno. Jessica przełknęła ślinę, starając się nie usłyszeć w tym takich znaczeń, których on z pewnością nie mógł mieć na myśli. Próbowwała ignorować fakt, że oto całym ciałem czuje jego ciało.

- No i jeszcze luźniej, luźniej. - Cole uśmiechnął się. - Oddaj mi się teraz cała, po prostu mi zaufaj!

Czy on w ogóle zdaje sobie sprawę z tego, co mówi? Jessica próbowała się rozluźnić, ale taka bliskość jego ciała wcale tego nie ułatwiała.

Zrobili kilka szybkich obrotów, a Jessica naprawdę starała się poddać mu i rzeczywiście rozluźnić, cieszyć się muzyką. Jednak przez cały czas czuła przede wszystkim to, że jego ciepła dłoń obejmuje jej chłodne palce, że jego ręka przesuwa się wzdłuż jej naładowanego elektrycznością kręgosłupa, a ich uda raz po raz ocierają się o siebie.

Przymknęła oczy i próbowała nie poddawać się fali wzbierającego w niej pożądania, które tak nagle powróciło. Nie powinna pozwolić, żeby Cole znów przeniósł ją w dawny czas dorastania, w świat tamtych tęsknot i marzeń. Nie była już przecież tą siedemnastoletnią dziewczyną, a i on przestał być ledwie o pięć lat starszym studentem. Oboje byli teraz zupełnie innymi ludźmi.

Cole pochylił się do jej ucha.

- A jednak potrafisz się pięknie rozluźnić - powiedział prawie szeptem.

Musiała uważać, żeby się natychmiast nie usztywnić.

- No cóż, szybko się uczyć - odpowiedziała, obracając twarz ku niemu. Ich policzki zetknęły się na moment, co wzbudziło w niej nagle taką falę tęsknoty i pożądania, że czym prędzej się odsunęła. Na szczęście akurat w tym momencie muzyka umilkła. Cole chwycił ją za rękę i nie pozwolił jej odejść.

- Jeszcze jeden taniec, Jess - powiedział. Oczy mu błyszczały. - Choćby dla treningu.

Okazało się, że następny utwór to również powolna, romantyczna ballada. Jessica głęboko wciągnęła powietrze, niepewna, czy będzie miała dość sił, żeby wytrzymać tych kolejnych kilka minut tak bliskiego przytulenia.

- Idealnie pasujemy do siebie wzrostem - powiedział Cole, znów przyciągając ją bliżej. - Nie wiedziałem, że jesteś taka wysoka.

- Nigdy nie byliśmy na tyle blisko, żeby można to było ocenić.

- To prawda - rzekł Cole. Ścisnął mocniej jej dłoń i poprowadził na parkiet.

Pod koniec tańca znaleźli się akurat w tym miejscu, gdzie czekali Frank i Shawn. Gdy Cole zbliżył się do nich, Frank automatycznie objął Shawn ramieniem. Czy było to po to, żeby ją chronić przed bratem, czy raczej żeby przytrzymać ją przy sobie - Jessica nie była pewna. W każdym razie nie mogła nie zauważyć, jak źrenice Shawn rozbłysły, kiedy Cole podał jej rękę. Jej niebieskie oczy zlustrowały Cole'a od góry do dołu. Mówiąc przechyliła wdzięcznie głowę i nie przestawała mu się przyglądać z dobrze udawaną nieśmiałością. Jessica nagle pomyślała, że może niepotrzebnie aż tak skutecznie pomagała Shawn podkreślić jej urodę.

Na pozór Shawn nadal pozostawała uprzejmie chłodna, ale Jessica natychmiast zauważyła jej nagłe rumieńce, choć dość dobrze przysłaniała je woalka eleganckiego kapelusika. Pełna wdzięku swoboda Cole'a i promieniujące z niego ciepło musiało być zaskoczeniem również i dla Shawn. A może po prostu spodobała jej się ta doprawdy imponująca sylwetka i tak bardzo włoska uroda.

- Zawsze się zastanawiałam, czy kiedykolwiek uda mi się poznać sławnego brata mego męża - oświadczyła, wyciągając rękę i przytrzymując w niej dłoń Cole'a odrobinę dłużej niż należało.

- Przyrodniego brata - uściślił Frank. Shawn zignorowała jego słowa.

- Muszę ci powiedzieć, Cole, że jestem twoją wielką fanką. Oglądam mecze twojej drużyny, kiedy to tylko możliwe.

- Dziękuję, pani Cavanetti.

- Mów mi Shawn, proszę.

- Dobrze, Shawn. - Skinął głową. - Czy to znaczy, że tak lubisz futbol amerykański?

- Jeśli mam być szczerą, to za bardzo się na nim nie znam, ale to mi zupełnie nie przeszkadza. Po prostu uwielbiam patrzeć na silnych mężczyzn w obcisłych dresach z potężnie wywątowanymi ramionami - zachichotała i przysunęła się nieco bliżej. - Nie wiem, na czym to polega, ale te stroje czynią z was takie imponujące okazy męskiego ciała, takie wspaniałe bryły. Nie sądzisz, Jessico?

- Chyba nigdy tak o tym nie myślałam.

- Naprawdę? A przecież to jest właśnie najfajniejsze, nie?

- Zatem dla ciebie najważniejszy jest strój? - spytał Cole. - Może więc powinnaś namówić Franka, żeby wstąpił do piechoty morskiej? *Marines* też mają świetne stroje!

- O Boże! - Frank jęknął, wznosząc oczy do nieba.

- Ja go nawet nie mogę namówić, żeby ze mną zatańczył! - Shawn wyduła wargi.

- Naprawdę nie tańczysz, Frank? - spytał kpiąco Cole. - Ciągniesz piękną kobietę na to sztywne przyjęcie, pełne wapniaków, i nawet z nią nie zatańczysz?

- Nie cierpię tańczyć - burknął Frank i sięgnął po kieliszek z winem.

- Wobec tego, Shawn, czy mogę cię prosić? - Cole podał jej ramię, a Shawn od razu przykleiła się do niego, dając mu przy okazji możliwość bardzo indywidualnego, osobistego zajrzenia w głębinę jej odsłoniętego i bardzo ponętnego biustu. W tym momencie Jessica nagle poczuła falę zazdrości tak dojmującą, a jednocześnie tak jej dotąd obcą, że mimo woli syknęła, głęboko wciągając powietrze.

- Bardzo przepraszam - powiedział Frank i natychmiast cofnął się o krok. - Czyżbym przypadkiem nastąpił ci na nogę?

- Ależ nie - odpowiedziała pośpiesznie. Zaczerwieniła się, kiedy zdała sobie sprawę, że to jej syknięcie było słyszalne. Stała obok Franka i razem przyglądali się tańczącym. Shawn najwyraźniej świetnie się bawiła, słuchając tego, co mówił do niej Cole. Z całą pewnością nie potrzebował jej nakłaniać, żeby się rozluźniła i cieszyła się muzyką. Prawdę mówiąc, Jessica wątpiła, czy Cole w ogóle mógłby jeszcze nauczyć Shawn czegokolwiek.

- No i czy ten mój tak poświęcający się dla mnie brat nie jest po prostu święty? - spytał Frank głosem pełnym jadowitego sarkazmu. - Nie chce ci się rzygać, kiedy na to patrzysz?

Jessica spojrzała na Franka. Jego wargi wykrzywione były w pogardliwym grymasie, a w spojrzeniu przebijała złośliwa wrogość. Znów pociągnął spory łyk wina. Z racji doświadczeń z ojcem Jessica umiała już doskonale rozpoznawać poszczególne objawy upijania się, w tym również to postępujące zamglenie wzroku. Frank stawał się coraz bardziej

pijany. Jeszcze chwila, a jego skrywane dotąd uczucia wydobędą się na powierzchnię. I wtedy będzie naprawdę źle.

Ona sama nigdy nie będzie pić, choćby właśnie dlatego. Czasami bowiem zdarzało się tak, że jej własne głęboko skrywane uczucia wręcz ją przerażały. Wolałaby raczej umrzeć niż pozwolić, by wszyscy się o nich dowiedzieli. Jeśli pod wpływem wina mógł się zdradzić nawet ktoś taki, jak niezmiennie gładki i zawsze się kontrolujący Frank, to z nią mogłoby być jeszcze gorzej. Nie, nigdy. przenigdy nie pozwoli sobie nawet spróbować smaku owego tak żywego i tak doskonale zrównoważonego *Chenin Blanc* czy jakiegokolwiek innego podobnie wysokowego napoju.

Około północy siły żywotne przyjęcia zaczęły się powoli wyczerpywać i to samo można było powiedzieć o Franku, Gregu i Lucy. Frank siedział milcząco i ponuro, przyglądając się, jak Shawn flirtuje z Cole'em. Jessica oświadczyła Gregowi, że nie będzie już z nim tańczyć, dopóki nie zacznie się wreszcie zachowywać przyzwoicie. Natomiast Lucy zapadła się w głębokim fotelu ustawionym w pobliżu choinki i z dziecięcym zafascynowaniem przyglądała się świecącym bombkom i łańcuchom. Zdążyła już zdegustować niemal wszystkie wyeksponowane gatunki i trzeba było jej przyznać, że przez cały wieczór nie wypluła nawet kropelki.

Frank przyniósł z szatni płaszcz Jessiki i szal Shawn. Kiedy próbował go zarzucić na ramiona żony, niewiele brakowało, żeby się przewrócił.

- Idziemy, Shawn - powiedział. - Jestem już śmiertelnie znudzony.

- A nie moglibyśmy zostać jeszcze trochę? - Shawn wydeła wargi, a potem spojrzała na Cole'a. - Świetnie się bawię.

- Możemy zmienić lokal i pójść tam, gdzie dają prawdziwy alkohol. Tymczasem Cole, który pomagał Jessice włożyć płaszcz, spojrzał na niego uważniej i powiedział:

- Frank, wygląda na to, że masz już dość.

- Och, odwal się! - burknął Frank. - Sam wiem, ile mogę. Rzeczywiście mam dość, ale ciebie. - Chwycił żonę za rękę. - Idziemy, Shawn.

- Cześć, Cole! - Shawn pomachała mu dłonią na pożegnanie. - A ty, Jessico, zabierasz się z nami?

Już zamierzała ruszyć w ich stronę, gdy Cole dotknął jej ramienia.

- Może pozwól, żebym to ja cię odwiózł, Jess - powiedział. - Frank jest pijany. Nie chciałbym, żebyś z nim jechała.

- No cóż, jeżeli Lucy nie będzie miała nic przeciwko temu... - Nie będzie. Nie musisz się o to martwić. Frank odwrócił się i złym wzrokiem popatrzył na Jessikę.

- Wcale nie jestem pijany i mogę prowadzić - oświadczył. - To tylko mój brat znów chce pozować na rycerskiego bohatera.

- Och Frank! - zawołała Shawn i poklepała męża po policzku. - Jesteś zazdrosny, jak to miło!

Wściekły wzrok Franka skierował się teraz na żonę.

- Jedźcie już, Frank - ponagliła go Jessica. - Lepiej, żebyście teraz zostali ze sobą sami, ja tylko bym wam przeszkadzała.

- Może i racja - powiedział Frank i położył dłoń na karku Shawn. - Zatem do zobaczenia później.

Greg skorzystał z okazji odjazdu Franka i Shawn, by wypić kolejny kielich, kiedy Cole poszedł po Lucy. Gdy znikł za drzwiami, Greg znacząco popatrzył na Jessikę.

- Na pewno nie chcesz, żebym to ja cię odwiózł?

- Dziękuję, Greg. Może innym razem.

- Więc może zobaczymy się jutro?

- Może. Ale najpierw do mnie zadzwoń. Tymczasem Cole już wrócił wraz z Lucy.

- Miło mi było znów cię spotkać, Cole - powiedział Greg. - I ciebie, Lucy.

Lucy odpowiedziała mu cokolwiek rozespanym uśmiechem i jeszcze mocniej przykleiła się do ramienia Cole'a, ponieważ wyłącznie to pozwalało jej jeszcze utrzymywać się na nogach.

- Dobranoc, Greg - westchnęła. - Czyż nie było to wspaniałe przyjęcie?!

Cole zachichotał i ruszył z nią w kierunku wyjścia. Jessica szła tuż za nimi, asekurując oboje przy schodzeniu ze schodów. Byli już przy parkingu, gdy niespodziewanie pojawili się jacyś młodzi mężczyźni z kamerą i aparatami fotograficznymi.

- Czy możemy panu zrobić zdjęcie, panie Nichols? - spytał jeden z nich. Nim Cole zdążył coś powiedzieć, flesze już błysnęły.

- Niech to szlag! - zaklął Cole, przysłaniając oślepienie na chwilę oczy.

- Panie Nichols, czy to prawda, że jest pan synem Michaela Cavanetti, właściciela winnicy św. Benedykta?

Cole z ponurą miną pociągnął za sobą Lucy, nie odpowiadając ani słowem.

- Czy to prawda, że zmienił pan nazwisko, żeby ukryć swe włoskie pochodzenie?

Jessica rozejrzała się dookoła. Gdzie też mógł teraz być ten łobuz Miles Davidson? Chętnie kopnęłaby go w kostkę. To z pewnością on zadzwonił po tych fotoreporterów i powiedział im, gdzie się mają zacząć, żeby dopaść Cole'a.

Znów błysnęły flesze.

- Panie Nichols, czy to prawda, że przyjechał pan tu po to, żeby przejąć zarządzanie winnicą?

W tym momencie znów pojawił się Frank, nieco się potykając.

- Nie, to nieprawda! - wykrzyknął, wrywając mikrofon z dłoni reportera. - Cole Nichols nie ma żadnych praw do winnicy. Żadnych legalnych podstaw!

- Czy to prawda, że Michael Cavanetti wydziedziczył go przed trzynastu laty?

- Tak! Mój brat sam zdecydował już dawno temu, że chce opuścić winnicę i wyjechać stąd. Tak więc nikt, a już zwłaszcza on - Frank wskazał na Cole'a - nie ma prawa wtykać nosa w sprawy rodziny! J mojej żony!

Reporter z zainteresowaniem spojrzął na Franka i odebrał zabrany mu wcześniej mikrofon. Frank chwiejnym krokiem ruszył w stronę Cole'a.

- Uważasz się pewnie za kogoś tak wielkiego, że możesz sobie wziąć wszystko, co zechcesz, tak?

Cole popatrzył na swego przyrodniego brata, ale nic nie odpowiedział. Tymczasem kamera wideo na ramieniu drugiego reportera pracowała bez chwili przerwy, rejestrując wszystko.

- No więc nie dostaniesz winnicy św. Benedykta! - krzyczał Frank, dźgając wyprostowanym palcem w pierś Cole'a. - Słyszysz? Nieważne, ile masz pieniędzy, nieważne ilu wielbicieli. Winnicy nie dostaniesz!

- Frank, przymknij się.

- Idź do diabła! - Frank zamachnął się na Cole'a. Reporter cofnął się mimo woli, a Jessica w ostatniej chwili chwyciła Lucy, gdy ta niebezpiecznie zachwiała się na nogach.

Cole bez trudu uchylił się przed ciosem brata, ale sam nie odpowiedział uderzeniem. Kiedy Frank ponownie spróbował rzucić się na niego, Cole obrócił go, chwycił w pól od tyłu i po prostu uniósł do góry. Frank bezradnie machał w powietrzu nogami, co rozwścieczało go tym bardziej.

- Niech cię szlag! - udało mu się w końcu wyswobodzić, ale kiedy miał zamiar zaatakować ponownie, Shawn chwyciła go za ramię.

- Frank! - wykrzyknęła, - Daj spokój, skarbie. Przecież on nie może zabrać winnicy. I dobrze o tym wie.

- Ale udaje, że nie wie! - Frank pozwolił jednak, by Shawn trochę uporządkowała jego przekrzywiony krawat i kołnierz. - No więc my nie chcemy cię tutaj, ty cholerny futbolowy gwiazdorze! Zrozumiałeś wreszcie?!

Jessica spojrzała na Cole'a. Podziwiała go za to, że nawet zaatakowany nie uderzył

swego słabszego brata. A przecież przez cały czas był do tego prowokowany. Trzeba było ogromnego opanowania, żeby tak spokojnie znosić te wszystkie obelgi.

Okazało się jednak, że to panowanie nad sobą kosztowało Cole'a więcej, niż można było przypuszczać. Nagle nogi się pod nim ugięły, gwałtownie zamrugał powiekami i - ku przerażeniu Jessiki - upadł na ziemię bez przytomności.

- Cole! - wykrzyknęła wstrząśnięta.

Niezbyt przytomna Lucy patrzyła na to wszystko szeroko otwartymi oczami, a potem zakryła sobie twarz dłońmi.

Jessica opuściła się na kolana tuż przy głowie Cole'a. Jego ciało było całkowicie bezwładne, wciąż pozostawał nieprzytomny. Roztrzęsiona Jessica zaczęła go gwałtownie klepać po policzkach.

- Cole! Co z tobą? Obudź się! Proszę cię, Cole!

ROZDZIAŁ ÓSMY

Cole znów spadał w jakąś przepaść, czując jednocześnie bezrozumne przerażenie i silne mdłości. Ciemna mgła przed oczami sprawiała, że nadal nic nie widział. Wcześniej już dwa razy zdarzyło mu się coś takiego na boisku i przeraziło go bardziej, niż chciałby się przyznać. Teraz usiłował usiąść i otworzyć oczy, ale własne ramiona wydawały mu się przeraźliwie ciężkie, podobnie jak stopy. A poza tym z jakiegoś powodu wciąż nie mógł złapać oddechu.

Nagle ta ciemna mgła przed jego oczami gdzieś znikła. Rozejrzał się dookoła. W poprzednich przypadkach charakterystyczne było właśnie to, że przez dłuższy czas nic nie widział. Jednak tym razem było inaczej. Zobaczył jakiś blask, coś tak rozjarzonego, że musiał przymrużyć oczy.

Ten nagły blask to było odbicie promieni słońca od wypolerowanej stali wzniesionego do uderzenia szerokiego, zakrzywionego miecza. Do diabła! Jakiś wariat ni z tego, ni z owego chciał mu nagle uciąć głowę! Cole spiesznie przetoczył się na bok, żeby uniknąć uderzenia, i zerwał się na równe nogi. Lewą ręką instynktownie chwycił ponownie wznoszoną broń za rękojeść, wyrwał ją napastnikowi i sam zadał cios, obcinając mu ramię. Tamten zawył rozpaczliwie i padł na kolana. Cole ponownie wznosił miecz i uderzył wprost w głowę, owiniętą egzotycznym turbanem. Cios rozplątał napastnika aż po obojczyk. Cole wyciągnął zakrwawiony miecz. Nieznany mężczyzna leżał już całkowicie bez ruchu u jego stóp. Ciężko dysząc, Cole ponownie uniósł miecz. Żelazna rękawica i ramię jego zbroi były aż po łokieć unurzane we krwi. Zresztą i cała kolczuga ociekała cuchnącą już w tym straszliwym upale mieszaniną krwi i potu, który strumieniami spływał spod rozpalonego hełmu na twarz i przede wszystkim do oczu. Ale nie było czasu nawet na chwilę odpoczynku, bo w jego stronę już pędził następny Saracen.

Cole półprzytomnie rozejrzał się dookoła. Wraz z dwunastką towarzyszy bronił mostu na rzece. Wszędzie dookoła leżały ciała zabitych rycerzy - Francuzów, Anglików, Niemców i Saracenów. Nieco dalej cały brzeg rzeki zawałony był ciałami ludzi i koni, wraz z bojowym rynsztunkiem, mieczami, włóczniami i tarczami. Ci którzy skoczyli w nurt rzeki, tonęli w jej głębinach. Ale najważniejsi byli ci Saraceni, którzy teraz atakowali most, usiłując wyprzeć zeń chrześcijańskich rycerzy.

Grad saraceńskich strzał leciał w jego kierunku. Większość z nich odbiła się od jego tarczy. Rozwścieczony i żądny krwi, znów wznosił miecz. Gotów był walczyć na śmierć i życie, żeby obronić ten most, dopóki William z Doom nie nadciągnie z posiłkami.

Twarz Cole'a była przerażająco blada mimo opalanej skóry, a pod półprzymkniętymi powiekami widać było gwałtowne ruchy gałek ocznych. Jessica znów zaczęła go klepać po policzkach. Pełna przerażenia podejrzewała, że mógł o coś uderzyć tyłem czaszki i doznać wstrząsu mózgu. Podparła mu więc głowę własnym przedramieniem i przyjrzała się dokładnie jego źrenicom. Wyglądały normalnie. Frank i Shawn stali nieruchomo, patrząc na Cole'a, podczas gdy fotoreporterzy biegali dookoła tam i z powrotem, filmując i fotografując, co się tylko dało.

- Nie możecie go wreszcie zostawić w spokoju?! - wrzasnęła na nich Jessica. - Wynoście się stąd! No już!

- Co mu się mogło stać? - spytała Shawn.

Nim Jessica zdążyła odpowiedzieć, Cole jęknął, a wsparta na jej dłoni głowa poruszyła się. Gdzieś w głębi serca Jessica poczuła nie dającą się opisać ulgę.

- Odsuńcie się wszyscy! On potrzebuje powietrza! - machnęła drugą ręką w stronę reporterów. - Mówiłam już, żebyście się wynosili!

Ci jednak ani myśleli odejść, zdecydowani wycisnąć wszystko, co się tylko da z tego sensacyjnego wydarzenia ze znanym sportowcem. Natomiast Frank i Shawn posłusznie się cofnęli, gdy Cole w końcu Usiadł, mrużąc oczy i pocierając tył głowy i kark.

- Co się stało? - zapytał cicho.

- Zemdlełeś - powiedziała Jessica, kładąc dłoń na jego ramieniu, - Czy już wszystko w porządku?

- Taak... - Znów potarł kark i potrząsnął głową, jak gdyby chciał się z czegoś otrząsnąć. - Tak, w porządku.

Jessica, naprawdę już wściekła, spojrzała przez ramię na wciąż stojących obok nich reporterów.

- Zostawcie nas w spokoju albo zaskarżę was o napastowanie i naruszanie naszej prywatności!

Jeden z reporterów zachichotał szyderczo, ale w końcu wszyscy oni zdali sobie sprawę, że najbardziej sensacyjna część wydarzenia już dobiegła końca. Zabrali ekwipunek i odeszli.

Cole wyciągnął rękę. - Możesz mi pomóc, Jessico?

Chwyciła jego dłoń obiema rękami i pomogła mu wstać. Cole otrzepał swój płaszcz.

- Czy już z nim wszystko w porządku? - zapytała Shawn.

- Tak, w porządku. Wszystko będzie dobrze. Jedźcie już - Jessica nawet nie spojrzała na Shawn i Franka. Objęła Cole'a ramieniem i razem z nim ruszyła w stronę zaparkowanego

nieopodal czarnego Jaguara. Lucy dość niepewnie szła za nimi, sprawiając wrażenie kompletnie oszołomionej przebiegiem wydarzeń.

Doprowadzony do prawych drzwi wozu Cole zatrzymał się.

- Mogę prowadzić - powiedział. - Czuję się już zupełnie dobrze.

- No, nie wiem...

- Może! - potwierdziła Lucy, cokolwiek bełkotliwie. - Nigdy mu się nie zdarza, żeby zemdlał raz za razem. - Z trudem powstrzymywała nachodzącą ją czkawkę.

- To wysoce pocieszające - mruknęła Jessica. - Czy to jest opinia specjalisty?

- Ona ma rację - powiedział Cole. - Kiedy mi się to przydarza, po prostu nagle tracę przytomność, ale zaraz potem znów czuję się bardzo dobrze. Żadnych dalszych niepożądanych skutków. Możesz mi wierzyć.

Przeszedł na lewą stronę.

- Lucy, może byś usiadła z tyłu, co? Sądząc z twojego wyglądu, i tak za chwilę uśniesz.

Jessica patrzyła z pewnym zdziwieniem, jak posłusznie Lucy wypełnia polecenie Cole'a. No tak, gdyby to rzeczywiście był jej *boyfriend* albo po prostu kochanek, z całą pewnością nie wpuściłaby innej kobiety na miejsce obok niego.

Tymczasem Cole właśnie jej zaoferował to miejsce, otwierając przed nią drzwi. Jessica z satysfakcją usiadła w świetnie wyprofilowanym fotelu, pokrytym miętko wyprawioną skórą.

Cole usiadł za kierownicą i uruchomił silnik. Potem wyciągnął rękę i pogłaskał złożone na kolanach dłonie Jessiki.

- Dzięki, Jess! - powiedział. Jeszcze przez chwilę jego ciepła dłoń obejmowała jej palce. Potem sięgnął do dźwigni zmiany biegów.

Jechali w kierunku północnej części Seattle. Milczeli oboje, ale w tym milczeniu nie było nawet śladu jakiegokolwiek napięcia czy skrępowania. Raczej było to poczucie wzajemnego zrozumienia, nie wymagającego słów. Jessica od czasu do czasu zerknęła na tak bardzo męski profil Cole'a, zastanawiając się, co też mogło być przyczyną tego nagłego omdlenia. Wyglądał wprost na okaz zdrowia.

Zauważyła, że kierują się w stronę dzielnicy uniwersyteckiej. Czyżby Cole nie zamierzał jej odwieźć do domu?

- Dokąd jedziemy? - spytała.

- Musimy najpierw zawieźć Lucy do hotelu. Ona już padła.

Jessica spojrzała do tyłu. Jessica siedziała ukosem, właściwie na wpół leżała, z głowa

opartą o podłokietnik lewego okna. Spała jak dziecko, z lekko otwartymi ustami.

Gdy już znaleźli się pod hotelem, Lucy pomogła Cole'owi wyciągnąć rozespaną Lucy z wozu i w miarę dyskretnie zaprowadzić do windy w hotelowym hallu. Potem Cole po prostu wziął Lucy na ręce i zaniósł ją do jej pokoju. Jego własny pokój mieścił się obok, a oba pomieszczenia połączone były wewnętrznymi drzwiami - najpewniej dla wygody, pomyślała Jessica. Usiadła w fotelu przy telewizorze, podczas gdy Cole zaniósł Lucy do jej sypialni, by zapakować ją do łóżka.

W chwilę później Cole wytknął głowę przez futrynę łazienki.

- Muszę jeszcze wyjąć swoje szkła kontaktowe - powiedział. - Za chwilę będę gotowy.

Jessica skinęła głową, a potem zaczęła przyglądać się wnętrzu, w którym panował spory bałagan. Łóżko Cole'a było co prawda zaścielone, ale zarówno na nim, jak i w ogóle wszędzie, porzucane były różne części męskiej garderoby. Z otwartej walizki wysypywały się wciśnięte tam na siłę stopy skarpetek i bielizny. Obok łóżka leżały rzucone na podłogę jakieś kolorowe magazyny, między innymi *Sports Illustrated* i *Wine Spectator*. Tuż obok jej fotela piętrzył się spory stos męskiego obuwia. Całą siłą woli musiała się powstrzymać, żeby nie uklęknąć na podłodze i nie zacząć tego ustawiać porządnie, para obok pary.

Po wyjściu z łazienki Cole pojawił się już w zwykłych okularach w cienkiej metalowej oprawce, harmonizującej z ciemnobrązowym kolorem jego włosów. Te okulary nadawały jego twarzy wyraz pewnej sympatycznej bezradności, dziwnie kontrastującej z tak atletyczną sylwetką. Jessica bardzo się to podobało.

- Przyglądasz się temu bałaganowi? - spytał. Spojrzała na niego z uśmiechem.

- Chyba lepiej byłoby, żebyś nie jadł kruchych herbatników akurat w łóżku - podniosła się z fotela.

Cole tymczasem rozpiął mankiety koszuli i rozwiązał krawat, który rzucił na najbliższe krzesło.

- Jestem już dużym chłopcem, panno Ward, i mogę robić w łóżku wszystko, na co mam ochotę.

Jessica zarumieniła się mimo woli. Na szczęście Cole akurat odwrócił się w stronę szafy. Ściągnął z siebie wieczorową koszulę i sięgnął po podkoszulek. Jessica wciąż mu się przyglądała, kiedy rozbierał się na jej oczach, choć coś tam w środku mówiło jej, że raczej nie powinna się tak zachowywać. Cole znalazł w szafie gruby sweter i włożył go na podkoszulek.

- Od razu się lepiej czuję! - powiedział. - Nie znoszę krawatów. Musiała je wymyślić jakaś kobieta.

Jessica skrzyżowała ręce na piersi.

- Wobec tego to mężczyźni musieli wymyślić pantofle na wysokich obcasach i biustonosze.

- Biustonosze na pewno nie. Za dużo z nimi zachodu.

- Przecież to kobiety muszą je nosić.

- Owszem - sięgnął do klamry paska. - Ale to mężczyźni muszą się potem męczyć i rozpinać je po ciemku.

Wyciągnął pasek ze spodni, a Jessica zaczęła się zastanawiać, co on jeszcze zamierza zdjąć i czy przypadkiem ich konwersacja nie zeszała już na zbyt grząski grunt, jak na jej poczucie tego, co wypada. Cole dostrzegł to jej wahanie i uśmiechnął się.

- Zamierzam zdjąć spodnie, a zamiast nich włożyć dzinsy. Ty oczywiście możesz się temu przyglądać. Albo też odwrócić się tyłem.

Jessica obróciła się gwałtownie i usłyszała za sobą jego chichot, najpewniej właśnie przy zdejmowaniu spodni. Potem można było usłyszeć brzęk klamry zapinanego na dzinsach paska.

- Czy zechciałabyś rzucić mi brązowe mokasyny? - spytał. Jessica pochyliła się, odszukała odpowiednią parę i nie patrząc rzuciła za siebie. Dopiero później zaryzykowała zerknięcie do tyłu. Cole siedział pochyłony i wkładał pantofle. Mogła się już odwrócić.

- Najwyraźniej jesteś przyzwyczajony do przebierania się na oczach innych ludzi - powiedziała nieco zgryźliwie.

- Za często muszę się przebierać w różnych wspólnych szatniach, żeby się tego wstydzić. - Spojrzał na nią i wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Za to ty z pewnością należysz do tych, co to rozbierają się dopiero wtedy, kiedy już zgaszą światło. - Podniósł się z krzesła. - I mogę się założyć, że piżamy dla większej skromności nosisz zapinane pod szyję.

- Zakonnice nie noszą piżam.

- Naprawdę? - roześmiał się Cole. - No więc co noszą?

- Dowiesz się dopiero po inicjacji. - Lekkim krokiem ruszyła w stronę drzwi. Udawała znacznie pewniejszą siebie, niż była w rzeczywistości. Ta cała rozmowa o rozbieraniu się i ubieraniu to nie był bezpieczny temat.

Cole stanął tuż za nią.

- A jak się przechodzi tę inicjację, siostrzo przełożona?

- Trzeba złożyć ślubowanie, tak jak wszyscy - otworzyła drzwi. Wyszła z jego pokoju z nieukrywaną ulgą.

I znów jechali w milczeniu niemal przez całą drogę, aż do chwili, kiedy znaleźli się prawie na samym szczycie wzgórza nad Moss Cliff.

- To tu pierwszy raz zobaczyłam tego mnicha - powiedziała Jessica, wskazując na tablicę z wymalowanym logo winnicy. - Szedł tu drogą, tuż przed maską mojego samochodu.

- Po zmierzchu?

- Tak.

- Dziwne.

Przejeżdżali teraz koło reprezentacyjnych nasadzeń winnej łązy, usytuowanych tu na szczycie wzgórza specjalnie po to, żeby turyści zdążyli wejść w odpowiedni klimat jeszcze przed dojechaniem do samej winnicy. Potem droga biegła w dół i w świetle reflektorów można już było dostrzec zarys dachu rezydencji Cavanettich i migotliwe refleksy w wodzie usytuowanego obok stawu.

- To piękne - szepnęła Jessica. - Niezależnie od tego, ile razy tędy przejeżdżam, to wciąż jest piękne.

- Cholernie piękne - mruknął Cole. Własnymi rękami wykopał prawie cały ten staw, a i te pokazowe winorośle sadił też głównie on. Jessica dostrzegła, że jego palce nagle zacisnęły się na kierownicy. Jego profil wydawał się teraz bardziej ostry, a nozdrza rozszerzyły się pod wpływem jakichś emocji, których nie pojmowała. Może to była miłość, a może nienawiść - a najpewniej słodkogorzka mieszanka jednego i drugiego.

- Cole, dlaczego porzuciłeś tę winnicę? - spytała cicho.

- Bo wtedy jej nienawidziłem.

- A teraz?

- Cóż to ma za znaczenie teraz. - Skręcił z drogi w podjazd prowadzący do domu Wardów. - Słyszałaś przecież, co Frank powiedział.

Jessica wysiadła z samochodu i zamierzała ruszyć w stronę ganku, gdy usłyszała za sobą głos Cole'a:

- Jess.. ?

Spojrzała przez ramię. Cole przejechał palcami po swych krótko ostrzyżonych włosach. Po raz pierwszy wydawał się lekko speszony, jakby niepewny siebie.

- Tak, Cole?

- Co byś powiedziała na krótki wspólny spacer?

- Teraz?

- Tak. Chyba że jesteś zbyt zmęczona i senna?

Gdyby mogła być szczerą, odpowiedziałaby, że wprost przeciwnie. Że dawno już nie była tak pobudzona emocjonalnie i nie przeżyła tak niezwyklej huśtawki uczuć - i to od samego początku aż do tej chwili.

- Jestem jakiś taki naładowany i spięty jednocześnie - mówił dalej Cole. - Popatrz, noc jest tak jasna. Moglibyśmy przejść się do rzeki i wrócić. Co ty na to?

- Bardzo chętnie, tylko musiałabym zmienić buty.

- No to wspaniale. - Cole wyłączył światła wozu i wysiadł. Wszedł do domu w ślad za Jessica, która modliła się w duchu, żeby się okazało, że jej ojciec nadal śpi w fotelu w swoim pokoju.

- Zaczekasz tu, aż się przebiorę? - zapytała.

- Dlaczego? Ty mogłaś się przyglądać, jak się przebieram, a ja **nie** mogę? To nie fair!

- Zechce pan wziąć pod uwagę, panie Nichols, że ja nie mam za sobą doświadczenia częstego rozbierania się we wspólnych szatniach - zdjęła płaszcz i powiesiła go w szafie. - To potrwa tylko chwilę.

Zdjęła jedwabne spodnie i zastąpiła je džinsami. Zamiast wieczorowej tuniki włożyła starą górę od dresu z godłem uniwersytetu. I przez cały czas nie mogła wyjść z zadziwienia, że oto Niccolo Cavanetti czeka na nią i że za chwilę pójda razem na spacer.

Przed laty, bawiąc się w berka, często razem biegali po winnicy, zdyszani aż do utraty tchu. Kiedy przychodziło gorące lato, nieraz wrzucali się wzajemnie z brzegu prosto do rzeki, która łagodnymi meandrami wiła się poniżej wzgórza.

Ale teraz, po latach, już sama myśl o tym, by pójść tam z nim na spacer przy księżycu, wydawała się niezwykła i niemal romantyczna. Odwiesiła tunikę do szafy i skarciła sama siebie za to, że znów fantazjuje i wymyśla sobie Bóg wie co. Cole po prostu potrzebował teraz czyjś towarzystwa, nie chciał być sam po takim szoku. I nie zaprosił jej po to, żeby ją bawić. Po prostu akurat ona była tą osobą, którą najłatwiej mu było znieść w takiej sytuacji.

Wysypaną żwirem dróżką między garażem i dobudówką z pokojami dla gości przeszli na tył posesji, do schodzącej w dół ścieżki, prowadzącej już do właściwej winnicy. W jasnym świetle księżycy Jessica mogła widzieć całe zbocze, porośnięte tu przed laty winoroślą, od szczytu aż po bagnisty w tym miejscu brzeg rzeki. Wciąż był to widok imponujący, chociaż panowała akurat zima, wszystkie liście opadły, a nagie i pokręcone gałązki łązy wyglądały jak własne cienie, powiązane ogrodniczym sznurkiem.

Ścieżka była bardzo wąska, toteż Jessica szła z tyłu za Cole'em. Znów nic nie mówili aż do momentu, gdy znaleźli się już u podstawy wzgórza, co najmniej półtora kilometra od domu. Niżej srebrzyła się rzeka. Skręcili na dość zaniedbaną drogę prowadzącą wzdłuż brzegu z zagłębionymi w niej co kilka metrów ceramicznymi rurami, które w razie potrzeby odprowadzały nadmiar wody ze stoku. Jessica wiedziała, że te przepusty zakładał sam Cole, razem ze swoim ojcem. Zresztą gdziekolwiek się spojrzało, wszędzie można było dostrzec

ślady ich ciężkiej pracy. Ta winnica była wręcz zroszona ich potem i krwią, zarówno syna, jak i ojca.

Doszli do drewnianego mostku, który nad bagnem i rzeką prowadził na drugi brzeg.

Cole zatrzymał się nad samym środkiem nurtu i oparł się o drewnianą poręcz, która zachybotała się niebezpiecznie.

- Przydałoby się tu parę gwoździ - powiedział. - Za chwilę to oparcie może runąć.

- Tylko nie wpadnij! - ostrzegła Jessica. - Tu jest tak głęboko, że chyba nie potrafiłabym cię uratować.

Oparł się o poręcz obiema rękami i spojrzał na nią.

- Myślę, że kto jak kto, ale ty byś mnie uratowała, świętobliwa zakonnico.

Nie przestawał wpatrywać się w nią, a ona nie wytrzymała tego spojrzenia i spuściła wzrok. Znowu wydawał się taki rozluźniony, taki pewny siebie. Więc czemu ona dla odmiany musiała być kłębkim nerwów? Wsadziła dłonie do kieszeni wiatrówki i stanęła obok niego przy poręczy.

- Nawet jeśli potrafię dobrze pływać, wciąż mógłbyś być za wielki dla mnie - powiedziała, zdając sobie nagle sprawę, że ich słowa nabierają podwójnego znaczenia.

- Ty jesteś z tych, co w końcu wypływają.

W jego oczach znowu błyskały iskierki rozbawienia, jak gdyby się z nią droczył, bawił się w jakąś grę. Jessica wyprostowała się.

- Gdybyś wpadł, wystarczyłoby, żebym zdjęła swoją aureolę świętej i podała ci jako koło ratunkowe.

Powiedziała to z jawnym sarkazmem, ale jego to tylko jeszcze bardziej rozbawiło.

- A gdybym umarł, zmówiłabyś modlitwę i natychmiast bym ożył. - Wydłubał jakiś drobny kamyk ze szczeliny pękniętej poręczy i rzucił go do wody. - Tak, gotów byłbym się założyć, że ty, Jessica Ward, potrafiłabyś to. Potrafiłabyś wyciągnąć człowieka nawet z tamtego świata.

Zamilkł, przyglądając się nikonącym już kręgom po wrzuconym do wody kamyku. O czym on mówi? - zastanawiała się Jessica. I to tak serio! Jeszcze przed chwilą uśmiechnięty i wręcz rozbawiony, a teraz niespodziewanie melancholijny. Najchętniej przytuliłaby się do niego, objęła i pocałowała, dodając mu otuchy i mówiąc, że zrobi dla niego wszystko. Zamiast tego stała jak wmurowana, bojąc się nie tylko odezwać, ale nawet ruszyć ręką.

Cole wrzucił do wody następny kamyk.

- Ten most zawsze był dla mnie czymś w rodzaju symbolu - powiedział po chwili.

- To znaczy?

Popatrzył na winnicę, a potem na drugi brzeg rzeki, gdzie ścieżka wydeptana przez biegających tu dla zdrowia mieszkańców enklawy prowadziła nad bagnem w stronę parku i rozciągającej się zaraz za nim oceanicznej zatoki.

- Dzień w dzień pracowałem tu w winnicy ojca i patrzyłem na ten most. Mogłem stąd widzieć ludzi w parku, nieraz całe rodziny z dziećmi i psami, jak przyjeżdżają luksusowymi samochodami, pięknie ubrani, jak rozpakowują kosze prowiantów na piknik, jak bawią się i odpoczywają. - Rzucił kolejny kamyk. - Mój ojciec nigdy nie miał czasu, żeby mnie zabrać dokądkolwiek. Matka była tak chora, że nie mogła mi nawet poczytać książki. I przez całe lata nie miałem żadnego wolnego popołudnia czy wieczoru, jeżeli nie liczyć niedziel. Ale nawet wtedy nie pozwalano mi nigdzie wychodzić. Rodzice bali się, że włoskiego dzieciaka mógłby ktoś pobić w tym parku. - Roześmiał się gorzko. - A przecież i tak stale bili mnie w szkole, więc nie wiem, co to byłoby za różnica, gdyby za moje pochodzenie pobili mnie również w parku.

- Więc nigdy nie przeszedłeś tym mostkiem na drugą stronę?

Potrząsnął głową.

- Nie, dopóki nie nauczyłem się grać w amerykański futbol. Dopiero tym wykupiłem się z tego niewidzialnego getta. Kiedy okazało się, że dobrze gram, od razu zostałem zaakceptowany. Wkrótce potem mogłem już iść do każdego parku, jaki mi się tylko wydawało. I wiesz co?

- Co?

Cole wyprostował się i otarł ręce o swe stare dżinsy.

- Przekonałem się, że chodzenie do takich parków to wcale nie taka frajda, jak się wydawało.

- Może dlatego, że zapomniałeś zabrać ze sobą psa i kosz z jedzeniem? - powiedziała, zabawnie unosząc brew.

Cole spojrzał na nią i mimo woli się uśmiechnął.

- Kompletnie zwariowałaś! - mruknął i roześmiał się cicho. - No dobra, wracajmy.

Teraz Jessica szła przodem i czuła na sobie wzrok Cole'a podczas całej drogi pod górę, niemal bez przerwy. Na szczycie wzgórza była naprawdę zmęczona i ciężko dyszała, natomiast u Cole'a trudno byłoby zauważyć choćby ślad jakiegoś wysiłku.

Patrząc na nią, roześmiał się, a potem po prostu zarzucił ją sobie na ramię i poniósł w stronę domu mimo jej gwałtownych protestów, wierzgania i domagania się, żeby ją natychmiast postawił z powrotem na ziemi.

- Burns! - powiedział w końcu i roześmiał się, stawiając ją na ganku.

- Brutal! - krzyknęła, wrywając się z uścisku. Potem natychmiast? odwróciła się, żeby Cole nie zauważył jej uśmiechu, kiedy poprawiała) sobie włosy i przekreślała klucz w zamku. Cole stał obok, a ona niej mogła nawet zaprosić go na filiżankę gorącej czekolady. Po prostu bała się, że po wejściu mogą znaleźć ojca na podłodze w kuchni albo w łazience, półnagiego i pijanego do nieprzytomności. Choć dałaby wiele, żeby to tak miłe dla niej sam na sam jeszcze się nie skończyło, nie mogła ryzykować. Cole w żadnym wypadku nie powinien widzieć jej ojca pijanego.

Cole oparł dłoń o drewnianą framugę.

- No cóż, czas na mnie. - Spojrzał na nią i znów przeczesał włosy palcami, jak gdyby nie był pewien, czy powinien powiedzieć coś jeszcze.

- No to dobrej nocy, Cole. - Wyciągnęła do niego rękę. - Dziękuję za odwiezienie.

- Drobiazg. - Uśmiechnął się i uścisnął jej dłoń, jakby nieco rozbawiony tym tak formalnym pożegnaniem. - Jessico...

Jej dłoń wciąż pozostawała w jego dłoni.

- Tak?

- Chciałem tylko powiedzieć, jak bardzo się cieszę, że tu jesteś. Nie wiedziałem... - zająknął się i uciekł wzrokiem gdzieś w bok - To znaczy, nie wiedziałem, że to aż tyle będzie dla mnie znaczyć - zobaczyć na nowo mój dom, mojego ojca... i zobaczyć ciebie.

Te słowa sprawiły, że Jessica poczuła ciepło w okolicach serca. Kiedy Cole znów odważył się spojrzeć na nią, uśmiechnęła się do niego.

- Ja też się bardzo cieszę, że cię znów spotkałam - odpowiedziała cicho.

Bardzo chciała go pocałować i wiedziała, że gdyby tylko potrafiła to zrobić, mogłaby na nowo uczynić go szczęśliwym.

- Dobranoc, Niccolo - powiedziała.

- Dobranoc.

Odwrócił się gwałtownie i szybkim krokiem ruszył w stronę samochodu. Jessica przekreśliła klucz od środka i całym ciałem oparła się o drzwi. Czowała się pełna rozdzierającej tęsknoty, ale też i szczęścia.

Cokolwiek chwiejąc się na nogach Frank wszedł do sypialni i zobaczył przy otwartej szafie swoją żonę, wciąż jeszcze ubraną w suknię, którą miała na sobie podczas przyjęcia. Sięgnął po leżącą na łóżku poduszkę. Shawn przyglądała się temu dosyć ironicznie, z rękami wyzywająco wspartymi na biodrach. Jej nogi były szczególnie długie i seksualnie podniecające w tych pończochach z czarnym szwem i w pantoflach na wysokich obcasach. Najchętniej chwyciłby ją za te cieniutkie kostki i ścisnął tak mocno, aż zaczęłaby jęczeć. W

całej tej sukni było coś takiego, że Shawn wyglądała w niej bardzo sexy, ale jednocześnie inaczej niż zwykle - już nie jak byle jaka tania dziwka. A była taką właśnie sprytną dziwką, która złapała go sobie na męża, zachodząc w ciążę. Czuł się w obowiązku ożenić się z nią, podobnie jak uczyniłby to w takim przypadku każdy z Cavanettich - choć początkowo Shawn miała być ledwie przerywnikiem w długim łańcuchu jego różnych przyjaciółek, głównie z uniwersytetu. Dopiero w jakiś czas po ślubie okazało się, że Shawn poroniła. I teraz przyszedł czas, żeby wreszcie odczepić się od niej. Tyle tylko, że dziś w tej sukni była naprawdę pociągająca.

- Gdzie ty się wybierasz, Frank? - spytała z jawnie prowokacyjnym uśmiechem.

Wyprostował się, nadal trzymając poduszkę w lewej ręce.

- Będę spać na kanapie w dużym pokoju.

- I czemuż to? - wciągnęła wielki haust dymu przez swą długą cygarniczkę i zatrzymała go w płucach.

- Bo tak chcę.

- Czy aby na pewno? - spytała. Wypuściła wielki kłęb dymu i wolno zrobiła kilka kroków. Już to, jak kołysała biodrami, sprawiło, że Frankowi zakręciło się w głowie. - A może po prostu boisz się pieprzyć mnie pod dachem mamusi? Żeby przypadkiem nie usłyszała jakichś odgłosów?

- Nie pleć głupstw.

Shawn zsunęła z pięt wieczorowe pantofelki i dwoma kopnięciami; odrzuciła je w kąt. Znow zaciągnęła się głęboko i pochylając się nad; mężem, zbliżyła usta do twarzy Franka ledwie na parę centymetrów. Frank odchylił się, ale nie zrobił kroku do tyłu. Ta cholerna suknia sprawiała, że przez cały wieczór był wściekły w równym stopniu z zazdrości, jak i z pożądania. Jej młode piersi kusząco odsłaniały się w tym dekolcie - tak białe i pociągające. Zapraszające. Jedyne, czego pragnął, to wtulić w nie twarz i całować bez końca. Teraz znow poczuł, że jego ciało reaguje na bliskość jej ciała. Działo się dokładnie to, czego chciała Shawn. Frank zacisnął wargi, pełen pogardy dla własnego braku charakteru.

Wiedział przecież, że dopiero co skończyła kolejny romans. Nawet nie próbowała tego ukrywać, a co gorsza, jej kochankiem był tym razem jeden z jego tenisowych kumpli. Nie miała w sobie nawet tej odrobiny przyzwoitości, żeby przynajmniej trzymać się z daleka od jego znajomych. Tak, matka miała absolutną rację, kiedy mu mówiła, że nie jest to kobieta, która pomoże mu w karierze. No, ale z drugiej strony - naprawdę go podniecała. Co do tego nie można było mieć wątpliwości.

- Podoba ci się moja sukienka? - spytała, przeciągając dłonią po jego krawacie. Frank

gwałtownie wciągnął powietrze, próbując zachować resztki panowania nad sobą. Z niewielkim skutkiem.

- No więc jak mi w niej?

- W porządku, podoba mi się.

- A chciałbyś zobaczyć, co mam pod spodem?

Zanim zdążył odpowiedzieć, Shawn podciągnęła suknię go góry, ukazując kształtne uda, których biel jaskrawo kontrastowała z ciemną górą pończoch, trzymających się tylko na podwiązkach wąskiego paska z czarnej koronki. Majtek w ogóle na sobie nie miała.

Frank dyszał ciężko. Zaciśnął palce na wciąż trzymanej w dłoniach poduszce i w tym samym momencie poczuł natychmiastową erekcję. Próbował się bronić, wytrwać przy postanowieniu, że już nigdy, przenigdy nie położy się do łóżka z tą suką. Żebyż tylko wytrwać!

Niepotrzebnie przymknął oczy. Shawn skorzystała z tego i sięgnęła mu do rozporoka, co ostatecznie przełamało jego słabnący opór.

- Niech cię szlag! - Frank rzucił poduszką o ziemię i chwycił Shawn, gwałtownie przyciągając ją do siebie. Całował jej brzuch i piersi, ciągnąc ją jednocześnie w stronę łóżka. To będzie ten ostatni raz, absolutnie ostatni!

Do końca ściągnął z niej suknię, a potem zaczął całować i ssać twardniejące sutki, podczas gdy Shawn nadal manipulowała przy jego rozporoku. Wiła się pod Frankiem, doprowadzając go niemal do szaleństwa - odpychała go co chwila, ale nie puszczała, kiedy chciał się wyrwać. Zdał sobie sprawę, że ręce mu się trzęsą jak alkoholikowi. Dobry Boże, gdyby matka wiedziała, jak słabym gnojkiem okazywał się jej syn, dostałaby chyba zawału.

Frank uniósł głowę, dysząc ciężko, a jednocześnie manipulując palcami przy jej udach, żeby rozpiąć podwiązki i pas. Niewiele brakowało, by doszedł do wytrysku na samą myśl o Shawn leżącej pod nim z rozchylonymi kolanami - do takiego zbliżenia nie dochodziło między nimi już od miesiący.

Shawn nagle ujęła go za podbródek.

- Czy przekazałeś już swej mamie wielką nowinę? - spytała.

- Co takiego? - stęknął chrapliwie, patrząc na złośliwie uśmiechniętą twarz żony. Erekcja skończyła się niemal natychmiast. - Jaką nowinę?

- No oczywiście twoją wielką nowinę, skarbie - powiedziała i znów prowokująco przejechała czubkiem szkarłatnego paznokcia po jego klatce piersiowej.

Ale Frank wiedział, że to już nic nie pomoże. I że ta suka zrobiła mu to rozmyślnie. Podnieciła specjalnie po to, żeby zaraz potem go upokorzyć.

- Czy coś się stało, skarbie? - wyduła wargi i spojrzała w stronę jego rozpiętych spodni. - Czyżby ten rycerski miecz nagle stracił hartowność? No nie!

- Suka! - Frank zerwał się i gwałtownie zaczął zapinać rozporek. Jego twarz była czerwona i wilgotna od potu. - Obrzydliwa suka!

Shawn podparła się na łokciu, ale kolana nadal pozostawiła rozwarłe. Uśmiechała się przy tym tak, że Frank miał ochotę ją uderzyć. O Boże, jak bardzo chciał to zrobić!

- No więc, co to się stało, skarbie? - spytała słodko Shawn. - Czyżby to dlatego, że coś powiedziałam?

- Masz się stąd natychmiast wynieść! - Frank podniósł z podłogi poduszkę, którą wcześniej rzucił. - Jutro z samego rana!

- Ależ skarbie...

- Jutro! - powtórzył i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Jeszcze długo po odjeździe Cole'a Jessica stała wciąż oparta o drzwi, przypominając sobie wszystko, co jej powiedział. I to, jak z nią tańczył. I jak na koniec zarzucił ją sobie na ramię i zaniósł aż do domu.

Emocje rozhuśtały się w niej do tego stopnia, że była bliska jednocześnie szaleństwa i ekstazy. W każdym razie zdawała sobie sprawę, że o zaśnięciu nie może być mowy jeszcze przez dobrych kilka godzin.

Noc była jasna, a rozgwieżdżone niebo absolutnie czyste. Wprost idealne warunki do obserwacji gwiazd. Należało to wykorzystać. Ze schowka pod schodami wyciągnęła przenośny teleskop i zaniósła go na wąski balkonik poddasza.

Tam zabrała się do precyzyjnego ustawiania i nakierowywania posłusznego jej instrumentu. Rutynowe nawyki miała tak utrwalone, że mogłaby to wszystko robić z zamkniętymi oczami. Ustawianie i poziomowanie trójnogu, sprawdzanie kierunków, dokręcanie uchwytów śrub blokujących. I przez cały czas myślała o Cole'u. Żaden mężczyzna spośród tych, których spotkała w swym dorosłym życiu, nie sprawił nigdy, żeby jej serce zaczęło nagle bić w sposób tak oszalały, jak to się zdarzyło tej nocy. I przy żadnym z nich nie miała tego zdumiewającego poczucia, że w każdej chwili mogłaby się rozprysnąć na tysiące kawałeczków od samego tylko nadmiaru radości.

Jej nieliczne związki z mężczyznami okazywały się tak byle jakie i niezadowolające, że w ostatnich latach w ogóle już z nich zrezygnowała. Trudno było znaleźć kogoś, kto naprawdę mógłby ją zainteresować, a nawet gdy się w końcu ktoś taki znalazł, po paru miesiącach niezmiennie ją rozczarowywał. Nieraz sama siebie oskarżała o taki stan rzeczy. Może po prostu była niezdolna do znalezienia szczęścia w pożyciu z mężczyzną.

Na pewno żaden z nich nigdy nie wywołał w niej choćby cząstki tych uczuć, których doznawała w obecności Cole'a. Zastanawiała się, czy nie była to wciąż jakaś tam pozostałość jej dziewczęcego zauroczenia, przez następne lata podsycanego marzeniami i romantycznymi fantazjami.

Machinalnie zdjęła osłony z obiektywu i okularu. Czy w ogóle istniał na świecie jakiś mężczyzna dla niej? Cole był chyba już ostatnią nadzieją. Gdyby się na nim zawiodła, straciłaby wszystko. Nawet marzenia, a przecież już tylko marzenia jej pozostały. Pochyliła się nad soczewką okularu. A może powinna się trzymać z daleka od Cole'a? Może marzenia są lepsze niż realne życie, a ona - choćby przez rozum - powinna wybrać samotność?

Przez kilkadziesiąt minut próbowała wyciszyć rozpedzone myśli, obserwując kolejne wycinki nieba. W pewnym momencie postanowiła odsunąć się wraz z teleskopem, żeby móc lepiej widzieć zachodnią stronę, zasłanianą do tej chwili przez gałąź pobliskiego drzewa. Uniosła ciężki instrument i zaczęła się cofać, nie spuszczając oka z zawadzającej gałęzi. Powinno się udać, jeśli tylko potrafi ustawić trójnóg na samej krawędzi balkonu. Cofnęła się jeszcze o parę kroków i poczuła za sobą drewnianą poręcz. Postawiła trójnóg, a sama spróbowała jeszcze trochę odchylić się do tyłu.

W tym momencie stara spróchniała poręcz nie wytrzymała. Jessica krzyknęła rozpaczliwie, zagłuszając trzask pękającego drewna. Parę razy machnęła jeszcze rękami, usiłując utrzymać równowagę, ale bez skutku. Pod sobą miała półtora piętra domu i stromy stok, porośnięty krzewami kolczastych jeżyn.

Już miała runąć w dół, gdy nagle z mroku między framugą balkonowego okna a ciemnym załomem poddasza wysunęły się czyjeś ręce i pochwyciły ją bardzo mocno.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jessica została bezpiecznie złapana, ale przy tym szarpnięta z taką siłą, że w chwilę potem sama omal się nie przewróciła do tyłu, potracając swego nieznanego wybawcę i spychając go przez to w obszar jeszcze głębszego cienia pod nawisem dachu. Zerwała się na równe nogi i zaczęła się gwałtownie rozglądać. Bardziej od zagrożenia upadkiem przerażała ją teraz świadomość, że ktoś przez cały ten czas był tuż obok niej, gdzieś tu na górze, a ona nawet nie zdawała sobie sprawy z jego obecności.

Dyszała ciężko i z rosnącym lękiem wpatrywała się w ciemność. Serce waliło jej w piersiach z taką siłą, że zaczęła się obawiać, że popękają jej w uszach bębenki. Każde kolejne uderzenie pulsu zdawało się je rozsadzać.

- Kto tu jest? - krzyknęła. W odpowiedzi coś poruszyło się w mroku. - Kim jesteś? - Jej głos nagle się załamał.

Zza załomu dachu pojawił się mnich. Serce Jessiki niespodziewanie zamarło i niemal zupełnie przestało bić.

- Kim jesteś? - powtórzyła ochryple.

- Nazywają mnie Cosimo. Brat Cosimo - odpowiedział mnich, przesuając się tak, że można go było widzieć w świetle księżyca. Był wysoki i prawie tak samo szeroki w ramionach jak Cole. Jego wzrost podkreślał jeszcze spiczasty kaptur, rzucający cień na twarz, której rysy wciąż pozostawały w mroku. Mnich złożył ręce, chowając dłonie w szerokich rękawach zakonnego habitu, i stał nieruchomo, znów nie mówiąc ani słowa.

Jessica poczuła się odrobinę bezpieczniej. Nie trzymałby rąk schowanych w ten sposób, gdyby chciał jej zrobić coś złego. A poza tym przecież dopiero co uratował ją przed groźnym upadkiem. Chyba nie robiłby tego po to, żeby w chwilę później próbować ją skrzywdzić.

- Czego chcesz ode mnie? - zapytała.

- A więc ty mnie widzisz? - wydawał się zaskoczony. - Możesz mnie zobaczyć?

Powiedział coś bardzo dziwnego. Oczywiście, że mogła go zobaczyć, przecież zdarzyło się to już parę razy.

- Tak, mogę cię zobaczyć. A co, czy uważasz się za niewidzialnego? - spytała sarkastycznie.

Mnich w ogóle nie zareagował na ten jej ton, natomiast Jessica nagle poczuła się zawstydzona własnym zachowaniem.

- Przepraszam, bracie Cosimo. Powinnam najpierw podziękować za uratowanie mnie.

Jestem naprawdę bardzo zobowiązana. Tylko... to nagłe pojawienie się strasznie mnie zaskoczyło.

- Przykro mi, że tak się stało. Miałem nadzieję, że mnie nie widzisz.

- No więc, widzę cię, jak się okazuje. - Wzruszyła ramionami.

- I widziałas mnie też wtedy nocą, przy tym znaku?

- Tak. Zupełnie nagle, tuż przed szybą mojego samochodu. Byłam ledwie żywa, tak mnie przestraszyłeś.

- A ty mnie! - Zachichotał niespodziewanie. Jego śmiech brzmiał raczej sympatycznie i w jakiś sposób już do końca uspokoił Jessikę. Niebezpieczny zbiegły szaleniec chyba by się nie śmiał w ten sposób. Położyła ręce na teleskopie, żeby trochę opanować ich drżenie.

- Ale co ty tu właściwie robisz? - spytała. - Czy może jesteś tym zakonnikiem z reklamowych klipów?

- Klipów? - powtórzył w taki sposób, jak gdyby ten wyraz był dla niego zupełnie obcy.

- No wiesz, są takie reklamy winnicy św. Benedykta z zakonnikiem, który wciąż chce być strasznie ważny.

- Ja nie chcę być ważny. Jessica spojrzała na niego.

- Więc kim tak naprawdę jesteś?

- Strażnikiem.

- Strażnikiem czego?

- Winnicy - zrobił krok do przodu i znów się zatrzymał. - A ty jesteś Jessica Ward.

- Skąd wiesz? - Bezwiednie mocniej zacisnęła dłoń na pokrętle teleskopu.

- Widywałem cię w winnicy i w domu Cavanettich. Ostatni raz widziałem cię na przyjęciu z okazji dyplomu Niccolo.

- Widziałeś mnie tam?

- Tak. Natomiast ty najwyraźniej mnie nie widziałas.

- Przecież to było trzynaście lat temu!

- Aż tyle? No tak, czas wciąż jest czymś pełnym tajemnic. Nieprawdaż, panno Ward?

- Więc strzeżesz tej winnicy od trzynastu lat?

Mnich podszedł do niej jeszcze bliżej.

- Och, znacznie dłużej. Od tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku.

- Tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego? - przechyliła głowę, usiłując zobaczyć jego twarz. Nadal jednak było na to zbyt ciemno. - No to dlaczego wcześniej cię nie widziałam?

Mnich wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Widocznie nie był to jeszcze ten właściwy czas. To w ogóle zdarza się bardzo rzadko, żeby ktoś mógł mnie zobaczyć. I z tego też powodu nie rozmawiałem z nikim już od bardzo dawna.

- A dlaczego zeszłej nocy stałeś pod moim oknem?

- No cóż - jego kaptur pochylił się na moment, jak gdyby mnich puścił oczy, a potem znów je podniósł. - Muszę przyznać, że w pewnym sensie cię szpiegowałem.

- Ale dlaczego?

- Wtedy, pod znakiem, w ogóle nie domyśliłem się, kim jesteś. Dopiero potem doszedłem do wniosku, że musisz być Jessicą Ward - owym małym dzieckiem, które przez te lata musiało stać się kobietą. Ale przy tym pierwszym spotkaniu jeszcze tego nie wiedziałem, a w dodatku wyglądałaś jak... Urwał nagle, a Jessica pochyliła się w jego stronę i spytała:

- Jak?

- Wyglądałaś tak, że wziąłem cię za kogoś innego.

- Za kogo?

- To nie ma znaczenia, panno Ward. Teraz już nie ma. - Mnich westchnął i można było dostrzec, jak jego szerokie ramiona poruszyły się pod tkaniną habitu. - Już nie... - powtórzył.

Patrzyła na niego, usiłując coś z tego zrozumieć. Już się go nie bała, wiedziała, że nie zrobi jej krzywdy. Zziębnięte dłonie wsadziła do kieszeni bluzy.

- Były takie legendy o mnichu, którzy strzeże tajemnej recepty wina św. Benedykta, ale zawsze uważałam, że to kit.

- Kit?

- No kit. Coś, co się wciska ludziom, żeby się załapali na towar. Żeby podziałać na ich wyobraźnię.

- Ach, tak. - Mnich skinął głową. - A taka opowieść o zakonniku z pewnością działa na wyobraźnię, prawda?

- A czy jest prawdziwa?

- Jest.

Jessica wpatrywała się w niego jeszcze intensywniej. On sam stanowił najlepszy dowód, że legenda jest prawdziwa - był strażnikiem winnicy św. Benedykta, i to już od 1938 roku. Ale w takim przypadku powinien być równie stary, jak Michael Cavanetti - co najmniej osiemdziesiąt lat! Tymczasem ani jego głos, ani żywe ruchy nie pasowały do takiego wieku. Może więc był znacznie młodszy od Michaela, kiedy obejmował tę funkcję strażnika? Ale

nawet gdyby miał wówczas dwadzieścia lat, dziś musiałby mieć siedemdziesiąt dwa. Silne, szerokie ramiona i wyprostowana postawa zaprzeczały temu. Jessica instynktownie czuła, że musi być młodszy.

- Czy mógłbym się dowiedzieć, panno Ward, jaki właściwie był powód wyjścia na balkon w środku nocy z tym dziwnym urządzeniem?

- Z teleskopem? Obserwowałam gwiazdy, to mój zawód. Prawdę mówiąc, najbardziej interesują mnie komety, ale na to księżyc świeci dziś zbyt mocno.

- Jak nazwałaś ten aparat? - Wyciągnął rękę w stronę fascynującego go przyrządu. Jessica zerknęła na jego dłoń. Skóra wydała się jej gładka, bez zmarszczek i starczych plam. Z pewnością nie była to dłoń siedemdziesięciolatka.

- Teleskop - powtórzyła.

- Urządzenie do przyglądania się gwiazdom?

- Tak. Nigdy nie widziałeś teleskopu?

- Nie. - Brat Cosimo przysunął się bliżej. - Czy zechciałabyś pokazać mi, jak to działa?

Jessice trudno było uwierzyć, że ktoś nigdy dotąd nie widział teleskopu. Spełniła jednak jego prośbę i pokazała, jak się patrzy przez okular. Nakierowała obiektyw na Marsa, który świecił tuż nad horyzontem jak wielka czerwona latarnia. Brat Cosimo był zachwycony i przyjmował wszystko ze szczerym entuzjazmem dziecka. W ciągu kilku minut Jessica pokazała mu księżyc, Jowisza i jego satelity, a potem różne gwiazdy i konstelacje. Okazało się, że Cosimo znał wiele z nich, co zachęciło ją, żeby pokazać mu jeszcze więcej. Straciła poczucie czasu i do rzeczywistości przywołał ją dopiero świt, który na wschodzie zaczął już wyraźnie różowić szczyty pobliskich gór.

Jessica spojrzała na zegarek, mając przez chwilę trudności z adaptacją wzroku.

- O Boże! - westchnęła. - Już prawie siódma rano.

- Naprawdę? - Cosimo wyprostował się i odsunął od teleskopu. - Muszę już odejść.

Jessica przetarła oczy.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że może już być tak późno. To znaczy, tak wcześnie - poprawiła się z uśmiechem.

Brat Cosimo złożył dłonie jak do modlitwy i pochylił głowę w ukłonie.

- Dziękuję, że pokazałaś mi działanie teleskopu. To fascynujący instrument.

- Bardzo proszę, możesz z niego korzystać, kiedykolwiek zechcesz.

- Chciałem jeszcze przed czymś ostrzec, panno Ward. Trzeba uważać, kiedy się wychodzi z domu - nawet na taki balkon. Wszystkie budynki, które stoją na Moss Cliff, są już

stare. A ostrożność w ogóle jest konieczna.

- Będę o tym pamiętać. I dziękuję, bracie Cosimo, za uratowanie mi życia dzisiejszej nocy.

Mnich jeszcze raz pochylił głowę w ukłonie.

- Być może będziemy musieli znów porozmawiać - już wkrótce. Jessica skinęła głową i obróciła się w stronę teleskopu, żeby go zabrać ze sobą. Kiedy go uniosła i zwróciła się w kierunku drzwi poddasza, po bracie Cosimo nie było już śladu. Nie mogła też sobie przypomnieć, by w ogóle słyszała oddalające się kroki.

Rozejrzała się dookoła i w końcu wzruszyła ramionami. Z pewnym wysiłkiem zniosła teleskop z powrotem na parter. W chwilę potem dosłownie padła na łóżko i usnęła niemal natychmiast, spokojnie i bez lęków. Zupełnie już nie bała się tego mnicha.

Tymczasem w hotelu Cole wciąż nie mógł zasnąć. Leżał z rękami pod głową i wpatrywał się w sufit. Co właściwie wydarzyło się z nim tym razem, kiedy stracił przytomność? Skąd się nagle wzięły te tak wyraziste obrazy jakiejś średniowiecznej bitwy z Saracenami? Nie wiedział przecież prawie nic o okresie wypraw krzyżowych, a mimo to miał nie wiadomo skąd biorącą się pewność, że w tej wizji musiał być jednym z takich właśnie rycerzy krzyżowców.

Zaplótł palce i mocno ścisnął nadgarstkami tył czaszki, jak gdyby to w jakikolwiek sposób mogło mu pomóc w wyrzuceniu z głowy tych wszystkich bredni. Czy te zapaści mogły być zapowiedzią schizofrenii? Kiedyś jeden z kolegów powiedział żartem, że będzie z niego niezły „schyzio”. Ten żart wcale mu się nie spodobał. A teraz, kiedy do zapaści doszły jeszcze te dziwaczne wizje, już naprawdę przestało to być zabawne.

Właściwie po raz pierwszy w życiu poznawał prawdziwy lęk. Coś zupełnie innego niż to, co czasami można poczuć na boisku, kiedy na człowieka nagle wściekle szarżuje stukilowa góra mięśni w dresie drużyny przeciwnika. To oczywiście bywało niebezpieczne, ale było częścią rzeczywistości - wiadomo było, czego oczekiwać i co w tej sytuacji robić. Albo uchylić się w ostatniej chwili, albo przyjąć na siebie uderzenie i razem zwalić się na ziemię. Z tym umiał sobie radzić. Natomiast te nagłe zapaści to było coś zupełnie innego. Nie wiedział, co się z nim może stać, ani kiedy.

Przymknął oczy i usiłował oderwać się od tego wszystkiego myśląc o Jessice Ward. Okazało się, że wyrosła na wspaniałą kobietę, o wiele piękniejszą niż kiedykolwiek mógł się spodziewać. Kiedyś był z niej taki chudy i niezgrabny dzieciak. Kolejny raz okazało się jednak, że niektóre kobiety są jak wino - z latami tylko nabierają walorów. Uśmiechnął się kącikami ust, wyobrażając sobie, jak siedemnastoletnia czarnowłosa chudzina Jess wyrasta na

coś tak w swej klasie niezrównanego, jak - by znów użyć porównania z winem - najlepsze *Chardonnay* leżakowane w dębowej beczce. Ta jedwabista gładkość, ta słodycz. A Jess okazałaby się pewnie jeszcze słodsza.

Znów przymknął oczy, przypominając ją sobie, jak odrzuca włosy do tyłu i uśmiecha się do niego. Ten uśmiech zapamiętał jeszcze z dawnych lat. Kąciki jej ust zawsze odrobinę zaginały się ku dołowi, zamiast w górę, jak gdyby ta dziewczyna nigdy nie pozwalała sobie na pełny uśmiech. Trzeba było dopiero spojrzeć w jej oczy, żeby być pewnym, że naprawdę się uśmiecha. Jessica Ward. - zawsze tak powściągliwa i nienaganna w swych zachowaniach. Ciekawe, jak by to mogło być, gdyby właśnie ona kiedyś zdecydowała się pójść na całość? Czy pełne rozluźnienie i odrzucenie wszelkiego skrępowania w ogóle leżało w jej naturze? Naprawdę ciekawe...

Usnął, nie wiedząc kiedy, i już po chwili znalazł się w tej samej, dziwacznej, a jednocześnie tak niezwykle realnej sennej wizji.

Noc była kojąco chłodna i cicha, ale Cole nie dawał się zwieść tej atmosferze pozornego spokoju. Saraceni, obozujący po drugiej stronie rzeki, mogli zaatakować w każdej chwili. Cole dla sprawdzenia przeszedł się krytym mostem, spinającym brzegi rzeki. Odgłos kroków odbijał się głuchym echem w nieprzeniknionych ciemnościach. Poprzedniego dnia jego ludziom udało się pod osłoną tego mostu poczynić znaczne postępy w sypaniu grobli. Teraz jednak wszędzie było cicho. Za cicho, zdaniem Cole'a.

Doszedł do pierwszej wieży i zawrócił. W drugiej dwunastka jego rycerzy na zmianę obserwowała przeciwny brzeg. Ci, którzy akurat byli wolni, grali w kości przy migotliwym świetle pochodni.

Szerzyły się pogłoski, że Saraceni szykują się do użycia greckiego ognia. Cole zacisnął wargi. Wszyscy wiedzieli, że grecki ogień może spalić człowieka na popiół i że właściwie nie ma przed nim obrony, wyjąwszy chyże nogi - własne bądź końskie. Ucieczka byłaby jednak plamą na honorze, toteż najpewniej i on, i jego ludzie skazani byli na śmierć.

W ciągu dnia było nieznośnie gorąco, ale teraz od rzeki zaczął wiać przyjemnie chłodny wietrzyk. Cole w ulgę wciągał w płuca orzeźwiające powietrze, wciąż jednak był gotów w każdej chwili chwycić za rękojeść miecza. Ramię nadal go jeszcze bolało po otrzymanym wczoraj potężnym ciosie, na szczęście w znacznym stopniu wyhamowanym przez kolczugę.

Na chwilę wrócił myślami do swoich stron, do podalpejskiej krainy, gdzie noce zawsze były zimne, a woda czysta. Oczyma wyobraźni zobaczył swój zamek, górujący nad wioską, a dalej rozległe pola i winnice nad nimi, wspinające się wciąż wyżej i wyżej na

podgórskie stoki. Zawsze lubił widok tych zielonych zastępów dzielnej winorośli, uparcie wspinającej się ku górze niemal wbrew prawom natury.

Wzięcie udziału w wyprawie krzyżowej wydawało się przedsięwzięciem szlachetnym i godnym rycerza, ale po kilku miesiącach spędzanych tu głównie na ciągłych utarczkach i walkach w nieludzkim skwarze zaczynał się już czuć zmęczony. Miał naprawdę dość tego smaku miałkiego pustynnego piachu w ustach i tego zapachu potu i krwi na rękach. Korzył się przed wolą Najwyższego i wiedział, jak ważne jest odebranie Jerozolimy Saracenom, żeby pątnicy mogli bez przeszkód pielgrzymować do Ziemi Świętej. Sam nigdy jednak nie lubił zabijania, a tym bardziej rzezi. Tymczasem to właśnie on szybko zyskał rozgłos wyjątkowo dzielnego i groźnego w walce rycerza. A rezultat był taki, że oto teraz musiał bronić kawałka piachu nad rzeką i paru żalonych belek i desek, z których zбитy był nie wiadomo komu potrzebny most. Coś zupełnie idiotycznego, jeśli się tak nad tym zastanowić, pomyślał z sarkazmem.

- Panie mój, poganie chyba szykują wyrzutnie! - krzyknął jeden z jego ludzi.

Cole odwrócił się w stronę rzeki, za którą rzeczywiście można było dostrzec Saracenów, skupionych teraz grupkami przy oświetlonych pochodniami machinach miotających.

- Jesteśmy w strasznym niebezpieczeństwie! - zawołał jeden z obrońców. - Jeśli tymi katapultami rzucą na nas grecki ogień, spłonimy tu żywcem. Uciekajmy!

- Stać! - huknął Cole.

- Ale, miłościwy panie, co teraz możemy zrobić?

- Będziemy się modlić - Cole spojrzał na majaczące w półmroku piekielne maszyny. - Za każdym razem, kiedy rzucą w nas ogniem, uklękniemy i będziemy się modlić o pomoc Zbawiciela - obrócił się w stronę pozostałych. - A tymczasem naciągnijmy kusze i zobaczymy, ilu niewiernych uda nam się przedtem posłać do Allaha.

Z kusz złożonych na wieży dotąd niewiele było pożytku, ponieważ Saraceni przezornie starali się trzymać poza ich zasięgiem. Teraz jednak była szansa, że się zbliżą.

Tuż przed północą rzucili pierwszy ładunek greckiego ognia. Cole nigdy dotąd nie widział czegoś podobnego i w pierwszej chwili nawet sam zapomniał o własnym rozkazie, by ukryć się i nie podnosić się z klęczek. Ognista kula wielkości beczułki mknęła w ich kierunku, pryskając iskrami i ciągnąc za sobą parametrowy ogon dymu. Zupełnie tak, jakby leciał ku nim smok tak zionący ogniem, że nagle zrobiło się jasno jak w dzień.

W ślad za greckim ogniem leciały też strzały i kamienie, co sprawiało, że atakowani nie mieli właściwie żadnej możliwości manewru. Cole postanowił więc przywołać na pomoc

ślynnych angielskich łuczników i w niedługim czasie spora ich grupa pojawiła się na wezwaniu. Tymczasem część mostu już płonęła. Ludzie Cole'a usiłowali gasić płomienie kubłami wody i mokrymi płachtami. Inni biegli z wodą ku płonącej już podstawie wieży. Gdyby Saracenom udało się rzucić jeszcze kilka takich bomb zapalających, i most, i wieże spłonęłyby niechybnie, co byłoby równoznaczne z całkowitą klęską.

Tymczasem korzystając z mroku i zamieszania Cole wraz z wezwanymi łucznikami chyłkiem przedostali się do pierwszej, bliższej pozycji Saracenów wieży. Kusze w tej sytuacji nie mogłyby się sprawdzić, zbyt dużo czasu zabierało każdorazowe naciąganie ich korbą przed założeniem bełtu. Natomiast angielscy łucznicy potrafili strzelać równie celnie, a przy tym nieporównanie szybciej. Ich znana w całym świecie dzielność sprawiała, że w ogóle nie zwracali uwagi na lecące w ich stronę strzały i kamienie. Gdy jeden z łuczników padł, trafiony w głowę, Cole podniósł z ziemi jego długi łuk i stanął w szeregu zamiast niego. Sam zresztą był wyśmienitym łucznikiem.

Ogniste kule z katapult leciały w ich stronę coraz rzadziej, ponieważ przerażeni poganie rozbiegli się, usiłując szukać schronienia przed śmiercionośnymi strzałami łuczników. Plan Cole'a zaczynał się przynosić efekty.

Cole sięgnął za plecy po następną strzałę z kołczana. W tym samym momencie usłyszał narastający grzmot zbliżającej się kuli ognia. Dostrzegł ją kątem oka, ale już nie zdążył uchylić głowy.

Ognista kula uderzyła w boczną osłonę jego hełmu z taką siłą, że powaliła go na deski mostu. W tej samej chwili zdał sobie sprawę, że cały płonie żywym ogniem, od głowy i ramion aż po stopy. Ból był tak potworny, że nieludzki krzyk, który wydarł mu się z piersi, zdał się zupełnie bezgłośny. Opierając się o poręcz mostu, usiłował zerwać z siebie płonący hełm. Potem zwałił się w sam środek rwącego nurtu rzeki wiedząc, że tak czy inaczej już zginął.

Telefon zbudził Jessikę około jedenastej przed południem. Półprzyciomna sięgnęła po słuchawkę. Dzwoniła wystraszona Maria, dość niezbornie mówiąc coś o jakimś wydarzeniu i o stanie Isabelli. Czy Jessica mogłaby przyjść? Pani Cavanetti chciałaby z nią mówić tak szybko, jak to tylko możliwe.

Jessica obiecała, że przyjdzie za chwilę, wyskoczyła z łóżka i pobiegła prosto pod prysznic. Pośpiesznie ubrała się i szybkim krokiem poszła do domu Cavanettich, zastanawiając się, co też mogło aż tak poruszyć Isabellę. Maria czekała na nią przed wejściem i zaprowadziła ją prosto do położonego na piętrze osobistego apartamentu pani Cavanetti.

Na widok Jessiki Isabella zerwała się z głębokiego fotela ustawionego przed płonącym

kominkiem, zrzucając na podłogę afgański pled okrywający jej nogi.

- Jesteś! - zawołała dramatycznie. - Widziałas już tę gazetę?

- Jaką gazetę? - spytała Jessica.

- No „Post - Dispatch” oczywiście! - Potrząsnęła trzymanym w dłoni kolorowym dodatkiem. - Zobacz no tylko!

Jessica wzięła podaną jej część gazety, a Isabella ponownie opadła na fotel i pełnym udręki gestem położyła dłonie na skroniach.

- Mario, przynieś mi natychmiast moje pigułki. Za chwilę znów dostanę migreny, a przecież w tej sytuacji po prostu nie mogę spędzić kolejnego dnia w łóżku!

Maria pobiegła do łazienki, podczas gdy Jessica przeglądała dodatek.

- Przeczytaj mi to sama, głośno! - Isabella syknęła boleśnie.

- To, że japońscy inwestorzy chcą założyć pole golfowe na bagnach koło rzeki?

- Nie, no skąd! Nie to! Niżej!

Jessica spojrzała niżej.

- Och... - wykrzyknęła mimo woli, czytając tytuł: COLE NICHOLS UCIEKA OD SWOJEJ PRZESZŁOŚCI. Poczula nagły skurcz w żołądku, co powtórzyło się jeszcze parokrotnie podczas czytania obszernego tekstu, ilustrowanego licznymi zdjęciami. Reporterzy dokopali się do wszystkiego, poczynając od przypadków niespodziewanych omdleń na boisku, a kończąc na opisanym wcześniej w jednej z gazet sprawie kobiety z Filadelfii. Wszystko to posłużyło jako tło do szczegółowej relacji z gwałtownej awantury, jaka wybuchła między braćmi po wyjściu z przyjęcia w Falls Winery. Po przeczytaniu tego artykułu można było nabrać przekonania, że Cole to typowy naładowany agresją syn marnotrawny, egoista z wrodzoną skłonnością do przemocy, w dodatku przepojony jakąś niezrozumiałą nienawiścią do swego przyrodniego brata.

Jessica pokręciła głową, poruszona niesprawiedliwością i jawną stronniczością relacji. Isabella dostrzegła wyraz jej twarzy i zacisnęła wargi.

- No właśnie! - powiedziała, odbierając przyniesioną przez Mariki szklanę wody i buteleczkę z tabletkami. Trzy z nich wysypała sobie na drżącą ze zdenerwowania dłoń, połknęła i popiła wodą.

- Nic gorszego nie mogło się nam zdarzyć! Zawsze mówiłam, że ten Niccolo to zwyczajny śmieć. A teraz jeszcze i Franka wciągnął w awanturę! Mojego Franka! - Przymknęła powieki. - Boję się pomyśleć, co ludzie powiedzą, kiedy to przeczytają!

Postawa Isabelli wstrząsnęła Jessicą chyba jeszcze bardziej niż treść artykułu. A więc ta kobieta nawet nie chciała widzieć oczywistej podłości i nikczemności tego reportera. Nie

mogąc w to uwierzyć; wyciągnęła rękę w stronę rzuconej na stolik gazety.

- Ale to przecież sam Frank...

- No właśnie! - przerwała jej Isabella, pocierając skronie. - Właśnie Frank ucierpi najwięcej! To jego reputacja zostanie zrujnowana w rezultacie awantury, wywołanej przez tę... tę szumowinę, tego przekłętą przyrodniego brata! Kiedy Blake'owie dowiedzą się, że ktoś taki jest związany z naszą rodziną, będą wstrząśnięci i z pewnością pełni oburzenia i niesmaku!

- A kim są ci Blake'owie?

- Blake'owie? - Isabella spojrzała na nią z wzdorliwą wyższością. - „Blake, Davenport i Asher”, nic ci to nie mówi? Najsłynniejsza, najwyżej notowana firma prawnicza w całych północnozachodnich Stanach. Frank ma podjąć u nich pracę zaraz po świętach. Musiałam wykorzystać wszystkie znajomości, pociągnąć za wszystkie możliwe sznurki, żeby zdobyć dla niego stanowisko właśnie tam.

- Więc Blake'owie nie wiedzą, że Cole jest przyrodnim bratem Franka?

- Nie. I nie chcę, żeby się o tym dowiedzieli! Nie po to przez tyle lat ciężko pracowałam nad właściwym wychowaniem Franka i uplasowaniem go w odpowiednich kręgach społecznych, żeby teraz ten przeklęty Nick miał to wszystko zniszczyć!

Jessica spojrzała na Marię, która stała obok fotela, raz po raz bezwiednie załamując dłonie. W jej ciemnych oczach krył się ból. - Pani Cavanetti, Cole nie zrobił nic. .

- Byłaś tam, Jessico - Isabella ponownie nie pozwoliła jej dokończyć. - Co się właściwie stało? Czy to było tak, jak tu napisali? I ile osób widziało, jak się ze sobą bili?

- Nie wiem. Chyba nie było przy tym nikogo poza reporterami. Ale mogę panią zapewnić, pani Cavanetti, że tego, co się zdarzyło tam przy parkingu, w ogóle nie można nazwać jakkolwiek bójką!

- Wobec tego jak wytłumaczysz to, co tu widać?

Jessica spojrzała na wskazane zdjęcie, na którym można było rozpoznać Cole'a, leżącego bez przytomności na ziemi i stojącego nad nim Franka.

Isabella ponownie usiadła w fotelu, układając swe kształtne nogi na podstawionym przez Marię podnóżku.

- Dzięki Bogu, że przynajmniej Frank potrafił stawić czoło temu brutalowi i pokazać mu, co jest wart!

Jessica potrząsnęła głową i ponownie odłożyła gazetę na stolik. Było już dla niej oczywiste, że Isabella nie zamierza zwracać uwagi na fakty ani słuchać jakichkolwiek argumentów. Wszelkie próby obrony Cole'a i tak byłyby skazane na niepowodzenie. Isabella

postanowiła, że Frank ma być czysty jak łąza, a Cole zły i wszystkiemu winien - zresztą tak było już przed laty i właściwie zawsze.

- A czy wiesz, co jeszcze się stało tej nocy?

- Nie. Co takiego?

- Ktoś włamał się do naszego magazynu przy winnicy i zniszczył całe nasze zapasy wina.

Jessica pobladła.

Isabella zrobiła głęboki wdech.

- Tak właśnie! Całe nasze zapasy! Na szczęście było to ubezpieczone, bo inaczej bylibyśmy zrujnowani. I tak nie wiem, w jaki sposób wywiążemy się z przyjętych już zamówień.

- Ale kto mógłby zrobić coś podobnego?

- I ty mnie o to pytasz? Moim zdaniem oczywiście Nick. I powiem ci, że mam już dosyć beczynności i bezradnego przyglądania się, jak ten najemny futbolista po kolei niszczy nam wszystko - słowa „najemny futbolista” wypowiedziane zostały tonem najwyższej pogardy. - Nick jest tu tylko dlatego, że jego ojciec jest chory. Ale już obmyśliłam sobie, jak pozbyć się stąd tego gagatka.

- Jak? - spytała Jessica, starając się, żeby zabrzmiało to możliwie neutralnie.

- Wypiszę Michaela ze szpitala i przejmę go ponownie pod moją opiekę, tutaj. Wtedy Nick nie będzie mógł go odwiedzać i sam szybko stąd wyjedzie.

- Chce pani zabronić Cole'owi odwiedzania własnego ojca? - spytała Jessica i kątem oka spojrzała na Marię. Stara kobieta patrzyła w podłogę i tylko potrząsała głową.

- Obecność Nicka wcale Michaelowi nie pomaga. Nawet przeciwnie - z pewnością mu szkodzi! Więc kiedy Nick się zorientuje, że do ojca już nie zostanie wpuszczony, pojedzie sobie. I krzyżyk na drogę! - Isabella podniosła się. - Mario, natychmiast wyjmij mój zielony wełniany kostium. Jadę do szpitala.

Maria skinęła głową i wybiegła z pokoju. Isabella obróciła się w stronę Jessiki.

- Aha, powinnam ci jeszcze podziękować za pomoc przy dobieraniu sukni Shawn. Frank powiedział mi, że wyglądała rzeczywiście *comme il faut*.

- Wyglądała doskonale. Szkoda, że jej pani nie widziała.

- No cóż, w każdym razem doceniam trud, jaki sobie zadałaś. A teraz, jeżeli pozwolisz, muszę się przebrać.

Jessica opuściła apartament Isabelli i wolnym krokiem szła przez trawnik wyłożoną kamiennymi płytami ścieżką. Tuż obok stała mała kapliczka, wybudowana przez Michaela

Cavanetti chyba jeszcze przed rokiem jej urodzin. Jessica spojrzała na uchylone drzwi i postanowiła wejść do środka. Kapliczka wydawała się idealnym miejscem, żeby spokojnie przemyśleć to i owo, a tym razem naprawdę było nad czym myśleć. Pomysł Isabelli, żeby zabrać Michaela ze szpitala tylko po to, by zmusić Cole'a do wyjazdu, bardzo Jessikę zaniepokoił.

Otworzyła ciężkie dębowe drzwi i weszła do niewielkiego, zdobionego stiukami wnętrza. W głębi, za ołtarzem, widoczny był witraż, przedstawiający świętego Benedykta, który gęsim piórem wpisywał coś do księgi. Jessice zawsze podobał się wyraz twarzy świętego. W wieku przedszkolnym była absolutnie przekonana, że ta postać z witrażu to sam Pan Jezus. Dopiero gdy kiedyś powiedziała to Marii, ta wytłumaczyła jej, jak jest naprawdę, załamując ręce nad aż taką ignorancją dziecka. Od tego czasu sama starała się uzupełniać luki w religijnym wykształceniu Jessiki.

Michael Cavanetti wystawił tę kapliczkę dla uczczenia pamięci swego brata, który był księdzem we Włoszech i zginął pod sam koniec wojny. Jessica przyglądała się przykrytej szklaną płytą gablocie, w której przechowywany był habit z kapturem, sznur zakonny i różaniec - jedyne pamiątki, które pozostały. Dla małej Jessiki ten swoisty relikwiarz zawsze znaczył bardzo dużo i przez pewien czas skłonna była uważać go za najważniejszy obiekt w kaplicy.

Teraz usiadła w ławce po lewej stronie i przymknęła oczy. Starła się, żeby spokój poświęconego miejsca udzielił się również i jej. Jak Isabella może być aż tak okrutna w stosunku do Cole'a? Należałoby coś z tym zrobić - ale czy ona, Jessica, ma jakiegokolwiek prawo mieszać się do spraw rodziny Cavanettich?

I nagle poczuła w sobie bardzo głębokie i bardzo silne przekonanie, że tak. Że ma prawo, a nawet ma obowiązek tu pomóc. To było tak, jak gdyby samo niebo w odpowiedzi na jej bezgłośną modlitwę zesłało jej spokój i pewność. Ogarnęła ją niezwykła jasność. Nigdy dotąd nie zdarzyło jej się nic podobnego.

Zaskoczona i zadziwiona otworzyła oczy i dopiero wtedy zorientowała się, co się stało. Po prostu wiatr przepędził chmury, a jaskrawy promień słońca padał teraz przez barwne witrażowe szkło prosto na jej twarz. Dlatego tak nagle poczuła ogarniające ją ciepło i jasność. To było wytłumaczenie tego, co gotowa była wziąć za cud. Uśmiechnęła się i pokiwała głową nad własną podatnością na magiczne myślenie. To nie był znak z niebios, tylko zaświeciło słońce.

Podniosła się i zamierzała już wyjść, gdy drzwi uchyliły się i pojawiła się w nich Maria. Utykając podeszła do ławki i też uklękła w niej przed ołtarzem.

- Jesteś tu, *bambina*. Tak mi się właśnie zdawało, że widziałam, jak tu wchodziłaś.

- Czy pani Cavanetti już pojechała do szpitala?

Maria pokiwała głową. - Tak. Boże odpuść!

- Musimy coś zrobić, żeby jakoś pomóc Cole'owi.

- Oczywiście. Ale jak?

- Jeszcze nie wiem. Ale jestem pewna, że na temat Cole'a ona myli się całkowicie. Ten artykuł w gazecie został celowo napisany tak, żeby czytających wprowadzić w błąd. A Isabella przyjęła to wszystko za prawdę.

- Bo ona chce wierzyć, że Niccolo jest zły. Zawsze chciała!

Jessica położyła dłoń na ramieniu starej kobiety.

- Mario, jeżeli tylko przyjdzie ci do głowy, jak mogłybyśmy mu pomóc, dzwoń do mnie natychmiast. A jednocześnie musimy obie bardzo uważać, żeby pani Cavanetti nie zorientowała się w naszych zamiarach. Może się bowiem okazać, że Cole tylko za naszym pośrednictwem będzie mógł porozumiewać się ze swoim ojcem. Maria kiwnęła głową.

- Ach, dziecko, serce mnie boli, kiedy o tym wszystkim myślę. Biedny pan Cavanetti!

- Nie martw się, coś na pewno wymyślimy! - powiedziała Jessica i wraz z Marią wyszła na zewnątrz. - Aha, i jeszcze jedno muszę ci powiedzieć, Mario - tu rzeczywiście jest ten mnich.

- Jak to?

- Pamiętasz, jak cię pytałam, czy może wiesz coś o mnichu, który pojawiał się tu, przy winnicy. No więc dzisiejszej nocy rozmawiałam z nim.

- Rozmawiałaś?

- Tak. Ma na imię Cosimo. Brat Cosimo. - Co takiego? - Maria nagle założyła ręce na piersiach i zmarszczyła brwi.

- Cosimo! - powtórzyła Jessica, szczerzej otulając się płaszczem. - Gzy to nie dziwne imię?

- Nawet bardzo dziwne! - Maria chwyciła Jessikę za ramię. - I mówisz, że z nim rozmawiałaś?

- Tak. - Spojrzała na Marię, zaskoczona siłą, z jaką stara kobieta ścisnęła jej ramię. - Wydał mi się bardzo miły. Pokazałam mu mój teleskop i objaśniłam, jak się ogląda gwiazdy. A on powiedział, że jest Strażnikiem.

- *Capperi!* - wykrzyknęła Maria.

- Prawdę mówiąc, przez to swoje pojawienie się w ogóle może uratował mi życie. Oparłam się plecami o spróchniałą poręcz balkonu i wtedy ona nagle pękła. Już padałam w

dół, kiedy on się nagle zjawił, chwycił mnie i zatrzymał.

- To znaczy, że on cię dotknął?! - spytała Maria z prawdziwą zgrozą.

- Tak. A co w tym takiego strasznego? - przechyliła głowę i spojrzała na jej przerażoną twarz. - Co się stało, Mario? Dlaczego nic nie mówisz?

Maria umknęła spojrzeniem, patrzyła gdzieś w bok.

- Coś wiesz o tym mnichu? No więc powiedz wreszcie!

- Słyszałam tylko o jednym mnichu, który nosił to imię, Jessico. Opowiadał o nim pan Cavanetti.

- Ale co opowiadał? Kto to jest, ten brat Cosimo?

- Nie mogę wprost uwierzyć, że rozmawiałaś z nim, że on mógł cię dotknąć! - Maria machinalnie pocierała dłońmi swe pulchne ramiona. - O, zobacz, *bambina*, mam gęsią skórę na całym ciele!

- Ale dlaczego?

- To przez tego mnicha, o którym mówisz. Wiesz, kim był ten Cosimo? Cosimo Cavanetti?! Był przeklętym heretykiem i czarownikiem. Ożywił na nowo złożoną już do grobu kobietę!

- Co takiego? - wykrzyknęła z niedowierzaniem Jessica. Jak Maria mogła opowiadać takie brednie? Ale stara kobieta najwyraźniej mówiła poważnie, a jej oczy były pełne przerażenia.

- Nie mogłaś z nim rozmawiać, Jessico! To niemożliwe - powiedziała w końcu.

- Dlaczego?

- Bo Cosimo Cavanetti został skazany na śmierć. Został żywcem zamurowany.

- Może udało mu się jakoś uciec.

Krótki śmiech Marii zabrzmiał prawie histerycznie.

- *Bambina*, stamtąd w żaden sposób nie mógł uciec. A już na pewno nie mógłby uciec upływowi czasu.

- Co masz na myśli?

- Cosimo Cavanetti zmarł dawno temu, Jessico! Bardzo dawno.

- To znaczy kiedy?

- Nie wiem na pewno. Ale pan Michael mówił chyba, że Cosimo Cavanetti został zamurowany w dwunastym wieku.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jessica wracała do swego domu szarpana sprzecznymi myślami. Maria z pewnością myliła się co do mnicha. Zapewne ten brat Cosimo po prostu przejął imię po tamtym, sprzed wieków. To wyjaśniałoby wszystko. Choć z drugiej strony, dlaczego zakonnik miałby przejmować imię heretyka i czarownika?

Wieszła właśnie płaszcz, gdy w hallu pojawił się ojciec. - Dopiero co ktoś do ciebie dzwonił, Jessico. - Tak? A kto? - Jakiś Greg. Powiedział, że tu przyjedzie.

Jessica zmarszczyła brwi.

- No cóż! - westchnęła. Zaplanowała sobie, że rano przejrzy resztę dokumentów, a potem zacznie przygotowywać referat, który miała wygłosić podczas krajowej konferencji astronomów na uniwersytecie Stanforda. Ze względu na rangę imprezy nie można było tego odkładać na ostatnią chwilę i Jessica zakładała, że właśnie czas pozostały do świąt wykorzysta na napisanie zasadniczej części materiału. A tymczasem zmarnowała już całe dwa dni.

Wyminęła ojca i ruszyła do kuchni, żeby poszukać czegoś do zjedzenia. Do tej chwili nie miała jeszcze nic w ustach i jej żołądek zaczynał gwałtownie protestować. Robert Ward wszedł do kuchni w ślad za córką. Usłużnie otworzył przed nią drzwi lodówki.

- Wiesz, wymyśliłem świetną scenę tej nocy - powiedział. Słyszała to od niego już setki razy. Czuł potrzebę usprawiedliwienia się przed nią za każdym razem, kiedy siadał w fotelu niby po to, żeby myśleć, a potem upijał się i przesypiał resztę dnia i nocy. Wiedziała też z doświadczenia, że z tych „świetnych scen” nigdy nic nie wychodzi.

- Naprawdę świetną! - powtórzył.

- Tak, tato? - odpowiedziała bez entuzjazmu. Sięgnęła po słoik masła z orzeszków ziemnych. Poza tym w lodówce były tylko marynowane ogórki.

- Myślę, że to będzie ten pomysł, nad którym zacznę pracować, Jess! - Przyglądał się, jak córka smaruje masłem orzechowym kawałek chleba i kładzie na tym plasterek ogórka.

Jessica przecięła tę zaimprovizowaną kanapkę na pół i złożyła we dwoje, a potem westchnęła głęboko. Miała już dosyć stałego odgrywania roli opiekuńczego rodzica w stosunku do własnego ojca, który dla odmiany grał rolę bezradnego dziecka. Takiego, któremu stale trzeba dodawać otuchy. Ta spreczna ze zdrowym rozsądkiem zamiana ról ojca i dziecka wciąż trwała. Jak długo jeszcze? Kanapka była obrzydliwa i gorzka, choć może była to przede wszystkim ta gorycz, która się w niej samej nagromadziła przez lata. .

- Zatem masz pomysł na scenę, tato! - powiedziała z ironią. ; - I co mam zrobić?

Kazać strzelać z dział na wiwat?!

Ojciec cofnął się, najwyraźniej urażony jej sarkazmem.

Jessica odłożyła kanapkę. Nie mogła jej już jeść.

Oparła się o stół.

- Tato, zrozum wreszcie, że ja już jestem chora od tego gadania; o świetnych scenach, wspaniałych pomysłach i wielkich planach? Przecież to tylko słowa, puste jak balon, wiesz o tym równie dobrze; jak ja! - Patrzyła na niego naprawdę rozgniewana; policzki jej' płonęły. - Albo siądź wreszcie do maszyny i zrób z tego coś na papierze, albo przynajmniej przestań opowiadać o swoich pomysłach, bo mam ich już potąd!

Ojciec patrzył na nią łzawiącymi oczami. Lewa powieka drgała mu raz po raz w odruchu, nad którym nie potrafił zapanować.

- Jak długo możesz wykorzystywać odejście mamy jako usprawiedliwienie alkoholizmu? Jak długo jeszcze, tato?

Ojciec wyprostował się.

- Nie jestem alkoholikiem.

- A kim? Może pijesz dla towarzystwa? No więc gdzie są ci twoi koledzy od kieliszka? No powiedz, tato - kiedy ostatni raz zdarzyło ci się zamienić parę słów z jakąkolwiek istotą ludzką, nie licząc mnie?

- Jestem z natury samotnikiem. - Ojciec skrzyżował ręce na piersi. - Nie ma w tym nic złego.

- Ty po prostu nie masz ochoty rozumieć tego, co się do ciebie mówi. W ogóle nie można się już do ciebie przebić, w każdym razie ja nie potrafię! Nie mam pojęcia, po co tu jeszcze przyjeżdżam. - Jessica obróciła się gwałtownie i wymijając ojca ruszyła w stronę hallu. Zatrzymała się jeszcze na chwilę. - Zaraz ma tu przyjść po mnie mój znajomy. Czy mogę liczyć na to, że postarasz się być trzeźwy przynajmniej do południa?

- Zawsze jestem trzeźwy do południa.

- No oczywiście! - Jessica westchnęła. Z ciężkim sercem poszła do swego pokoju, żeby się przebrać. Zaciskała wargi czując, jak łyzy bezsilnego gniewu spływają jej do gardła. Gwałtownymi szarpnięciami grzebienia, jakby mszcząc się na swoich włosach, z grubsza poprawiła fryzurę i bez zyczliwości spojrzała na swe odbicie w lustrze. Jak mogła być tak głupia i wciąż żywić nadzieję, że potrafi mu pomóc, skoro on prawdziwego stanu rzeczy nawet nie chciał przyjąć do wiadomości?

Po kwadransie odezwał się dzwonek u drzwi i Jessica poszła otworzyć. Niespodziewanie okazało się, że na ganku stoi Cole razem z Lucy.

- O, cześć, jak się macie? - powiedziała.

Zaskoczenie w jej głosie nie uszło uwagi Cole'a.

- Czekasz na kogoś? - spytał, zdejmując słoneczne okulary. Lucy pomachała do niej dłonią i uśmiechnęła się trochę niepewnie, jeszcze chyba czując skutki wczorajszej nazbyt aktywnej degustacji.

- Prawdę mówiąc, tak - odpowiedziała Jessica. - Dzwonił Greg Kessler, że ma tu wpaść.

- Greg Kessler?

- Tak. Kiedyś ja i on... - Jessica urwała w pół zdania. Cole przecież nic nie wiedział o jej dawnym związku z Gregiem, a ona jakoś nie za bardzo chciała go w tym względzie oświecać. - Kiedyś studiowaliśmy na tej samej uczelni.

- Aha - skinął głową Cole i spojrzał ponad jej ramieniem do wnętrza.

- Och, przepraszam, powinnam była od razu poprosić was do środka. Wejdźcie, proszę - otworzyła szerzej drzwi. Lucy i Cole weszli do hallu.

- My tylko na chwilę. - Cole przeszedł do pokoju i usiadł na kanapie, wyciągając szeroko ręce i opierając je na poduszkach. Lucy usiadła obok niego, a Jessica nagle zdała sobie sprawę, że ogarniają ją fale zazdrości tylko dlatego, że ta kobieta odchyliła się do tyłu i oparła o jego ramię. No cóż, nie każdy spędza noc z tajemniczym średniowiecznym mnichem. Tych dwoje najpewniej wybrało tej nocy bliskość dużo bardziej realną.

Cała euforia, która ogarnęła ją po wczorajszym wieczorze, nagle znikła. Skąd jej przyszło do głowy, że w ogóle coś mogło się zacząć między nią a Cole'em? Jaki sens miało wyobrażanie sobie, że słowa mają znaczyć coś więcej, niż znaczą? Przecież to było zwykłe, konwencjonalne stwierdzenie, że miło jest po latach zobaczyć dawnych przyjaciół. Znów zrobiła z siebie idiotkę, a Cole - jak wtedy, tak i teraz - wcale nie był nią zainteresowany. A więc nic się nie zmieniło przez trzynaście lat!

- Czy mogę wam dać coś do picia? - zapytała, starając się, by jej głos nie zdradził ogarniającego ją przygnębienia.

Cole spojrzał na Lucy.

- Masz na coś ochotę?

- Najchętniej na jakąś inną głowę, która nie bolałaby mnie tak jak moja! - Lucy uśmiechnęła się i znów przymknęła powieki.

Jessica nadal nie czuła do niej sympatii. Postanowiła przynieść z kuchni wodę mineralną.

- O, mamy gości! - dobiegł ją z hallu głos ojca. - Jak to miło!

Odwróciła się, przerażona. Ojciec najwyraźniej postanowił teraz udowodnić, że potrafi przyjąć gości, a nawet prowadzić towarzyską rozmowę. Zdobył się nawet na to, by wcisnąć koszulę w spodnie, ale zmierzwił włosy nadal grubymi strąkami opadały mu na oczy. Kątem oka Jessica widziała, jak Cole podnosi się z kanapy i zdążyła nawet dostrzec jego wyraźnie zaszokowane spojrzenie.

- Jak się masz, Greg? - Ojciec Jessiki z wyciągniętą ręką ruszył w stronę gościa. Jessica modliła się, żeby nie zaczepił nogą o dywan i nie zwałił się na środku pokoju.

Podeszła i wzięła go pod rękę.

- Tato, to nie Greg. To Niccolo Cavanetti. - Kto taki?

- Nick. Pamiętasz przecież Nicka, prawda? - Jej zduszony głos zdradzał, jak bardzo jest spięta. Nie mogła nie widzieć wręcz niedowierzającego spojrzenia, jakim Cole obrzucił jej ojca. Podobnie **jak** wszyscy inni, Cole pozostawał dotąd w przekonaniu, że Robert Ward wciąż jest wziętym dramaturgiem, który odnosi sukcesy na Broadwayu i tylko z rzadka przylatuje w odwiedziny tu na Zachód. **Ale** ten wychudzony i najwyraźniej schorowany stary człowiek z tłustymi, zaniedbanymi włosami z całą pewnością już od bardzo dawna nie mógłby się w ogóle pokazać w nowojorskim teatralnym światku.

Cole zrobił wszystko, żeby nawet przez moment nie okazać, jak bardzo wstrząsnął nim widok tego człowieka.

- Z pewnością musi pan mnie pamiętać, panie Ward - powiedział bardzo uprzejmie. - Mieszkałem przed laty tuż obok, w domu Cavanettich.

- Ach tak, Nick! - zawołał Robert Ward i podał mu rękę. - Oczywiście, Nick! To przez to, że nie mam okularów - potrząsnął podaną mu ręką. - Więc ile masz teraz lat, Nick?

- Trzydzieści pięć, proszę pana.

- Chryste, jak ten czas leci! A wiesz, że ja mam już sześćdziesiąt osiem? Wyglądam na tyle? - pochylił się w stronę Cole'a.

Gdyby przynajmniej przestał mówić! Jessica wiedziała lepiej niż ktokolwiek, że ojciec w tym stanie wygląda na dziewięćdziesiąt. Gdyby Cole chciał być prawdomówny, musiałby mu to powiedzieć, ale na szczęście tylko się uśmiechał i też potrząsał ręką rozmówcy.

- Wygląda pan doskonale, panie Ward.

Jessica popatrzyła na Cole'a. Ich spojrzenia spotkały się na moment, ale i tego wystarczyło, by pełna zawstydenia opuściła wzrok.

- A kim jest ta miła młoda osoba? - zapytał Robert Ward. - Czy może to twoja żona?

Jessica nagle zdała sobie sprawę, że Cole nadal patrzy na nią, choć ojciec już zrobił

krok w stronę Lucy. Jessica uznała to spojrzenie Cole'a za wyzwanie i postanowiła odpowiedzieć tym samym, dumnie unosząc podbródek. W końcu to Cole nie wytrzymał i odwrócił oczy.

- To jest moja fizjoterapeutka, Lucy Girard. Zajmuje się moim zdrowiem. Lucy, to pan Robert Ward, ojciec Jessiki. Jest bardzo znanym dramaturgiem.

- Naprawdę?! - zawołała Lucy i podniosła się z kanapy, żeby się przywitać. - Czuję się zaszczycona. Nigdy dotąd nie poznałam! prawdziwego dramaturga!

- Słyszałaś może o takiej sztuce *Piekło, w którym da się żyć*?

- Nie...

Robert Ward uśmiechnął się wyrozumiale.

- No cóż, to było grane jakiś czas temu. A pani jest bardzo młodą osobą, panno Girard. Jessica zdecydowała się interweniować.

- Tato, nie uważasz, że jednak powinieneś wrócić do siebie i napisać do końca tę scenę?

- Jaką scenę?

- No tę, którą mi rano opowiedziałeś.

- A tak, rzeczywiście - zgodził się potulnie. - Tak, to dobra scena, i chyba rzeczywiście powinienem do niej wrócić jak najszybciej... Wybaczcie mi, prawda?

Już miał wyjść, gdy niespodziewanie zatrzymał go Cole.

- Zanim pan znów wróci do pracy, panie Ward, chciałbym zapytać, czy zechciałby pan wyświadczyć mi pewną uprzejmość?

- Tak?

- Zastanawiałem się właśnie, czy mógłbym może wynająć tę wydzieloną część pańskiego domu, gdzie mieszczą się pokoje gościnne? Bardzo by mi na tym zależało!

- Co takiego?! - zapytała zdumiona Jessica.

Cole jakby w ogóle nie zwrócił uwagi na jej pytanie.

- Tak więc, gdyby to panu nie przeszkadzało, panie Ward, chciałbym je wynająć.

Zaskoczony Robert Ward szerzej otworzył oczy.

- Ale widzisz, synu, ta część domu nie była wykorzystywana już od wielu lat.

- To nic nie szkodzi. Lucy i ja wysprzątamy to i wywietrzymy. Zrobimy wszystko, co będzie trzeba.

Jessica przecząco kręciła głową, starając się zwrócić na siebie uwagę ojca. Nie chciała, żeby Cole był tak blisko, niemal przez ścianę. Co prawda zobaczył już, jak w rzeczywistości wygląda jej ojciec, ale przecież wciąż jeszcze nie widział tego najgorszego. A gdyby

zamieszkał w tych pokojach gościnnych, po prostu już nie mógłby nie zorientować się do końca, jak daleko posunęła się ta potworna alkoholowa choroba.

- Wiesz, Nick, właściwie chętnie... Ale, prawdę mówiąc, nawet nie wiem, gdzie może być klucz od tej części domu.

- W razie czego zapłacę za jego dorobienie, panie Ward. I oczywiście zapłacę za wynajęcie. Chodzi o to, że po prostu muszę być możliwie blisko domu Cavanettich. Moja macocha postanowiła zabrać ojca ze szpitala do domu, a ja chciałbym przynajmniej być gdzieś obok. Bo, wie pan, ona nie chce mnie tam wpuścić.

- Nie chce cię wpuścić do domu ojca?

Cole skinął głową. Potem sięgnął do kieszeni i wyciągnął portfel.

- Panie Ward, proszę mnie posłuchać. Oto tysiąc dolarów. Proszę w zamian wynająć mi gościnne pokoje pańskiego domu - na dwa tygodnie. Nie proszę o nic więcej.

- Nie! - zawołała Jessica i chwyciła pieniądze, zanim jeszcze zdążył to zrobić jej ojciec. Obróciła się w stronę Cole'a. - To wymagałoby strasznej roboty. Wątpię, by w takim stanie te pokoje w ogóle nadawały się do zamieszkania.

- Daj spokój, Jess - zaprotestował Robert Ward. - Chyba nie może być aż tak źle. Muszę tylko znaleźć ten klucz.

- Tato!

Ale ojciec już podreptał w stronę kuchni.

- Sąsiedzi muszą sobie pomagać, Jessico! - powiedział. - W końcu po to ich się ma, prawda?

Jessica mogła już tylko założyć ręce na piersiach i ukradkiem wykrzywić się w stronę ojca. Jak zwykle, wybrał najmniej odpowiedni moment, by wtrącić się w jej życie.

No właśnie. Tak jak mówiłem, wcale to aż tak źle nie wygląda - Robert Ward rozejrzał się i pokiwał głową. - Wcale nie tak źle, Jess.

- Jeśli nie liczyć zapachu stęchlizny - odparła. Nie wchodziła do tych pomieszczeń od dwudziestu pięciu lat - od czasu, kiedy jej matka stąd wyjechała.

Nawet teraz Jessica starała się nie oddychać głębiej, by przypadkiem nie wciągnąć w płuca choćby śladu zapachu perfum matki. Matka ją porzuciła. Zostawiła ją i nawet się za siebie nie obejrzała. Jessica znów miała ściśnięte gardło. Samo wejście do tego pomieszczenia wciąż było dla niej bolesnym przeżyciem.

Lucy wyminęła ją i zaczęła się rozglądać. - O rany, ależ to klasa - wykrzyknęła. - Cole, popatrz no tylko na te zdjęcia!

Nad staromodną kanapą w czarne i białe paski wisiały oprawione w szkło fotografie

dawnych gwiazd ekranu i sceny - od Mary Pickford aż po Marilyn Monroe. Wiele ze zdjęć miało odręczne dedykacje. Rozpromieniona Lucy obróciła się i zapytała:

- Więc pan znał osobiście te wszystkie gwiazdy?

- Znaczoną część, w każdym razie. Moja żona była aktorką i to głównie ona gromadziła te zdjęcia.

- Tu jest naprawdę bombowo! - stwierdziła Lucy. Przeciągnęła dłonią po pasiastym jak zebra obiciu kanapy i po staroświeckim wyplatany fotelu. - To wygląda tak, jakby dopiero co mieszkał tu Rudolf Valentino, nie?!

- To moja żona wybrała taką stylizację wnętrza. Jej koleżanki i koledzy aktorzy odwiedzali ją czasem i wtedy zatrzymywali się właśnie tutaj. - Robert Ward włożył klucz z powrotem do kieszeni, ręka zauważalnie mu drżała. - Ja... ja nic tu nie zmieniłem od czasu, kiedy mnie opuściła. Prawdę mówiąc, w ogóle *już* tu nawet nie wszedłem.

- Straszny tu kurz! - Jessica przeciągnęła ręką po szkle okrągłego stolika i pokazała ubrudzone palce. - Zobaczcie no tylko! A boję się wprost pomyśleć, co musi być w łazience. Pewnie wszystko jest pozatykane!

- Och, to żadna sprawa! - Lucy machnęła dłonią bez troski. - Ja po prostu jestem zachwycona tym wszystkim! Chodź, Cole, obejrzyjmy jeszcze kuchnię!

Cole lekko unióśł brew, kątem oka spojrzął na Jessikę i wyszedł z pokoju w ślad za Lucy.

Jessica straciła resztkę ducha. To, o co tak ciężko walczyła przez tyle lat - ukrywanie przed światem alkoholizmu ojca - odtąd miało stać się jeszcze trudniejsze.

- No to popisałeś się, tato - syknęła przez zaciśnięte zęby. - Doprawdy, czasem mogłabym cię zabić! Bez mrugnięcia okiem!

- Ależ dlaczego? - aktorskim gestem odrzucił włosy do tyłu. - Nick to miły facet, a ta Lucy to po prostu laleczka, nie? - Zniżył głos. - Czy myślisz, że oni śpią ze sobą?

Jessica poczuła nagły skurcz serca, ale postarała się nie zwracać na to uwagi.

- Też masz się nad czym zastanawiać! - powiedziała ostentacyjnie lekko, obróciła się na pięcie i znalazła się niemal nos w nos z Gregiem Kesslerem, który właśnie wetknął głowę przez drzwi.

- Chciałem zapukać także tutaj - powiedział, uśmiechając się. ; - Witaj, Jess.

- Cześć, Greg - podeszła do niego, zamykając za sobą drzwi; Praktycznie wypchnęła go z wejścia na werandę.

- Nikt nie odpowiadał, kiedy zadzwoniłem od frontu - wyjaśnił Greg. - A potem zobaczyłem, że tu drzwi są otwarte, więc po* stanowiłem zajrzeć.

- Mój ojciec uparł się, żeby pokazać te gościnne pokoje Cole'owi i Lucy.

- Z jakiego powodu?

- Och, po prostu Cole chce je wynająć na parę tygodni.

- A ty nie wyglądasz na szczególnie zadowoloną z tego powodu. - Greg przyjrzał się jej uważnie.

- Bo nie jestem, ale to w końcu nie ma znaczenia - potrząsnęła głową. Czas wziąć się w garść i skończyć z głupimi marzeniami na temat Cole'a. To mogło prowadzić wyłącznie do kolejnych stresów. Z Gregiem przynajmniej wiedziała, na czym stoi, i na pewno nie groziło jej tu żadne uczuciowe rozczarowanie.

- No to co, zabierzesz mnie na jakiś lunch, jak obiecywałeś? - zapytała.

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Właśnie na to liczyłem, że coś zjemy razem. A potem chciałbym ci pokazać moje posiadłości. Pamiętasz, opowiadałem ci o tym terenie na wzgórzu, który teraz zamierzam sprzedać pod luksusową zabudowę?

- Tak. Chętnie bym na to popatrzyła. Już możemy jechać, tylko wezmę płaszcz i torebkę.

W chwilę później już siedziała obok Grega w welurowym kubelkowym fotelu jego sportowego BMW. Postanowiła, że będzie się bawić, choćby miało ją to kosztować nie wiadomo ile.

Tymczasem pozostała trójka zdążyła już wrócić do starego saloniku. Lucy z przejęciem przeglądała albumy z wycinkami z czasów, kiedy pan domu odnosił największe sukcesy na Broadwayu. Robert Ward chętnie i wyczerpująco odpowiadał na wszystkie pytania, podczas gdy Cole usiłował powstrzymać się od ziewania i udawał uprzejme zainteresowanie konwersacją. Czuł się zmęczony. Nie za wiele spał ubiegłej nocy, a ten dziwny sen jeszcze go dodatkowo wyczerpał. Przeprosił i poszedł do kuchni, żeby napić się wody. Sięgnął do szafki po szklankę i odkręcił kran. Te wszystkie nie używane od lat pomieszczenia wcale nie były aż tak strasznie zapuszczone, jak sądziła Jessica.

W stosunkowo krótkim czasie z pomocą Lucy udało się wszystko odkurzyć, wywietrzyć i wyczyścić. Znalazła się nawet świeża pościel na łóżku. Robert Ward przez cały czas starał się im pomagać, a potem jeszcze Lucy zaprosiła go na kawę.

Cole wypił wodę i poszedł prosto do sypialni. Czuł się naprawdę zmordowany i uznał, że najwyższa pora się zdrzemnąć. Nawet nie zdejmując pantofli rzucił się na przykryte pledem łóżko, zasłonił sobie oczy ramieniem i niemal natychmiast zasnął.

Ale też niemal natychmiast powróciły obrazy z tamtego, dziwnego snu. Teraz śniło

mu się, że właśnie się obudził, czując wilgotny okład na twarzy i karku. Chciał podnieść rękę i dotknąć tych miejsc, ale mu się to nie udało.

- Proszę tego nie robić, panie - głos był niewątpliwie kobiecy, miękki i ciepły, choć brzmiał niemal jak rozkaz.

Zaskoczony Cole próbował się obrócić w stronę tego głosu i natychmiast poczuł straszliwy ból ramion i karku. Czyżby więc ani rzeka, ani grecki ogień nie zabiły go, mimo wszystko?

A może był już w niebie? Próbował otworzyć oczy, żeby sprawdzić, czy to, co słyszał, było głosem kobiety czy też anioła, ale okazało się, że na oczach ktoś położył mu cienką warstwę gazy. A próba choćby najlżejszego poruszenia gałką oczną powodowała wręcz nieznośny ból. Z pewnością nie mógłby odczuwać takich cierpień w niebie. Może wobec tego był w piekle? Próbował coś powiedzieć, ale okazało się, że z jego wargami było to samo. Każda próba poruszenia nimi sprawiała, że chciało mu się po prostu wyć z bólu. Wilgotna warstwa czegoś leżącego na jego twarzy nie była już chłodna, stała się równie gorąca jak jego skóra, niemal rozżarzona i straszliwie bolesna. Jęknął cicho i natychmiast zesztyniał, by nawet najmniejszym ruchem nie powiększać tego nieludzkiego bólu.

- Nie trzeba próbować mówić, panie - powiedziała kobieta. Najwyraźniej pochyliła się nad nim, słyszał nawet jej bliski oddech. Potem poczuł, że zdjęła gazę z jego twarzy i po chwili położyła następną, znów wilgotną i zbawczo chłodną. Cole westchnął cicho i odprężył się. Dobry Panie Jezu, to musi być anioł, pomyślał. Jednocześnie jednak dość wyraźnie czuł zapach perfum, przy czym nie był to ten znany mu ciężki zapach, którego zwykli używać Arabowie, zarówno kobiety, jak i mężczyźni. To musiała być Europejka - delikatnie pachniała płatkami róży i mówiła do niego po włosku. Jej miękki, kojący głos był pozbawiony jakiegokolwiek obcego akcentu. Kim mogła być? A przede wszystkim - kim mógł być on sam?

- Proszę teraz starać się odpocząć - powiedziała. Usłyszał oddalający się szelest sukni.

Czyżby zmierzała go zostawić? Cole był bliski paniki. Nie wolno jej go opuszczać! Powracający ból doprowadziłby go do szaleństwa. Rozpaczliwie usiłował podnieść się z barłogu, na którym go złożyono.

- Panie baronie! Nie wolno panu się ruszać! - W jej głosie był szczyry niepokój. - Proszę leżeć spokojnie.

Cole opadł na posłanie. Okład na twarzy ponownie wysechł i jego skóra znów płonęła. Ostry ból w ramieniu pulsował razem z każdym uderzeniem serca. Zaciśnął zęby, modląc się o utratę przytomności, co dałoby mu choć trochę wytchnienia od cierpień.

Kobieta musiała sobie zdawać sprawę z jego stanu. Jeszcze raz zmieniła okład. Później usłyszał, jak wlewa coś do jakiegoś naczynia, po czym nastąpiły powtarzające się, ciche stuknięcia metalu o metal. Czyżby przygotowywała coś dla niego w jakiejś misie lub kubku?

- Gotowe - usłyszał. - Teraz trzeba, żeby pan to wypił. Nie, proszę się nie ruszać. Będę to wkapywać po troszeczkę, przez lejek.

Poczuł wargami koniec metalowej rurki, a w chwilę po tym pierwsze krople zaczęły spływać mu do ust.

- Proszę to pić, aż do końca - powiedziała kobieta. - Bardzo spokojnie. To złagodzi ból, a potem pozwoli panu zasnąć.

Cole wolno przetykał, pilnując się, żeby nie wykonywać zbyt gwałtownych ruchów. Czuł obecność tej kobiety tuż nad sobą, i miał przy tym nie wiadomo skąd biorącą się pewność, że ona mu się przygląda. W chwilę później poczuł, jak leciutko, pieszczotliwie dotknęła jego włosów.

- Dzięki Bogu, że wreszcie powrócił pan do nas - powiedziała. Cole chciał jej podziękować, wziąć ją za rękę i zatrzymać przy sobie, ale mikstura, którą wypił, sprawiła, że jego myśli zaczęły się jakoś łagodnie rozplýwać, a członki stały się zupełnie bezwładne. Czuł się niezmiernie wyczerpany.

- Proszę spać - szepnęła kobieta. - Musi pan nabrać sił.

Greg odwiózł Jessikę dopiero późnym popołudniem. Kiedy byli już na miejscu, odprowadził ją aż na ganek.

- Żałuję, że muszę już jechać - powiedział. - Ale za chwilę zaczynam ważne spotkanie z udziałowcami.

- Było bardzo miło, Greg - powiedziała Jessica i przekręciła klucz w zamku. - Naprawdę bardzo miło.

- Było. A niegdyś bywało nam nawet wspaniale. I dlaczego właściwie musieliśmy się rozejść?

- No cóż, wybraliśmy różne kariery i w różnych miejscach - odpowiedziała. Kątem oka dostrzegła Cole'a, który wyszedł z bocznych drzwi, prowadzących do pokoi gościnnych i kierował się w stronę ganku.

- Chyba rzeczywiście to głównie z racji różnych zawodów - powiedział Greg. - No cóż, w każdym razie zastanów się nad tym, co ci powiedziałem. Gdybyś się zdecydowała na sprzedaż całego tego terenu z winnicą, chciałbym być pierwszą osobą, którą o tym powiadomisz. Mogę ci złożyć taką ofertę, że padniesz! Słyszałaś o tym polu golfowym, które

ma powstać w dolinie, prawda?

- Coś tam czytałam w gazecie. Jakiś japoński inwestor?

- Tak, oni mają fioła na punkcie sportu. I płacą bardzo dużo za tereny, bo po prostu mogą zapłacić. A tam, nad bagnem, teren byłby wprost idealny, można by tam zrobić wszystko - kątem oka zobaczył, że ktoś się zbliża. - O, Cole, jak się masz?

- Dzień dobry, Greg - Cole skinął głową i zatrzymał się w pewnej odległości, jak gdyby czekał na Jessikę. Sama Jessica nie odezwała się do niego. Niech sobie poczeka, pomyślała i obróciła się do Grega.

- Dobrze, Greg, rozważę twoją ofertę. Pieniądze bardzo by się przydały, zwłaszcza ojcu. Co do tego nie ma wątpliwości.

- W porządku. No cóż, będę musiał już lecieć - pochylił się, żeby pocałować ją w policzek na pożegnanie. Tymczasem Jessica zrobiła krok do przodu, zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała go w usta. Niech Cole Nichols wie, że są inni, którzy też mogą ją interesować jako mężczyźni. Poczula wyraźnie, jak zaskoczony Greg znieruchomiał na moment, a po tym odpowiedział jeszcze mocniejszym przyciągnięciem jej do siebie i dłuższym pocałunkiem.

- Do zobaczenia, Greg - powiedziała półgłosem. Greg wpatrywał się w jej twarz, oczy mu rozbłysły.

- Na razie, Jess! Hej - ho! - wykrzyknął i roześmiał się, wypuszczając ją w końcu z objęć. Kiwnął dłonią Cole'owi na pożegnanie i pobiegł do samochodu.

Jessica przekreśliła klamkę i otworzyła drzwi. Nawet nie spojrzała na Cole'a, choć przez cały czas miała świadomość, że jest tuż za nią.

- Małe dziewczynki nie powinny igrać z ogniem - powiedział Cole niby do siebie.

- Z jakim znów ogniem? - Jessica wyzywająco uniosła podbródek. - Co ma oznaczać ta głęboka metafora?

Popatrzyła na niego. Oczywiście udawał, że żartuje, ale w jego oczach można było dostrzec jeszcze coś innego. Były chłodne i poważne, przebijało w nich jawne niezadowolenie. A może nawet zazdrość? Świetnie!

- Kiedy zaczynasz z facetem takim jak Greg Kessler, możesz być pewna, że już wkrótce wpakujesz się po same uszy.

- A kto powiedział, że ja z nim zaczynam?

Cole badawczo spojrzał jej w oczy i trwało to krępująco długo. Jessica postanowiła odpowiedzieć tym samym i postarała się, żeby jej spojrzenie było jeszcze bardziej wyzywające.

- Chciałbym też, żebyś mi wyjaśniła, jak to naprawdę jest z twoim ojcem - podszedł do niej bliżej. - Przez cały ten czas...

- Jak jest z moim ojcem, to w ogóle nie twoja sprawa! - Otworzyła drzwi gwałtowniej, niż zamierzała. Weszła do środka, a Cole w ślad za nią.

- Co ci się nagle stało, Jess? Jesteś na mnie zła, że wynająłem te gościnne pokoje?

- Wcale nie jestem zła.

- No więc co się dzieje?

Odwróciła się gwałtownie.

- Przyjechałam, żeby odwiedzić ojca, ale także i po to, żeby odpocząć w spokoju i popracować nad referatem, który mam przygotować. A nie po to, żeby odpowiadać na ankietowe pytania na temat życia mojego czy też mojej rodziny.

Spojrzała na Cole'a i dodała:

- Albo wysłuchiwać twoich uwag na temat Grega Kesslera.

- Uspokój się, Jess! Ja ci tylko chciałem powiedzieć jedno - Greg Kessler nigdy nie był takim zawodnikiem, który gra dla drużyny. Zawsze grał tylko dla siebie, i dlatego też Ridgemont Raiders nigdy nie stali się mistrzami. Greg zawsze kombinował, jak wypaść możliwie efektownie, a mało dbał o to, co najważniejsze - krótkie podania i wychwytywanie dziur w obronie. Jessica wrzuciła torebkę do szafy.

- Wyobraź sobie, że niektórzy ludzie nie interesują się futbolem - i ja do nich należę. W ogóle nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Cole chciał jej pomóc przy zdejmowaniu płaszcza, ale Jessica gwałtownym ruchem ramion odtrąciła jego dłonie. Kątem oka dostrzegła, że cofnął się i zacisnął wargi.

- Słyszałem, jak rozmawialiście o winnicy. Chyba nie macie zamiaru jej sprzedawać, prawda? My mamy przecież umowę dzierżawną na cały ten teren.

- Co to znaczy - my mamy? - zapytała ironicznie, starając się zranić go przynajmniej słowami. - Jeśli masz na myśli rodzinę Cavanettich, to oni rzeczywiście mają z nami taką umowę. Ta jednak właśnie wygasa pierwszego dnia świąt Bożego Narodzenia.

- A wy chcecie zrezygnować z przedłużenia umowy i sprzedać ten teren?

- Za te pieniądze mój ojciec będzie mógł wystawić w teatrze swoją nową sztukę.

- Nie opowiadaj głupstw, Jess.

Jessica z trzaskiem zamknęła drzwi szafy. Cole podszedł do niej jeszcze bliżej.

- Czy Isabella wie coś o tym, że zamierzacie sprzedać winnicę?

- Nie.

- To dobrze. I nie sprzedawaj jej Gregowi. Wyświadczyć mi tę uprzejmość i jemu nie

sprzedaj!

- Nic mi nie wiadomo o tym, żebym ci była winna jakieś uprzejmości! - Odwróciła się i chciała odejść, ale Cole chwycił ją za ramię. Nie na tyle mocno, żeby ją zabolalo, ale i tak nie mogła się wyrwać.

- Jess! - zawołał z wyraźną prośbą w głosie.

Spojrzała na niego wściekła, pierś jej falowała.

- Puść mnie!

- Proszę tylko, żebyś nie sprzedawała - powiedział, natychmiast uwalniając jej ramię. - Obiecuj, że nie oddasz winnicy w obce ręce. O nic więcej nie proszę.

- Sama decyduję o tym, co mam zrobić. Jestem już dorosłą kobietą - na wypadek, gdybyś tego nie zauważył.

Cole zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Widać było, że jest na nią wściekły, ale jednocześnie było w jego spojrzeniu coś jeszcze. Jawne pożądanie. Nie mogła się mylić. I nagle poczuła, że jej nogi robią się miękkie jak galareta.

- Zauważyłem, Jessico - powiedział Cole. - Możesz być pewna, że to zauważyłem.

Odwrócił się i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

Jessica ciągle stała bez ruchu, jeżeli nie liczyć tego, że nadal machinalnie pocierała ramię, za które przed chwilą Cole ją chwycił tak mocno.

I nagle poczuła się tak, jakby rzeczywiście wpadła po same uszy. Albo i jeszcze głębiej.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wciąż jeszcze była wewnątrznie rozdygotana, kiedy zabrała się ponownie za papiery ojca. Na nowo wracała w myślach do stów, które padły podczas jej rozmowy z Cole'em, i z każdą chwilą narastał w niej wciąż większy gniew. On nie miał prawa żądać od niej czegokolwiek, a ona nie miała najmniejszego zamiaru poddawać się jego rozbuchanemu ego. Wypisała czeki na pokrycie bieżących rachunków, odłożyła do specjalnej teczki nadesłane pocztą pokwitowania. Starła się uciec bez reszty w tę całkowicie mechaniczną pracę, ale przez cały czas czuła, że bardzo niewiele brakuje, by nagle wybuchnęła płaczem. Co się ze mną dzieje? - pomyślała.

Pod wieczór niespodziewanie zobaczyła przez otwarte drzwi, że jej ojciec idzie gdzieś z projektorem filmowym pod pachą.

- Gdzie się wybierasz? - zapytała, odchylając się do tyłu razem z krzesłem.

- Tam do nich, do pokoi gościnnych. Cole cały czas siedzi przy telefonie, bo ma mnóstwo spraw do załatwienia, a biedna Lucy nie ma co robić. Pomyślałem więc, że wyświetlę jej nagranie mojej sztuki.

Jessice wprost trudno było uwierzyć, że ojciec jest nadal trzeźwy. Mało tego, włożył czystą koszulę i nawet uczesał włosy. Podniosła się zza biurka. - Tato, przecież Lucy może wcale nie chcieć oglądać jakiegoś starego przedstawienia.

- Ma ochotę. Sama poprosiła, żebym to przyniósł.

- Więc spędziłeś tam całe popołudnie?

- No, może nie całe, ale większość czasu tak. Pomagałem im znaleźć potrzebne rzeczy, a później razem czyściliśmy niektóre brzozy i inne drobiazgi. Potem Lucy chciała jeszcze przejrzeć mój album wycinków, a przy okazji piliśmy kawę. Wiesz, jak to jest.

Jessica zawahała się, ale w końcu postanowiła do niczego się nie wtrącać. Od lat nie zdarzyło się jej widzieć ojca aż tak ożywionego, a w dodatku była to szansa, że przynajmniej na jakiś czas będzie mogła od niego odpocząć. Trzeba było mieć nadzieję, że nie zanudzi Lucy na śmierć i nie zrobi żadnego rozpaczliwego głupstwa.

- No to dobrze, tato. Zobaczymy się później, mam nadzieję. Ojciec ruszył ku wyjściu, a Jessica usłyszała jeszcze, jak zamyka za sobą drzwi. Znów siadła za biurkiem, odchyliła się w krześle, od czasu do czasu postukując długopisem o blat.

Nim w końcu ponownie zabrała się do roboty, postanowiła pozaciągać zasłony w całym domu. Na zewnątrz było już zupełnie ciemno, a ona nie miała ochoty nawet myśleć o tym, że ktoś mógłby ją stamtąd podglądać w jasno oświetlonym wnętrzu.

Później jeszcze zaparzyła sobie filiżankę herbaty i z tawką w dłoni ruszyła z powrotem, żeby wreszcie znów zabrać się do pracy. Dopiero na progu podniosła wzrok, kompletnie zaskoczona.

Obok biurka stał Cosimo i przeglądał jedną z jej książek. Obrócił się w stronę Jessiki.

- Dobry wieczór, panno Ward - powiedział.

W jaki sposób mógł dostać się do domu? Czyżby ojciec zapomniał zamknąć za sobą drzwi? Postarała się ukryć początkowe zaskoczenie i weszła do środka.

- Dobry wieczór, bracie Cosimo.

- Ta książka jest wręcz fascynująca. Czy to rzeczywiście są zdjęcia powierzchni Marsa?

- Tak. - Uśmiechnęła się i postawiła herbatę na biurku. - Wykonane przez bezzałogową sondę kosmiczną Galileo, która zdokumentowała znaczną część naszego układu słonecznego.

- Więc interesujesz się planetami?

- No oczywiście. Przecież jestem astronomem, bracie Cosimo.

- Pokręcił głową. - Ty, kobieta?

- Ależ tak.

Cosimo odłożył książkę i sięgnął po następną.

- Masz też bardzo dużo książek poświęconych sztuce. To niezwykle piękne książki, panno Ward.

- Tak, i niektóre z tych wydawnictw rzeczywiście są bardzo cenne. Zwłaszcza te najstarsze. - Siegnęła po oprawny w skórę tom poświęcony starożytnej sztuce greckiej i rzymskiej. - Zbierałam te księgi przez wiele lat w nadziei, że kiedyś pomogą mi odnaleźć kometę, której szukam.

- Dawni Grecy nazywali je *aster kometes* - powiedział Cosimo - Co po grecku oznacza włochatą gwiazdę.

Jessica znów poczuła się zaskoczona jego rozległą wiedzą.

- Tak właśnie - powiedziała, próbując uchwycić coś z wyrazu jego twarzy. Jednak pod kapturem nadal widziała jedynie bezkształtny cień.

- Kiedyś po amatorsku próbowałem bawić się niektórymi dyscyplinami, ale nauka była wtedy ledwie w kolebce. - Zamknął księgę i ostrożnie odłożył ją na miejsce. - Za moich czasów ludzie nie zajmowali się tym niebem, które dziś bada się za pomocą teleskopów. Interesowało ich jedynie niebo przeciwstawiane piekłu. Ja sam w końcu odrzuciłem takie podejście jako skrajnie egocentryczne i wręcz nierozumne.

Jessica skrzyżowała ręce na piersiach. Poczula gęsią skórę na całym ciele. To, co powiedział Cosimo, rzeczywiście było bliskim herezji, zwłaszcza w ustach mnicha. Może więc Maria miała rację mimo wszystko, a ten mnich naprawdę był tym skazanym przed wiekami na śmierć czarownikiem Cosimo Cavanettim? A jeżeli tak, to co za postać kryła się za tą zakonną suknią? Jakiś demon czy upiór? I dlaczego ukazywał się tylko jej? Dlaczego nikt inny w ogóle go nie mógł widzieć?

- Przygląda mi się pani niezwykle uważnie, panno Ward.

- Ja... ja bardzo przepraszam. Jeśli to było nieuprzejme, to niechcący. - Cofnęła się o krok. - Po prostu zaskoczyły mnie takie poglądy. Zawsze sądziłam, że ludzie, którzy przyjęli święcenia, z założenia zajmują się właśnie duchowymi aspektami problematyki nieba i piekła.

- Ale ja nie mam święceń.

- Nie?!

Cosimo potrząsnął głową.

- Jestem bratem świeckim. A i tę rolę przyjąłem dopiero pod koniec mojego żywota, kiedy to różne okoliczności zmusiły mnie do wycofania się z życia w społeczeństwie.

- Do życia w całkowitej samotności?

- Tak. Ale to dotyczy przeszłości. A ja jestem tu po to, żeby mówić o przyszłości, panno Ward. - Odsunął się od półek z książkami i stanął przed biurkiem. - Zastanawiasz się nad sprzedażą winnicy, prawda?

- Tak, ale skąd ty o tym wiesz?

Cosimo pominął milczeniem jej pytanie.

- Powinnaś sprzedać winnicę wyłącznie Cavanettim.

- Dlaczego?

- Pewne rzeczy muszą się stać - po prostu muszą. Tak to zostało zapisane. Powiem tylko tyle, panno Ward, że ta ziemia ma zostać u Cavanettich, w przeciwnym wypadku zostanie złamana tradycja, która ciągnie się od wielu, wielu wieków.

- A co będzie, jeżeli Isabella Cavanetti nie zechce kupić tej winnicy?

- Możesz ją sprzedać tylko komuś z Cavanettich. To wszystko. W tym momencie dał się słyszeć dzwonek u drzwi. Mnich obejrzał się przez ramię.

- Ktoś nadchodzi. Muszę odejść - powiedział i ruszył w stronę drzwi.

Jessica pobiegła za nim.

- Zaczekaj! - zawołała. - Czy ty jesteś Cosimo Cavanetti? Ten, który został żywcem zamurowany?

Mnich odwrócił się i przyjrzał się jej uważnie.

- Powiem ci tylko tyle, moje dziecko: nieraz ludzie idą do grobu dopiero po latach, choć tak naprawdę już od dawna są martwi. Tak więc fakt zamurowania mnie żywcem nie powinien cię aż tak przerażać.

Jessica patrzyła na niego bez słowa. A więc to rzeczywiście był ten Cosimo Cavanetti! Rozmawiała z kimś, kto został pogrzebany siedem wieków temu. Oparła się o drzwi, oszołomiona i wstrząśnięta już samą myślą o czymś takim.

- Jednakże - mówił dalej mnich - jak to napisał Philip Massinger, śmierć ma tysiące drzwi, którymi wypuszcza z nas życie.

- Massinger? - powtórzyła zaskoczona Jessica. - Jak możesz coś wiedzieć o dramaturgu, który żył w siedemnastym wieku?

- Twój ojciec ma mnóstwo książek ze sztukami najróżniejszych autorów. - Cosimo pochylił głowę. - Przeczytałem je wszystkie. Tak więc choć - zwłaszcza w obszarze współczesności - moja edukacja jest z pewnością pełna luk, tu i ówdzie miewa też niejaką głębię.

Jessica była zbyt zdumiona, by mógł ją rozbawić ten zaskakujący przejaw jego humoru, nie pozbawionego zresztą nutki autoironii.

- Wciąż ktoś dzwoni, panno Ward - przypomniał jej Cosimo.

- Rzeczywiście - mruknęła, wciąż oszołomiona.

Cosimo skłonił się i ruszył w stronę tylnego wyjścia, podczas gdy Jessica poszła odtworzyć drzwi od frontu.

Na progu stał jakiś mężczyzna w wymiętym nieprzemakalnym płaszczu.

- Dzień dobry - powiedział. - Nazywam się John McIntyre, jestem przyjacielem Cole'a Nicholasa.

Jessica przyjrzała się wybrylantynowanym włosom i niezbyt atletycznej sylwetce. Raczej nie wyglądał na futbolistę, ale w końcu Cole mógł mieć znajomych w bardzo różnych kręgach.

- Powiedziano mi, że Cole zatrzymał się w tym domu.

- Tak, z tym że wejście jest od strony werandy. - Wskazała mu ją dłonią. - Tamtędy się wchodzi do pokoi gościnnych.

- Świetnie! - powiedział mężczyzna. - Dziękuję!

Jessica popatrzyła za nim, a potem zamknęła drzwi, zastanawiając się przez cały czas, czy po powrocie do swego pokoju znów zostanie tam brata Cosimo. Pokój był jednak pusty, a światło zgaszone. Poczula się odrobinę rozczarowana, w końcu jednak powiedziała sobie, że tak czy inaczej musi się wreszcie zabrać za referat.

Zdażyła popracować ledwie kilka minut, gdy nagle usłyszała głośne krzyki dobiegające właśnie od strony pokoi gościnnych. Potem dało się jeszcze słyszeć trzaśnięcie drzwiami. Jessica zerwała się i pobiegła do okna. Zdażyła zobaczyć, że trzymany za kołnierz gość jest właśnie wyrzucany w stronę zaparkowanego na podjeździe samochodu.

Jessica znalazła się na ganku akurat na czas, by zobaczyć, jak Cole otwiera samochód przybysza i siła wpycha go za kierownicę, trzaskając za nim drzwiami.

- I powiedz innym takim jak ty, żeby mnie do cholery zostawili w spokoju! - krzyknął.

Mężczyzna z piskiem kół wyjechał na jezdnię za bramą i po chwili już go nie było. Cokolwiek zaszokowana Jessica patrzyła na to wszystko z ganku. Z pokoi gościnnych wybiegł jeszcze Robert Ward, a za nim Lucy, która w chwilę później była już przy Cole'u.

- Nic ci się nie stało? - zapytała zdyszana.

- Wszystko w porządku. Możesz spokojnie wracać do oglądania filmu - odpowiedział Cole, odgarniając nieco rozwichrzone włosy. Ojciec Jessiki podszedł do Lucy i uspokajająco ujął ją za ramię, podczas gdy Cole obrócił się na pięcie i szybkimi krokami ruszył w stronę głównego wejścia do domu.

Jessica poczuła nagły skurcz w żołądku. Kim mógł być ten mężczyzna, którego tak łatwowiernie skierowała do Cole'a? Chciała go zapytać, ale Cole minął ją bez słowa. Otworzył drzwi i dopiero wtedy powiedział:

- Wejść do środka.

Nie pytając już o nic szła za nim aż do dużego pokoju. Tam Cole wskazał jej fotel, a sam usiadł naprzeciwko.

- Nie mów już nigdy nikomu, że się tu u was zatrzymałem.

- Dobrze, oczywiście. Ale kto to był?

- Jeszcze jeden reporter, który próbował mnie dopaść. - Twarz Cole'a wciąż płonąła gniewem. - Nigdy nie dadzą mi nawet chwili spokoju! Zawsze się kręcą w pobliżu, jak żądne krwi pijawki.

- Ale ten człowiek powiedział, że jest twoim przyjacielem.

- Każdy z nich może powiedzieć wszystko - Cole podszedł do dużego okna wychodzącego na podjazd. - Miałaś może w ręku dzisiejszą gazetę? Czytałaś już te wszystkie kłamstwa, które o mnie napisali?

- Tak, czytałam to - spojrzała na jego pochylone plecy. - I wprost nie mogłam uwierzyć, że można tak przekręcać fakty i tak tendencyjnie opisać cały incydent.

- Zawsze są gotowi napisać wszystko, byle tylko wywołać sensację. Nic ich nie obchodzi, jaką krzywdę wyrządzają w ten sposób i nie ma dla nich znaczenia, jaki naprawdę

jest człowiek, którego dopadli. Wyświadcz mi więc tę uprzejmość i nie mów już nikomu, że się tu zatrzymałem.

- W porządku, Cole.

- W razie czego mów, że mieszkam gdzieś w Seattle.

- Oczywiście.

Cole westchnął ciężko i zapytał:

- A o tym incydencie w Filadelfii też słyszałaś?

- Tak. Isabella mi opowiedziała.

- No tak - roześmiał się gorzko. - To wyjątkowo obfite źródło informacji.

- Nie mogłabym uwierzyć, że byłbyś zdolny do czegoś takiego. I nadal nie wierzę.

- Naprawdę? - Znów się roześmiał, jeszcze bardziej sarkastycznie/ - Więc jesteś chyba jedyną osobą w Stanach Zjednoczonych, która myśli o mnie w ten sposób.

- Maria też w to nie wierzy.

- A no tak, Maria. - Skrzyżował ramiona na piersi. - Ale ona w ogóle jest przekonana, że jestem nieomal święty.

- Dlaczego dziennikarze wypisują takie rzeczy i tak przekręcają prawdę? - spytała Jessica.

Cole westchnął.

- Sam nie wiem. Czasami myślę, że prasa po prostu już nie potrafi wierzyć, że ludzie mogą być dobrzy. Tak więc polują wyłącznie na atrakcyjne dla nich zło, wyszukują negatywne strony życia, słabostki i błędy, skazy charakteru i skryte motywy postępowania. I dlatego w ich pismach jest już tylko brud. - Cole potarł skórę u nasady nosa, w miejscu, gdzie opierały się okulary. - Niczego innego już nie widzą i nie chcą widzieć.

- Ale wyprowadzenie dziennikarza za kołnierz i wrzucenie go do jego własnego samochodu z całą pewnością nie pomoże ci w obaleniu zarzutu dopuszczenia się - na przykład - gwałtu.

- Myślisz, że sam o tym nie wiem? - Uśmiechnął się niewesoło i ruszył w stronę wyjścia.

W Jessice niewiele pozostało z gniewu, który jeszcze niedawno czuła w stosunku do niego. Teraz mu przede wszystkim współczuła.

- Cole, powiedz mi jeszcze, czy rozmawiałeś z jakimiś dobrymi lekarzami na temat tych twoich niewytłumaczalnych omdleń?

- Co najmniej z dziesięcioma. I wszyscy mówią to samo.

- Co?

- Że jestem zdrow jak koń. - Uśmiechnął się z tą samą goryczą. - Według nich nie trzeba nic robić, co najwyżej czekać i obserwować, co będzie dalej. A ja od jakiegoś czasu nawet nie mogę się porządnie wyspać. Lucy uważa, że to przede wszystkim stres.

- Może ma rację. A ta cała historia z zabranieniem twojego ojca ze szpitala z pewnością też ci nie pomaga.

- Gdybym przynajmniej mógł się z nim widywać. Ale ta suka Isabella nie puści mnie nawet na próg.

- Wiem. Ona liczy na to, że nie mając możliwości odwiedzania ojca, po prostu wyjedziesz.

- Ale czego się właściwie obawia? Ze po trzynastu latach nagle jakimś cudem odmienię jego serce, a on unieważni wydziedziczający mnie testament?

Jessica wzruszyła ramionami.

- Raczej boi się, że twoja obecność spowoduje komplikacje i kłopoty, które mogłyby źle wpłynąć na przyszłą karierę jej ukochanego Franka.

- Ja miałbym sprawiać mu jakiegokolwiek kłopoty? - powiedział z sarkazmem Cole. - Niby dlaczego? Po tym wszystkim, co on i jego matka zechcieli dla mnie zrobić?!

Otworzył drzwi, ale zatrzymał się jeszcze na progu.

- Jak sądzisz, czy udałoby się zadzwonić do Marii, żeby przyszła tu jutro rano? Przynajmniej wiedziałbym, jak czuje się mój ojciec.

- Mogę spróbować.

- Dzięki, Jess. - Wsadził ręce do kieszeni. - I przepraszam, że dziś po południu podniosłem na ciebie głos. Chyba to rzeczywiście ten stres.

- Nie przejmuj się, już o tym zapomniałam.

- Chociaż nadal uważam, że powinnaś być bardzo ostrożna, jeżeli idzie o Grega.

- Postaram się o tym pamiętać.

- Po prostu nie chciałbym, żeby cię wykorzystywał.

- Doceniam twoją troskę o mnie.

Zszedł w dół po schodach, a Jessica zamknęła drzwi. I znów oparła się o nie od wewnątrz, przejechała nieco rozdygotaną dłonią po włosach, a potem zaczęła sobie na nowo przypominać każde wypowiedziane słowo. No więc tym razem potrafiła mimo wszystko zapanować nad sobą. Nie poddała się tej sile, która jak magnes ciągnęła ją do Cole'a. Ani razu nie pomyślała też o tym, jak dobrze byłoby scałować bez reszty wszystkie kłopoty z tych jego umęczonych oczu. W zasadzie mogła nawet pogratulować sobie tak rozsądnej postawy, ale jakoś jej to nie cieszyło. Prawdę mówiąc, nawet się nie uśmiechnęła.

Cole tymczasem szedł ścieżką prowadzącą do pokoi gościnnych i z niepokojem myślał o zamiarach Grega wobec Jessiki. Nie za wiele wiedział o jej doświadczeniach z mężczyznami, ale wątpił, by potrafiła sobie poradzić z kimś takim jak Greg. Znał ten typ faceta - zadufany w sobie, a jednocześnie uparty i namolny, wracający oknem, kiedy się go wypchnęło drzwiami. Jessica nigdy nie powinna była całować go w ten sposób! Ktoś taki jak Greg może natychmiast uznać, że teraz ma już prawo żądać wszystkiego, na co tylko będzie miał ochotę.

Po wejściu do sypialni zatrzymał się przed łóżkiem i pochylił się, żeby zdjąć pantofle. W tej samej chwili pociemniało mu w oczach, osunął się na kolana, a potem na podłogę. Znowu pojawił się ból gałek ocznych, pamiętny z prześladowającego go snu.

Zdał sobie sprawę, że się budzi i że coś jest inaczej. Po tygodniach picia lekarstwa i zmieniania okładów najwyraźniej udało mu się wymknąć śmierci. Wciąż był bardzo słaby i roztrzęsiony, ale wiedział już, że przeżyje. Spróbował poruszyć nogami. Ciało miał sztywne, ale ból był tym razem do zniesienia. Podobnie przy próbie poruszenia gałkami ocznymi - pozostały już tylko resztki bólu, zwłaszcza w lewym oku. Może więc przyszła pora, żeby zdjąć już ten okład z twarzy? Bardzo chciał ujrzeć tę kobietę, która tak się nim opiekowała.

Nie widział jej, a mimo to był już w niej na wpół zakochany. Wszędzie rozpoznalby jej głos, lekko gardłowy i miękki, niczym ciepły wietrzyk. Poza tym często słuchał jej cichego śpiewu, którym umilała sobie godziny czuwania nad nim. Najpewniej była wtedy przekonana, że jej podopieczny śpi, gdy tymczasem on tylko leżał nieruchomo, słuchając jej ballad i kołysanek, i marząc o cudownie pięknej twarzy, którą musiała mieć osoba o tak anielskim głosie.

Rozpoznawał też charakterystyczny dla niej, delikatny zapach olejku z różanych płatków, a także dotknięcia jej dłoni, lekkich niczym piórko. Przez cały czas opieki nad nim ani razu nie sprawiła mu bólu. Jej ciepłość wydawała się wręcz niewyczerpana. Czuwała nad nim, karmiła go i myła, a nawet przycinała mu włosy i brodę. Ani razu nie zdarzyło mu się usłyszeć z jej strony jakiegokolwiek skargi czy choćby westchnienia, choć z pewnością musiała być krańcowo zmęczona.

Cole sięgnął dłonią do twarzy i ostrożnie dotknął bandażu, usiłując znaleźć węzeł, którym związane ich końce. Wreszcie udało mu się go odnaleźć i rozwiązać, a następnie zdjąć okład i bandaż. Ręce drżały mu od bólu i wysiłku.

W pierwszej chwili światło sprawiło mu ból i z oczu popłynęły łzy, przez co skóra na twarzy zapiekła go jeszcze dotkliwiej. Cole na zmianę otwierał i zamykał powieki. Przymrużał je i otwierał coraz częściej, aż w końcu oczy przyzwyczyły się do bladego

światła wczesnego świtu. Rozejrzał się po pokoju. Pod sobą miał szerokie łóżce, którego wezglowie zdobione było brokatem i bogatymi haftami. On sam leżał nago, przykryty jedynie lekką narzutą z jakiegoś delikatnego futra.

Potem spojrzenie Cole'a przesunęło się po ścianie w stronę okna, którego otwór był tak wąski, że musiał służyć chyba przede wszystkim za strzelnicę dla łucznika, a dopiero w dalszej kolejności do wpuszczania dziennego światła i powietrza.

Przy oknie stał niewielki stół, zastawiony buteleczkami różnych rozmiarów, i mosiężny kociołek na trzech nóżkach, w którym żarzyły się kawałki rozpalonego węgla drzewnego. Obok stało głębokie krzesło - siedząca na nim kobieta wspierała podbródek na białej dłoni. Miała przymknięte oczy i najpewniej dopiero co zasnęła.

Cole uniósł się, żeby lepiej się jej przyjrzeć, ale ten jego ruch wystarczył, żeby zrzucić na podłogę niewielki dzwoneczek, który zapewne w tym celu położono na jego okryciu. Dzwoneczek z cichym brzękiem spadł na podłogę, a zaskoczona kobieta natychmiast podniosła wzrok.

Przez chwilę oboje wpatrywali się w siebie, nie mówiąc ani słowa. Cole czuł, jak jego serce zaczyna bić coraz szybciej. Wydała mu się prześliczna, nawet jeśli nie było to do końca w zgodzie z obowiązującym podówczas kanonem urody. Nie miała bladej cery, bezbarwnych rzęs i brwi, ani złocistych włosów. Jej piękność pochodziła jakby z zupełnie innego królestwa. Falujące włosy o odcieniu najczarniejszego hebanu spadały aż do talii. Równie ciemne rzęsy osłaniały oczy o zaskakującej barwie niebieskiego lazurytu. Końce ciemnych, strzelistych brwi wznosiły się ku skroniom, przydając delikatnej twarzy nieco kociego charakteru, co czyniło ją jeszcze bardziej pociągającą. Jej skóra wydawała się śnieżnobiała, zwłaszcza w zestawieniu z leciutkim rumieńcem, który pojawił się na jej policzkach.

Cole nie przestawał się w nią wpatrywać. Kobieta z wolna podniosła się z krzesła. Długa suknia z różowego jedwabiu delikatnie opinała jej piersi i wąską talię, a potem rozszerzając się opadała w dół obfitymi fałdami, sięgającymi kamiennej podłogi. Cole nigdy dotąd nie widział nic równie zachwycającego. Cudownie smukłe ramiona nagle wyprostowały się pod wpływem jego spojrzenia, pociągając do góry delikatny jedwab, co jeszcze wyraźniej podkreśliło krągłość białych piersi. Kobieta podniosła dłoń do szyi i szeroki rękaw sukni odchylił się, odsłaniając mankiet bluzki bogato haftowanej różowym jedwabiem.

- A więc wreszcie się obudziłaś, panie! - Uśmiechnęła się kącikami ust, ale Cole zdążył dostrzec cień niepokoju, który przemknął przez jej twarz. Ta kobieta uśmiechała się, ale jednocześnie patrzyła na niego w taki sposób, jakby przede wszystkim chciała ukryć swoje myśli. Co właściwie odbijało się w tym jej spojrzeniu? Troska? Czy też litość? A może

tak mu się tylko wydawało?

- Panie, musisz wprost umierać z pragnienia! - zawołała. Pochyliła się i podniosła z podłogi dzwoneczek, który schowała do atłasowej sakiewki przy pasku opinającym jej talię. Potem sięgnęła po niewielką metalową czarę, postawioną na stoliku obok łóżka, i podniosła ją do jego ust. - Wypij to, panie.

Cole chciał jej zadać tysiące pytań, ale o wszystkich zapomniał, gdy trzymana jej dłonią czarka dotknęła jego warg. Nawet nie zdawał sobie sprawy, jak straszliwie był spragniony. Wielkimi łykami wypił rozcieńczone wodą czerwone wino aż do dna.

- Ostrożnie, panie, żebyś się przypadkiem nie oblał - roześmiała się cicho i dźwięcznie. - Trzeba pić powoli, nie więcej niż jeden łyk naraz.

Wyprostowała się, jak gdyby miała zamiar odejść od jego łóżka. Cole chwycił ją za rękę i aż sam się zdziwił, jak drobne wydały mu się kostki jej nadgarstka. Młoda kobieta cofnęła się odruchowo i popatrzyła na niego z nagłym lękiem. Najwyraźniej musiała ją przerazić niesłychana siła, z jaką chwycił jej rękę.

- Kim jesteś? - zapytał cicho.

Łagodny ton jego głosu chyba ją uspokoił.

- Jestem Giovanna di Montalcino.

- Montalcino? - powtórzył Cole. Puścił jej dłoń i ponownie opadł na poduszki. Jego siła najwyraźniej powróciła tylko na chwilę, bo znów czuł się słaby jak dziecko. - Czy jesteś spokrewniona z hrabią Montalcino?

- To mój ojciec. Cole przyjrzał się jej uważnie. Nie za bardzo przypominała tęgiego mężczyznę, którego pamiętał z pola niejednej bitwy.

- A gdzie ja teraz jestem?

- W Jerozolimie.

- Jak to? Co córka hrabiego Montalcino może robić w Jerozolimie?

- Jestem pątniczką, przybyłam tu z pielgrzymką, panie. - Uśmiechnęła się i wdzięcznie przechyliła głowę. Była naprawdę prześliczna. Dużo piękniejsza, niż sobie wyobrażał, słuchając jej głosu.

- Sądziłem, pani, że jesteś aniołem - wyszeptał. - Byłem pewien, że znalazłem się już w niebie.

W jej oczach błysnęły iskierki rozbawienia.

- Byłeś, panie, bardzo blisko nieba, w każdym razie przez dłuższy czas. Ostatecznie jednak tam nie trafiłeś, bo udało się nam ciebie zatrzymać. A niepokoił się już bardzo.

- Jak długo tu jestem?

- Prawie dwa miesiące, panie. Jeden z twoich ludzi widział, jak spadłeś z mostu. Wydobył cię z rzeki i przywiózł do mnie.

- Dlaczego właśnie do ciebie, pani?

- Ponieważ mu kazałam. Wiele czasu spędziłam tutaj, opiekując się rannymi i poparzonymi, i nabrałam znacznej wprawy w ich pielęgnowaniu. Gdy tylko dowiedziałam się, co się przydarzyło słynnemu baronowi, który walczy lewą ręką, od razu wiedziałam, że muszę spróbować uratować ci życie.

- I to ci się udało. Nigdy nie zdołam ci się wypłacić ani dostatecznie wyrazić mojej wdzięczności, Giovanni. Nigdy.

Młoda kobieta zarumieniała się, słysząc tak poufale zwrócenie się do niej po imieniu, ale ostatecznie nie zaprotestowała.

- To był dla mnie niezwykle zaszczyt, panie baronie. Widziałam cię, jak walczyłeś na kopie w rycerskich turniejach, słyszałam też, co damy opowiadają o twoich bitewnych przewagach. Trubadurzy układają pieśni, sławiące twą dzielność. Mogę się więc tylko chlubić tym, że opiekowałam się takim mistrzem.

- I to ty jedna opiekowałaś się mną przez cały czas? Nikt prócz ciebie, prawda?

- Rzeczywiście, tylko ja. Nie mogłam cię zostawić, panie. Nie mogłam po prostu pomyśleć, że... - urwała i sięgnęła po metalową czarę. - A teraz proszę, panie, wypij jeszcze to.

Cole posłusznie wypił wszystko, ale gdy Giovanna sięgnęła po pustą czarę, chwycił młodą kobietę za obie dłonie i przytrzymał, aby z bliska przyjrzeć się jej twarzy. Giovanna również spojrzała na niego i zarumieniała się.

- Czy zaspokoileś już pragnienie, panie? - spytała.

- Nie - odparł Cole i odrzucił do tyłu welonik, który przesłaniał jej twarz. - Jestem wciąż spragniony, Giovanni.

- Wciąż jeszcze? - wyszeptała.

- Tak. - Delikatnie dotknął lśniącego pasma jej ciemnych włosów, a potem ją samą przyciągnął bliżej do siebie. Giovanna wciąż jeszcze trzymała czarę w swych długich, wąskich palcach. W chwilę później Cole ujął w dłonie twarz Giovanny i przyciągnął ją do swych ust. Wargi miał spieczone i szorstkie, podczas gdy jej usta były miękkie i delikatne, ale Cole i tak nie był w stanie myśleć o niczym innym, poza tym nagłym poczuciem nieziemskiej błogości, która go ogarnęła. Nigdy dotąd nie zdarzało mu się odczuwać czegoś takiego. Kocham tę kobietę, powiedział sobie. Boże, miej litość nade mną, naprawdę ją kocham! Przymknął powieki i sycił się tym nieziemskim smakiem niebiańsko słodkich ust. To była

ona, tak miękka, tak uległa, czuła i delikatna. Usiadła obok niego na łóżku, a wtedy jej rozrzucone włosy dotknęły jego odsłoniętej skóry. Usłyszał jeszcze, jak metalowa czarka uderzyła o podłogę, a w chwilę później te zachwycająco delikatne palce spoczęły na jego obnażonej klatce piersiowej.

- Panie mój! - szepnęła, tym razem niemal prosto do jego ucha. Objęła go ramionami za szyję, a jej otwarte usta pochyliły się ku jego twarzy. Cole westchnął ze szczęścia i długo smakował jej cudownie słodkie pocałunki, a potem także giętką szorstkość jej języka, który wniknął między jego rozbudzone wargi.

Tak więc nie powiedziała mu pełnej prawdy - to mimo wszystko było niebo! A ona była tym aniołem, który został wysłany, by go do tego nieba doprowadzić.

Zapadał się coraz głębiej w mięką poduszkę, wyczerpany nadmiarem szczęścia i intensywnością wydarzeń. Osłabłe dłonie osunęły się i opadły bezwładnie. Wtedy Giovanna pochyliła się nad nim jeszcze bardziej, objęła go, głaszcząc jego włosy, a twarz pokrywając pocałunkami. Cole zdał sobie sprawę, że ona całuje jego rany - poczynając od czoła, poprzez powieki, policzki i szczęki, a kończąc ponownie na jego ustach. Uszczęśliwiony, westchnął głęboko. Żadna kobieta dotąd nie pieściła go z takim oddaniem i aż tak odważnie. Nie zdziwiło go więc, że już po chwili doszedł do pełnej erekcji.

- Giovanna! - jęknął półgłosem. Jej usta były jeszcze cudowniejszym lekarstwem niż ta mikstura, którą dawała mu do picia. Wszystkie jego zmysły były pobudzone do tego stopnia, że naprawdę obawiał się, iż za chwilę zemdleje. Giovanna całowała go coraz goręcej, poczynając od najbardziej czułego miejsca za uchem, potem wzdłuż szyi i barku, aż do jego szerokiej piersi. Całując go przez cały czas płakała cichutko, z jej oczu co chwila kapały łzy, a on nie wiedział dlaczego. Chciał ją o to zapytać, ale z drugiej strony za żadne skarby **nie** chciał przerwać tych pocałunków. Tak więc poddawał się jej pieścizom bez słowa, oszołomiony i niemal zahipnotyzowany kolejnymi falami rozkoszy, które niczym kręgi na wodzie rozchodziły się po jego skórze od miejsc, których dotykała ustami.

Sam znów czuł się słaby, tak słaby, że nawet nie był w stanie odpowiedzieć pieścizom na jej pieścizoty. A jednocześnie jego ciało wręcz płonęło z pożądania, jakie w nim wzbudziła. Gdybyż tylko miał dość sił! Gdyby był zdolny wziąć w ramiona tę kruchą kobietę, przyciągnąć ją do siebie i dać jej poznać, jak bardzo, jak wręcz nieprawdopodobnie jej pożąda. To wszystko musiało jednak poczekać aż do chwili, gdy rzeczywiście odzyska siły.

Giovanna zsunęła w dół przykrywającą go narzutę i zaczęła całować jego piersi i tors. Oddech Cole'a stawał się coraz szybszy, w miarę jak jej wargi wędrowały wciąż niżej i niżej, w stronę brzucha, a potem także i pępka, poniżej którego zaczynała się gęstniejąca kępka

włosów, znikająca pod odsuniętą w dół narzutą. Jednocześnie miękkie dłonie Giovanni pieściły jego plecy i żebra wzdłuż klatki piersiowej, a potem również zaczęły się przesuwać coraz niżej i bardziej do środka, w stronę podbrzusza. W chwilę potem przykrywająca go dotąd narzuta już leżała na podłodze, a usta Giovanni zaczęły znów całować jego brzuch, schodząc po nim coraz niżej i niżej.

Cole nabrał powietrza, chcąc jeszcze raz wymówić jej imię, ale zdobył się już tylko na głębokie westchnienie, które przeszło w spazm. Daremna próba protestu zamarła na jego wargach.

Cole wzdrygnął się i otworzył oczy. Leżał na podłodze, z twarzą wciśniętą w grubą, wełnistą wykładzinę podłogową tuż przy łóżku. W chwilę potem zorientował się, że to jedna z sypialni przy pokojach gościnnych domu państwa Ward. Bolał go podrapany policzek, najpewniej musiał nim zawadzić o krawędź łóżka, kiedy tak nagle stracił przytomność. Powinien się cieszyć, że nie uderzył tyłem głowy o jakiś kant. Jak dobrze pójdzie, to przy następnym takim omdleniu może się nawet zabić.

Powoli zdołał się obrócić i stanąć na czworakach, a potem na samych kolanach. Nie mógł zrozumieć, dlaczego skóra pali go i mrowi jednocześnie. W końcu udało mu się stanąć na nogi i dobrać do łazienki. W dodatku przez cały czas miał niezwykle silną erekcję, toteż każdy ruch sprawiał mu ból. Dżinsy ściągnął doprawdy z najwyższym wysiłkiem. I przedtem zdarzało mu się czasami budzić ze snu w takim właśnie stanie, ale nigdy nie było to aż tak intensywne.

Podszedł do prysznica i przekręcił dźwignię. Mocny strumień wody powinien go szybko otrzeźwić i doprowadzić do stanu jako tako normalnego. Ściągnął koszulę i slipy, po czym szybko wszedł pod prysznic, ustawiając go prawie na maksimum. Namydlił się obficie i wyszorował gąbką. Potem, po pierwszym opłukaniu, zaczął się myć już spokojniej i bardziej dokładnie. I właśnie w tym momencie poczuł coś dziwnego. To było coś, co Francuzi nazywają *deja vu*, z tą różnicą, że Cole nie tyle zobaczył, ile raczej poczuł coś już mu znanego. Coś, co go zupełnie oszołomiło.

Ktoś tam był, razem z nim - pod tym prysznicem. Był tego pewny. Czuł nawet wyraźne dotknięcia czyjejs delikatnej skóry. To była kobieta, która teraz go całowała. Cole przeciągnął palcami po swej dolnej wardze, jakby chcąc zetrzeć ślad pocałunku. Zamknął oczy, żeby się jakoś przeciwstawić kolejnej fali pożądania, która znów zaczęła w nim narastać.

Przedtem kobieta całowała go w jego śnie i wspomnienie tego było tak silne, że oddziaływało na niego, także fizycznie, jeszcze długo po obudzeniu. A co teraz się z nim

działo? Przecież chyba nie śpi?! Czyżby rzeczywiście popadał w szaleństwo, jak mu to przepowiadano? Ale dlaczego? I dlaczego ten cholerny prysznic też przestał na niego działać?

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Frank czuł się wyjątkowo podle. Kilkakrotne przemycie twarzy zimną wodą w męskiej toalecie niewiele pomogło na świdrujący ból głowy i raz po raz powracające mdłości. Nie potrafił sobie odpowiedzieć, czy to były przedłużone skutki nocnego kaca, czy raczej objawy lęku przed tą zbliżającą się chwilą, kiedy będzie musiał stanąć przed matką i spojrzeć jej w oczy. Jako dziecko wymiotował dość często i ta skłonność pozostała u niego także i później, kiedy był już dorosły. Gdy tylko czuł się mocno zdenerwowany lub niespokojny - na przykład przed ważnym meczem tenisowym - uciekał do ubikacji i wymiotował.

Teraz też to zrobił i krzywił się niemiłosiernie. Czuł pieczenie w żołądku i lęk, że to może być wrzód. Ale skąd wrzód żołądka u dwudziestopięciolatka?

Całe szczęście, że przynajmniej Shawn tym razem nie komplikowała mu sytuacji i nie upierała się, żeby iść do restauracji razem z nimi. Prawdę mówiąc, ostatnio w ogóle przestała jadać śniadania i popadła w nawyk spania aż do południa albo i dłużej. To akurat bardzo Frankowi odpowiadało. Im rzadziej będzie teraz oglądał tę sukę, tym lepiej. Chociaż gdyby mógł wybierać akurat w tym momencie, wolałby już chyba stawić czoło Shawn niż swej matce.

Matka siedziała już przy stoliku, popijając herbatę ze stylowej filiżanki i spoglądała w stronę widokowego okna obok głównego wyjścia, oczekując na powrót syna. Zabrał ją do tego właśnie lokalu, ponieważ była to jej ulubiona restauracja, renomowana i niezmiernie elegancka, z bardzo kobiecymi obiciami w drobne kolorowe kwiatki, z delikatnymi mebelkami w stylu królowej Anny i z dywanową wykładziną w kolorze przydymionego różu.

Frank z kolei wręcz nie znosił tego wnętrza. Zawsze czuł się tam skrzepowany, siedział nieruchomo i sztywno, jakby w obawie, że za chwilę niechcący coś straci albo przewróci. Od samego wejścia wiedział też, co go czeka. Matka usiądzie i będzie na niego patrzeć. Nie powie ani słowa, wiedząc doskonale, że nie musi nic mówić.

Wystarczało, że patrzyła na niego w ten swój szczególny sposób, lekko zaciskając wargi, a Frank natychmiast czuł się tak, jakby znów miał siedem lat i znów zmoczył pościel w łóżku.

W gruncie rzeczy to właśnie myśl o tym wszystkim była powodem, że zgodził się na przyjazd Shawn na święta. Żona miała mu posłużyć jako swego rodzaju zderzak. Wykalkulował sobie, że matka większość swego złego humoru wyładowuje na synowej, co jemu samemu powinno dać trochę oddechu. Zawsze bowiem najtrudniej mu było znieść niezadowolenie matki.

Zdawał sobie sprawę, że Isabella chce dla niego wszystkiego, co najlepsze, że wiąże ogromne nadzieje z jego przyszłą karierą i sukcesami w dalszym życiu, ale czasami zdarzało mu się zastanawiać, czy aby na pewno on sam pragnie tego aż tak bardzo, jak pragnęła tego jego matka. Wiedział, że powinien się szczególnie przykładać, zwłaszcza przy kolejnych szansach wybicia się, szansach, które zazwyczaj otrzymywał tylko dzięki jej staraniom. A jednak niemal zawsze składało się jakoś tak, że brakło mu tej odrobiny, tej jednej kreski na skali, by wreszcie sprostać jej wymaganiom i nadziejom. W zestawieniu z tym, co sobie wymarzyła, zawsze był nie dość silny, nie dość bystry i sprytny, nie dość wytrwały w walce z konkurentami. Matka nigdy nie powiedziała mu tego wprost, ale Frank czytał to w jej oczach.

No a z kim go zazwyczaj porównywano? Na samą myśl o tym pieczenie w żołądku Franka znów się wzmagalo. Najczęściej był to Cole. Nawet jeżeli matka akurat z nim nigdy go nie próbowała porównywać, czynili to wszyscy inni. A przede wszystkim on sam. Zawiązał ponownie krawat i mocno zaciągnął go na szyi. Za długo już żył w cieniu swego brata. Musiał teraz jakoś się z tego wydobyć, żeby nie pójść ostatecznie na dno.

- Jesteś wreszcie - powiedziała Isabella. - Już myślałam, że gdzieś zabłądziłeś.

- Nie. - Frank usiadł na krześle i przysunął się do stolika. - Po prostu musiałem zatelefonować - sięgnął po menu i szybko zmienił temat. - Zamówiłaś już coś dla siebie, mamo?

- Tak. Zamówiłam dla nas obojga omlet po florencku i sałatkę owocową. Nie sądzisz, że to będzie pyszne?

Frank wolałby jajka po benedyktyńsku, ale postanowił nie robić z tego sprawy. Ucieszył się, że matka nie spytała, do kogo dzwonił - okłamywanie jej zawsze szło mu raczej marnie. Sięgnął po filiżankę i pociągnął łyk kawy. Przy tym podejrzanym pieczeniu w żołądku i tak nie powinien nic jeść. Sięgnął po śmietankę do kawy.

Podczas jedzenia Frank dwukrotnie próbował poruszyć temat, który był dla niego szczególnie trudny, ale też dwukrotnie wycofywał się w ostatniej chwili. Matka była najwyraźniej ożywiona i zadowolona, a Frank nie chciał zepsuć tego nastroju. Isabella z apetytem zjadła omlet i owoce, a potem sięgnęła po torebkę, z której wyjęła niewielkie pudełeczko, opakowane w złożony papier i przewiązane wstążeczką. W środku z całą pewnością musiał być jakiś upominek.

- To dla mnie? - spytał Frank.

- Tak - odpowiedziała Isabella. - W środku jest coś, co koniecznie musisz mieć, podejmując pracę w firmie prawniczej.

Frank na moment przerwał rozwijanie prezentu.

- Firmie prawniczej?!

- Tak! - w jej uśmiechu była jawna niecierpliwość. - No, rozpakuj to wreszcie!

- Ale, mamo, chciałem ci właśnie powiedzieć...

- Później mi powiesz. Chcę, żebyś zobaczył, co ci kupiłam.

- Frank westchnął i zdjął lśniące papierowe opakowanie. Sądząc z kształtu i rozmiarów pudełeczka, w środku mógł być albo zegarek, albo komplet wiecznego pióra z ołówkiem. Otworzył wieczko i okazało się, że trafił. Wieczne pióro z ołówkiem.

- Stalówka jest z dwudziestoczworokaratowego złota - powiedziała Isabella. - A całość naprawdę bardzo elegancka, nie uważasz?

- Rzeczywiście, mamo. Bardzo ci dziękuję.

Nastąpiła dłuższa chwila niezręcznego milczenia. Frank zgniótł w dłoni papier i wstążeczkę, a potem położył to wszystko obok popielniczki. Jak miał teraz jej to powiedzieć? Jak w ogóle powiedzieć jej coś takiego? Ale dalsze odkładanie też do niczego nie prowadziło. Nabrał powietrza, żeby zacząć.

- Mamo, jest coś, o czym powinniśmy porozmawiać.

Zaczął bardzo zdecydowanie, lecz kiedy napotkał jej wzrok, od razu zająknął się i znów zabrakło mu słów. Odwaga go opuściła, choć zdawał sobie sprawę, że już nie może się cofnąć.

- O co chodzi, Frank?

- O to, mamo, że... To znaczy... Ja ostatnio dużo myślałem.

- O czym?

- O winnicy. I o mojej przyszłości.

- Przecież wszystko idzie wspaniale, nie sądzisz? Kiedy rozwiedziesz się z Shawn, ostatni problem zniknie. Będziesz się mógł ożenić z Kimberly Blake, a to oznacza otwartą drogę na sam szczyt.

- Na szsz... szczyyyt... ? - Głos mu się niespodziewanie załamał. Nie znosił tego, gdyż mówił wtedy jak przechodzący mutację nastolatek. - Mamo, bardzo długo nad tym myślałem. Nie sądzę, żebym był urodzonym prawnikiem. Tak naprawdę jestem tenisistą.

- Frank, przestań opowiadać idiotyzmy!

- Zawsze chciałem wybudować ośrodek tenisowy i założyć klub. Mamy teren, który doskonale się pod to nada, a ponieważ to nasza własność, bez trudu dostaniemy pożyczkę hipoteczną na samą budowę. To będzie pierwszorzędny interes. Znam się na tym i wiem, jak to poprowadzić. - Usiłował dojrzeć w oczach matki choć ślad entuzjazmu, ale daremnie.

- Frank, o czym ty w ogóle opowiadasz? Nigdy nie mówiłeś o budowaniu jakiegos

tenisowego ośrodka.

- Mówiłem, mam. Często mówiłem, tylko ty nie chciałaś słuchać. Isabella zacisnęła wargi. Frank znał już ten wyraz jej twarzy i mimo woli skulił się w sobie.

- Opowiadasz jakieś nonsensy, Frank. Dopiero co uzyskałeś dyplom na wydziale prawa uniwersytetu Harvarda. Nikt z odrobiną oleju w głowie nie rezygnuje z czegoś takiego, żeby nagle budować jakiś tam... jakiś ośrodek tenisowy. Co cię nagle napadło?

- Nic mnie nie napadło. Po prostu nie sądzę... Isabella nie pozwoliła mu skończyć.

- Kelner! proszę o rachunek! - zawołała. Obsługujący ich młody człowiek pojawił się niemal w tej samej chwili.

- Mam, chciałem ci wytłumaczyć...

- Nie, Frank, mam tego absolutnie dosyć. Wychodzimy stąd natychmiast i nie chcę już w ogóle słyszeć o żadnym ośrodku. Ty... ty po prostu ostatnio nie jesteś sobą, tyle ci powiem. I jestem pewna, że to Shawn namówiła cię na ten głupi pomysł.

- Och, na miłość boską, mam!

Isabella podniosła się, gdy kelner podał jej przyniesiony na tacy rachunek, i zamiast mu zapłacić bezpośrednio, chwyciła torebkę i ruszyła do kasy, mieszczącej się przy wyjściu.

Frank skrzywił się z niezadowoleniem, chowając do kieszeni pudełko z wiecznym piórem i ołówkiem. Matka nawet nie chciała wysłuchać go do końca. Nigdy go zresztą nie słuchała. A on z kolei przez te długie lata nauczył się przynajmniej tego, że na dłuższą metę lepiej jest jej ustępować, niż próbować z nią walczyć. Westchnął i w ślad za nią ruszył do wyjścia.

Otworzył dla niej drzwi samochodu. Jak zawsze, nawet na niego nie spojrzała. Jej nieruchoma twarz nie miała żadnego wyrazu. Zapięła pas bezpieczeństwa i złożyła dłonie na kolanach. - Frank - powiedziała, kiedy usadowił się obok. - Nie próbuj już niczego takiego, choćby tylko we własnym interesie.

- Mam, przecież ja tylko zacząłem się zastanawiać, jak najsensowniej mógłbym wykorzystać przypadającą na mnie część spadku.

- Nie ma już żadnego spadku, Frank. Obrócił się gwałtownie.

- Jak to?

- Bardzo zwyczajnie. Musiałam do niego sięgać wielokrotnie na przestrzeni tych lat. Studia na uniwersytecie Harvarda są kosztowne, jak wiesz. Bardzo kosztowne.

- I nie zostało już nic z tych pieniędzy?

- Praktycznie nic. Wszystko zainwestowałam w twoją przyszłość.

- Moją przyszłość? Moją?! - Frank nagle ścisnął kierownicę z taką siłą, że widoczne

przez skórę kostki jego dłoni stały się niemal białe. Tak bardzo liczył na te pieniądze! To one miały być zabezpieczeniem jego przyszłości po opuszczeniu uczelni. Tymczasem okazywało się, że nie ma nic.

Isabella. lekko dotknęła jego ramienia.

- Frank - powiedziała. - Jak sądzisz, skąd przez te wszystkie lata brałam środki potrzebne na ten twój luksusowy samochód, na eleganckie ubrania, na niemałe kieszonkowe?

- Zawsze myślałam, że po prostu jesteśmy bogaci - przekręcił kluczyk w stacyjce. Znowu zbierało mu się na wymioty. - Nigdy mi nie przyszło do głowy, że możesz wydać przypadającą na mnie część spadku.

- Frank, czy ty nie rozumiesz, że po prostu musiałam to zrobić? - zabrała rękę z jego ramienia. - Ale wszystko będzie w porządku. Wszystko się naprawi, nasza sytuacja wcale nie jest taka zła. Wprawdzie zbliża się termin wpłacenia raty za winnicę i dodatkowo za przedłużenie dzierżawy, ale będziemy mogli pokryć to wszystko z premii, którą stary Blake z pewnością da ci z okazji wstąpienia do jego firmy.

- Premii? Jakiej premii? - Frank puścił sprzęgło i włączył się do ruchu, choć czuł, że wszystko wokół niego zaczyna się chwiać i wirować.

- Przecież mówiłeś, że po przyjęciu do firmy tradycyjnie...

- Nie zostanę przyjęty do firmy Blake, Davenport i Asher, mamó. Nie ma w ogóle takiej możliwości.

- Frank, nie opowiadaj mi takich rzeczy!

- Nie wezmą mnie tam. - Frank gwałtownie zamrugał powiekami, by przepędzić z rozgorączkowanej wyobraźni obraz szydzącej z niego Shawn. A co powie mu matka? Patrzył prosto przed siebie, ale kolejne pytanie musiało paść nieuchronnie.

- Dlaczego nie miałbyś być przyjęty?

- Ponieważ oblałem dyplomowy egzamin, mamó. - Spojrzał na nią twardo, jakby nabierając odwagi po tym, gdy wreszcie powiedział jej prawdę. - Po prostu oblałem.

Matka patrzyła na niego bez słowa. Pod cienką powłoką różu jej twarz nagle zrobiła się blada.

- Tak więc nie będzie premii od Blake'a. W ogóle nie będzie żadnych pieniędzy. Od nikogo. Taka jest prawda, mamó.

Rano Jessica zadzwoniła do Marii, żeby zapytać o zdrowie Michaela Cavanetti. Okazało się, że właśnie pojawiła się sposobność ominięcia zakazu Isabelli i Cole mógł w tym czasie niepostrzeżenie dostać się do ojca. Podczas gdy robotnicy kończyli tapetowanie i sprzątanie, Isabella wraz z Frankiem pojechali do miasta na lekki południowy posiłek,

wydając Marii i wynajętej pielęgniarce surowy zakaz wpuszczania Cole'a. Pielęgniarka starała się sumiennie wykonywać polecenie i od czasu do czasu wyglądała przez okno, sprawdzając, czy niepożądany gość przypadkiem nie nadchodzi. Tymczasem Maria, w tajemnicy przed nią, zaczęła realizować błyskawicznie podjęty plan i tylnym wejściem wpuściła do środka Jessikę i Cole'a.

Plan polegał na tym, by Cole przebrał się w zakonny habit z kapturem, który można było wziąć ze starej gablotki w kaplicy. To Jessica wpadła na ten pomysł, który nie tylko dawał Cole'owi znakomite przebranie, ale i uzasadniony powód odwiedzania Michaela ,W/ Cavanetti. Wszyscy bowiem wiedzieli, że Michael był zagorzałym katolikiem, toteż nawiedzanie go przez osobę duchowną nie mogło nikogo dziwić. Co prawda, w najbliższej okolicy w ogóle nie było klasztorów, ale wynajęta pielęgniarka niewiele wiedziała na ten temat i wcale jej nie zdziwiły odwiedziny zakonnika, pragnącego pomodlić się przy łóżku chorego.

Cole wykazał się znakomitym talentem aktorskim, tak udatnie naśladowując gesty i mimikę benedyktyńskiego braciszka, że Jessica chwilami miała trudności z zachowaniem powagi.

- Błogosławieństwo Boże niech będzie z tobą, sestro - powiedział Cole, pochylając osłoniętą kapturem głowę przed pielęgniarką, która wstała, żeby przywitać osobę duchowną.

- Dzień dobry, ojciec - wyjąkała dosyć niepewnie i poprawiła zakładki swego służbowego fartucha.

- Jak chory czuje się tego ranka?

- Chyba czuje się nieźle - pielęgniarka spojrzała w stronę łóżka. - Na szczęście spał spokojnie przez całą noc.

- Przyszedłem, żeby mu poczytać fragmenty z Pisma Świętego. Wierzmy, że słowo Boże dotrze do cierpiącego i podniesie go na duchu.

- To chyba bardzo dobry pomysł. - Pielęgniarka odsunęła się od łóżka chorego. - Czy zechciałby ojciec może usiąść przy nim? - zapytała, przysuwając mu krzesło.

- Dziękuję, sestro. - Zrobił pauzę, jakby w oczekiwaniu na podanie imienia.

- Carol. Carol Banks.

- Dziękuję, sestro Carol - obrócił się i wskazał na Jessikę. - Być może znalazłoby się też krzesło dla panny Ward?

- Och, oczywiście. - Siostra Carol wybiegła pospiesznie. - Wezmę je od Marii. Zaraz wracam.

Gdy tylko panna Banks opuściła pokój, Cole pochylił się nad łóżkiem.

- Tato! - powiedział. - Tato, to ja, Niccolo.

Stary człowiek poruszył się, a jego powieki drgnęły. Jessica przypatrywała mu się ze szczególną uwagą.

- Isabella nie pozwala mi do ciebie przychodzić. Nie wpuszcza mnie. Dlatego się przebrałem. . - Niccolo? - szepnął Michael. Otworzył oczy. - Tak, to ja, Niccolo.

Michael przymrużył powieki i usilnie wpatrywał się w pochyloną nad nim twarz.

- Nie chcę tab... tabletek... - wymamrotał. Powieki znów zaczęły mu drgać.

- Czego nie chce? - Cole obrócił się do Jessiki. - Zrozumiałaś, co on powiedział?

- „Nie chcę tabletek”. Tak mi się przynajmniej zdaje. Michael ledwo zauważalnie skinął głową i westchnął.

- Wmuszają w niego jakieś podejrzone tabletki?! - wykrzyknął Cole.

- Może to tylko coś na sen.

- A jeżeli dają mu narkotyki?! O Boże!

- Tsss! - Jessica chwyciła go za ramię. - Za chwilę może wrócić pielęgniarka. Tak, słyszę jej kroki.

Cole wyprostował się natychmiast.

- O, jest już siostra Carol. Dziękuję za krzesło.

- To drobnostka, ojciec - Carol cofnęła się, podczas gdy Cole z Biblią w rękę usiadł przy chorym. Obok usiadła Jessica.

- Proszę mi wybaczyć, ale czy może mogłabym wykorzystać ten czas i zejść do kuchni, żeby napić się kawy? - spytała pielęgniarka. - Czy ojciec nie ma nic przeciwko temu?

- Zupełnie nic - odpowiedział Cole nie mrugnawszy okiem. - Michael pozostanie pod dobrą opieką.

- Bardzo dziękuję. Z przyjemnością odetchnę przez chwilę, bo dyżuruję już kilka godzin. Wie ojciec, jak to jest.

- Doskonale rozumiem. Proszę więc spokojnie iść do kuchni i nadmiernie się nie śpieszyć. Pomodlimy się tu przez dłuższą chwilę - pochylił osłoniętą kapturem głowę. Jessica pomyślała nagle, że brat Cosimo pochylał głowę zupełnie w ten sam sposób.

Gdy pielęgniarka już wyszła, Cole chwycił dłoń ojca i próbował skłonić go do powiedzenia im czegoś jeszcze. Jessica z coraz większą troską przyglądała się wysiłkom Michaela, starającego się ledwo słyszalne, bełkotliwe sylaby połączyć w jakieś zrozumiałe zdanie. Przychodziło mu to z niesłychanym trudem. Być może z powodu przebytego niedawno udaru... albo też z powodu narkotyków, które ktoś mógł mu podać, pomyślała nagle.

- Wspomniał pan o jakimś mnichu, kiedy ostatni raz u pana byłem - powiedziała, pochylając się nad chorym. - Czy to może brat Cosimo?

Michael spojrział na nią z ukosa.

- Cosimo, który jest Strażnikiem?

Wydało się jej, że przez oczy Michaela przesunął się nagły cień.

- Czy Cosimo pana skrzywdził?

Michael przecząco pokręcił głową. Palce jego dłoni dygotały w straszliwym wysiłku, a z ust wydobyło się jedno słowo: - Pomóżcie. Cole chwycił dłoń ojca.

- Czy Isabella podaje ci niedobre lekarstwa, tato? Może jakieś narkotyki?!

Ale głowa Michaela opadła już na poduszkę; zmęczone powieki zamknęły się ponownie.

- Niech to szlag! - Cole zerwał się na nogi. - Znów zasypia.

- To przecież bardzo stary człowiek, Cole - powiedziała Jessica. - I bardzo poważnie chory.

W chwilę potem drzwi otworzyły się i na progu pojawiła się pielęgniarka z tacką w dłoni.

- Koniec na dziś, ojcze? - spytała, stawiając tackę na stoliku obok łóżka.

- Tak, na dziś koniec. Chory nie powinien się przemęczać. Pielęgniarka spojrzała na zegarek.

- Właśnie pora na jego tabletki. Lepiej, żeby je połknął teraz, bo za chwilę z pewnością uśnie.

- Sięgnęła do kieszonki swego służbowego fartucha i z niewielkiej buteleczki wyjęła dwie niebieskie pastylki. - Na co są te leki? - spytała Jessica.

- Och, przede wszystkim na uspokojenie - odpowiedziała Carol, podnosząc głowę. - To, że po tym udarze jest częściowo sparaliżowany, bardzo chorego denerwuje. Trudno się zresztą temu dziwić. Pani Cavanetti opowiadała kiedyś, jaki aktywny był jej mąż przez całe życie. Dlatego teraz nie umie pogodzić się z faktem, że jest już inwalidą. Podejrzewam, że właśnie dlatego dostaje czasami tych nagłych ataków, przede wszystkim ze złości. Dajemy mu te tabletki, żeby się uspokoił.

Przerazająca myśl mignęła nagle w głowie Jessiki. Michaelowi celowo podaje się właśnie takie leki. Trzymają go na samych środkach uspokajających.

- Pora na lekarstwo, panie Cavanetti - powiedziała pielęgniarka. - Proszę grzecznie otworzyć usta.

- Sprawia wrażenie zupełnie spokojnego - włączył się Cole. - Czy musi mimo to łykać

te pigułki?

- Och, tak, ojczec. Lekarstwa muszą być podawane ściśle według harmonogramu. Wszelkie zmiany godzin, albo nagłe odstępianie od podawania leków, mogłoby się okazać wysoce szkodliwe.

Pielęgniarka wrzuciła tabletki w otwarte usta Michaela, a następnie wlała tam trochę wody z plastikowego kubeczka, co zmusiło chorego do połknięcia tabletek.

- O, bardzo ładnie! Brawo! Teraz sobie grzecznie pośpimy.. Jessica patrzyła na to bez słowa, dławiąc się z tłumionego oburzenia. Michael Cavanetti nie był małym dzieckiem ani psem, którego się chwali za posłuszne wykonywanie poleceń. Trzeba natychmiast podjąć jakieś działania, zanim ci ludzie odbiorą staremu człowiekowi resztki godności i zdolności samodzielnego myślenia. Zanim po prostu odbiorą mu rozum. Kątem oka spojrzała na Cole'a i bez trudu odgadła, że myśli zupełnie to samo. Z parteru dobiegł ją znajomy, ostry głos pani Cavanetti. Oznaczało to, że wraz z Frankiem już wrócili z miasta. Cole skłonił się pielęgniarce.

- Do widzenia, siostrzyczko Carol. Być może zajrzę tu również jutro.

- Do widzenia, ojczec. Dziękuję za przybycie. To może brzmi nieprawdopodobnie, ale jestem przekonana, że pan Cavanetti jest ojcu bardzo wdzięczny za te odwiedziny.

- Ufam, że tak właśnie jest - złożył dłonie, kryjąc je w szerokich rękawach habitu i w ślad za Jessicą wyszedł z pokoju chorego. Zeszli w dół schodami dla służby, prowadzącymi do kuchni, gdzie czekała na nich Maria.

- Pośpieszcie się! - powiedziała. - Pani Cavanetti już wróciła.

- My też słyszeliśmy jej głos - powiedział Cole, kierując się do bocznego wyjścia. Jessica zatrzymała się jeszcze na chwilę. - Mario, mam do ciebie ważną sprawę. Spróbuj może znaleźć buteleczkę po tych tabletkach, które podają panu Michaelowi. Najlepiej byłoby uważnie przejrzeć śmieci, które wyrzuca się do kosza tam na górze.

- Ale po co to, *bambina*?

- Chcemy wiedzieć, jakie lekarstwa podają panu Cavanettiemu i jak często.

- Już rozumiem. Spróbuję.

- A gdyby znów była okazja odwiedzenia ojca, zadzwoń do Jessiki - powiedział Cole.

- Oczywiście, Niccolo!

Cole uściśnął starą kobietę, obrócił się na pięcie i ruszył za Jessiką. W chwilę potem byli już na zewnątrz.

- Porwę go z tego domu! - powiedział nagle Cole. - Przysięgam na wszystko, że go po prostu porwę!

Po drodze Cole skręcił do kaplicy. Jessica nie weszła tam razem z nim i zdecydowanym krokiem skierowała się w stronę swego domu. Cole przyglądał się jej przez okno. No tak, pomogła mu, gdy ją o to poprosił, ale potem najwyraźniej już nie szukała jego towarzystwa. Najpewniej z jego własnej winy. Nie za bardzo udawało mu się hamować swój porywczy temperament, zwłaszcza w jej obecności. Nic więc dziwnego, że teraz wołała odnosić się do niego raczej chłodno.

Wszedł i ruszył w kierunku ołtarza. Może kiedy to wszystko już się skończy, uda mu się jakoś odbudować przyjazne stosunki z Jessicą. Chciałby, żeby tak się stało. Prawdę mówiąc, chciałby też, żeby było w tym jeszcze coś więcej. Dużo więcej.

Rozwiązał sznur, którym był przepasany, rozluźnił kaptur, po czym ściągnął gruby sukienny habit przez głowę. Powietrze w kaplicy było chłodne, czuł je na skórze nagich ramion.

- Mam nadzieję, że na tym nie koniec rozbieranki - usłyszał za sobą rozleniwiony kobiecy głos.

Cole znieruchomiał. Wchodząc do kaplicy był przekonany, że w środku nie ma nikogo. Tymczasem okazało się, że w ostatniej ławce usadowiła się Shawn Cavanetti. Siedziała po przekątnej, z nogami ułożonymi na oparciu następnej ławki, i paliła papierosa.

- No dalej, modelowy męski ogierze! Pokaż te swoje sławne mięśnie klatki piersiowej!
- zdjęła nogi z oparcia ławki i stanęła obok.

Cole odłożył habit. - Co ty tu w ogóle robisz? - spytał.

- Przyszłam na papierosa. Pani C. nie lubi, kiedy się pali w jej domu. - Ruszyła w jego stronę. Metalowe obcasiki stuknęły rytmicznie o kamienną podłogę. Cole starannie złożył habit i sznur, po czym umieścił wszystko z powrotem w gablotce. Na Shawn nawet nie spojrział.

- Ale ciało! To dopiero prawdziwy chłop! - Shawn zaciągnęła się głęboko. - Aż trudno uwierzyć, że ty i Frank jesteście braćmi.

- Przyrodnimi - mruknął Cole, przykrywając gablotkę pokrywą.

- Ach tak, oczywiście. - Shawn roześmiała się. - Jesteście tylko półbraćmi. Tyle, że ty w swojej połówce dostałeś wyraźnie więcej. Wszystkiego.

Cole uśmiechnął się nieco krzywo. Podniósł wzrok znad skrzynki i spojrział na Shawn. Stale starała się udawać znacznie starszą i znacznie twardszą, niż była w rzeczywistości. Mogłaby być nawet ładna, gdyby nie nadmiernie ostry makijaż i prowokacyjnie wulgarnie manieri, które niweczyły resztki naturalnego wdzięku.

Shawn chyba przyjęła jego powściągliwy uśmiech za coś w rodzaju zaproszenia, bo przysunęła się bliżej.

- Założę się, że mężczyzna taki jak ty musi dużo ćwiczyć! - przejechała końcem palca po jego dłoni i przedramieniu aż do bicepsu. - Na czym głównie ćwiczysz, bracie Cole?

- Jest wiele przyrządów - odpowiedział. Jej prowokacyjne dotknięcie najwyraźniej nie zrobiło na nim wrażenia.

- Ja też stale ćwiczę swoje ciało - powiedziała Shawn. - Zdziwiłbyś się pewnie, gdybyś wiedział, jak intensywnie. I jak twórcza potrafię być w tych ćwiczeniach.

- A więc jesteś damą w pełnym znaczeniu tego słowa. - Cole sięgnął po koszulę i wsunął ramię w rękaw. - Frank musi być bardzo szczęśliwym człowiekiem.

Shawn przyglądała mu się uważnie.

- Ty też mógłbyś być podobnie szczęśliwy. Kiedy tak na ciebie patrzę, od razu przychodzą mi na myśl różne rzeczy, które z tobą byłyby doprawdy szczególnie ciekawe...

- To brzmi niezwykle kusząco, ale słyszałaś może, co się zawsze mówi wśród zawodników?

Speszona Shawn zmarszczyła brwi.

- Co?

- Żadnych kobiet przed zawodami. Kropka.

- Przecież teraz nie bierzesz udziału w zawodach. Słyszałam, że do pełnego wyleczenia masz grzać ławę.

- Na razie rzeczywiście grzeję - zapiał ostatnie guziki. - Ale nie na długo. I właśnie dlatego nie mogę zmniejszać szansy szybszego powrotu na boisko, zadając się z kobietą. Choćby nie wiem jak pociągającą. - Mrugnął do niej znacząco. Shawn zmrużyła oczy i przyglądała mu się tak, jakby usiłowała odgadnąć czy zmyśla, czy też mówi jej prawdę. Cole miał nadzieję, że nie dotknął jej nadmiernie swoją odmową. Przez ostatnie lata zdążył się już nauczyć, że kobiety bardzo łatwo można obrazić, zwłaszcza kiedy to one wychodzą z propozycją nie do odrzucenia. Jak na ironię, właśnie te tak pozornie ostre i wyzywające jak Shawn, niejednokrotnie okazywały się niezwykle kruche w środku i łatwe do zranienia. Natomiast te powściągliwe i panujące nad sobą, dobrze wychowane kobiety w rodzaju Jessiki były niejednokrotnie dużo twardsze i odporniejsze w tym względzie. Wcisnął koszulę w spodnie i zapiał pasek.

- Posłuchaj, Shawn, a co byś powiedziała na to, żebyśmy razem pobiegali?

- Pobiegali?

- Tak. Mówiłaś, że lubisz ćwiczyć swoje ciało, więc jogging będzie dla ciebie idealny. Jest tu świetna trasa wzdłuż wybrzeża.

- Ale ja wcale nie takie ćwiczenia miałam na myśli.

- Po dobrej przebieżce poczujesz się jak nowo narodzona. Daję ci słowo.

- Czy ja wiem?

- A zatem czekam przy starym korcie tenisowym zaraz po lunchu - powiedzmy o pierwszej.

- No dobrze. - Shawn wzruszyła ramionami. - Przyjdę. To w końcu może być zabawne.

Isabella upewniła się, że Maria jest na dłużej zajęta w kuchni, po czym weszła na piętro i korytarzem skierowała się do pokoju Shawn. Weszła do środka, wiedząc, że nikt jej nie przeszkodzi. Wszyscy byli poza domem, wyjąwszy Marię i pielęgniarkę, która nie opuszczała pokoju Michaela.

Isabella podeszła do okna i ostrożnie wyjrzała poprzez lekko odchyloną zasłonę. Na starym korcie, położonym kilkanaście metrów za kaplicą, mogła widzieć Franka trenującego returny piłek, podawanych w jego kierunku przez maszynę serwisową. Przez chwilę wpatrywała się w szczupłą sylwetkę syna, spiętego w oczekiwaniu na kolejną, wystrzeloną w jego stronę piłkę. Frank miał doskonałą reakcję, toteż piłkę, trafiającą w samą linię serwisową, odbił łatwo i mocno. Isabella dotąd nigdy nie widziała, jak jej syn gra, ponieważ jej to nie interesowało. Teraz pomyślała, że może rzeczywiście ma do tego zdolności. Ale i tak nie mogło tu być żadnego porównania z karierą prawnika.

W chwilę potem dostrzegła Shawn i Cole'a w jakichś sportowych dresach, zbiegających treningową ścieżką w stronę rzeki. Że też tych dwoje nie stało się parą! - westchnęła w duchu. Ilu problemów dałoby się uniknąć, gdyby ta cwana Shawn wrobiła w małżeństwo właśnie Cole'a, a nie jej Franka! Frank był za wrażliwy i za nerwowy, by sobie poradzić z kimś takim jak Shawn. Gdy tylko chciała, zawsze mogła go sobie owinąć wokół palca. Dlatego stale tańczył tak, jak mu zagrała. Natomiast Cole'a Shawn pewnie by się bała, podobnie jak większość kobiet.

Isabella przez lata nawykła do patrzenia na młodego Cole'a z pewną pogardą. Teraz jednak, gdy tak przyglądała się jego ciemnym włosom i imponująco szerokim ramionom, jej zazwyczaj mocno zaciśnięte wargi nagle nabrały innego wyrazu. Widok Cole'a jako już dorosłego mężczyzny niespodziewanie przypomniawszy jej Michaela... a przynajmniej jej wyobrażenie o tym, jak musiał wyglądać Michael, kiedy był w tym wieku. Ona sama poznała go znacznie później, gdy już był po pięćdziesiątce, toteż mogła się tylko domyślać, jak wyglądał przedtem. Kiedy go zobaczyła po raz pierwszy, był nadal jeszcze przystojnym mężczyzną, w dodatku odpowiednio zamożnym. Jednakże jego włosy zaczynały już siwieć, a na ogorzałej twarzy i wciąż dość dobrej sylwetce coraz bardziej zaczynały być widoczne

pierwsze ślady starości. A tymczasem ten Cole jest teraz rzeczywiście w kwiecie wieku! - pomyślała Isabella i gniewnie zmarszczyła brwi. Ją z tego po prostu okradziono, nigdy nie poznała smaku życia z takim właśnie, młodym i wspaniale zbudowanym mężczyzną. Prawdę mówiąc, w ogóle okradziono ją z najlepszych lat jej życia. Dopiero później, kiedy Frank już się urodził i Michael bez chwili wahania wziął z nią ślub, Isabella zdała sobie sprawę, co go naprawdę do tego skłoniło. Michael wcale jej nie kochał, po prostu chciał mieć drugiego syna. Poza tym, że się z nią ożenił, nie zrobił dla niej nic. Bo też był zawsze tylko tym, kim był - cudzoziemskim przybłądą z typowo włoską obsesją męskości, który wciąż musiał sobie udowadniać, że jest *macho* - że jest kimś, kto w każdym wieku potrafi zaciągnąć kobietę do łóżka i dać jej syna.

W rezultacie dwadzieścia pięć lat swego życia spędziła uwiązana do starego człowieka, prowadząc życie godne zakonnicy i tylko marząc o chwili, kiedy wreszcie pochowa tego starego sukinsyna i odzyska wolność. I dopiero teraz, na widok zbiegającego ku rzece Cole'a, Isabella po raz pierwszy zastanowiła się, jakie też mogłoby być jej życie, gdyby Michael Cavanetti był wtedy tak młody, jak jest teraz jego syn.

Jednakże niemal natychmiast przywołała się do porządku. Wzruszeniem ramion skwitowała wszelkie bezsensowne gdybania i powróciła do tego, co było dla niej najważniejsze. Na początek wyciągnęła górną szufladę komódki, w której Shawn trzymała swoją bieliznę. Składała się ona głównie z purpurowych majtek i przykrótkich koszulek drukowanych w lamparci wzorek. Wargi Isabelli wykrzywiły się w pogardliwym grymasie. Coraz bardziej upewniała się w przekonaniu, że to Shawn wbiła Frankowi do głowy pomysł z ośrodkiem tenisowym. Któż inny mógłby mu doradzić coś równie głupiego?

Wzięła do ręki wążutkie majteczki typu bikini z prowokacyjnym, obszytym koronką otworem akurat w tym miejscu, gdzie dla przyzwoitości powinna być choćby najmniejsza, trójkątna łatka. Popatrzyła na to z obrzydzeniem, wrzuciła do środka i z trzaskiem zasunęła szufladę, wyciągając następną.

Gdy już pozbędą się Shawn, potrafi nakłonić Franka, żeby jeszcze raz przystąpił do egzaminu. Wywiezie go w jakieś zaciszne miejsce, gdzie nic go nie będzie rozpraszało, i wynajmie mu odpowiednich specjalistów od tego rodzaju przygotowań. Wtedy z pewnością zda ten egzamin i wszystko znów będzie w porządku. Co prawda nie będzie już premii od starego Blake'a, na którą tak liczyła, ale i z tym można będzie sobie poradzić. Wciąż miała znajomych w pewnych bankach - o czym Frankowi nie powiedziała - do których mogła się zwrócić o pożyczkę pod zastaw winnicy. Podjęła już odpowiednie wstępne kroki. Teraz jeszcze tylko należało unieszkodliwić Shawn - zawczasu udaremnić jej głupią próbę

tandetnego szantażu. Gdzie ona mogła schować ten list?

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Frank znów wpakował piłkę w siatkę po kolejnym serwisie maszyny. Gdy nagle zobaczył Shawn, przebiegającą obok kortu wraz z Cole'em, nie potrafił już skoncentrować się na treningu. Od momentu poznania Shawn nigdy nie zdarzyło mu się widzieć, żeby jego żona choćby raz machnęła ręką czy nogą w ramach jakichkolwiek ćwiczeń sportowych. Nie przyszłoby mu też do głowy, że w ogóle ma ze sobą strój do joggingu - choć ten obcisły purpurowy komplet z pasiastą jak zebra górą z pewnością nadawał się raczej do tańczenia w ramach jakiegoś aerobiku, a nie do biegania w publicznym bądź co bądź parku. Musiał jednak przyznać, że jej widoczne pod cienką tkaniną okrągłe piersi kołyszą się wyjątkowo powabnie przy każdym kroku. Frank zagapił się na chwilę i kolejna nie odbita piłka gwizdnęła mu koło ucha. Czy mu się tylko zdawało, czy też rzeczywiście piersi Shawn ostatnio zrobiły się większe?

W jakiś czas później Frank znów dostrzegł swą żonę, tą samą drogą wracającą z przebieżki. Przy rozwidleniu ścieżki Cole skręcił w stronę posesji Wardów, machając do Shawn dłonią na pożegnanie. Widząc to, Frank zabrał raketę i ruszył w stronę furtki w otaczającej kort metalowej siatce.

Gdy wracająca do domu Shawn doszła wreszcie do tej furtki, dyszała ciężko i pokasływała raz po raz.

- Czy nie powiedziałem ci, że masz natychmiast wyjechać? - spytał Frank.

- Twoja matka nie życzy sobie, żebym wyjechała.

- Chyba żartujesz!

- Sam ją zapytaj.

- W porządku - w jego głosie była jawna wrogość. - Zapytam, możesz być pewna.

Nerwowo poprawił żyłkę w naciągu rakiety.

- Skąd to nagle zainteresowanie bieganiem? - zapytał, idąc obok żony w stronę domu.

- Cole mi zaproponował - powiedziała Shawn. - Ale co ciebie to może obchodzić? - odkaszlnęła znów parę razy, aż w końcu ze złością uderzyła się pięścią w klatkę piersiową. - Niech to szlag! Nie mogę złapać tchu!

- Mogłabyś, gdybyś tyle nie paliła.

- Lepiej już z tym nie zaczynaj! I w ogóle odczep się ode mnie!

Frank patrzył, jak żona odchodzi, i starał się nie dostrzegać rytmicznego kołysania się jej pośladków, opiętych ciasną purpurową tkaniną z elastycznej lycry. Shawn miała naprawdę zgrabny tyłeczek i Frank wyobraził sobie, jak Cole musiał mu się przyglądać. A Darrell, jego

kumpel od tenisa, nie tylko się przyglądał, ale i trzymał ją za ten tyłek, kiedy tylko miał na to ochotę. Frank poczuł, jak wzbiera w nim nagła fala zazdrości.

- Zaczekaj chwilę! - krzyknął w stronę żony.

- Czego znowu? Muszę wreszcie wziąć prysznic! - Zatrzymała się jednak i czekała, patrząc w ziemię.

Frank chwycił ją za ramię.

- Nie podoba mi się to. Nie chcę, żebyś biegała z Cole'em.

- Dlaczego?

- Bo mu nie ufam. I tobie też nie ufam.

- A kto tu w ogóle mówi o ufaniu? - Shawn prychnęła i wsparła dłoń na biodrze. - I od kiedy to zaufanie cokolwiek dla ciebie znaczy?

- Shawn, ja wiem o Darrellu. Wiem, że mieliście romans.

- No i co z tego?

- To, że wzięłaś ze mną ślub. Jak ja wyglądam, kiedy wszyscy widzą, że się puszczasz na prawo i lewo, z kim się tylko da? Czy nie ma już w tobie nawet odrobiny przyzwoitości? Darrell był moim bliskim przyjacielem, do cholery!

- Tak się składa, że lubię wysportowanych mężczyzn - uśmiechnęła się drwiąco. - Moje dłonie same kleją się do nich. A ich dłonie do mnie.

Frank popatrzył na nią, rozwścieczony.

- Czyżbyś był zazdrosny, skarbie?

- Zazdrosny o ciebie? - burknął opryskliwie. - Rzygać mi się chce na twój widok.

Shawn roześmiała się tylko i obróciła się na pięcie. Frank patrzył za nią, machinalnie uderzając kantem rakiety w otwartą dłoń, coraz mocniej.

Któregoś dnia ona posunie się za daleko. Powie za wiele, i wtedy tego pożałuje.

Po przebieżce z Shawn Cole ćwiczył jeszcze przez godzinę, głównie z ciężarkami, a potem wziął prysznic. Właśnie sięgał po świeżą bawełnianą koszulę, gdy przyszło kolejne nagłe omdlenie. Upadł bez przytomności na podłogę, obok otwartej szafy.

Po tamtej stronie snu otworzył oczy i zobaczył, że nadal leży w łóżu o wezglowiu zdobionym brokatem. Przez wąziutkie okno światło księżyca bladym pasmem kładło się na ścianę. Cole usiadł w pościeli. Było mu gorąco i czuł się zbyt podekscytowany, by móc spać. Przeciągnął się z satysfakcją. Już wkrótce powinien być w pełni sił, w każdym razie na tyle, by wrócić do domu. Wojna o święte miasto Jerozolimę została ostatecznie wygrana i chrześcijański rycerz - Godfrey z Bouillon - zasiadł na tronie nowego królestwa, obejmującego wyzwoloną Ziemię Świętą.

Również Giovanna przyczyniała się do jego szybszego powrotu do zdrowia, ponieważ obiecywała mu siebie w nagrodę. Sama myśl o niej gwałtownie przyspieszała bicie jego serca i wzmagala napływ krwi w okolice lędźwi. Czuł, że ma już dla niej dość sił. Do tej pory przez kilka tygodni starał się powstrzymać wszelkimi sposobami, czekając na ten dzień, kiedy poczuje się naprawdę gotowy.

Wstał z łóżka i narzucił na siebie skrojoną na modłę arabską luźną szatę z białej bawełny. Potem podszedł do okna i wyjrzał, by popatrzeć na Jerozolimę, na białe świątynie i metalowe szczyty wież, osrebrzone bladym światłem księżyca. Było wprost zadziwiające, że w tym mieście mogło być aż tak spokojnie. Wciąż jeszcze stał przy oknie, gdy nagle drzwi pokoju otworzyły się cicho. Cole spojrział przez ramię.

Na progu stała Giovanna, w leciutkiej koszuli z białej gazy, przejrzystej niczym mgiełka. Nawet w tak bladym świetle Cole był w stanie dostrzec zarys jej smukłego ciała i zachwycić się doskonałością jej ud i piersi. W tej samej chwili poczuł gwałtowny przypływ pożądania.

- Giovanna! - wyszeptał. Podeszła do niego i przytuliła się całym ciałem. Od tamtego pamiętnego wieczora, kiedy pierwszy raz go całowała, ani razu jeszcze nie została z nim na noc.

Teraz obróciła się na progu i zamknęła za sobą drzwi. Potem, nie mówiąc ani słowa, wolno osunęła się na podłogę obok jego kolan. Patrzyła na niego krańcowo niepewna siebie, jak gdyby nagle straciła całą odwagę.

- Giovanna! - powtórzył i pochylił się nad nią. Dopiero wtedy zobaczył wyraźnie, że jej oczy są opuchnięte i czerwone. - Co się stało?

Ukryła twarz w dłoniach, a Cole nagle poczuł bolesny skurcz w sercu. Dlaczego płakała i to tak bardzo? Przyciągnął ją do siebie, a ona wtuliła się w niego, pochlipując i chowając twarz w fałdy jego okrycia. Cole trzymał ją w ramionach i przez cały czas głaskał po włosach, w żaden sposób nie umiając zatamować jej łez.

- Giovanna, moje słodkie kochanie - szepnął. - Dlaczego płaczesz?

Potrząsnęła głową, ale po chwili uniosła twarz do góry i spojrzała na niego przez łzy. Potem ujęła jego głowę w dłonie i przyciągnęła do siebie. Ich usta prawie się stykały.

- Ach, mój panie - szepnęła przez łzy. - Mój wspaniały, mocarny panie!

Pocałowała go, a Cole przytulił ją do swej szerokiej piersi i bez wysiłku podniósł do góry. Była leciutka jak przepióreczka i Cole zaczął się obawiać, że jego zbyt namiętny uścisk mógłby ją zgnieść równie łatwo, jak polnego ptaszka. Ona jednak najwyraźniej się tego nie obawiała i zarzuciła mu ramiona na szyję. Cole westchnął i przymknął oczy, ostatecznie

rezygnując z prób dalszego powstrzymywania się. Wciąż trzymając ją w objęciach, powoli opuszczał ją coraz niżej wzdłuż swego rozpalonego ciała, toteż oboje poczuli gwałtownie twardniejący między nimi dowód jego pożądania.

Cole pochylił się ku niej i zaczął całować jej kark i szyję, a potem odsunął delikatną tkaninę jej przejrzystego negligżu, odsłaniając piersi, o których marzył przez długie tygodnie, pragnąc ich dotknąć, a potem długo pieścić i całować. Teraz wreszcie mógł poznać ich smak. Giovanna odchyliła głowę do tyłu i jęknęła cichutko, gdy Cole pieścił wargami szybko twardniejący sutek. Po chwili sama podała mu drugą pierś.

Cole zachwycał się ich smakiem, zapachem i jędrną krągłością. Całował je na zmianę, starając się nie pominąć nawet milimetra jej śnieżnobiałej skóry. Ssał jej sutki, niczym wygłodniałe dziecko, wydając przy tym pełne szczęścia westchnienia i jęki, nad którymi w ogóle nie potrafił już zapanować. Giovanna w odpowiedzi wykrzyknęła jego imię i jeszcze mocniej przycisnęła do siebie jego głowę.

Cole przez cały czas starał się zapanować nad chęcią zanieśienia jej na łóżko, by wejść w nią natychmiast. Jak długo jeszcze potrafi się powstrzymywać?

Teraz ona wsunęła ręce pod płótno jego okrycia i ściągnęła je z jego ramion. Delikatne dotknięcia jej palców chwilami doprowadzały go do krańcowego zapamiętania. To przecież te same dłonie, które opatrywały jego rany, głaskały jego włosy, były dla niego samym ciepłem i samym dobrem. Chciał je teraz czuć na sobie, wszędzie.

Ujął jej dłoń i pociągnął w dół, aby objęła jego naprężony członek. Giovanna zaczęła go delikatnie pieścić, podczas gdy Cole do końca zdejmował z niej przejrzystą koszulę. Chyba nawet boginie nie miały tak alabastrowego ciała! Po chwili ściągnął wszystko również i z siebie, i stał przed nią nagi, pożądając jej bardziej, niż kogokolwiek innego w całym swoim życiu.

Przesunął dłonie w dół, wzdłuż jej ramion, piersi i bioder, by wreszcie dotrzeć do wilgotniejszej już kępki włosów między jej udami. Tam właśnie zaczął ją pieścić wciąż bardzo delikatnie, drugą dłonią przytrzymując od tyłu jej krągłe pośladki. W pewnej chwili mocniej przyciągnął ją do siebie i przez chwilę miał poczucie, że nagle dotknięcie chłodnej skóry jej napiętego brzucha niemal go oparzyło. Przytulił ją jeszcze mocniej i nieco ochryple szepnął:

- Giovanna! jesteś tak piękna, tak cudownie piękna!..

- Panie mój - szepnęła w odpowiedzi. - Weź mnie, proszę. Weź mnie do swego łóżka.

Cole nie potrzebował dalszej zachęty. Wziął ją na ręce i zaniósł na posłanie, a sam położył się obok, pieszcząc ją przez cały czas. Jednak już w chwilę potem rozsunał jej uda, by

położyć się między nimi. Nie potrafił dłużej się hamować. Zdawał sobie sprawę, że powinien najpierw doprowadzić ją prawie do orgazmu, podniecić ją pieszczotami dłoni i języka. Ale czekał na nią całe tygodnie i teraz nie był już w stanie dłużej się powstrzymać.

Wszedł w nią delikatnie, wprost nie mogąc uwierzyć, że to już, że oto czuje ją wokół swego naprężonego członka. Że czuje jej zapach, że za chwilę będzie w niej jeszcze głębiej, aż do końca. Wciągnął głęboko powietrze i westchnął pełen szczęścia. Potem powoli cofnął się i znów w nią wszedł. I znów, i znów... W pewnym momencie Giovanna wygięła się pod nim w łuk i krzyknęła cicho, przymykając oczy.

- Daj mi teraz twoje nasienie, panie - szepnęła ochryple. - Proszę. I to, co powiedziała, i brzmienie jej głosu Cole odczuł niemal jak nagłe smagnięcie biczem rozkoszy. Próbował się jeszcze powściągnąć, zatrzymać ten moment, przedłużyć ekstazę w nieskończoność.

- Zrób to, mój panie! - Giovanna wpiła mu paznokcie w plecy, jednocześnie zaplatając na nim nogi, aby tym mocniej go przyciągnąć. - Daj mi dziecko, panie. Twoje dziecko!

Cole wbił się w nią ostatni raz aż po samą gardę, czując, jak nasienie tryska w nią potężnym strumieniem. Czegoś równie wspaniałego nie przeżył dotąd nigdy w całym swoim życiu. Żaden mężczyzna i żadna kobieta nie mogli chyba być ze sobą aż tak blisko.

- Giovanna! - wyszeptał, ciężko dysząc. Miał wrażenie, że jest bliski szaleństwa.

Opadł na nią bezwładnie, wyczerpany do ostateczności, a ona tuliła go i czule głaskała po głowie, a potem po ramionach i plecach, przesuwając swe drobne dłonie coraz niżej i niżej. W chwilę potem zdał sobie sprawę, że Giovanna przytrzymuje go za pośladki, żeby przypadkiem nie próbował z niej wyjść.

Cole pocałował ją i poczuł, że jej policzki znów są wilgotne od łez. Delikatnie pogłaskał ją po twarzy.

- Moje kochanie - szepnął. - Czemu płaczesz?

Potrząsnęła głową i nie odpowiedziała.

Cole łagodnie odgarnął włosy z jej czoła i wpatrywał się w nią, wciąż pozostając w niej i czując powracające pożądanie. Gdy Giovanna poruszyła lekko biodrami, zdał sobie sprawę, że jego ciało już znów odpowiada na to zupełnie tak samo, jak przedtem. Pochylił się nad nią i czołem dotknął jej czoła.

- Co się stało, Giovanni? - zapytał. - Czy może sprawiłem ci ból?

- Ależ nie, panie, nie! - pocałowała go żarliwie. - Nie, mój ukochany. Nie sprawiłeś mi bólu.

- Więc o co może chodzić?

- Powiem ci, kiedy ta noc się skończy. Cole uśmiechnął się.

- To znaczy, że się jeszcze nie skończyła?

- Ach nie, mój panie baronie. Dopiero się zaczęła - ściągnęła go niżej na siebie, a ponownie stwardniałe sutki jej piersi przesunęły się pieszczotliwie po jego klatce piersiowej. Cole natychmiast poczuł, że jego członek znów pręży się wewnątrz niej równie twardo, jak przedtem.

Różowy świt zaczął już zagłądać przez okienko, gdy wreszcie Giovanna złożyła głowę na jego piersi i słodko zasnęła. Cole nie ważył się przerwać tego snu i sam też od tej chwili drzemał nie zmieniając pozycji, póki nie zbudziło go pianie koguta.

Giovanna otworzyła oczy, a potem podniosła głowę i odrzuciła do tyłu swe kruczoczarne włosy.

- Muszę natychmiast iść - oświadczyła i wyskoczyła z łóżka. Przyglądał się, jak zbiera swoje rzeczy i pośpiesznie się ubiera.

- Noc już się skończyła, Giovanni - powiedział, wspierając się na łokciu. - Obiecałaś mi powiedzieć, dlaczego płakałaś.

Pochyliła się nad nim, pocałowała go w usta i pogłaskała jego włosy tak samo, jak to robiła już wiele razy.

- Te łzy wzięły się z tego, że cię kocham, panie - powiedziała i pobiegła w stronę drzwi, obracając się jeszcze na chwilę przed samym wyjściem. W jej oczach znów błysnęło coś wilgotnego. - I jeszcze dlatego, że dziś jest dzień mojego ślubu - dokończyła i natychmiast wybiegła, zamykając za sobą drzwi.

- Co takiego?! - wybuchnął Cole. Zerwał się z łóżka i dopadł klamki akurat w tym momencie, gdy z drugiej strony dało się słyszeć metaliczne stuknięcie zatrzaskiwanej zasuwki. Przekleństwo! Okazało się, że go zamknęła, że był uwięziony. Uderzenie pięściami w drzwi i głośne krzyki, by mu otworzono, nie przyniosły żadnego rezultatu. Podobnie jak podjęta w ostatecznej rozpaczy próba wypchnięcia i uniesienia drzwi ponad zawiasy. Nie był w stanie wydostać się z tego pokoju.

Krańcowo wyczerpany, padł w końcu bezwładnie na progu. Pięści i palce miał zdarte do krwi, a po twarzy spływały mu łzy bezsilności. Serce mu pękało. Jak to możliwe, żeby Giovanna miała wyjść za kogoś innego? Przecież on ją kochał. I wiedział, że ona też go kocha. Planował sobie, że poprosi ją o rękę, jak tylko do końca wyzdrowieje. A teraz te wszystkie plany zostały zniweczone i kto inny zostanie jej mężem.

Był absolutnie pewny, że Giovanna wychodzi za mąż nie z własnej woli. Najpewniej to jej ojciec zaaranżował ten związek z jakimś starym i obrzydliwym, ale za to odpowiednio bogatym hrabią czy diukiem. A gdy już zostanie poślubiona, czeka ją zamknięcie na zawsze

w jakimś zamku, którego mury odgradzą ją od wszystkich innych mężczyzn, nawet tych, którzy by mogli coś znaczyć w jej życiu. Odtąd jej jedynym zadaniem będzie rodzenie i wychowywanie dzieci, a Cole być może nie ujrzy jej już nigdy więcej.

- Giovanni! - krzyknął rozpaczliwie. Ale i ten jego krzyk zamarł bez echa, stłumiony grubymi murami wieży.

Dopiero późnym wieczorem usłyszał zgrzyt odsuwanej zasuw. Zerwał się na równe nogi, ale jego nadzieja zgasła równie szybko, jak się pojawiła. Na progu stała jakaś nieznana mu, stara kobieta.

Ta kobieta spoglądała na niego tak, jak gdyby stojący przed nią mężczyzna w każdej chwili mógł się na nią rzucić. Cole cofnął się więc o krok, zastanawiając się, z jakiego powodu mógł w niej wzbudzić aż taki lęk. Najwyraźniej bowiem zbladła na jego widok, a i teraz uparcie patrzyła gdzieś w dół, nie podnosząc wzroku. Co mogło być tego przyczyną?

- Gdzie jest Giovanna? - zapytał, wciąż zbity z tropu jej tak dziwnym zachowaniem.

- Wyjechała, panie - odpowiedziała kobieta. - Wraz z mężem wyjechali do Acre, a stamtąd popłyną statkiem do siebie, do kraju.

Cole głębiej wciągnął powietrze, starając się nie okazać po sobie śmiertelnej udręki, jaką sprawiło mu to jedno zdanie - „z mężem”. Zacisnął zęby.

- Kazała mi to panu oddać - powiedziała stara kobieta - i powiadomić, że pańscy ludzie przybędą po pana jutro rano.

Cole wziął podany mu zwój pergaminu, zalakowany i opatrzony pieczęcią. Kobieta spojrzała na niego tylko przez moment i natychmiast znów opuściła wzrok.

- Za kogo wyszła Giovanna? - spytał, starając się nie zdradzić szarpiących nim uczuć.

- Za hrabiego Rondolfo di Brindisi.

- Za tego młodszego?

- Nie, panie. Za starszego.

Cole zrobił parę szybkich kroków w jedną, a potem w drugą stronę. Wiedział! Wiedział, że tak właśnie będzie! Wyszła za męża za starego, otyłego, a przy tym jeszcze i okrutnego człowieka. Wiedział wystarczająco dużo o hrabim Rondolfo i serce podjechało mu aż do gardła na samą myśl o tym, że ten stary i obrzydliwy wszetecznik będzie teraz mógł obejmować i całować wrażliwą i tak kruchą Giovannę.

A jednocześnie wiedział, że teraz już nie może zrobić absolutnie nic. Giovanna wyszła za Rondolfa. Kości zostały rzucone.

Obrócił się i zobaczył, że stara kobieta znów wpatruje się w niego z dziwnym wyrazem twarzy. To jej wręcz niegrzeczne zachowanie, połączone z własną bezsilnością

wobec tego, co się stało z Giovanną, doprowadziło Cole'a do nagłego wybuchu.

- Dlaczego tak się gapisz na mnie, stara kobieto?!

- Proszę mi wybaczyć, wielmożny panie! - cofnęła się gwałtownie, potykając się w niezdarnym ukłonie. - Ja... ja nie chciałam.

- Cóż takiego jest we mnie, żeby na zmianę albo unikać mego wzroku, albo znów patrzeć jak na jakieś widowisko?

- To... panie, to twoja twarz!

- A cóż takiego jest w mojej twarzy?

- Ona jest... - Kobieta jąkała się i znów najwyraźniej nie miała odwagi podnieść wzroku. - Ta twarz jest taka...

- No jaka?! - nie wytrzymał Cole i podniósł głos. - Mówże wreszcie, kobieto!

- Jest straszna! Potworna! - krzyknęła piskliwie, zatrzasnęła za sobą drzwi i uciekła, jakby ją ktoś gonił.

Oszołomiony Cole patrzył w ślad za nią. Ta kobieta uznała, że jest wręcz potworny? Dotychczas zawsze uważał się za umiarkowanie przystojnego i nie zwykł poświęcać większej uwagi temu, jak wygląda. Również po wygojeniu się ran nawet nie przejrzał się w lustrze. To Giovanna podczas rekonwalescencji pielęgnowała nie tylko jego ciało, ale i twarz, nie pozwalając mu nigdy nawet myć się samemu ani golić. Teraz machinalnie sięgnął palcami do swych policzków, zastanawiając się, co też ta kobieta w nim zobaczyła.

Tego dotknięcia wystarczyło, by zrozumiał wszystko. Skóra była pokryta bliznami, zgrubieniami i wyczuwalnymi zagłębieniami, a także nierównymi zrostami, szczególnie wokół lewego oka. Część lewej brwi również została spalona wraz ze skórą, podobnie jak włosy na znacznej części czaszki. Cole zaczął gwałtownie przeszukiwać pomieszczenie w poszukiwaniu jakiegokolwiek zwierciadła, z nagłym, obsesyjnym pragnieniem przyjrzenia się własnej twarzy.

Nie znalazł nawet kawałka lustra, ale był tak zdesperowany i zdeterminowany, że w końcu wpadł na prosty pomysł. Chwycił dużą szklaną butlę z winem, wyjął z niej korek i wlał czerwony płyn do stojącego na stole płaskiego talerza. Raz i drugi poczuł bolesny skurecz żołądka, kiedy tak stał obok stołu, czekając, aż powierzchnia się ustoi i stanie się gładka. Potem wreszcie spojrzął do talerza i już wiedział, jak jest naprawdę.

Rzeczywiście wyglądał strasznie. Jak okaleczony potwór.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Dzień dobry, Jess!

Zatopiona w lekturze porannej gazety Jessica aż podskoczyła, słysząc nagle głos ojca. Była ledwie dziesiąta rano, a Robert Ward już był na nogach! Co więcej - był najwyraźniej po kąpieli, przyzwoicie uczesany i ubrany, a w dłoni trzymał arkusz papieru maszynowego. Jessica wprost nie wierzyła własnym oczom.

- Tato!? - wykrzyknęła zaskoczona.

- Czyżbym cię przestraszył?

- Można tak powiedzieć. Nie spodziewałam się ciebie tak wcześnie.

- Pomyślałem sobie, że dziś się zmobilizuję. Pamiętasz ten pomysł, o którym ci wczoraj opowiadałem?

- Pamiętam - odpowiedziała, popijając kawę drobnymi łykami. - Dziś zaczynam pisać pierwszy akt.

- Naprawdę? - Uśmiechnęła się powściągliwie. Umiała już nie dopuszczać do siebie żadnej złudnej iskierki nadziei. - To świetnie.

Ojciec również odpowiedział uśmiechem, chociaż cokolwiek roztargnionym. Rozglądał się, jakby czegoś szukał. Najpewniej tego przekłętą cocktailu wódki z sokiem pomidorowym. Jessica wzięła głębszy oddech.

- Miałbyś może ochotę na filiżankę kawy, tato? - zapytała. Powieka jego prawego oka drgnęła.

- Kawy? A, tak. Filiżanka kawy to chyba dobry pomysł.

Jessica nalała mu kawę, sporym wysiłkiem woli powstrzymując się od słów zachęty, które miała już na końcu języka. Jeżeli ojciec postanowił przestać pić i zabrać się do pisania, to jego sprawa. Zdażyła się już nauczyć w ciągu tych lat, że wszelkie ponaglania i próby dodawania mu ducha zawsze dawały skutek odwrotny od zamierzonego. Podała mu tackę z filiżanką gorącej, świeżo zaparzonej kawy.

- Dzięki, Jess - kościstymi palcami wziął tackę z dzbanuszką i dymiącą jeszcze filiżanką. - No cóż, chyba teraz pójdę do pracowni. W ten sposób w każdym razie nie będę ci przeszkadzał w twojej robocie, prawda?

- Myślę, że tak. - Jessica nadal pilnowała się, żeby w jej głosie nie przebijał żaden nadmierny entuzjazm. - Możesz spokojnie iść pracować, tato. Ja i tak zamierzałam wybrać się dziś do Cavanettich, żeby omówić sprawy związane z umową dzierżawną. Chcę się dowiedzieć, co zaproponuje Isabella.

- Doskonale. No to wobec tego do zobaczenia później.

Jessica uśmiechnęła się, patrząc, jak kieruje się w stronę pracowni. W dłoni wciąż trzymał tę kartkę papieru. Nadal nie miała odwagi uwierzyć, że coś może z tego wyniknąć. Zbyt często jego dobre zamiary rozpląwały się już po bardzo krótkim czasie. Nie chciała przeżyć kolejnego rozczarowania.

O jedenastej włożyła do kartonowej teczki komplet dokumentów dotyczących umowy dzierżawnej winnicy i ruszyła do domu Cavanettich. Na kolistym podjeździe zauważyła jakąś długą czarną limuzynę i przez chwilę zastanawiała się, kto też złożył wizytę jej sąsiadom.

Maria oczekiwała na Jessikę przy wejściu i zaprowadziła ją do już odnowionego głównego salonu.

Frank podniósł się, żeby ją przywitać. W prążkowanych spodniach z czarnego welwetu i szarym wełnianym swetrze wyglądał jak odrobinę pomniejszona kopia swego starszego brata. Ale choć z pewnością był co najmniej równie przystojny jak Cole, na Jessice uroda Franka nie robiła w ogóle żadnego wrażenia. W przypadku jego brata to było zupełnie co innego.

Isabella czekała na nią przy niewielkim stoliku do kawy, ustawionym na tle stylowego okna, obramowanego cenną koronkową firaną. Ubrana w wytworny ciemnogrnatowy kostiumik siedziała tam, niczym udzielająca audiencji królowa. Przy kominku tkwili jacyś dwaj mężczyźni w ciemnych ubraniach, z pewnością kosztownych, wyglądający jednak bardziej na przebranych gangsterów niż na dżentelmenów. Czyżby to oni przyjechali tą czarną limuzyną?

W chwilę później w drzwiach pojawiła się Maria z tacą, na której stał dzbanek z kawą i filizankami, a także biszkopty. Siadając w foteliku obok Isabelli i kładąc obok siebie teczkę z dokumentami, Jessica zauważyła, że Maria stale patrzy w ziemię i wyraźnie unika kontaktu wzrokowego z kimkolwiek.

- Jak tam wasz gość? - spytała Isabella.

- Ma pani na myśli Cole'a? No cóż, jest pewnie trochę rozczarowany tym, że nie może zobaczyć swego ojca.

- To dobrze, że jest rozczarowany. O to właśnie chodziło.

- Słyszałem, że nasz dzielny gwiazdor przedwczoraj pobił jakiegoś reportera - włączył się Frank, sięgając po filizankę.

- Nie określiłabym tego w ten sposób - sprostowała Jessica.

- Powinien trochę panować nad swoim zachowaniem, bo któregoś dnia naprawdę wpadnie w poważne kłopoty. - Frank popijał kawę, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolony.

- Już w nie wpadł - znaczącym tonem dodała Isabella. Jessica wystąpiła w obronie Cole'a.

- Reporterzy prześladują go wszędzie, gdziekolwiek się ruszy. To naprawdę trudno wytrzymać.

- Taka jest cena rozgłosu. - Frank sięgnął po biskopta. - Jeżeli nie potrafi się zachować, będąc osobą powszechnie znaną, powinien sobie wybrać inny zawód.

- Chwileczkę, Frank. - Jessica obróciła się ku niemu. - Byłeś na tym przyjęciu w Falls Winery i widziałeś, jak dziennikarze wręcz go prześladowali. Czy sam nie byłbyś wściekły na jego miejscu?

- Zniósłbym to, gdybym dostawał takie pieniądze jak on. To po prostu skandal, ile dziś płacą futbolistom. Ja musiałbym pracować rok, żeby zarobić tyle, ile on bierze za jeden mecz.

- Ale to się może zmienić, jeżeli teraz odpowiednio wszystko rozegrasz, mój synu. - Isabella dotknęła dłoni Franka. - A już na pewno w twoim zawodzie kariera trwa znacznie dłużej.

Frank milczał i tylko sącył kawę.

- Poza tym sława Nicka już wyraźnie gaśnie - ciągnęła Isabella. - On zbliża się do końca sportowej kariery, bez żadnego pomysłu na przyszłość. A na ile go znam, na pewno już zdążył roztrwonić wszystko, co dotąd zarobił. Jestem pewna, że to dlatego przyjechał tutaj. Chciałby odzyskać winnicę, bo widocznie ma nadzieję, że ojciec po latach zmieni postanowienie i w końcu da ją jemu.

- Ale my na to nie pozwolimy, prawda mamo?

- Nigdy.

Słuchając tego, Jessica czuła się wyjątkowo niezręcznie. Poprawiła się na krześle. Czyżby Isabella i jej syn zapomnieli, czego miała dotyczyć rozmowa? Zamiast podjąć temat umowy dzierżawnej, tych dwoje radoowało się w jej obecności z cudzych kłopotów.

- Przejdźmy już może do spraw związanych z umową, pani Cavanetti - powiedziała. - Jestem zdecydowana sprzedać tę winnicę za odpowiednią cenę. Zapewne nie potrzebuję przypominać, że macie państwo prawo pierwokupu.

- A jaka miałyby być ta cena sprzedaży?

- Dwa miliony dolarów.

Isabella nagle znieruchomiała z filiżanką przy ustach. Głęboko wciągnęła powietrze.

- Dwa miliony? - powtórzyła z niedowierzaniem.

- Greg Kessler powiedział mi, że dziś ten teren jest wart tyle, a nawet znacznie więcej. Jednak ze względu na naszą długoletnią znajomość nie chciałabym się targować i podaję od

razu cenę minimalną.

- Dwa miliony dolarów to więcej, niż się spodziewałam - powiedziała Isabella. - W tej sytuacji chciałabym to przedyskutować z moim współnikiem. Na moment musiał odejść, ale zaraz tu będzie.

Jessica odruchowo spojrzała w stronę drzwi prowadzących do hallu, gdzie pod prowadzącymi na piętro schodami kryły się toalety i łazienki.

- A co z tym Kesslerem? - spytał Frank. - Wiem, że on też ma ochotę położyć na tym łapę.

- Gdyby to on miał kupić winnicę, musiałyby zapłacić znacznie więcej - odpowiedziała chłodno Jessica.

W tym momencie od strony hallu nagle dały się słyszeć jakieś krzyki, a potem głośne klaśnięcie, jakby od uderzenia w twarz. Najwyraźniej trwała tam jakaś bójka. W ciszy wielkiego luksusowego domu odgłosy te robiły tym większe wrażenie.

Isabella zerwała się na równe nogi.

- Co się tam dzieje? - krzyknęła.

Wytwornie przebrani gangsterscy goryle natychmiast rzucili się w stronę drzwi. Frank zdążył tylko odstawić filiżankę i podnieść się z krzesła.

Tymczasem odgłosy bójki ucichły, ale w tej samej chwili drzwi salonu nagle się otworzyły i tyłem wpadł przez nie do środka jakiś człowiek, najwyraźniej pchnięty z ogromną siłą. Nie zdołał utrzymać równowagi i upadł prosto pod nogi swoich ochroniarzy.

- Panie Vincenzo! - wykrzyknęła przejęta zgrozą Isabella.

Pan Vincenzo usiłował stanąć na nogi, ale tymczasem w ślad za nim w salonie pojawiła się postać w czarnym habicie z kapturem mnicha na głowie. Wysoki i mocno zbudowany mnich chwycił pana Vincenzo za kłapy marynarki.

- Wynoś się stąd natychmiast! - wykrzyknął, a Jessica w tej samej chwili rozpoznała głos Cole'a. - Won z tego domu, ty sukinsynu!

Pchnięty z całą siłą pan Vincenzo ponownie poleciał do tyłu, trzymając się za nos, z którego krwawił obficie. Jeden z jego goryli pośpiesznie podał mu chusteczkę.

- Co to ma znaczyć?! - wykrzyknęła Isabella. - Jak osoba duchowna ośmieliła się uderzyć pana Vincenzo?

- Nick, to ty? - zapytał zdumiony Frank, usiłując zajrzeć pod kaptur habitu.

- Nick? - wykrzyknęła Isabella.

- Posłuchaj mnie uważnie, Vincenzo! - Cole odrzucił kaptur i odsłonił twarz. Jego oczy płonęły gniewem. - Mój ojciec powiedział ci już kiedyś, że jeżeli ty, albo jakikolwiek

członek twojej organizacji, jeszcze choćby raz postawi nogę w tym domu, to on cię zabije. Mój ojciec jest teraz chory, ale to nie znaczy, że ja nie potrafię tego zrobić za niego. Zrozumiałeś?!

- A kim ty, u diabła, jesteś? - zapytał Vincenzo, ponownie ocierając krwawiący nos.

- Szefie, to Cole Nichols - powiedział niższy z gangsterów. - Cole Nichols, rozgrywający St. Louis Bulls!

- Jestem synem Michaela Cavanetti. Byłem tutaj, kiedy poprzednim razem zaproponowaliście „ochronę” winnicy św. Benedykta i mój ojciec powiedział wam „nie!”. A dziś ja, jego syn, mówię wam to samo!

- Nie masz żadnego prawa się w to wtrącać! - krzyknął Frank, zapluwając się ze zdenerwowania. - Żadnego!

- Dokładnie tak samo jak ty! - odparł Cole. - Dopóki ojciec żyje, jest właścicielem tego domu i szefem zarządu firmy. I prędzej dałby sobie rękę uciąć, niż wszedł w spółkę z „przedsiębiorstwem” pana Vincenzo. A ty, Isabella - zwrócił się w stronę macochy - doskonale o tym wiesz!

Isabella wyprostowała się dumnie i z nie ukrywaną już nienawiścią spojrzała na Cole'a.

- Frank, dzwoń po policję.

- Tak, dzwoń po policję - powiedział Cole. - Dzwoń natychmiast! A ja zadzwonię do moich kumpli z „Seattle Times'a” i poproszę ich, żeby dokładnie opisali tę całą sprawę. Teraz wreszcie jest jasne, o co tu chodzi. Isabella Cavanetti zaprasza mafię do naszego miasta. Świetny ruch, Isabella, zwłaszcza w perspektywie przyszłości Franka. To mu załatwi karierę raz na zawsze. Nazwisko Cavanetti stanie się wyjątkowo sławne!

Isabella zbladła.

- Nie ważysz się!

- No, to spróbuj.

Pan Vincenzo oddał zakrwawioną chusteczkę wyższemu ze swych goryli, który bez skrupowania wcisnął ją do górnej kieszonki swej marynarki.

- Nie życzymy sobie żadnego rozgłosu, pani Cavanetti - powiedział pan Vincenzo i poprawił przekrzywiony krawat. - Być może powinna pani jeszcze raz porozmawiać o tym z mężem. No i pozbyć się stąd tego agresywnego gburą - kiwnął głową w stronę Cole'a. - Wtedy wrócimy do rozmów.

- Nie, nie wróćcie! - oświadczył Cole. - I wynoście się stąd! Już!

Zrobił krok w stronę pana Vincenzo. Ten wahał się jeszcze przez moment, ale w

końcu bez słowa odwrócił się i utykając wyszedł z salonu, gestem nakazując swoim gorylom, żeby poszli za nim.

- Panie Vinzenzo, proszę, niech pan zaczeka! - zawołała Isabella. Cole chwycił ją za ramię.

- Uspokój się, Isabello! - powiedział. - Nigdzie nie pójdziesz!

Jessica usłyszała trzaśnięcie wyjściowych drzwi, a po chwili odgłos odjeżdżającej limuzyny. Ten odgłos był zresztą ledwie słyszalny, ponieważ w salonie ktoś zaczął bić brawo. Wszyscy się odwrócili i zobaczyli Shawn.

Oparta o framugę drzwi, uśmiechała się do Cole'a i nadal klaskała w dłonie, jak na meczu. A potem uniosła zaciśniętą pięść w geście zwycięstwa.

Jessica stała na balkoniku poddasza, spoglądając w stronę mieszczących się w dobudówce drzwi, prowadzących do pokoi gościnnych. Spróchniała barierka balkonu była wymieniona na nową i Jessica mogła się już o nią opierać bez obawy.

Nie zamierzała ukrywać nawet przed sobą samą, że chciałaby teraz porozmawiać z Cole'em - bardziej niż kiedykolwiek. Powiedzieć mu, że go zrozumiała i że odtąd jest po jego stronie. Spojrzała na moment w stronę posesji sąsiadów i przypomniała sobie straszliwą awanturę, jaka wybuchła wśród Cavanettich po tym, jak pan Vinzenzo opuścił ich dom.

Isabella była wprost nieprzytomnie wściekła, przede wszystkim na Cole'a. Jessica jeszcze nigdy dotąd nie widziała jej w takim stanie. Również Frank, który zazwyczaj nie okazywał otwarcie swoich uczuć, tym razem dał im pełny upust. Matka i syn zachowywali się tak agresywnie, że Jessica czuła się głęboko zażenowana już przez sam fakt, iż musi być świadkiem tego wszystkiego. Z drugiej strony wydawało się jej, że nie może tak po prostu wyjść bez podjęcia jakiejś próby jeśli już nie pogodzenia ich, to przynajmniej uspokojenia. Ale Isabella ofuknęła ją tylko, nie przestając krzyczeć na Cole'a. To on był wszystkiemu winien, wszystko zepsuł, wszystko zniszczył. W końcu Cole po prostu wyszedł z domu, trzasnąwszy drzwiami, wsiadł do samochodu i z piskiem opon odjechał nie wiadomo dokąd.

Wrócił dopiero późno w nocy. Jessica wiedziała o tym, ponieważ była już wtedy ze swym teleskopem na balkoniku i najpierw usłyszała wjeżdżający na podjazd samochód, a po chwili w oknie sypialni Cole'a zapaliło się światło. Odtąd zamiast obserwować gwiazdy, wpatrywała się w ten świecący prostokąt, a od kłębiących się w jej głowie myśli tylko robiło się jej coraz ciężej na sercu. Nie widziała jednak żadnego dobrego wyjścia. Nie można było zrezygnować ze sprzedaży winnicy, bowiem ojciec już wkrótce - zwłaszcza po ewentualnej kosztownej kuracji - pozostałby bez jakichkolwiek środków do życia. Sentyment w stosunku do sąsiadów niewątpliwie powinien się liczyć, ale w końcu i lojalność wobec państwa

Cavanettich też musiała mieć jakieś granice!

Westchnęła głęboko. Znacznie rozsądniej byłoby już przestać zamartwiać się Cole'em i Cavanettimi, i wreszcie zacząć robić to, po co tu przyszła, taszcząc ciężki teleskop.

Zmobilizowała się więc i już zamierzała pochylić się nad okularom instrumentu, gdy nagle w mroku zobaczyła znajomą sylwetkę w habicie i kapturze.

- Brat Cosimo! - wykrzyknęła. Mnich zbliżył się o parę kroków.

- Dobry wieczór, panno Ward.

- Czemu znów tak oficjalnie, bracie Cosimo? Długo już tu jesteś?

- Kilka chwil. Ale wystarczająco długo, by dostrzec głęboki smutek w tych młodych oczach.

Jessica machinalnie przetarła powieki i odrzuciła włosy do tyłu. Nie chciała w ogóle rozmawiać o troskach swego serca - a już zwłaszcza z Cosimo Cavanettim. Postanowiła zmienić temat.

- Proszę spojrzeć - powiedziała. - Ktoś naprawił spróchniałą barierkę.

- Można się było obawiać, że ktoś w końcu przez nią spadnie, więc ją wymieniłem.

- Naprawdę?!

- To wcale nie było takie trudne.

- Tak czy inaczej, bardzo dziękuję, bracie Cosimo. Jest teraz tyle kłopotów, że chyba nie zdobyłabym się na szukanie stolarza.

- Już nie będzie potrzebny.

- Jak mam się odwdzięczyć, bracie Cosimo?

- Najlepiej zwracając się do mnie mniej oficjalnie - po prostu po imieniu. Cosimo i tyle.

- Dobrze, Cosimo - powiedziała, choć nie bez pewnego wahania. Ale czym w końcu mogło jej grozić przejście na ty z tym bądź co bądź zyczliwym jej mnichem? - Jednak wobec tego proszę też już zapomnieć o pannie Ward i odtąd mówić mi tylko po imieniu.

- Dobrze, Jessico - w jego głosie wyczuła ledwie uchwytną nutkę rozbawienia. - Pójdź teraz ze mną, żebyśmy mogli trochę porozmawiać, ale już tam, gdzie nie będzie aż tak zimno.

Obrócił się i zniknął w korytarzu za jakimiś drzwiami, o których istnieniu chyba w ogóle nie wiedziała. Przez chwilę namyślała się, nie mając pewności, czy powinna go posłuchać. Doszła jednak do wniosku, że to ona jest jego dłużniczką i winna mu jest przynajmniej tyle zaufania. Powinna wysłuchać, co ma jej do powiedzenia.

Zeszła za nim schodami, które prowadziły w dół do jakiegoś pomieszczenia, przypominającego skromną pracownię. Cosimo gestem zaprosił ją do zajęcia miejsca w

jednym z foteli, stojących przed rozpalonym kominkiem. Jessica zauważyła, że płomienie trzaskającego ognia zdawały się oświetlać tylko habit mnicha. Twarz pod kapturem nadal była niewidoczna.

- Sam zbudowałeś ten kominek? - zapytała.

- Pozwoliłem sobie na ten skromny luksus.

- Dzięki niemu jest tu znacznie przyjemniej - powiedziała i usiadła w fotelu. Cosimo tymczasem podał jej jeden z dwóch kielichów, napełnionych czerwonym winem. Zrobił to z taką życzliwością i delikatnością, że Jessica wprost nie miała serca, by powiedzieć mu, że nie pije.

- Dziękuję - powiedziała cicho.

Cosimo skinął głową i sam też usiadł w sąsiednim fotelu. Nawet wówczas światło z kominka oświetlało jedynie habit, nie sięgając kaptura. Uniósł kielich, patrząc nań pod światło.

- To doskonały gatunek, *Cabernet Sauvignon* - powiedział. - Jedyne przyzwoite wino, jakie zachowało się z tej winnicy, i to jedynie dlatego, że ma już trzynaście lat.

Jessica również spojrzała na swój kielich pod światło. Dostrzegła, jak szlachetny trunek rozplywa się delikatnie po szklanych ściankach, które nabierały wtedy bursztynowo - malinowego odcienia. Z pewnością było to doskonałe wino. Nie podniosła go jednak do ust.

- Nie przepadasz za cabernetem? - spytał Cosimo.

- W ogóle nie piję napojów alkoholowych.

- Dlaczego?

Jessica zakołysała kielichem tak, by wprawić wino w ruch wirowy.

- Zawsze uważałam, że picie alkoholu to nie jest dobry pomysł.

- Ach, tak? - w jego głosie znów wychwyciła odcień lekkiego rozbawienia. - A czy słyszałaś, co Platon powiedział o winie?

- Nie.

- Nazwał je najlepszym darem boskim, jaki ludzie kiedykolwiek otrzymali.

Jessica popatrzyła nieufnie na trzymany w dłoni kielich.

- A więc Platon cię nie przekonuje - roześmiał się cicho mnich. - Ale może wobec tego zechcesz rozważyć korzyści dla zdrowia?

- Korzyści dla zdrowia? No nie!

- Tak! Wino zawiera witaminy i mikroelementy, a poza tym jeszcze pewne niezbadane dotąd składniki, które rozkładają tłuszcze Czerwone wina, do których należy cabernet, zawierają taninę i organiczne kwasy, zabijające bakterie. Już w średniowieczu wiadano, że

dobre wino może leczyć nawet tyfus.

Jessica uśmiechnęła się. - Chyba wciskasz mi kit.

- Kit?

- Chciałam powiedzieć, że mnie nabierasz.

- Zapewniam cię, że nie. Wszystko, co powiedziałem, to najszczerza prawda. Nie ma najmniejszego powodu, żeby bać się wina.

Jessica potrząsnęła głową.

- Widziałam, jak zachowują się ludzie, kiedy są pijani, i nie mam najmniejszej ochoty kiedykolwiek tak wyglądać.

- Bo decyduje tu zachowanie miary... jak zresztą we wszystkim, w całym naszym życiu, Jessico. W każdym razie jeden kieliszek cabernetu z pewnością nie zrobi z ciebie żalosnej pijaczki, możesz mi zaufać.

Jessica spojrzała na kieliszek. Czowała jakby cień zapachu malin, unoszący się z rubinowego płynu. Cosimo znów cicho się roześmiał.

- A może obawiasz się, że wino nadmiernie rozwiąże ci język. ' - spytał.

Jessica pokręciła głową. Albo Cosimo był bardziej spostrzegawczy niż inni, albo też ona była łatwiejsza do przejrzania, niż przypuszczała. Obróciła twarz w stronę Cosimo, uparcie wpatrując się w ten wciąż nieprzejrzysty cień pod jego kapturem. Dużo by dała, żeby móc zobaczyć, jaka też może być twarz kogoś o tak spokojnym, a jednocześnie tak pełnym wyrazu głosie.

- Jeżeli jest coś, czego z jakichś powodów nie chciałabyś wyznać nikomu, to nawet w takim przypadku ksiądz jest chyba najlepszym towarzyszem do kieliszka, nie uważasz?

- Przecież nie jesteś księdzem. Sam mi to powiedziałeś.

Mimo to uniosła kielich do góry. Postanowiła wypić, choćby po to, żeby mu udowodnić, że się nie boi i że po kieliszku wina bynajmniej nie zacznie mu się zwierzać z czegokolwiek.

Ku jej zaskoczeniu, wino wcale nie okazało się tak ostre, jak się spodziewała. Przeciwnie, miało w sobie jedwabistą gładkość, a charakterystyczna łagodnie cierpka nuta tylko podkreślała niemal miodową słodycz zharmonizowaną z malinowym aromatem. Dotąd była przekonana, że wino zawsze musi być kwaśne i mocne.

Cosimo zauważył to jej miłe zaskoczenie i roześmiał się.

- Zasmakowało ci!

- Tak. - Jessica uśmiechnęła się, obracając kieliszek w dłoni. - To bardzo różne od tego, czego się spodziewałam. - Wypiła kolejny łyk, a potem jeszcze jeden.

Cosimo skinął głową i podniósł się, żeby ponownie napelnić oba kieliszki. Jessica przyglądała się, jak wolno leje rubinowy płyn z grubej karafki, i nagle poczuła, że zrobiło się jej jakoś miło i ciepło, całkiem niezależnie od ciepła płynącego z kominka. Już w pełni odprężona sięgnęła po podany jej kieliszek.

- Ta odmiana caberneta była ostatnim gatunkiem, którym zajmowałem się w winnicy św. Benedykta - ciągnął Cosimo, ponownie sadowiąc się w fotelu. - Od tamtej pory nie wyprodukowano w niej już niczego, co byłoby warte wypicia. Prawdę mówiąc, musiałem nawet zniszczyć wszystkie wyprodukowane ostatnio zapasy białego wina, żeby uchronić reputację winnicy od kompletnej ruiny.

- Więc to ty porozbijałeś te wszystkie beczki i butelki w magazynie?

Cosimo skinął głową. - Tego, co w nich było, w żadnym wypadku nie wolno było dopuścić do sprzedawania pod etykietą winnicy Św. Benedykta. - A więc na tym ma polegać twoja funkcja Strażnika Winnicy? Na niszczeniu cudzej własności?

- Jeśli to konieczne - powiedział spokojnie Cosimo. - W ciągu ostatnich lat byłem daleko stąd i właśnie w tym czasie nastąpiły tu przerażające zmiany, które musiały prostą drogą doprowadzić do ruiny winnicy.

- Dlaczego więc cię tu nie było, skoro jesteś Strażnikiem?

- To już nie zależało ode mnie. Ale teraz wróciłem i zrobię wszystko, co będzie konieczne, by powstrzymać upadek winnicy i naprawić szkody, poczynione przez Isabellę Cavanetti.

Jessica wypła kolejny łyk i znów popatrzyła na zakapturzoną postać.

- Dlaczego tylko ja jedna cię widzę, Cosimo? - zapytała. Mnich wstał i stanął jeszcze bliżej ognia. Jessica mogła teraz/ widzieć tylko jego osłoniętą habitem sylwetkę, o szerokich ramionach i szczupłych biodrach.

- No właśnie, dlaczego tylko ty możesz mnie widzieć? Mnie samego też dręczy to pytanie - obrócił się ku niej. - Choć muszę powiedzieć, iż cieszy mnie, że to właśnie ty. Po prostu lubię z tobą rozmawiać.

- Ja również lubię z tobą rozmawiać - odpowiedziała spontanicznie, nim zdążyła pomyśleć i ugryźć się w język. Generalnie bowiem Jessica nie lubiła rozmawiać z ludźmi. Puste gadanie denerwowało ją, a wszelkie rozmowy zwykle się do tego sprowadzały.

Znów spróbowała dojrzeć coś pod kapturem.

- Przyznam ci się, że chciałabym też móc widzieć twoją twarz - powiedziała.

- Być może któregoś dnia ją zobaczysz - odparł Cosimo. - Na razie jednak moja twarz musi pozostać zakryta całunem.

- Dlaczego?

- Nie musisz przecież widzieć mojej twarzy, żeby dostrzec, co jest w moim sercu.

Jessica nie odpowiedziała.

- Dzięki temu już wiesz, że nie zrobię ci żadnej krzywdy. Wiesz również, że oboje potrzebujemy kogoś, z kim moglibyśmy czasami porozmawiać bez jakiegokolwiek obawy. I chyba właśnie po to ty tu jesteś - jedyna osoba, która może mnie widzieć i słyszeć. A ja, być może, jestem tu dla ciebie. I zapewniam cię, że możesz mi ufać bez zastrzeżeń. Nawet na tyle, by odkryć przede mną to, co ci leży na sercu. Jessica patrzyła gdzieś w podłogę.

- W moim sercu nie ma nic, Cosimo, Obawiam się, że to jest właśnie mój największy problem.

- A ja odpowiem ci na to, że pewnie bardzo się mylisz. Jestem przekonany, że w twym sercu jest bardzo wiele. Może po prostu nie chcesz w nie zaglądać i dlatego uważasz, że nie ma tam nic.

Cosimo wrócił na fotel i usiadł w nim tak, jak poprzednio. Po chwili Jessica kątem oka spojrzała na niego.

- *Agnosco veteris vestigia flammae* - powiedział cicho.

- Co to znaczy?

- Coś w rodzaju parafrazy z Wergiliusza: „Ponieważ sam kiedyś kochałem, rozpoznaję symptomy”.

- Jakie symptomy? U kogo?

- U ciebie, oczywiście. Twoje serce jest pełne miłości do mężczyzny, ale zamknęłaś je na klucz. Cóż dobrego miłość może uczynić, zarówno dla ciebie, jak i dla niego, jeżeli nadal pozostanie zamknięta?

- Miłość nie przynosi nic dobrego, jeżeli kocha tylko jedna strona.

- A skąd możesz wiedzieć, że tylko jedna?

- Bo wiem! - Jessica zerwała się z fotela i nagle wybuchła, jakby pękły w niej jakiś tamy. - Bo kochałam go już jako młoda dziewczyna. I teraz go kocham. Ale Cole nie dba o mnie w ogóle. Nic go nie obchodzi! Kiedyś sama chciałam mu się oddać, ofiarować mu siebie, ale on się tylko śmiał. To było straszne! I takie upokarzające!

- Naprawdę się śmiał?

- To znaczy... - Jessica patrzyła teraz w ogień. - No, w każdym Jazie się uśmiechał. I wtedy już wiedziałam, że mnie nie chce. I było mi tak strasznie wstyd!

- Może nie chciał przyjąć tego od ciebie ze względu na jakieś określone okoliczności?

Jessica zastanowiła się przez chwilę i w końcu potrząsnęła głową.

- Nie. Nie sędzę, żeby to mogło być powodem. Chyba nigdy mnie nie chciał. A w dodatku teraz ma kogoś innego. Dlatego z pewnością lepiej będzie, jeśli po prostu zduszę to w sobie.

- Dla mnie jest to strasznie smutne, Jessico.

- Dlaczego?

- Bo to tak cenne uczucie. Nie ma nic wspanialszego od miłości. Wielu ludzi w ogóle nigdy nie zaznało tego uczucia i ich serca rzeczywiście pozostały puste. To można zrozumieć. Ale poczuć miłość i stłumić ją, to naprawdę bardzo smutne - podniósł się z fotela, a potem stanął niemal tuż za nią. - Miłość jest nieporównanie ważniejsza od dumy, Jessico. Czasami jest ważniejsza nawet od honoru. Tego zdążyłem się nauczyć w moim trudnym życiu.

Jessica pochyliła głowę, ale wcale nie dlatego, by próbowała się od niego odsuwać. Jego ciepły i głęboki głos, i poczucie, że jest tak blisko przy niej, ogromnie ją kołysały. Ale jednocześnie też rozhamowały. Pochyliła się więc głównie po to, by nie mógł widzieć jej twarzy. Zaciśnęła wargi i wszelkimi siłami starała się nie wybuchnąć płaczem. I wtedy niespodziewanie poczuła jego dłonie na swych ramionach. W chwilę potem bardzo delikatnie zaczął masować jej ramiona i kark.

- Zamknij oczy, Jessico. Zamknij oczy i staraj się słyszeć tylko mój głos. Skoncentruj się na nim i na niczym więcej. Nie myśl o tym, kim jesteś, ani o tym, kim ja jestem. Po prostu tylko słuchaj mego głosu.

Posłuchała go i wyprostowała się w fotelu, poddając się jego miękkim dłoniom i ciepłemu głosowi. Ten głos był niczym łagodna fala, która ją kołysała i unosiła - dokąd? Czy to był efekt wypitego wina, czy też może Cosimo jednak był tym czarownikiem sprzed wieków, który właśnie próbował ją sobie podporządkować?

- Słuchaj mojego głosu, poddaj się dotykowi moich dłoni. I spróbuj się cofnąć w czasie. Cofnąć się w najdalszą przeszłość. Powiedz mi, co pamiętasz.

Jessica spróbowała cofnąć się w tę najdalszą przeszłość. I wtedy zdała sobie sprawę, że już go znała. Rozpoznawała go, nie wzrokiem, ale sercem. Nagle poczuła gwałtowne pragnienie, by ponownie - dlaczego ponownie? - paść w jego ramiona, wtulić twarz w to zagłębienie między policzkiem i barkiem, a potem przytulić się jeszcze mocniej i poczuć bliskość ciała, poczuć jego usta na swoich ustach. To wszystko straszliwie ją przeraziło. W jaki sposób mnich z dwunastego wieku mógł być kimś, kogo już znała? W jaki sposób on mógł ją znać? To musiały być jakieś czary albo może jakieś hipnotyczne oddziaływanie? Tak, z całą pewnością tak właśnie było. To hipnoza!

- Nie! - jęknęła rozpaczliwie, gwałtownie odsuwając się od jego dłoni.

- Co się stało? - zapytał Cosimo. Jessica patrzyła na niego na wpół przytomnie, oszołomiona i wciąż przerażona. Jak to możliwe, żeby niemal w jednej chwili cofnąć się z teraźniejszości w jakąś niezrozumiałą odległą przeszłość? Jeszcze teraz czuła się tak, jakby stała niemal na krawędzi czasu. Kręciło się jej w głowie, chociaż może to był skutek wypitego wina. Widziała już tylko czerń jego habitu. Albo może widziała tylko tę czarną przeszłość? Gwałtownie trzepotała powiekami, cofając się krok za krokiem.

- Jessico! - zawołał Cosimo i chwycił ją za rękę, by nie przewróciła się przy tym cofaniu się na oślep.

- Nie dotykaj mnie! - krzyknęła i potykając się, wycofała się aż do drzwi. Oparła się o nie plecami. - Zostaw mnie w spokoju!

Cosimo nie ruszył się z miejsca.

- Ach, Jessico - powiedział tylko, a w jego głosie brzmiała głęboka troska.

Ale ona nie dbała już o to. Co sił w nogach uciekła z tego przeklętego pomieszczenia, zostawiając po drodze kieliszek na stoliku w hallu. Pędem pobiegła do drzwi wyjściowych, otwierając je rozdygotanymi palcami. Nogi same poniosły ją tam, gdzie mogła znaleźć ratunek - do przybudówki, gdzie było wejście do pokoi gościnnych. Tam był jedyny człowiek, który mógł jej pomóc.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Otworzyła główne wejście, nawet nie pukając, i pędem pobiegła do drzwi głównej sypialni, waląc w nie pięściami.

- Cole! Cole! - krzyczała, jednocześnie spoglądając w tył przez ramię, czy Cosimo przypadkiem jej nie goni. Dobijała się jeszcze mocniej. - Cole!

Usłyszała odgłos kroków i drzwi się otworzyły. Cole stał na progu, przecierając oczy. Patrzył na nią spod zmrużonych, zaspanych powiek.

- Jessica?

- Och, Cole! - była tak uszczęśliwiona jego widokiem, że bez chwili zastanowienia zarzuciła mu ręce na szyję i wtuliła się w niego.

- Jess... czy coś się stało?!

Nie była w stanie nic powiedzieć. Była tak potwornie przerażona tym wszystkim, co nagle się w niej odezwało pod wpływem hipnozy czy też czarów tego mnicha, że tylko stała zupełnie nieruchomo i przytulała się do Cole'a coraz mocniej. Bo też tylko on mógł uchronić ją przed tym wszystkim, przed wszelkimi okropnymi czarami czy też zwidami. On był na pewno rzeczywisty, a przy tym taki silny... i dawał jej tak niezwykle poczucie bezpieczeństwa. Wtuliła twarz w zagłębienie między jego barkiem i szyją, i przymknęła oczy.

Cole pogłaskał ją po włosach.

- Co się stało? - zapytał ponownie. Jessica czuła, jak jego kojąca dłoń przesuwa się powoli po jej karku i plecach. Jeszcze nigdy niczyje dotknięcie aż tak jej nie uspokoiło.

Jeszcze mocniej objęła go za szyję.

- Och, Cole!

Odsunął ją od siebie, ale tylko na tyle, by móc widzieć jej twarz.

- No więc co się, u diabła, dzieje? - zapytał, ale i te słowa wcale nie zabrzmiały ostro.

- Tam... tam jest ten mnich!

- Jaki mnich?

- Ten, o którym ci opowiadałam! On tam jest i teraz próbował rzucić na mnie czary! Kazał mi cofnąć się myślami w przeszłość, słuchać brzmienia swego głosu i przypominać sobie... - Jessica urwała, nagle zdając sobie sprawę, jak idiotycznie musiało to zabrzmieć, w dodatku jeszcze w takiej sytuacji. Gwałtownie odsunęła się od Cole'a, zbyt późno zdając sobie sprawę z tego, że przede wszystkim nie powinna była się do niego przytulać.

- Jess, ty chyba coś piłaś? - powiedział, uśmiechając się lekko.

- Tak, ale...

- W porządku, chodź! - ujął ją pod łokieć dostatecznie mocno, by bezpiecznie doprowadzić ją do najbliższego fotela. - To, czego ci teraz trzeba, to kubek porządnej, gorącej kawy.

Jessica gwałtownie wyrwała łokieć z jego opiekuńczej dłoni. - Nie jestem wcale pijana!

- Wobec tego co cię napadło?

- No ten mnich, już ci przecież mówiłam. Najpierw rzeczywiście dał mi kieliszek wina, ale to wszystko po to, żeby zmusić mnie do mówienia o... - Speszona, urwała ponownie.

- O czym?

- No właśnie... - Nie mogła przecież powiedzieć Cole'owi, że to on był tematem jej rozmowy z mnichem. Nie mogła mu nagle wyznać swojej miłości, niezależnie od tego, co tam Cosimo mógł jej wcześniej opowiadać na temat wręcz bezcennej wartości tego uczucia.

- ... rozmawialiśmy o winnicy! - dokończyła, wybierając pierwszy lepszy temat, który przyszedł jej do głowy. - Ale potem on naprawdę chciał rzucić na mnie czary... albo mnie zahipnotyzować!

- Czy ty jesteś zupełnie pewna, że widziałaś tego mnicha? - spytał Cole. - Bo jednak nikt poza tobą go tu nie widział.

- Wiem o tym. Ale ja go naprawdę widziałam.

- I nie wydaje ci się to dziwne?

- Wydaje, ale co z tego, skoro to i tak prawda? Zresztą najlepiej chodź ze mną, to sam zobaczysz. Ukrywał się w takiej nie używanej małej pracowni w naszym domu. I teraz tam właśnie jest i pewnie dopija butelkę caberneta z waszej winnicy.

Chwyliła go za rękę i pociągnęła za sobą. Kiedy jednak w końcu doszli do owej pracowni, jedynym śladem po obecności mnicha był już tylko dogasający w kominku ogień. Kompletnie oszołomiona Jessica daremnie rozglądała się dookoła, zdając sobie sprawę, że odtąd Cole nigdy już jej nie uwierzy.

- Wygląda na to, że sobie poszedł - powiedział Cole. - Ale coś cię naprawdę mocno przeraziło. Widzę to po tobie. Nie można wykluczyć, że to ci się na przykład przyśniło.

- Nic mi się nie przyśniło! - odparła stanowczo. - Potrafię rozróżnić sen od jawy. Ten mnich był tutaj, w tym właśnie pokoju, i rozmawiał ze mną.

Cole rozejrzał się.

- No dobrze, więc był tutaj i próbował rzucić na ciebie czary. Ale po co miałby to robić, pomyśl sama?

- Widzisz... miałam takie wrażenie, że on mnie bierze za kogoś innego. Za kogoś, kogo znał przed laty. Ale ja go w ogóle nie znam! I nigdy nie znałam!

- No więc w każdym razie teraz sobie poszedł. Może zrozumiał pomyłkę i zrezygnował? - Cole podniósł się i spojrzał na zmęczoną twarz Jessiki. - Może jednak zrobisz ci kawę?

- A więc wciąż uważasz, że się upiłam i że to wszystko zmyśliłam!

- Niczego takiego nie powiedziałem.

Jego spokój jeszcze bardziej ją denerwował. Było oczywiste, że jej nie uwierzył, że jedynie próbuje ją uspokoić. Podniosła się z fotela.

- Dziękuję w każdym razie, że zechciałeś tu ze mną przyjść - powiedziała znacznie chłodniejszym już tonem.

Cole nadal stał z rękami w kieszeniach dżinsów i przyglądał się jej uważnie. Dopiero teraz Jessica zorientowała się, że był w pełni ubrany. Najpewniej po powrocie do siebie musiał rzucić się na łóżko tak jak stał, bez rozbierania się. Jego włosy były nieco rozwichrzone, co sprawiało, że znów wyglądał trochę jak mały bezradny chłopiec. Nie wiadomo dlaczego, to właśnie Jessikę tak bardzo w nim pociągało.

W porę jednak przypomniała sobie stanowcze postanowienie niepoddawania się podobnym uczuciom. Oderwała wzrok od Cole'a i bez żadnego sensowniejszego powodu zaczęła się usilnie wpatrywać w zawiły wzór słoików drewna na futrynie drzwi.

- Przepraszam, że niepotrzebnie wyrwałam cię ze snu - powiedziała. Zabrzmiało to jeszcze bardziej chłodno.

- Mam rozumieć, że już mogę odejść, panno Ward?

- Tak. Jeszcze raz cię przepraszam, Cole, i dziękuję. Teraz już wszystko będzie w porządku.

- Skoro tak, to w porządku.

Przechodząc obok spojrzał na nią z tym samym leciutkim uśmieszkiem, który tak bardzo ją denerwował. Teraz pewnie znów śmiał się z niej w duchu. Jessica wyprostowała się i patrzyła gdzieś tam w przestrzeń, kiedy Cole mijał ją, znikając za drzwiami.

Jeszcze raz udało się jej zrobić z siebie kompletną idiotkę. Teraz on pewnie będzie sobie wyobrażał, że wymyśliła tę całą historię tylko po to, żeby mu się rzucić na szyję!

Następnego ranka ktoś zadzwonił do głównych drzwi. Z okazanej legitymacji wynikało, że to detektyw Turner z miejscowej policji, Jessica zaprosiła go do salonu, mając nadzieję, że pozbędzie się go w miarę szybko, póki ojciec będzie jeszcze spał po wczorajszym przepiciu - jako że kolejna obietnica zmiany trybu życia okazała się tyle samo warta, co i

wszystkie poprzednie.

Usiadła w fotelu naprzeciwko swego gościa, który właśnie wyjął z kieszeni długopis i służbowy notes. Musiał się już zbliżać do pięćdziesiątki, miał siwe skronie, a w jego zachowaniu widać było długoletnią rutynę starego policjanta. Małe brązowe oczy osadzone były głęboko, a wyjątkowo pulchne policzki niemal zwisały nad wymiętym kołnierzem i przekrzywionym węzłem krawata. W ogóle z wyglądu doskonale pasowałby do roli Lękliwego Lwa w słynnej bajce dla dzieci *Czarodziej z Oz* - gdyby nie bardzo krótka, niemal marynarską fryzura.

- Przekazano mi pani telefoniczne doniesienie, że kilka dni temu widziała pani w tej okolicy jakiegoś mnicha.

- Tak - odparła Jessica, starając się nie zdradzić nagłego napięcia. - To chyba było w ostatni piątek.

- Czy od tego czasu jeszcze kiedyś zdarzyło się coś podobnego, panno Ward?

Jessica zastanawiała się, dlaczego policja niespodziewanie znów zainteresowała się mnichem. Czyżby wystraszył w okolicy kogoś jeszcze? Prawdę mówiąc, minionej nocy mocno wystraszył przede wszystkim ją, no, ale ona przecież nie miała najmniejszego zamiaru opowiadać o tym policji. Dopiero by wyszła na idiotkę! Poza tym Cosimo na pewno nie zrobił nikomu nic złego. Przecież w końcu jej samej ledwie parę dni wcześniej uratował życie.

- A dlaczego policja znów się tym zajęła? - spytała. - Czy coś się stało?

- Proszę łaskawie odpowiedzieć na moje pytanie, panno Ward. Musiała zmobilizować całą siłę woli, żeby się nie zdradzić i nie umykać wzrokiem przed badawczym spojrzeniem detektywa.

- Od tamtego czasu już nikogo nie widziałam. Przypuszczam, że wtedy musiał to być jakiś włóczący się złodziejasek.

Turner dość długo zapisywał coś w swoim notatniku. Jessica przyglądała się jego grubym palcom, próbując zgadnąć, co też on tam pisze. Może właśnie notował sobie podejrzane szczegóły jej zachowania? Czy taki detektyw mógł od razu odgadnąć, że zachowywała się nerwowo i że kłamała?

Turner znów spojrzał na nią.

- Więc widziała pani tego mnicha najpierw przy tym reklamowym znaku przy drodze, a potem tutaj w waszym ogrodzie?

- Tak.

- O ile pamiętam, nasi funkcjonariusze nie znaleźli tu żadnych śladów, kiedy

przyjechali po pani zgłoszeniu?

- Nie, nie znaleźli nic.

- Nie ma pani nic przeciwko temu, żebym ja też się rozejrzył?

- Oczywiście że nie. Ale skąd to nagle zainteresowanie?

- Chodzi o to, że popełniono kolejne morderstwo. - Turner odwrócił się i obrzucił wzrokiem wnętrze salonu, jakby spodziewając się, że może tam zobaczyć coś podejrzanego. Potem znów spojrzał na Jessikę. - Niezbyt daleko stąd, za rzeką, w publicznym parku. Jakaś kobieta, ubrana w strój do joggingu, została uduszona. Własną elastyczną opaską na włosy.

- O Boże!

Detektyw pokręcił głową i skrzywił się w niewesołym uśmiechu. - Żeby udusić kogoś jego własną opaską! No, komu by to przyszło do głowy?

- A ten zbiegły z więzienia zabójca? - spytała Jessica, odprowadzając swego gościa do drzwi. - Czy już został złapany?

- Niestety, nie. Skazany Rogers wciąż jest na wolności. I kryje się gdzieś na tych bagnach koło rzeki. Takie jest przynajmniej moje zdanie.

Frank z całej siły walnął w lejącą na niego piłkę i poczuł pewną ulgę. Tenis mimo wszystko najlepiej uspokajał jego nerwy. Już od rana trenował z maszyną, nie dbając nawet o lekki deszczyk, który padał od czasu do czasu. Palce miał zeszywniałe i zmarznięte, ale postanowił pozostać na zewnątrz tak długo, jak tylko się da - dopóki potrafi wytrzymać tę pogodę. Isabella bowiem wciąż była na ścieżce wojennej i Frank uznał, że najlepiej zejść jej z oczu.

W pewnym momencie gdzieś z tyłu za sobą kątem oka dostrzegł zbliżającą się sylwetkę. Umyślnie nie odwracał się i z demonstracyjnym skupieniem uderzał kolejne piłki, mając nadzieję, że ten ktoś idący w jego stronę po prostu go minie i pójdzie sobie gdzie indziej. Bywały takie dni, kiedy nie miał ochoty nikogo oglądać ani z kimkolwiek rozmawiać.

Wkrótce jednak okazało się, że to Cole stanął za siatką kortu i cierpliwie przyglądał się odbijaniu kolejnych wyrzucanych przez maszynę piłek. Frank w końcu zdał sobie sprawę, że brat nie zamierza odejść. W tej sytuacji zdecydował się wyłączyć maszynę, po czym z nie ukrywaną irytacją podszedł do stojącego za siatką Cole'a.

- Czego chcesz? - zapytał.

- Porozmawiać.

- Taak? A o czymże to?

- O winnicy.

Frank wzruszył ramionami.

- Posłuchaj, Nick, już ci to parę razy powiedziano, prawda? Odpieprz się od tego, bo to nie twój zakichany interes. Ile razy moja mama i ja mamy ci to powtarzać?

Cole popatrzył mu w oczy. Twarz miał zaciętą, widać było, że tłumiony gniew narastał w nim coraz bardziej. Frank machinalnie zaczął uderzać kantem rakiety w otwartą dłoń. Wiedział, jak wybuchowy jest Cole i do czego potrafi być zdolny, kiedy się naprawdę wścieknie. Uważnie obserwował coraz bardziej tężejący profil brata ale szybko spojrzał w inną stronę, gdy Cole znów obrócił się do niego.

- Frank, postaraj się na chwilę zapomnieć o Isabelli, postaraj się też zapomnieć, że mnie nie lubisz. I choć raz pomyśl przede wszystkim o ojcu.

- O ojcu? - powtórzył Frank. - A od kiedy to interesuje cię nas ojciec? Przecież to ty powiedziałeś mu, żeby się odczepił od tego interesu. Żeby dał sobie spokój z winnicą!

- Nigdy nie powiedziałem mu, żeby to on dał sobie spokój z winnicą. Powiedziałem mu tylko, że to ja muszę najpierw odejść i choć trochę poznać świat, zanim ewentualnie tu wrócę.

- Ja słyszałem zupełnie co innego. Cole przyglądał mu się uważnie.

- Posłuchaj, Frank - powiedział. - Nie przyszło ci do głowy, że nigdy nie powiedziano ci całej prawdy?

- Jakiej znów całej prawdy? Co ty insynuujesz?

- Sam to doskonale wiesz. Twoja matka zawsze mówi ci tylko to, co chce, żebyś usłyszał. I nic poza tym.

Frank poczuł, jak krew gwałtownie napływa mu do twarzy. Odszedł, nie zamierzając już więcej słuchać tych obrażających jego matkę słów, ale Cole ruszył w ślad za nim.

- Isabella gotowa jest pozbyć się winnicy bez mrugnięcia okiem. Świetnie o tym wiesz. Biedny ojciec też pewnie to wie, ale sam nie może nic zrobić, znasz przecież jego stan. Jeżeli winnica zostanie sprzedana obcym, ojciec umrze jak dwa a dwa cztery. I to także wiesz, jestem tego pewien.

Frank wpatrywał się w czerwonałą nawierzchnię kortu, słuchając słów brata. Zdawał sobie sprawę, że to wszystko prawda, ale ani myślał się do tego przyznawać.

- Tę winnicę on po prostu ma w sercu, to całe jego życie - mówił dalej Cole. - Jeżeli Isabella zrezygnuje z prawa pierwokupu, albo co gorsza kupi winnicę do spółki z gangsterami, nasz ojciec umrze, Frank. Po prostu umrze. Chcesz się czuć odpowiedzialny za jego śmierć?

Frank znów się cofnął, jak gdyby próbując uciec od tego, co mówił brat, ale Cole nieustępliwie szedł za nim.

- Przyznaję, że i ja sam chcąc nie chcąc też przyczyniłem się do tego, że ojciec jest bliski grobu - mówił dalej Cole. - Dlatego chcę wykorzystać szansę kupienia tej winnicy od Wardów. Chcę dać tę szansę - tobie.

Frank odwrócił się.

- Jaką szansę?!

- Pożyczę ci pieniądze, bez procentów. I zostanę twoim cichym wspólnikiem. Isabella nic nie będzie wiedzieć. Nikt nie będzie o tym wiedział, poza mną i tobą.

Frank przez dłuższą chwilę wpatrywał się w twarz brata. A więc ten futbolowy gwiazdor jednak nie przepuścił wszystkich zarobionych pieniędzy. Mógł wyłożyć dwa miliony na winnicę! Ciekawe, co na to powiedziałyby matka?

- No więc co ty na to, Frank?

Frank zrobił jeszcze parę kroków, jakby zamierzał ponownie włączyć maszynę serwującą. Ostatecznie jednak znów się zatrzymał i spojrzał bratu prosto w oczy.

- Odpieprz się razem ze swoimi pieniędzmi, Nick! Zrozumiałeś?

Cole czuł się naprawdę zaskoczony.

- Czy ty uważasz, że za pieniądze możesz sobie odkupić nazwisko?' Na nowo stać się jednym z Cavanettich? - zapytał szyderczo Frank. - To nie takie łatwe, szanowny futbolowy gwiazdorze!

- Frank, popełniasz ogromny błąd!

- Przestań już chrzanić, Nick! Kto zostawił ojca i winnicę? Ty! A kto został? Ja. To ja wciąż byłem tu, na miejscu, i robiłem, co mogłem, żeby być dobrym synem dla ojca i matki. Może też nie za bardzo chciałem zostawać tutaj, ale zostałem - i wciąż tu jestem. A dlaczego?

- Dotknął dłonią okolicy kieszonki na swej tenisowej koszulce. - Dlatego, że mam serce. Że mi zależy!

Cole tylko pokiwał głową.

- Daj spokój, Frank. Nie oszukuj przynajmniej sam siebie. Tak naprawdę nigdy cię tu nie było. Przez cały czas byłeś głównie w tych różnych prywatnych szkołach dla elity, zbierając punkty do przyszłej kariery. A jeżeli już idzie o winnicę, to przecież ty nie masz o niej nawet bladego pojęcia.

- Mów sobie, co tam chcesz, ale to jednak nie ja porzuciłem winnicę św. Benedykta dla kariery futbolowej. A wiesz, czym była ta twoja dezercja dla ojca? - Frank przyglądał się bratu i widział, jak jego oczy ciemnieją coraz bardziej. - To ty właśnie wtedy zrobiłeś z niego starca. Po twoim wyjeździe już nigdy nie był taki jak dawniej. Życie zaczęło z niego uchodzić.

- Nawet jeśli tak, to teraz z pewnością wypłynie z niego do reszty, jeżeli winnica padnie albo zostanie sprzedana!

Frank pogardliwie przyglądał się twarzy zgnębionego brata. Prędzej sam umrze, niż przyjmie od niego jakąkolwiek pomoc. Niech ten wielki gwiazdor nie myśli, że robi mu łaskę!

- Spieprzaj stąd, Nick! - Włączył maszynę i szybkim krokiem ruszył na końcową linię kortu. - I trzymaj się z daleka od mojej żony! - wrzasnął jeszcze za oddalającym się Cole'em.

Wieczorem Jessica zaczęła się szykować na wydawane przez Isabellę przedświąteczne przyjęcie. Wiedziała, że ojciec się tam nie wybierze - zresztą Robert Ward ostatnio wyraźnie unikał córki, najpewniej wstydząc się, że kolejny raz zawiódł i znów się upił, zamiast coś napisać.

Jessica postanowiła włożyć tę samą wieczorową tunikę, którą miała na sobie podczas przyjęcia w Falls Winery, teraz jednak zamierzała połączyć ją z czarną spódnicą, żeby wyglądać bardziej kobieco. Do tego miały być eleganckie czarne buciki. Tym razem niczym nie przewidywała swych z natury kędzierzawych włosów, przeczesła je jedynie, dzięki czemu sprawiały wrażenie puszystego hebanowego obłoku czy też fali, spadającej poniżej ramion. Gdy po ostatnim spojrzeniu w lustro wyszła na ganek, okazało się, że na jednej z poręczy siedzi Cole. Podniósł się, kiedy zamykała za sobą drzwi.

- Cześć, Jess - powiedział, lustrując ją od stóp do głów.

- Cześć - odparła. Starła się nie pokazać po sobie, co czuje. Pod badawczym spojrzeniem tych ciemnych oczu serce biło jej wręcz panicznie, choć we wzroku Cole'a można było wyczytać raczej aprobatę.

- Idziesz na to przyjęcie?

- Tak. - Jessica wrzuciła klucze do torebki. - Ale ty chyba niej jak sądzę?

- Oczywiście że nie. Gdybym tylko spróbował, Isabella wezwałaby policję!

Jessica uśmiechnęła się ze współczuciem, a gdy zeszła po schodach na ścieżkę, Cole poszedł za nią.

- Nie masz nic przeciwko temu, żebym cię tam odprowadził? - spytał. - To ledwie parę kroków, ale przeczytałem w gazecie o jakimś kolejnym morderstwie w okolicy. Moim zdaniem nie powinnaś teraz ani na moment być sama poza domem.

Jessica była zaskoczona jego troskliwością.

- Dziękuję, Cole. Z pewnością będę się czuła bezpieczniejsza, jeśli mnie odprowadzisz.

Popatrzył na nią jeszcze raz i powiedział:

- Wyglądasz po prostu wspaniale!

- Dziękuję - powiedziała Jessica i zamilkła. Szkoda, że nie stać mnie nawet na to, żeby na jego komplement odpowiedzieć komplementem, pomyślała. A cóż tu dopiero mówić o powiedzeniu całej prawdy, o przyznaniu się do tego, co czuła. To jednak wielka szkoda, że go nie będzie na tym przyjęciu, myślała. Mogłaby z nim tańczyć i korzystać z wszelkich towarzyskich pretekstów, żeby przez parę godzin być przy nim. Na samą myśl o tym zaczerwieniła się tak, że musiała spuścić głowę, udając, że uważnie patrzy pod nogi.

- Jess, powiedz mi... wciąż jeszcze jesteś na mnie zła o to, co mówiłem wczoraj w nocy?

- Nie, nie jestem zła. - Wzruszyła ramionami. - Trudno mi mieć pretensję, że śmiałeś się ze mnie. Moje zachowanie naprawdę musiało wyglądać idiotycznie.

- Wcale się nie śmiałem, Jess.

- No dobrze. - Jeszcze raz wzruszyła ramionami. - Nie śmiałeś się głośno, ale widać to było w twoich oczach.

Cole nagle zatrzymał się, a zaskoczona Jessica w świetle pobliskiej latarni dostrzegła wyraźną zmianę na jego twarzy. Czyżby tym razem to był gniew? Ale o co? - Wyciągasz zbyt pochopne wnioski, Jess.

- To znaczy - jakie?

- Nigdy nie śmiałem się z ciebie. Nigdy. Owszem, zdarzało mi się nieraz śmiać przy tobie, ale nigdy z ciebie. A to ogromna różnica.

- To tylko inny sposób mówienia, Cole. Ale idzie przecież o to samo - powiedziała i niemal natychmiast przed jej oczami pojawił się ten jego uśmiech sprzed wielu, wielu lat, który ją tak zranił. Tak samo jak wczoraj.

Zamierzała go zostawić tam gdzie stał, i iść dalej już sama, ale Cole nagle chwycił ją za rękę.

- Do diabła, Jess, co się dzieje? Czy już nie jesteśmy przyjaciółmi, tak jak kiedyś?

- Upłynęło sporo czasu, nie sądzisz? - powiedziała po chwili.

- A cóż z tym wspólnego ma czas? Nie rozumiem.

Jessica mimo woli musiała odwrócić wzrok. Czas rzeczywiście nie miał z tym nic wspólnego. Widziała Cole'a z tamtych lat tak wyraźnie, jakby to było wczoraj. A i tamta rana w jej sercu również dziś bolała ją dokładnie tak samo.

Cole popatrzył na nią i westchnął.

- Nie wiem, czym cię tak uraziłem, ale bardzo tego żałuję, bo mam po temu powody. Czy ty w ogóle wiesz, jak trudno dziś o zwykłą ludzką przyjaźń, kiedy się jest w mojej

sytuacji? Niech mnie szlag trafi tu na miejscu, jeżeli nie jesteś pierwszą i jedyną dziewczyną, która nie zadurzyła się w mojej sławie, w moim obrazie gwiazdora. Nawet w ogóle nie wiedziałaś, że w coś tam gram. A to znaczy bardzo dużo - po prostu przy tobie mogę nadal czuć się tym dawnym Cole'em i nikim więcej.

Jego dłonie, dotąd trzymające ją za nadgarstki, teraz przesunęły się na jej ramiona.

- Jesteś całkiem inna, niż te wszystkie dziewczyny, Jess. Jesteś uczciwa i szczerza. Nawet nie wiesz, jakie to dziś rzadkie.

- Wcale nie jestem uczciwa! - wykrzyknęła, nadal usiłując mu się wyrwać.

Cole tylko się uśmiechnął, jak gdyby jej słowa były właśnie potwierdzeniem tego, co przed chwilą powiedział. Nadal trzymał ją mocno.

- Jess, bardzo potrzebuję prawdziwej przyjaźni. Potrzebuję kogoś, komu bym mógł ufać. Nie mam rodziny i nie mam nikogo. Nikogo. Ludzie uważają, że mam wszystko - pieniądze, luksusowe samochody, sławę. Ale tak naprawdę to znaczy dla mnie tyle co nic. A w każdym razie cholernie mało.

Popatrzył w jej oczy, a Jessica nagle mu uwierzyła. I przestała mu się wyrwać, zarówno dosłownie, jak i w przenośni.

- Czuję to wszystko przez lata, coraz silniej - mówił dalej Cole - ten niepokój i to stałe nieusatisfakcjonowanie sposobem życia, jakie prowadziłem. I dopiero mój przyjazd tutaj, do winnicy. św. Benedykta, pokazał mi niezwykle jasno, na czym polega mój problem. Jestem Włochem. A to znaczy, że rodzina zawsze będzie dla mnie na pierwszym miejscu. Nie ma znaczenia, ile jeszcze autografów złożę jako Cole Nichols - w głębi duszy i tak pozostanę Niccolą Cavanettim. Tyle że akurat teraz praktycznie już nie mam rodziny. I ty, Jess, jesteś chyba w ogóle jedyną osobą, którą mógłbym odbierać jak kogoś takiego... kogoś równie bliskiego jak rodzina.

Jessica słuchała tych słów, usilnie starając się nie pokazać po sobie tego, co działo się w jej duszy. A był tam prawdziwy zamęt.

- Jesteś też jedyną osobą, z którą łączą mnie wspomnienia młodości i z którą mogę o tym rozmawiać. Nie wiem dlaczego, ale nagle stało się to dla mnie ogromnie ważne.

Każde jego słowo przenikało teraz bardzo głęboko do serca Jessiki. W gruncie rzeczy czuła dokładnie to samo co on. Też przecież nie miała nikogo bliskiego, jeżeli nie liczyć wiecznie pijanego ojca. I jedyne jej lata, warte pamiętania, to były te lata młodości, spędzone właśnie tutaj, w bliskim sąsiedztwie domu Cavanettich.

- Wiem, że masz swoje własne życie, Jess. I masz określone rzeczy do zrobienia, choćby w swojej pracy. Ale czy z tego ma wynikać, że nie możemy choćby części naszego

czasu spędzać wspólnie jak przyjaciele, zamiast fukać czy wrzeszczeć na siebie wzajemnie? Na miłość boską, przecież to w dodatku akurat okres Bożego Narodzenia, kiedy serca ludzkie się otwierają! Czemu więc nie mielibyśmy nadal się przyjaźnić, u diabła starego?!

- Ależ tak, Cole. Na pewno możemy być przyjaciółmi - Jessica tak bardzo starała się panować nad własnym głosem, że w rezultacie zabrzmiało to trochę chłodniej, niż zamierzała.

- Możemy pozostać przyjaciółmi, jeżeli tylko tego chcesz.

- Chcę. I chcę, żebyśmy się teraz uścisnęli, by to potwierdzić.

- Słyszałam, że wśród dobrych przyjaciół jest to przyjęte. - Uśmiechnęła się.

Cole również się uśmiechnął i przyciągnął ją do siebie. Potem ją objął i uścisnął, a ich policzki zetknęły się na dłuższą chwilę.

Jessica znów poczuła, że jej nogi nagle miękną, jak gdyby były z galarety. Uchwyciła się jego kurtki, głównie po to, by nie zarzucić mu od razu rąk na szyję i nie zacząć go całować namiętnie i bez końca. Wszystko w niej popychało ją do tego, ale musiała przecież pamiętać, że Cole przez cały czas mówił tylko o przyjaźni. Nie szukał więc w niej kochanki, po prostu potrzebował poczucia tej szczególnej bliskości, którą daje właśnie przyjaźń i rodzina. Nie wolno jej było ponownie zepsuć tego wszystkiego i choćby dlatego nie mogła mu się oddać tak, jak by tego pragnęła - ostatecznie i bez reszty. Należało wziąć się w ryży.

- Jess... - szepnął Cole. Wcisnął twarz w jej włosy i objął ją jeszcze mocniej. Ten uścisk chyba jednak w znacznym stopniu przekraczał to, co była normą w okazywaniu zwyczajnej przyjaźni. Jessica przymknęła oczy i z najwyższą radością zrezygnowała ze stawiania jakiegokolwiek oporu. Poczowała lekkie dotknięcie jego ust tuż za uchem i natychmiast dostała gęsiej skórki na całym ciele. Sama już tylko ostatkiem sił powstrzymywała się, by nie odpowiedzieć jeszcze mocniejszym uściskiem i nie poszukać ustami jego ust.

Cole pogłaskał ją po czole, a potem wsunął swe opalone palce między pasma jej rozwianych, kędzierzawych włosów. Na wysokości karku te pasma się splątały i w rezultacie Cole odchylił jej głowę do tyłu. Jessica wolno podniosła powieki, by spojrzeć mu w oczy. Wiedziała, że z jej spojrzenia musi jaskrawo przebijać cała jej miłość do niego, i wiedziała, że już nie potrafi tego przed nim ukryć. W jego spojrzeniu tylko przez moment mogła dostrzec zdumienie i zaskoczenie, bo już w chwilę potem i w jego ciemnych źrenicach rozblęły te same iskierki, które tak rozjarzyły jej oczy. Ich usta nagle znalazły się tak blisko siebie, że Jessica czuła niemal fizyczny ból, walcząc z instynktem, który kazał jej pocałować go natychmiast. I właśnie wtedy jakiś samochód zatrafił gwałtownie tuż za nimi. Ten jedyny, niepowtarzalny moment przepadł bezpowrotnie. Jessica cofnęła się gwałtownie, nagle zdając

sobie sprawę, że stali niemal dokładnie na środku jezdni, teraz jeszcze w dodatku w pełnym świetle reflektorów.

- Też sobie wybraliście miejsce! - wrzasnął facet zza kierownicy. - Idioci!

Skręcił w podjazd prowadzący do domu Cavanettich. dodając przy tym gazu z taką siłą, że po nastroju ich cudownej wspólnej chwili pozostał już tylko zapach spalin z jego tłumika i kilka plam błota, obficie rozpryskanego dookoła.

- A to sukinyń! - powiedział Cole, poniewczasie usiłując osłonić Jessikę. - Czy poplamiał ci suknię?

Jessica obejrzała się uważnie, ale na szczęście nie dostrzegła żadnych plam.

- Nie, w porządku - powiedziała, choć jej głos nadal lekko drżał. Kolana też wciąż jeszcze uginały się pod nią.

Cole ujął ją za łokieć i roześmiał się.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że stoimy na środku drogi.

- Ja też nie. - Śmiech Jessiki był odrobinę wymuszony. - W ogóle zapomniałam o bożym świecie.

Cole nie powiedział już nic i odprowadził ją niemal do samego wejścia.

- Jess, powiedz mi... czy tak koło jedenastej będziesz mogła wymknąć się niepostrzeżenie i pójść na górę do pokoju mojego ojca?

- Ale po co?

- Bo chcę zakraść się do tego domu i ojca po prostu stąd zabrać.

- Co takiego?! - wykrzyknęła Jessica i natychmiast zasłoniła sobie usta, rozglądając się, czy nikt jej nie usłyszał.

- Zadzwoń do miejscowego lekarza i podziel się z nim podejrzeniami, że ojciec może być wbrew swej woli trzymany na narkotykach albo jakichś środkach usypiających. Lekarz przyjechał i przyjrzał się ojcu, ale Isabella, rzecz jasna, odegrała przed nim rolę troskliwej, wytwornej damy, no i ten konował najwyraźniej jej uwierzył. - Cole pełnym gniewu wzrokiem spoglądał w stronę jarzących się światłami okien. - Tak więc jedyne, co mogę teraz zrobić, to zabrać stąd ojca jak najprędzej.

- Czy to znaczy, że chcesz go po prostu porwać? - Tak, do wszystkich diabłów! Tak.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Przyjęcie w domu państwa Cavanettich przebiegało zgodnie z planem - w rozgwarze nie milknących rozmów, w szychu i blasku najwytworniejszego towarzystwa, nie mówiąc już o blasku sreber, kryształów i porcelany. Jessica nudziła się dość umiarkowanie, czekając przede wszystkim na wybite jedenastej. Wtedy wyruszyła do pokoju Michaela Cavanetti, z silnym postanowieniem, że jednak spróbuje odwieść Cole'a od jego szalonego planu. Z jednej strony byłoby to bowiem złamanie prawa i oczywiste przestępstwo, z drugiej - stan Michaela pozostawał na tyle poważny, że zapewnienie mu stałej opieki lekarskiej było po prostu konieczne. Czyżby Cole wymyślił sobie, że po porwaniu ojca odwiezie go do szpitala? Szkoda, że takich pytań nie zadała wcześniej, zanim zgodziła się mu pomóc.

W chwilę później znajdowała się już na piętrze. Było tam znacznie ciszej, gwar bawiących się gości docierał tylko chwilami. Szła w głąb korytarza, gdy nagle z tonącej w mroku wnęki bezszelestnie pojawił się Cole. Jessica ruszyła ku niemu niemal biegiem.

- Cole, posłuchaj!..

- Tss... ciszej. - Cole znacząco przyłożył palec do ust. - Twoje zadanie jest bardzo proste. Masz tylko wejść do pokoju i zasugerować Carol, że mogłaby sobie zrobić niewielką przerwę i skorzystać ze znakomicie zaopatrzonego bufetu. Na pewno się zgodzi, a wtedy ja zakradnę się tam.

- Cole, nie wydaje mi się, żeby...

- Uważaj! Ktoś tu idzie!

Jessica obróciła się i zobaczyła jakąś starszą panią, wychodzącą właśnie z łazienki. Jessica przeszła obok niej z dość niewyraźnym uśmiechem, a potem szybko ruszyła do pokoju Michaela, uznając nie bez racji, że jeśli już ma dyskutować z Cole'em, to lepiej nie robić tego na korytarzu. Zapukała dyskretnie i po chwili w otwartych drzwiach pojawiła się Carol Baker.

- Dobry wieczór, Carol.

- O, Jessica! Jak się bawisz?

- Dziękuję, dobrze. Dlatego właśnie wpadłam tu na górę, bo w bufecie jest mnóstwo bardzo dobrych rzeczy, i pomyślałam, że tobie pewnie by też smakowały. Postanowiłam więc zastąpić cię tu na kwadransik, a ty w tym czasie mogłabyś tam zejść i wrzucić coś na ruszt.

- To bardzo miło, że o mnie pomyślałaś.

- Drobiazg - powiedziała Jessica. - Kucharze naprawdę się popisali, więc lepiej z tego skorzystaj. Na przykład kanapki z kawiozem - palce lizać!

Carol zerknęła przez ramię na swego drzemiącego pacjenta. Potem obróciła się znów

do Jessiki i uśmiechnęła się. - Uwielbiam kawior - powiedziała. - Naprawdę strasznie ci jestem wdzięczna.

- W porządku, nie ma sprawy. Idź i korzystaj z radości stołu. I nie musisz się spieszyć z powrotem, bo trochę mnie zmęczył ten hałas rozmów, więc z przyjemnością posiedzę tu sobie w ciszy i spokoju.

- No to fajnie. - Carol uśmiechnęła się i zdjęła służbowy fartuch. - Wrócę mniej więcej za kwadrans!

I już jej nie było. Jessica popatrzyła w ślad za nią, wściekła na siebie za te wszystkie kłamstwa. W dodatku mogło się to skończyć tym, że Bogu ducha winna pielęgniarka otrzyma naganą za pozostawienie pacjenta i wejście między gości. A Isabella miała bystre oko.

Po chwili do pokoju wślizgnął się Cole; ostrożnie zamknął za sobą drzwi.

Jessica natychmiast podeszła do niego.

- Cole, musimy naprawdę poważnie porozmawiać o tym wszystkim!

- To znaczy o czym?

- Nie możesz tak po prostu porwać stąd swego ojca.

- I czemuż to, u diabła?

- Bo, po pierwsze, prawo federalne mówi, że to jest po prostu przestępstwo, niezależnie od tego, czy jesteś synem, czy nie. A po drugie, twój ojciec mógłby nie przetrzymać tych nagłych przenosin - to mógłby być dla niego zbyt silny wstrząs...

Słuchając jej argumentów Cole skrzywił się z niezadowoleniem, ale zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, od strony łóżka dał się słyszeć niewyraźny głos Michaela.

Jessica spojrzała przez ramię i natychmiast zorientowała się, że chory obrócił głowę w ich stronę i jest w pełni rozbudzony. Wsparta na pościeli prawą dłońią kiwał do nich, jakby chciał, żeby podeszli bliżej.

Cole pochylił się nad nim.

- Chcesz coś powiedzieć, tato?

- Mni.. ich - wyszeptał niewyraźnie Michael. Jessica natychmiast stanęła obok Cole'a.

- Czy chodzi o brata Cosimo? - spytała. Michael skinął głową i spojrzał na nią uważniej.

- Bo ja rozmawiałam z nim... z tym bratem Cosimo - powiedziała. Zauważyła wyraz zaskoczenia w oczach Michaela. Dla niego było to chyba ważne, bo wpatrywał się w nią bardzo intensywnie, jakby się nad czymś zastanawiał. - On mówi, że jest Strażnikiem Winnicy - dodała po chwili.

Michael znów skinął głową. Potem przeniósł wzrok na Cole'a i zgiętym palcem

dotknął piersi syna.

- Tylko ty! Praw... - coraz bardziej ochryply głos uwiązł mu w gardle, nie pozwalając dokończyć rozpoczętego słowa. Nietrudno było dostrzec, jak bardzo to chorego denerwuje. Przymknął oczy.

- Co „praw... „, tato? - spytał Cole. Michael ponownie otworzył oczy.

- Frank nie... - wybełkotał ledwie zrozumiale. - Nie wybrany...

- Tato, nie potrafię tego zrozumieć. Co chcesz mi powiedzieć?

Michael wzrokiem wskazał na nocny stolik, na którym leżał długopis i bloczek kartek do pisania. Jessica zrozumiała niemą prośbę i natychmiast podała to wszystko choremu. Natychmiast zaczął coś pisać, ale dłoń tak mu dygotała, że litery były niemal nieczytelne.

Cole pochylił się jeszcze bardziej, usiłując to odcyfrować. - Słuchajcie Co... - przeczytał początek.

Michael kiwnął głową i dokończył słowo.

- Cosimo! - wykrzyknęła Jessica. - Słuchajcie Cosimo? - Jakiego znów Cosimo? - spytał zaskoczony Cole.

- To właśnie ten mnich, o którym ci mówiłam. Ten Strażnik.

- Ale co on ma wspólnego z moim ojcem?

Michael usiłował pisać dalej, ale ręka drżała mu coraz bardziej i w końcu nie była już w stanie utrzymać długopisu. Westchnął ciężko, a jego głowa ponownie opadła na poduszkę. W kącikach oczu pojawiły się łzy.

Cole usiadł na łóżku obok ojca i chwycił jego dłoń.

- Nie trzeba płakać, tato - powiedział. - Zabiorę cię stąd.

W tym samym momencie drzwi otworzyły się gwałtownie i na progu pojawiła się Isabella.

- A cóż to znaczy?! - ryknęła jak lwica.

Cole tylko spojrzał na nią przez ramię i znów odwrócił się do ojca. Natomiast Jessica stała sztywno wyprostowana, nawet nie próbując odpowiadać. Isabella musiała dostrzec Carol gdzieś tam na dole. Tak więc szansa Cole'a na to, żeby jakoś pomóc ojcu, ostatecznie przepadła.

Isabella stanęła na środku pokoju, niczym uosobienie obrażonego majestatu. Nałożona na surową czarną suknię czerwona kamizelka z metalizowanego materiału sprawiała wrażenie wojskowego munduru.

- Co wy tu robicie?!

- Rozmawiam z moim ojcem - odpowiedział spokojnie Cole.

- Chyba już dostatecznie jasno oznajmiłam, że nie życzę sobie twojej obecności w tym domu?

- Ojciec chce, żebym tu z nim był.

- A skądże ty o tym wiesz? - prychnęła pogardliwie Isabella. - Ten stary człowiek ma teraz świadomość rośliny, co najwyżej.

- Nie, wcale nie! - odruchowo zaprotestowała Jessica. Isabella obróciła się ku niej.

- A ty też się ładnie zachowujesz! Żeby podstępem wywabiać pielęgniarkę z pokoju - tego się po tobie nie spodziewałam!

- Chciałam tylko pomóc.

- Komu pomóc? Aha, już rozumiem - Nickowi! A więc teraz jesteś już po jego stronie? Zapamiętam to sobie - groźny wzrok Isabelli mówił znacznie więcej niż słowa. Potem obróciła się w stronę łóżka i przyjrzała się Michaelowi. - No oczywiście. To wszystko musiało go bardzo zdenerwować! I to wasza wina! Zobaczcie sami, jaki jest teraz przygnębiony!

- Nie byłby taki przygnębiony, gdybyście przestali faszerować go środkami uspokajającymi!

Isabella natychmiast odwróciła się do Cole'a.

- Wiem lepiej od ciebie, co jest potrzebne Michaelowi. To ja tu z nim byłam przez cały ten czas, a nie ty. Więc nie wtrącaj się w nieswoje sprawy i nie ucz mnie, jak mam postępować!

Cole ostatni raz pogłaskał policzek ojca, a potem jeszcze poprawił mu opadające na bok włosy. Wstał i zwrócił się do Isabelli.

- Wystąpię do sądu o odebranie pani prawa opieki nad moim ojcem. Moi prawnicy podjęli już odpowiednie kroki.

- A moi prawnicy za kilka dni odbierają sądowy nakaz, zabraniający ci wstępu do tego domu. Proszę więc stąd wyjść - wskazała na drzwi. - I to już!

Cole spojrział na ojca.

- Trzymaj się, tato. I nie przejmuj się. Wkrótce tu wrócę.

- I tak cię nie słyszy - roześmiała się szyderczo Isabella. - Więc wynoś się, i to już!

Cole skierował się do drzwi, a Jessica ruszyła za nim. Isabella natychmiast to zauważyła.

- A ty też możesz się już tu więcej nie pokazywać, Jessico - powiedziała. - Jeżeli zamierzasz stąd wyjść z tym aroganckim natrętem.

Jessica poczuła, jak jej policzki czerwienieją od nagłego gniewu. Obróciła się w stronę

Isabelli i była o krok od tego, by rzucić jej w twarz kilka odpowiednio dosadnych słów. Na szczęście w porę potrafiła się powstrzymać. Jej gniewne słowa nie zrobiłyby najmniejszego wrażenia na Isabelli, szkoda było na to energii, którą należało spożytkować gdzie indziej. Ujęła Cole'a pod ramię i razem z nim wyszła na korytarz.

Zdążyli zejść ledwie do głównego hallu, gdy niespodziewanie z bocznego korytarza ktoś ich zawołał. To była Shawn. Jessica bezwiednie puściła ramię Cole'a.

Shawn natychmiast przysunęła się do niego. Była ostro umalowana i wystrojona w jakąś koszmarną suknię z jaskrawego drapanego welwetu, który wyglądał tak, jak gdyby stado kotów właśnie na nim ostrzyło sobie pazury^ Jessica czuła się wręcz zażenowana jej wyglądem.

Cole uśmiechnął się dość sztywno.

- Jak się masz, Shawn?

- Nudne to przyjęcie, nie uważasz? - Shawn wydeła wargi. - W życiu nie widziałam tylu zgredów naraz. Coraz bardziej mnie kusi, żeby wykręcić im jakiś numer... ale taki, żeby ich naprawdę walnęło!

- To znaczy jaki? - spytała Jessica. Shawn uśmiechnęła się złośliwie.

- Ja wiem? - powiedziała. - Może na przykład podmienić płyty temu faciovi, co im puszcza muzykę? Mam parę takich kompaktów, że większość tych dziadków kopnęłaby w kalendarz już po pierwszym numerze.

- No to czemu tego nie zrobisz? - spytał niedbale Cole, ponownie ujmując Jessikę pod rękę. - Moim zdaniem to zupełnie odlotowy pomysł.

- Chyba rzeczywiście - roześmiała się Shawn i pędem pobiegła na górę.

Cole tymczasem odebrał płaszcz Jessiki i pomógł jej się ubrać. Potem razem ruszyli w dół marmurowymi schodami, prowadzącymi do kolistego podjazdu. Oboje myśleli o tym samym - co teraz się stanie z Michaeliem. Byli już w połowie ścieżki, prowadzącej na ulicę, gdy nagle niemal na środku trawnika Jessica dostrzegła w półmroku jakąś postać, zbliżającą się ku nim. Z przerażeniem pomyślała, że chyba rozpoznaje ten sposób stawiania nóg, tak charakterystyczny dla jej ojca, kiedy był zupełnie pijany.

- A cóż to za figura? - spytał Cole, widząc jej spojrzenie. Jessica z trudem przełknęła ślinę. Nie miała już żadnych wątpliwości.

- To mój ojciec - powiedziała.

Robert Ward upierał się, że wcale nie jest pijany. Po prostu postanowił w końcu pójść na to przyjęcie, a spóźnił się jedynie dlatego, że to było jego zwyczajem. Jessica wzniosła oczy ku niebu, wdzięczna opatrności przynajmniej za to, że wyszli stamtąd odpowiednio

wcześniej. To dawało jakąś szansę zawrócenia go bez publicznej kompromitacji. Ojciec w końcu dał się przekonać, że powinien raczej iść z nimi. Gdybyż jeszcze przestał gadać! Każde jego bełkotliwe słowo raniło ją boleśnie. Wstydziła się za niego nawet przed Cole'em, który wprawdzie musiał się już czegoś domyślać, ale dotąd jeszcze nie widział jej ojca w takim stanie.

Teraz to właśnie Cole zdążył chwycić go pod ramię, chroniąc przed upadkiem.

- Proszę się mnie przytrzymać, panie Ward! - powiedział uprzejmie.

- To ta cholerna ścieżka - burknął Robert Ward. - Dlaczego nie wyklada się tego porządnymi, równymi płytami?! Można się zabić na tych cholernych kamieniach!

Twarz Jessiki płonęła ze wstydu, ale na szczęście było już naprawdę ciemno. Ujęła ojca pod ramię z drugiej strony. Zauważyła, że przebrał się w swój stary smoking, nie tylko już kompletnie niemodny, ale w dodatku potwornie wygnieciony. Jedyne muszka zawiązana była bardzo porządnie, jeżeli nie liczyć tego, że na gołej szyi.

- Chodźmy, tato. Przyszedłeś za późno. Przyjęcie już się skończyło.

- Wcale nie. Zobacz tylko, ile samochodów jeszcze stoi.

- Tak, ale wszyscy już się ubierają do wyjścia. Lepiej więc wracajmy do domu... a przed snem możemy jeszcze wypić kieliszek do poduszki. Ty też może miałbyś na to ochotę, Cole?

- Cole?! Jaki znów Cole? - Robert Ward podniósł wzrok do góry. - Taki wysoki, myślałem, że jesteś Nick. A może Greg?

- Nie - uśmiechnął się Cole. - Ja jestem Nick.

- Aha, posłuchaj, Nick. Coś mi się przypomniało - znów zachwiał się tak, że tylko interwencja Cole'a uratowała go przed upadkiem. - Powiedz mi, jak tam twój ojciec? W porządku? - W porządku, panie Ward.

- To świetnie. Bo on ma już osiemdziesiątkę, wiesz?

- Wiem - odpowiedział uprzejmie Cole. Jessica najchętniej zapadłaby się pod ziemię.

- A ja mam sześćdziesiąt osiem. Czy wyglądam na tyle, Greg? No powiedz szczerze!

- Wyglądałby pan na pięćdziesiąt, gdyby tylko było trochę widniej - odpowiedział Cole.

Robert Ward wybuchnął śmiechem i znów omal nie upadł. Cole i Jessica jakoś go utrzymali.

- Idziemy, tato. Czas do domu.

- Noc jest jeszcze młoda, Jess. Młoda! - powtórzył z pijackim uporem. Potem przez dłuższą chwilę walczył z atakiem czkawki. Ostatecznie Cole wraz z Jessica musieli go

niemalże odnieść do domu.

To wszystko przebiegało już w całkowitym milczeniu. Jessica umierała ze wstydu, jej ojciec nagle przestał mówić, a Cole praktycznie sam niósł go po schodach ganku, również nie mówiąc ani słowa.

Jessica otworzyła drzwi i Cole pomógł jej zanieść ojca do sypialni, a potem ułożyć na łóżku. Teraz Jessica została już sama, chcąc choćby z grubsza rozebrać ojca. Nie było to wcale łatwe i Jessica przez cały czas klęła go w żywy kamień. Skąd u ojca ta nagła ochota na życie towarzyskie? I dlaczego akurat tej nocy? Wiedziała przecież, że praktycznie nie wysuwał nosa poza ogrodzenie domu już od ładnych kilku lat.

Oczywiście Cole będzie teraz już wiedział bez żadnych wątpliwości, że jej ojciec jest alkoholikiem. Rozgoryczona i załamana, w końcu jakoś porozpinała i ściągnęła z niego ten cholerny wieczorowy strój. Smoking wraz ze spodniami - wyglądającymi tak, jakby je właśnie wyjęto psu z gardła - porządnie powiesiła w szafie, przy okazji wyrównała też ustawione w szereg buty i pantofle, po czym zamknęła drzwi garderoby.

Upewniła się jeszcze, że ojciec jest dobrze okryty kołdrą, i zgnębiona do ostateczności wyszła z sypialni ojca.

Cały wieczór okazał się jednym wielkim ciągiem katastrof. Nie mogła już spojrzeć w twarz Isabelli, biedny pan Michael pozostawał uwięziony we własnym domu, a dla dopełnienia całości jeszcze i Cole musiał oglądać jej ojca spitego do nieprzytomności. Co gorszego mogło się jeszcze wydarzyć? Jessica postanowiła, że natychmiast położy się do łóżka i będzie w nim płakać tak długo, aż w końcu zaśnie.

Dopiero teraz zdjęła płaszcz i poszła go powiesić w szafie przy wejściu. I wtedy, ku swemu wielkiemu zaskoczeniu, zobaczyła Cole'a. Stał przy stole w salonie i trzymał w dłoni jakąś butelkę wina. Jessica zatrzymała się, wciąż z płaszczem na rękę, i z pewnym zaskoczeniem spojrzała na Cole'a.

- O ile pamiętam, mówiłaś coś o jakimś kieliszku na dobranoc, prawda? - spytał, unosząc butelkę i patrząc na nią pod światło.

- Byłam pewna, że już dawno wyszedłeś.

- I słusznie byłaś pewna. Zdażyłem pójść do mego saloniku w pomieszczeniach gościnnych i przynieść stamtąd tę oto butelkę Merlot, rocznik siedemdziesiąty siódmy.

- Tak - odpowiedziała dosyć bez sensu. Udało się jej znaleźć jakiś wieszak i powiesić płaszcz w szafie.

- Masz może jakieś kieliszki?

- W kredensie w jadalni - powiedziała, dziwiąc się przez cały czas, że zachowanie jej

ojca nie zniechęciło Cole'a do niej już bez reszty.

Tymczasem Cole wrócił z dwoma odpowiednimi kieliszkami. Jessica nadal stała nieruchomo obok fotela przy kominku, wciąż jeszcze nie mogąc się otrząsnąć po tych wszystkich przykrych wydarzeniach. Patrzyła, jak Cole otwiera butelkę i wlewa wino o kolorze młodych żurawin do ustawionych na tacy kieliszków. Jeden z nich podał Jessice.

- Posłuchaj, Cole, ja właściwie... - zaczęła, przekonana, że przede wszystkim należało jakoś wytłumaczyć zachowanie ojca. Ale Cole nie dał jej dokończyć.

- Chciałbym poznać twoją opinię o tym winie, Jess - powiedział i uśmiechnął się do niej. Jessica była zdumiona, że w ogóle nawet nie wspomniał o incydencie z ojcem. - Pamiętasz, jak w Falls Winery pokazywałem Lucy technikę prawidłowego smakowania wina? Spróbuj może wykonać teraz to samo - zakręć kieliszkiem, przyjrzyj się barwie i powąchaj.

Z pewnością było to zajęcie znacznie przyjemniejsze od usprawiedliwiania własnego ojca, toteż Jessica posłusznie zrobiła wszystko, co należało, z wsadzeniem nosa do kieliszka włącznie.

- No i co czujesz w tym zapachu? - spytał Cole. Jeszcze raz powąchała wino.

- A więc?

- Pewnie to zabrzmiało głupio, ale czuję lekki zapach tytoniu. Cole spojrzał na nią i uśmiechnął się.

- Czy coś jeszcze?

- Wanilię - jeszcze raz wciągnęła do nosa wysoce złożony aromat. - I jeszcze jakby odciśnięcie mięty.

Cole wypił niewielki łyk ze swego kieliszka i uważnie spojrzał na Jessikę.

- No dobrze. A teraz i ty wypij łyżeczek.

Pamiętając o zaleceniach, które kiedyś kierowane były do Lucy, Jessica wzięła trochę rubinowego płynu do ust i, oddychając tylko przez nos, postarała się rozprowadzić wino po całej jamie ustnej, łącznie z podniebieniem i spodem języka.

- I jak ci to smakuje? - zapytał Cole. Przełknęła i wypła.

- Jest słodkie - powiedziała. - I takie... gładkie. Smakuje mi. Przyjrzała się uważnie temu, co miała w kieliszku. - To coś takiego, jakby się piło czerwone wino, ale - z aksamitu!

Cole kiwnął głową, a potem niespodziewanie roześmiał się i podniósł wzrok ku niebu.

- Co cię tak rozbawiło? - zapytała.

W oczach Cole'a błyskały iskierki wyraźnej aprobaty, a może nawet czegoś więcej.

- Powiem ci tylko, że chyba niewłaściwie wybrałaś zawód, Jess. Rozminęłaś się ze swoim powołaniem! Niech mi ten język uschnie natychmiast, jeżeli w ciągu paru lat nie

stałabyś się najlepszą w całym kraju specjalistką od oceny win.

- Serio?

- Masz naprawdę znakomity nos, gdy idzie o wyczuwanie odcieni zapachu. Zauważyłem to już tam, w Falls Winery.

Jessica spojrzała na trzymany w dłoni kieliszek. Ta dosyć dziwna pochwała sprawiła jej niespodziewaną przyjemność. Choć oczywiście wolałaby, żeby Cole wreszcie zaczął w niej dostrzegać i inne zalety.

- Odmiana: Czerwony Aksamit! - powiedział, patrząc na kieliszek pod światło. Nie przyszło mi to nigdy do głowy, a przecież to właśnie idealnie oddaje zasadnicze cechy Merlot.

- „Czerwone wino dla czarnowłosej” - powiedziała.

Cole spojrzał na nią. - Masz na myśli tę smutną dziewczynę, która wplotła ciemnoczerwoną różę w swe czarne włosy, jako znak swej miłości?

- Więc ty wciąż pamiętasz ten niezbyt mądry wiersz? - była wręcz zdumiona. - Po tylu latach?

- Pamiętam - patrzył na nią zaskakująco poważnie. - Zdziwiłabyś się pewnie, jak wiele pamiętam...

Podniósł kieliszek i wypił wino do końca. A jej serce nagle znów zaczęło bić niepokojąco mocno.

Niepewnie obracała w palcach szklaną nóżkę kieliszka, zastanawiając się, jakby tu zmienić niezbyt dla niej bezpieczny temat ukrywania nie odwzajemnionych uczuć.

- Czy dobrze zrozumiałam, że chcesz wystąpić o sądowe przyznanie ci prawa do sprawowania opieki nad ojcem? - spytała.

- Tak. I możesz być pewna, że tu nie popuszczę! - sięgnął po butelkę. - Jeszcze odrobinę Merlot?

- Bardzo proszę.

Wypiła nalane jej wino i poczuła przyjemne ciepło, rozchodzące się w niej gdzieś od środka. Pomyślała, że Merlot jest chyba jeszcze lepsze od tego Cabernet Sauvignon, którym poczęstował ją Cosimo.

- Cole, chciałam ci jeszcze powiedzieć, że jeżeli idzie o mojego ojca, to...

Cole odstawił butelkę i obrócił się ku Jessice, na znak, że słucha.

- ... to on łatwo popada w depresję, a już zwłaszcza w okresie tradycyjnych świąt rodzinnych. Może to dlatego, że moja matka go opuściła. A potem już w ogóle zaczął pić coraz więcej. Ten jego zawód wcale nie jest łatwy, jak wiesz, a poza tym może to jakieś

predyspozycje genetyczne.

- Wiesz co, Jess? - powiedział Cole. - Jeżeli pozwolisz, to wzniosę teraz toast, cokolwiek przewrotny, ale z całą pewnością szczerzy. Wypijesz?

Pytanie najwyraźniej było retoryczne, bo nalał jej tym razem do pełna. Potem podniósł swój kieliszek do góry i gestem zachęcił ją do zrobienia tego samego.

- Za uciekanie przed światem i chowanie głowy w piasek! - powiedział tonem uroczystego toastu.

Jessica zawahała się i chciała odstawić kieliszek, ale Cole najwyraźniej to przewidział i chwycił ją za rękę. Swoją kieliszek zdążył odstawić już wcześniej.

- Pij! - powiedział i Jessica nagle poczuła, że to rozkaz. Cole patrzył jej prosto w oczy i już znacznie łagodniejszym tonem powtórzył: - Pij, Jess. Spełń ten toast, bardzo cię proszę!

Chwycił ją za nadgarstek i delikatnie, ale stanowczo skłonił do wypicia połowy wina. Potem, nie puszczając ani na moment jej dłoni, sam wypił resztę wina z tego samego kieliszka. Jessica patrzyła na to wszystko jak zaczarowana.

I potem nagle było tak, jak gdyby oboje zdali sobie sprawę, że coś się stało, że ta specyficzna komunia w jakiś sposób naprawdę ich ze sobą połączyła. Cole pochylił się i wargami lekko dotknął jej gorących warg, jak gdyby teraz chciał spróbować ich smaku tak samo, jak próbuje się smaku wina. To jednak był nie tyle pocałunek, ile raczej pytanie, czy wolno mu ją pocałować.

A Jessica nagle stężała, choć właśnie nadszedł moment, o którym przecież marzyła przez całe życie. A co będzie, jeśli Cole teraz uzna, że ona nie umie się całować? A co, jeśli - nie daj Boże - i jej się to też nie spodoba? Targana nieprzytomną rozterką mimo woli odsunęła się odrobinę, a potem jeszcze dalej.

- Wracamy do chowania głowy w piasek? - spytał Cole. - Nawet wobec przyjaciół? O nie, co to, to nie! Nigdy więcej, i w żadnej sprawie nie ma zgody na ukrywanie czegokolwiek!

- O czym ty mówisz? - spytała niepewnie, choć oczywiście doskonale to wiedziała.

- Na przykład o ukrywaniu stanu twego ojca. Jest alkoholikiem, prawda?

Cofnęła się o krok, ale zdawała sobie sprawę, że prawdy nie da się już dłużej zataić.

- Tak - przyznała.

- I to wreszcie wyjaśnia wiele rzeczy - powiedział Cole. - Jak długo to już trwa?

- Całe lata.

- A ty to wszystko znosiłaś, starając się w dodatku ukrywać go przed ludźmi?

- A co innego mogłam robić? - Jessica machinalnie zaczęła pocierać ramiona, jak gdyby nagle zrobiło się jej zimno. - Do kogo mogłam się zwrócić o pomoc? Nie miałam

nikogo.

- No, a mnie - czemu nigdy nie powiedziałaś nawet słowa? przecież jestem twoim przyjacielem, Jess!

- Przyjacielem? Więc ty uważasz, że jesteś moim przyjacielem?!

Bezwiednie skuliła się i odsunęła się od niego. On nadal nic nie rozumiał!

- No oczywiście, że jestem twoim przyjacielem, do ciężkiej cholery! - W jego głosie brzmiało niezachwiane przekonanie.

- Prawdziwi przyjaciele nie rozjeżdżają się na całe lata. A w każdym razie jakoś podtrzymują kontakt, starają się...

Cole wyglądał na naprawdę zaskoczonego. - Zaraz. Co właściwie chciałaś przez to powiedzieć? Jessica odsunęła się jeszcze bardziej. Znow przestawała rozumieć cokolwiek, a już zwłaszcza te ich coraz bardziej zawiśnięte relacje. Ale wiedziała już na pewno, że w gruncie rzeczy jeszcze raz została odrzucona i upokorzona. I znow, tak jak poprzednio, czuła przede wszystkim dojmujący wstyd.

- Jess, co to wszystko znaczy?

- To... to twoje gadanie o przyjaźni! - wybuchła. - Zawracanie głowy! Jeżeli ja przez cały ten czas... - urwała, wciąż niezdolna do powiedzenia mu wprost, że przez wszystkie te lata myślała tylko o nim. - Jeżeli ja...

- Jeżeli ty - co?!

- Och, daj spokój! Zapomnij, że w ogóle o tym rozmawialiśmy. - Odwróciła się i skrzyżowała ręce na piersiach. Wypite wino sprawiło, że przed chwilą omal nie powiedziała więcej, niż chciała. Niech diabli wezmą Niccolę Cavanettiego i ten jego Merlot rocznik 77. Zaciśnęła wargi, odwróciła się tyłem i z zaciętym uporem wpatrywała się w podłogę. Cole podszedł i stanął tuż za nią.

- Jess, na miłość boską, kiedyż ty się wreszcie otworzysz choć trochę? Czasami zachowujesz się jak jakiś sfinks - chciał położyć dłoń na jej ramieniu, ale straciła ją jednym ruchem barku. - Nie mogłabyś się wyrażać choć odrobinę jaśniej?

- No więc dobrze, coś ci powiem wobec tego - odwróciła się i spojrzała na Cole'a. - Ale tym razem to będzie o twoim postępowaniu. Twoim! Bo raczej nie za bardzo zastanawiasz się nad tym, co sam robisz, prawda? Uważasz najwyraźniej, że można tak ni stąd, ni zowąd nagle wparować w czyjeś życie i jeszcze domagać się, żeby ta osoba grała odtąd według twoich futbolowych reguł! - Roziskrzona oczy Jessiki wskazywały, że jest naprawdę rozgniewana. - Czy teraz moje sformułowania są dostatecznie jasne?

- Jak rzadko.

- Uważasz za oczywiste, że to ty układasz plan gry! Schematy podań, sposoby rozegrania piłki, wszystko, co chcesz. I sam jesteś rozgrywającym, oczywiście jak zawsze doskonałym. No, a potem uważasz za równie oczywiste, że po prostu zbierasz swoje manatki, pakujesz się i jedziesz do następnego miasta. W niezachwianym przekonaniu, że tu wszyscy twoi wielbiciele znów będą z zapartym tchem czekać na ten kolejny dzień, kiedy może się u nich zjawisz i pozwolisz się sobą zachwycać!

Cole przez chwilę patrzył na nią w milczeniu, a potem kiwnął głową.

- Coś cię musiało naprawdę ugryźć. Dotknąłem cię czymś, Jess, prawda?

- Tak, prawda. Ale ty jesteś tak zajęty i tak przejęty sobą i swoimi sprawami, że nawet nie wiesz, co to mogło być!

- Więc teraz mamy grać w zgadywanke?

- Myślałam, że bardzo lubisz zgadywanki! - Obróciła się i spojrzała mu prosto w oczy.

- I w ogóle wszelkie tajemnice!

- Może i lubię, ale nie jestem jasnowidzem i nie umiem czytać czyichś myśli. Na tym polegają nasze kłopoty z kobietami. Bo one zawsze uważają, że powinniśmy czytać w ich myślach, niezależnie od tego, jak dalece byłyby zawile i poplątane.

- Moje myśli nie są ani zawile, ani poplątane. I każdy człowiek o choćby przeciętnej wrażliwości na drugiego człowieka już dawno wiedziałby, co mnie dręczy. Ale ty najprawdopodobniej wcale nie masz ochoty rozumieć kobiet. Ani wiedzieć, na czym w ogóle polega ich rozumienie.

- Widocznie taki rzeczywiście jestem. - Odstawił swój kieliszek na pobliski stolik i wyprostował się. - Tak więc, jak rozumiem, w tamtych dawnych latach nie byłem dla ciebie dostatecznie dobrym przyjacielem, by zasługiwać na twoją przyjaźń teraz. Rozumiem też, że istnieje jakiś konkretny limit czasowy, którego po prostu dotąd nie znałem. Po ilu latach nieobecności ten mój limit się wyczerpał, Jess? Rok temu? Czy może pięć lat temu? Albo dziesięć? - A nie przyszło ci do głowy, że ten twój limit mógł się wyczerpać już trzynaście lat temu? Na przykład w tym dniu, kiedy urządzono przyjęcie z okazji twojego dyplomu? Coś się przecież wtedy wydarzyło, nie sądzisz?

Znieruchomiały Cole wpatrywał się w nią, lecz Jessica, nie mogąc już tego wytrzymać, po prostu uciekła. Policzki jej płonęły, łzy napływały do oczu, ale postanowiła, że przed nim w żadnym razie się nie rozplacze. Zostawiła kieliszek i Cole'a razem z jego winem i wybiegła z salonu. Cole po chwili pobiegł za nią, ale Jessica już skryła się w swojej sypialni i zatrzasnęła za sobą drzwi. I tak już opowiedziała mu o wiele więcej, niż kiedykolwiek zamierzała powiedzieć, i nie chciała teraz odpowiadać na pytania, które z pewnością

musiałyby paść. Cole zapukał do drzwi.

- Jess, wyjdź, proszę cię! - Idź sobie!

- Wyjdź i porozmawiaj ze mną przez chwilę! Jessica starła łzy z rozpalonych policzków. Stała o parę metrów od zamkniętych drzwi i słyszała jego niecierpliwe pukanie. - Jess! Przycisnęła dłonie do uszu, żeby tego nie słyszeć i rzuciła się na łóżko, szlochając bezgłośnie. Niestety, choć mogła zasłonić uszy i zamknąć oczy, by nic nie słyszeć i nie widzieć, w żaden sposób nie potrafiła wyrzucić go ze swego serca.

Cole w końcu przestał pukać. W chwilę potem można było usłyszeć, jak wychodzi z domu, zamykając za sobą główne drzwi.

Jessica długo leżała nieruchomo, a jej łzy wciąż wsiąkały w poduszkę. Znowo okazywało się, że jest kompletnie sama, że nie ma się komu zwierzyć, by ulżyć znękanemu sercu.

W pewnym momencie zastanowiła się, co też powiedziała by bratu Cosimo, gdyby nagle się tu zjawił i zapytał ją, dlaczego tak płacze. Co prawda, poprzedniej nocy trochę się go wystraszyła, sądząc nawet, że chce ją z czarować czy też zahipnotyzować, ale przecież w końcu nic się jej nie stało. A jednocześnie jakoś niezwykle łatwo się z nim rozmawiało, jak gdyby czuła, że jest jej życzliwy i naprawdę przejmuje się jej losem. Spróbowała sobie wyobrazić, jak też mogłoby to wyglądać. Pewnie ni stąd, ni zowąd pojawiłby się na przykład w tym fotelu, ustawionym przy oknie - nieruchomy cień w zakonnym habicie.

Westchnęła głęboko i wsparła się na łokciu, żeby się podnieść. Jeśli już miała w końcu zasnąć, to lepiej, by miała na sobie nocną koszulę, a nie swój najlepszy strój wieczorowy.

Wstała z łóżka, a kiedy spojrzała w stronę okna, brat Cosimo siedział tam dokładnie tak, jak to sobie przed chwilą wyobraziła.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Jessica wzdrygnęła się mimo woli i gwałtownie zaczęła ścierać łzy z policzków.

- Co tu robisz, Cosimo? - spytała, starając się mówić spokojnie. Cosimo podniósł się z fotela.

- Usłyszałem, że płaczesz. Cofnęła się gwałtownie.

- Trzymaj się ode mnie z daleka!

- Obiecuję uroczyście, że nawet cię nie dotknę. - Cosimo opuścił ręce i stał bez ruchu, jak gdyby chciał przekonać ją o swych dobrych zamiarach. - Chcę cię też przeprosić za to, że tak cię wczoraj wystraszyłem. Nie miałem takiego zamiaru. Jessica przyglądała mu się poprzez zapłakane i spuchnięte powieki i czuła, że mu wierzy. Że po prostu chce mu wierzyć.

- Jak się tu dostałeś? - spytała.

- Po prostu nacisnąłem klamkę i wszedłem. Tak szlochałaś, że nie mogłaś mnie usłyszeć. Spojrzała na drzwi i zastanawiała się, czy to możliwe.

- A skoro już mowa o łzach... - Cosimo przybliżył się, ale ledwie o krok. - Czy możesz mi powiedzieć, nocna damo, dlaczego tak płakałaś?

Jessica znów patrzyła w podłogę i zastanawiała się, czy ma mu się zwierzyć. Zwierzyła się już Cole'owi - nawet jeśli nie tak całkiem do końca - no i skończyło się to katastrofą. Może więc lepiej zamilczeć? Ale potrzeba wyrzucenia z siebie tych wszystkich dręczących ją problemów była silniejsza - tym bardziej, że zwierzenie się komuś takiemu jak Cosimo chyba niczym jej nie groziło. Westchnęła i spojrzała na mnicha.

- Nigdy nie byłam za dobra w otwieraniu się przed ludźmi, Cosimo. A teraz okazuje się, że nawet kiedy chcę się przed kimś otworzyć, to na dobrą sprawę nie potrafię.

- Dlaczego?

- Przypuszczam, że nie chcę, żeby ktoś wiedział, co ja naprawdę myślę i co czuję.

- No więc jeszcze raz - dlaczego?

- Kiedy byłam młoda, musiałam zawsze bardzo uważać na to, co robię czy mówię, szczególnie w stosunkach z ojcem. Zresztą właściwie w żadnych okolicznościach nie pozwalano mi być otwartą i naturalną, wszystko musiało być rozważne i przemyślane. No i te nawyki z dzieciństwa pozostały i pewnie wrosły we mnie, bo chyba już niczego nie potrafię zrobić spontanicznie.

- A więc to tak - powiedział Cosimo, splatając dłonie.

- Zawsze byłam szczerze przekonana, że otwieranie się przed ludźmi jest nierozważne i głupie.

- Dlaczego od razu głupie?

- No bo ludzie mogliby wykorzystać moją szczerość. Albo pomyśleć, że jestem niemądra, a przynajmniej niewspółczesna i staroświecka.

- Tego niebezpieczeństwa niestety nie da się do końca uniknąć. Ale z drugiej strony - co to byłby za świat, gdyby wszyscy się tak zamknęli? Gdybyśmy nie wiedzieli, co myślą inni, gdyby nikt nigdy nie otworzył przed nami swego serca - pozostawalibyśmy w świecie ciemności i po prostu balibyśmy się żyć.

Jessica skinęła głową, ale jednocześnie odwróciła wzrok, by Cosimo „nie zauważył, że jej wargi drżą, a łzy znów napływają do oczu.

- Aż tak się boisz, żeby ktoś nie uznał cię za głupią? - spytał cicho Cosimo.

Jessica znów skinęła głową.

- Ale może się zdarzyć, że w ten sposób będziesz żyć w strachu już do końca życia.

- Wiem - powiedziała i machinalnie poprawiła włosy. - Ale strasznie trudno mi z tym walczyć.

- A pamiętasz, jak przyjemnie byłaś zaskoczona słodkim smakiem wina? - powiedział Cosimo. - Smak szczerości może być równie słodki.

- A jeżeli Cole okaże się zupełnie inny, niż chciałabym go widzieć? Jeżeli wcale nie pragnie mnie tak mocno, jak ja pragnę jego? Jak w ogóle mogę wiedzieć, co naprawdę do mnie czuje?

- Nie możesz tego wiedzieć, Jessico. - Cosimo roześmiał się cicho. - A już na pewno nie dowiesz się, jeżeli będziesz tylko cierpieć w ukryciu.

- Chyba masz rację.

- Za dużo wymagasz sama od siebie. - Cosimo znów splótł dłonie i ukrył je w szerokich rękawach habitu. - *Amare et sapere vix deo conceditur.*

- Co to znaczy?

- Jednocześnie i kochać i być mądrym rzadko udaje się nawet bogom.

W jego głosie pobrzmiwał chyba leciutki odcień rozbawienia. Sama Jessica nie wytrzymała i również się uśmiechnęła, jakby znów nabierając ducha.

- Dobrze powiedziane, bracie Cosimo.

- Niestety, nie moje to słowa, ja je tylko przytoczyłem. Ale dobrze wyrażają to, co czuję.

Wyciągnął dłoń w jej stronę, a Jessica podała mu swoją. Nie obawiała się już, że mógłby jej zrobić coś złego. Jego dłoń była ciepła i mocna, o opalanej skórze - jakby spracowana, z licznymi zgrubieniami i odciskami. Cosimo delikatnie ścisnął jej rękę.

- Powinnaś otworzyć swe serce i powiedzieć mu wszystko - powiedział z przekonaniem. - Niech Niccolo wie, co czujesz. Co może zrobić w najgorszym razie?

- Będzie śmiać się ze mnie.

- Jesteś pewna, że to wyśmiania najbardziej się boisz, czy też chodzi jeszcze o coś innego?

- Nie bardzo rozumiem.

Cosimo delikatnie pogłaskał wierzch jej dłoni.

- Czy nie boisz się raczej tego, że mógłby ponownie odejść?

Jessica znieruchomiała. Znowu usiłowała coś dostrzec w nieprzeniknionym dla jej wzroku cieniu pod kapturem.

- Że tak jak wtedy, Niccolo mógłby znowu cię porzucić i wyjechać?

Prawda tych słów była jak cios, trafiający dokładnie w punkt. Matka ją porzuciła. To samo - jeśli się głębiej nad tym zastanowić - zrobił również jej ojciec. A potem porzucił ją także i Cole. Chryste Panie, jak strasznie była samotna, kiedy on wyjechał z Moss Cliff! A jednak nigdy nie przyznała się sama przed sobą, jak bardzo była od niego uzależniona. Starła się zachowywać tak, jak gdyby nic się nie stało. Podjęła studia i pracę, koncentrując się już wyłącznie na tym, z niesłychaną intensywnością, która - teraz widziała to dokładnie - była jedynie rozpaczliwą próbą zamaskowania emocjonalnej pustki w jej życiu. Trudno się było dziwić, że późniejsze próby związków z innymi mężczyznami przyniosły jej jedynie rozczarowania. Jej serce - trzynaście lat temu - pozostało w Moss Cliff.

Chciała się cofnąć, ale Cosimo nie puścił jej ręki.

- Boisz się przede wszystkim tego, że jeśli Niccolo cię nie kocha, z pewnością wyjedzie i znowu zostaniesz sama...

- Nie - zaprotestowała ledwie słyszalnie.

- ... a już nie potrafiłabyś dłużej znosić samotności.

- Nie... - powiedziała jeszcze ciszej.

- To właśnie ten lęk sprawia, że nie potrafisz zaryzykować i sprawdzić, co cię czeka - miłość czy samotność.

Próbowała jeszcze przeczyć, ale jednocześnie opuszczała głowę coraz niżej, przytłoczona świadomością, że rzeczywiście bała się wyjazdu Cole'a bardziej niż czegokolwiek na świecie.

- Powiedz mu, co czujesz, Jessico. Taka jest moja rada.

- Nie potrafię. A poza tym to nie byłoby w porządku. On jest przecież z Lucy.

- Jesteś tego pewna?

- Nie... ale przecież o takie rzeczy się nie pyta?!

- I wtedy się nie wie. Nie zamierzasz walczyć o jego serce?

Jessica podniosła wzrok.

- Co masz na myśli?

- Jeżeli rzeczywiście go kochasz, będziesz walczyć o niego. I o siebie jednocześnie. Zapewne po raz pierwszy w życiu, bo gotów jestem się założyć, że nigdy jeszcze nie walczyłaś o nic dla siebie. Dla ojca, owszem. I może dla jakichś tam innych ludzi, czy spraw. Ale nigdy nie walczyłaś o nic dla siebie, dla Jessiki Ward. Prawda?

Jessica wpatrywała się w niego jak oniemiała. Cosimo miał rację. Nauczyła się raz na zawsze, że ona sama nie może się od życia spodziewać niczego. A skoro tak, to nie może też niczego żądać.

- Przyszła pora, żebyś wreszcie czegoś od tego życia zażądała, Jessico. Zażądała czegoś tylko dla siebie!

Jessica słuchała tego wszystkiego w milczeniu, z pochyloną głową. Zbyt wstrząśnięta, by zdobyć się na odpowiedź.

Cosimo westchnął i jeszcze raz delikatnie pogłaskał ją po dłoni. Potem odsunął się nieco, jak gdyby chcąc zostawić ją samą z jej myślami. Wciąż jednak był tuż obok, trwając przy niej nieruchomo, niczym jakaś czarna wieża. Jessica była mu głęboko wdzięczna, zarówno za radę, jak i za samą obecność. Pierwszy raz w życiu znalazła kogoś, na kim rzeczywiście mogła się wesprzeć, poszukać otuchy i - w razie potrzeby - wszystko opowiedzieć. Sama jego obecność dodawała jej sił i budziła nadzieję.

Podniosła opuszczoną dotąd głowę i popatrzyła na niego.

- Cosimo, jak to się dzieje, że znasz mnie aż tak dobrze?

- No wiesz - lekko poklepał ją po dłoni. - Sądzę, że tak naprawdę przyjaźnimy się już od bardzo dawna.

- Ale jak to w ogóle możliwe?

- Widocznie jednak możliwe. Jeśli zgodzimy się, że drogi istot żyjących na Ziemi krzyżują się na przestrzeni wieków częściej niż jeden raz.

- Czy to właśnie chciałeś mi pokazać poprzedniej nocy?

- Tak. Ale odniosłem wrażenie, że nie za bardzo przypominasz sobie tamto zawężenie naszych ścieżek sprzed wieków. Uznałem więc, że lepiej zrobię, jeżeli nie będę cię już naciskał.

Jessica skrzyżowała ramiona na piersi. Nie chciała mu się przyznać, że i w niej coś się wtedy odezwało. Coś z tych niewyobrażalnie odległych lat błysnęło także i w jej

świadomości.

- Pora już na mnie - powiedział Cosimo i skłonił głowę. - Dobranoc, Jessico.

- Dobranoc, Cosimo. Jestem ci wdzięczna za wszystko. Dzięki tej rozmowie poczułam się znacznie lepiej.

- Bardzo się cieszę.

- Czy będę mogła zobaczyć cię również jutro?

Cosimo zatrzymał się, już z dłonią na klamce.

- Jeżeli tego chcesz, tak.

- Ale, Cosimo...

- Co jeszcze?

- Co zrobić, żeby być takim mądrym jak ty?

Uśmiechnął się.

- Po prostu miałem dużo czasu na myślenie, droga pani. Powiedziałbym nawet - bardzo dużo czasu.

Następny rano Jessica rozpoczęła od sprzątnięcia domu, po czym wzięła się do pieczenia kruchych ciasteczek. W gruncie rzeczy po prostu starała się uciec w pracę, żeby stale nie myśleć o Cole'u. Wreszcie zabrała się ponownie za notatki do swego referatu. Obmyślała, w jaki sposób spróbuje udowodnić swoją główną tezę - opierając się z jednej strony na własnych obserwacjach nieba, a z drugiej na starych księgach, obrazach i freskach, które pilnie badała już od kilku lat. Ta główna teza sprowadzała się do twierdzenia, że za trzysta lat w pobliżu ziemi pojawi się pewna kometa. Jessica pomyślała, że już tylko tydzień do jej wyjazdu, a tymczasem miała ledwie pięć stron swego referatu.

Wyjęła gotowe już ciasteczka i wyłączyła piekarnik. Wiedziała, że Cole zawsze szczególnie lubił ten gatunek - były kruche a jednak elastyczne, z niewielkim dodatkiem melasy, wprost idealne do dłuższego żucia. Przygotowane dokładnie według starej recepty Cavanettich, którą kiedyś dostała od Marii. Wysypała ciasteczka do przestygnięcia, gorącą tacę wstawiła do zlewu i sprzątnęła kuchnię. Potem jeszcze umyła ręce i z kopiałym talerzem ciasteczek ruszyła do głównych drzwi, żeby przez ganek przejść do pokoi gościnnych. Miała nadzieję, że - może z pomocą owych ciasteczek - jakoś potrafi wytłumaczyć swoje zachowanie z ubiegłej nocy.

Tymczasem okazało się, że cały podjazd i wejście, prowadzące do pomieszczeń zajmowanych przez Cole'a, jest obstawione samochodami i tłumem reporterów, osłaniających się dziesiątkami parasoli przed zimnym, dokuczliwym deszczem. Jessica przepchała się jakoś między kałużami i stłoczonymi ludźmi, usiłując odgadnąć, co się stało. Czy z Cole'em znów

zdarzyło się coś sensacyjnego? Wspięła się na palce, by coś zobaczyć ponad głową stojącego przed nią reportera z kamerą wideo przy oku. Na niewielkiej werandzie u wejścia do pokoi gościnnych zobaczyła Cole'a, Lucy i jakiegoś siwiejącego faceta z mocno rumianymi policzkami. Twarz Cole'a przypominała nieruchomą maskę, ale Jessica знаła go wystarczająco dobrze, żeby z samego wyrazu jego oczu zorientować się, że dzieje się coś niedobrego. Minę stojącej obok niego Lucy też trudno byłoby uznać za pogodną.

- Co się stało? - spytała człowieka z kamerą. Ten spojrzał na nią kątem oka.

- Cole Nichols właśnie dowiedział się, że nie ma go w składzie na rozgrywki playoff.

- Co takiego? - na moment aż ją zatkało. Nie znała się szczególnie dobrze na amerykańskim futbolu, ale i tego, co wiedziała, wystarczyło, by zrozumieć, co to oznacza dla Cole'a. Nieobecność w playoff mogła być wręcz katastrofą dla jego całej dalszej kariery. A ona wybrała się z ciasteczkami!

- A kim jest ten siwy, rumiany facet?

- Tom McNarren, główny trener St. Louis Bulls.

Jessica zdążyła jeszcze zobaczyć, jak główny trener Bullsów kończy zaimprovizowaną konferencję prasową i przepycha się przez stłoczonych przy nim dziennikarzy do czekającej już na niego limuzyny. Jessica próbowała przedostać się do Cole'a, ale musiała przebijać się przez reporterów niejako pod prąd i gdy w końcu dotarła na werandę, Cole i Lucy już zniknęli w środku. Zdążyła tylko usłyszeć odgłos zatraskiwanych drzwi.

Zdenerwowana i poirytowana, wściekłym wzrokiem spoglądała na hordeę reporterów, teraz równie tłumnie i pośpiesznie opuszczających teren. Obróciła się na pięcie i zapukała do drzwi.

- Lucy! - zawołała, kiedy pukanie nie odnosiło skutku. - To ja, Jessica.

W chwilę potem drzwi się otworzyły.

- Wejdz, Jessico - powiedziała Lucy. - Nie otwierałam, bo myślałam, że to jeszcze jeden z tych sukinsynów dziennikarzy.

Po wpuszczeniu Jessiki znów szybko zamknęła drzwi.

- Jeden z reporterów powiedział mi, że Cole nie zagra w rozgrywkach playoff. Czy to prawda? - spytała Jessica.

Lucy kiwnęła głową.

- W ogóle nie ma go w podstawowym składzie.

- I jak Cole przyjął tę wiadomość?

- No cóż, jak to on. To znaczy, wściekł się wprost niemożliwie - obejrzała się przez

ramię, a potem znów obróciła się do Jessiki, zniżając głos. - Jedyne szczęście w nieszczęściu, że przynajmniej nie zemdał nagle na oczach tych wszystkich szakali. Wtedy to już byłby nieodwołalny koniec kariery. Ale i tak ten trener miał czelność powiedzieć, że Cole jest już być może za stary i powinien zacząć myśleć o wycofaniu się w odpowiednim czasie.

- Cole za stary? Ma siłę parowozu!

- Tak, ale powiedz to temu trenerowi! - Lucy potrząsnęła głową i sięgnęła po leżące na krześle ciężarki do ćwiczeń i gruby włochaty ręcznik, który zarzuciła sobie na szyję. Potem znów zwróciła się do Jessiki. - Naprawdę nie rozumiem, dlaczego nie chce dać Cole'owi jeszcze tej jednej szansy. To miał być jego ostatni sezon, zwieńczenie kariery. A teraz okazuje się, że w najlepszym razie będzie grać ławę.

- A gdzie on jest teraz?

- Poszedł do siebie, żeby się przebrać. Powiedział, że zaplanował sobie jogging i nie zamierza z tego zrezygnować.

- Czy myślisz, że mogę do niego zapukać? - Na ciebie z pewnością się nie pogniewa.

Jessica przeszła krótkim korytarzem w stronę sypialni Cole'a i zapukała do drzwi. Nie było żadnej odpowiedzi. Zapukała mocniej.

- Cole, to ja. Mogę wejść? - spytała. Bez rezultatu.

Drzwi nie były do końca domknięte, w końcu więc Jessica pchnęła je lekko i weszła do środka. W pomieszczeniu panował półmrok, łóżko nie było zasłane, a obok leżały rzucone na podłogę różne swetry, dresy i pantofle treningowe. Jessica obeszła cały ten stos i dopiero wtedy zobaczyła Cole'a. Siedział bez ruchu w głębokim fotelu, z twarzą ukrytą w dłoniach. Nawet nie spojrzał na nią, mimo że kilkakrotnie powtórzyła jego imię.

- Zawahała się, nie wiedząc, czy powinna zostać, czy też zostawić go samego. Łatwiej byłoby po cichu odejść, zwłaszcza że nie za bardzo wiedziała, co mogłaby mu powiedzieć, żeby choć trochę zmniejszyć jego udawkę. Z drugiej jednak strony, gdyby to ona była na jego miejscu, z pewnością wołałaby, żeby ktoś ją pocieszył, a przynajmniej spróbował to zrobić.

Wciąż trzymając przed sobą talerz z tymi nieszczęsnymi ciasteczkami, podeszła do Cole'a i stanęła obok, przyglądając się ukrytej w dłoniach twarzy i bezradnie pochylonym plecocom.

- Cole, tak mi przykro...

Nadal nie spojrzał na nią. Czubki jego palców do połowy zagłębione były w czarnej czuprynie, rozdzielając ją na nierówne pasemka.

Jessica poczuła się bezradna. Co właściwie mogła mu powiedzieć? Może lepiej jednak odejść i zostawić go samego? Najpewniej miał już w ogóle dosyć ludzi i chciał zostać sam.

Nie znajdując słów, ograniczyła się tylko do tego, że położyła dłoń na jego ramieniu w geście współczucia i sympatii. Usłyszała, czy może raczej poczuła, że Cole wstrzymał oddech. Powoli przesunęła dłoń wzdłuż jego barku aż do szyi, podnosząc przy tym kciuk, by pieszczotliwie dotknąć jego policzka.

- To są idioci, Cole - powiedziała cicho. - Oni po prostu nic nie rozumieją.

Cole wreszcie odsunął dłonie od twarzy i spojrzał na Jessikę.

- Moja kariera jest skończona, Jess - powiedział.

- Nieprawda. Nie może być skończona.

- Teraz już tylko cud mógłby sprawić, żeby trener wstawił mnie z powrotem do składu. Tymczasem ja - westchnął głęboko - ostatnio raczej przestałem wierzyć w cuda.

- A ja w nie wierzę - powiedziała Jessica. - A przynajmniej uczę się w nie wierzyć. I ty też powinieneś się tego uczyć.

- Po co?

- Ponieważ jeśli tracisz taką wiarę, tracisz też nadzieję. Cole przyjrzał się jej uważnie.

- Nie bardzo wiem dlaczego, ale dzisiaj wydajesz się być w nastroju całkowicie odmiennym od wczorajszego. - powiedział. - Co się stało?

Jessica z ulgą zauważyła, że niespodziewanie uśmiechnął się, choć tylko kącikami ust.

- Po prostu dużo rzeczy sobie przemyślałam - odpowiedziała, podając mu talerz z ciasteczkami. - I przyniosłam ci to na znak rozejmu i pokoju.

Cole spojrzał i zdziwiony uniół brwi.

- Kruche ciasteczka z melasą?

- Właśnie.

- Nie żartuj! - pośpiesznie odwinął przezroczystą folię, w którą Jessica zapakowała talerz wraz z ciasteczkami, podczas gdy ona sama przysiadła na brzegu łóżka, naprzeciwko jego fotela.

Cole poczęstował najpierw ją, a potem wsadził sobie do ust od razu trzy sztuki. - Mmmmmm, pycha! - powiedział dość niewyraźnie. - Ach, jak mi smakują takie ciasteczka!

- Wiem o tym - powiedziała. - To znaczy, pamiętam. I pamiętam jeszcze dużo innych rzeczy.

Powoli pogryzała swoje ciasteczko. Tymczasem Cole odchylił się do tyłu, przez cały czas nie spuszczać z niej oka, i wsadził sobie do ust kolejną porcję.

- Czy ty zdajesz sobie sprawę, ile lat minęło od czasu, kiedy ostatni raz jadłem domowe ciasteczka? Najmniej dziesięć - postawił talerz na nocnym stoliku. - A te są po prostu wspaniałe. Dokładnie takie same, jak te z dzieciństwa.

Jessica uśmiechnęła się.

- Cole, chciałam cię też przeprosić za moje zachowanie ostatniej nocy. Chodzi o to, że...

- Och, daj spokój. Nie warto w ogóle do tego wracać.

- Przeciwnie, trzeba, i to właśnie teraz. Posłuchaj mnie - stanęła przed nim i podniosła dłoń do góry, jak przy składaniu przysięgi. - Niniejszym odwołuję wszystko, co wczoraj powiedziałam. Byłam małostkowa i po prostu niemądra. W rzeczywistości bardzo chcę się z tobą przyjaźnić. Prawdę mówiąc, zawsze tego chciałam.

Cole już otwierał usta, ale Jessica nie pozwoliła sobie przerwać.

- Przepraszam cię, ale to jeszcze nie koniec - powiedziała. Przypominając sobie rady Cosimo, nabrała w płuca powietrza i rzuciła się na głęboką wodę. - Nie koniec dlatego, że postanowiłam ci się wreszcie do czegoś przyznać. A konkretnie do tego, że - od czasu, kiedy jeszcze byłam małą dziewczynką - zawsze uważałam, że jesteś najprzystojniejszym, najsilniejszym i najsympatyczniejszym chłopakiem, jakiego kiedykolwiek znałam. Cole nagle przestał gryźć ciasteczka i bez słowa patrzył na nią.

- Także i później, kiedy już byłam w szkole średniej, zawsze wiedziałam, że jesteś o całe niebo fajniejszy od tych wszystkich chłopaków, z którymi się czasami spotykałam - popatrzyła na niego i bezwiednie zaczęła wyłamywać sobie palce splecionych dłoni. - Gdybyś wiedział, jak bardzo pragnęłam, żebyś choć raz wtedy na mnie spojrzął! Choćby jeden, jedyny raz! - Jej głos niespodziewanie się załamał i ostatnie zdanie skończyła niemal szeptem.

Cole podniósł się z fotela i już był tuż przy niej, wyższy prawie o głowę.

- A niech mnie diabli! - powiedział w końcu. Był tak zaskoczony, że jego głos nagle stał się ochrypły. - Nigdy nie dałaś mi nawet najmniejszego znaku.

- Bo nigdy na mnie nie patrzyłeś.

- A czy mogłem? Jak ty to sobie wyobrażasz? - Nie zdając sobie z tego sprawy, mocniej zacisnął szczęki, jak gdyby na nowo przeżywając dawne frustracje. - Kimże ja byłem? Ja, biedny i nic nie znaczący Niccolo Cavanetti, miałbym spoglądać na bogatą i absolutnie niedostępną Jessikę Ward?

- Co takiego?! Co ty opowiadasz?

- Przecież byłem po prostu nikim. Pracowałem w winnicy i na polu, i było to życie parobka. Tak, właśnie parobka. Widziałem, jak ty żyjesz, i widziałem, jak żyjemy my. Nie stać mnie było nawet na ostrzyżenie się u fryzjera, nie mówiąc już o jakimkolwiek przyzwoitszym ubraniu. Niech to diabli, przecież ja nawet nie umiałem mówić tak, jak ty mówiłaś.

- Mnie to nie sprawiało żadnej różnicy, Cole. Naprawdę żadnej.

- Ale mnie sprawiało! - odwrócił się i wbił oczy w sufit. Jessica patrzyła na jego szerokie barki, ramiona i plecy, po raz pierwszy zdając sobie sprawę, że to nie żadna wzdarda ani lekceważenie, ale jedynie upokarzające poczucie niższości i związana z tym ambicja i duma powstrzymywały go od jakichkolwiek prób zbliżenia się do niej.

- Więc jednak zwróciłeś na mnie uwagę - szepnęła. Cole skinął głową.

- To o wiele za mało powiedziane, Jess. Później, podczas różnych meczów, przyglądałem się dziewczynom z grup sportowego dopingu i starałem się zawsze wybrać taką, która najbardziej przypominała ciebie - trochę snobistyczną i zarozumiałą, o egzotycznej urodzie, dumną i chłodną. Potem ze wszystkich sił starałem się zrobić na niej wrażenie, doprowadzić do tego, żeby ta chłodna duma zmieniła się w podziw i fascynację.

- I udawało ci się?

- Czasami. Ale potem okazywało się, że chłód i duma nie były wcale takie, jakimi się początkowo wydawały. Zawodziły moje oczekiwania. Podobnie jak i te dziewczyny.

- No to posłuchaj jeszcze i mnie. Skoro już opowiadamy sobie wszystko do końca. Otóż ja...

Jessica nagle zamilkła, zdumiona własną otwartością. W najśmielszych snach nie odważyła się dotąd przypuszczać, że szczerść w rozmowie może tak wiele jej dać i tak wiele wyjaśnić. To było po prostu olśnienie.

Cole tymczasem nagle przygaśł, jak gdyby w tym momencie znów przypomniał sobie, co się właśnie stało. Popatrzył na nią ze smutnym uśmiechem i powiedział.

- No i sama widzisz, jak się ten los układa. Teraz znów masz mnie przed sobą - przegranego. Wydziedziczonego przez ojca, wyrzuconego z drużyny. Trudno to raczej uznać za olśniewający sukces, prawda?

Jessica nagle objęła go swymi szczupłymi ramionami, tak kruchymi w porównaniu z jego potężnymi mięśniami.

- Cole! - szepnęła i przytuliła się do niego policzkiem tak, jak o tym marzyła od chwili jego przyjazdu do Moss Cliff. Głaskała jego ramiona i przymknawszy oczy delectowała się rozkoszą, jaką sprawiało jej samo dotykanie jego skóry. - Jesteś moim przyjacielem, Cole - mówiła. - Jesteś i pozostaniesz, niezależnie od tego, co się stało. Objęła go jeszcze mocniej, ale Cole nie odpowiedział na ten uścisk. Przeciwnie.

- Przestań już, Jess - jednym ruchem odsunął jej ramiona i cofnął się o krok. - Wcale nie potrzebuję tej twojej cholernej litości.

Zaczerwieniła się i bezradnie opuściła ręce. Ogarnął ją nagły wstyd. Znów zrobiła

błąd, otworzyła się przed nim, a on znów ją odtrącił. Rada Cosimo nie pomogła.

- Więc ty uważasz, że mówiłam to wszystko z litości?

- Z jakiego innego powodu mogła być to zrobić?

- Może na przykład dlatego, że mi na tobie zależy?!

Cole wolno obrócił się do niej.

- Posłuchaj, Jess. Wiem, że miałaś dobre intencje i że po prostu chciałaś powiedzieć coś, co sprawiłoby, żebym poczuł się lepiej. Ale nie opowiadaj mi już o przyjaźni. Wczoraj jej nie chciałaś, dlaczego nagle miałabyś chcieć jej dziś? Nie zmieniło się przecież nic, jeżeli nie liczyć tego, że zaważyło się całe moje życie.

- Cole, przestań!

- Nie potrzebuję twojej litości, do cholery! Czy myślisz, że twoje ciasteczka i twoje miłe słowa przywrócą zdrowie mojemu ojcu? Przywrócą mi miejsce w drużynie? - Odwrócił się do niej plecami. - Dlaczego nie pójdziesz sobie do wszystkich diabłów i nie zostawisz mnie wreszcie w spokoju?! - To już był prawdziwy wybuch gniewu i agresji.

- W porządku! - odpowiedziała równie podniesionym głosem - Pójdę sobie, ty... ty durny i samolubny tumanie! - Podeszła do drzwi i jednym szarpnięciem otworzyła je szeroko. Potem jeszcze raz popatrzyła na Cole'a z mieszaniną gniewu i szyderstwa. - Dziś najwyraźniej uznałeś, że jesteś jedynym człowiekiem na świecie, który ma naprawdę poważne problemy. Otóż nie - nie jesteś jedyny! I witaj w świecie rzeczywistości, Niccolo! Bo chyba jesteś w nim po raz pierwszy!

Trzasnęła za sobą drzwiami. Cole skwitował to wzruszeniem ramion. Rzeczywistości, dobre sobie! Co taka Jessica Ward mogła wiedzieć o rzeczywistym świecie? Nie miała pojęcia, co dla sportowca oznacza usunięcie z drużyny. Żałosny koniec kariery, całe dotychczasowe życie prywatne i zawodowe rzucone na pastwę dziennikarskich sępów. Jak łatwo zaczęli go teraz oskarżać o rzeczy, których nigdy nie zrobił. Wszystko było wymyślone, ale to nie chroniło przed niesławą.

A ona? Cóż ona może w ogóle wiedzieć o prawdziwym świecie, siedząc na jakimś tam zacisznym uniwersyteckim stanowisku i patrząc głównie w niebo przez ten swój teleskop. Jak z takim życiowym zapleczem mogłaby zrozumieć, co znaczy wyrzucenie z drużyny w wieku zaledwie trzydziestu pięciu lat, akurat w szczycie doświadczenia i formy! Jak mogłaby zrozumieć, co znaczy świadomość, że już nigdy nie poczuje tego z niczym nieporównywalnego smaku finałowego zwycięstwa, nie usłyszy huczącego jak wodospad stadionu, bijącego brawo i skandującego jego imię!

Sięgnął po szlafrok, rzucony na oparcie fotela, i poszedł do łazienki. Nadal próbował

utrzymywać się w wysokiej formie, stale ćwiczył, chcąc w ten sposób walczyć z powtarzającymi się przypadkami nagłej utraty świadomości. Jednakże te jego starania niewiele dały. Przeciwnie, było coraz gorzej, toteż być może trener miał swoją rację, przesuując go do rezerwy - dla dobra drużyny. Ale to oznaczało początek końca. A jeśli już miał staczać się w tę rysującą się przed nim przepaść, to stać go było przynajmniej na to, by nie pociągać tam razem ze sobą takiej dziewczyny jak Jessica Ward.

Zdawał sobie sprawę, że nie powinien był wrzeszczeć na nią, ale kiedy go tak nagle objęła, naprawdę niewiele brakowało, by zapomniał, że w końcu ma jeszcze jakąś dumę. Niewiele brakowało, by uwierzył we wszystko, co mówiła. Opamiętał się w ostatniej chwili!

Nie chciał jej litości. Chciał, żeby go kochała i żeby go szanowała. Ale na tym świecie nie kocha się tych, co przegrywają.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Szedł w ślad za młodym zamkowym sługą, krętymi schodami wewnątrz kamiennej wieży wspinając się do mieszczącej się na górze sypialni. W miarę wchodzenia coraz bardziej czuł, jak bardzo go zmęczyła trwająca prawie dwie doby konna podróż. Przez te dziesięć lat, odkąd to nieodwołalnie przestał być rycerzem, odwykł już od siedzenia na koniu i wiedział, że wszystkie zeszytniałe od długiej jazdy mięśnie jutro będą mu dokuczały jeszcze dotkliwiej. Postanowił, że przed udaniem się na spoczynek natrze się jedną z kojących maści, które sam przywiózł. Ale najpierw musiał obejrzeć chorą, do której go wezwano.

Opat polecił mu przerwać pracę w klasztornej winnicy i wyruszyć natychmiast. Na przestrzeni dziesięciu lat, które spędził w klasztorze, Cole zdobył znaczną wiedzę na temat różnych roślin i ich właściwości, przydatnych zwłaszcza w leczeniu ran, a także wielu chorób i dolegliwości. Wkrótce jego talent w tej dziedzinie został zauważony i zyskał mu spory rozgłos. Zwykle jednak udzielał pomocy tylko w najbliższej okolicy i szybko wracał do bezpiecznego schronienia, jakim była dla niego klasztorna winnica, a także - prowadzona za zgodą opata - rozrastająca się powoli ziołowa apteka.

Natomiast tym razem była to cała wyprawa. Z ustronnego klasztoru benedyktynów musiał dotrzeć aż do wielkiego zamku wysoko w Alpach, krętą i stromą drogą wśród niebotycznych skał i zapierających dech w piersiach przepaści. Nigdy dotąd nie miał okazji widzieć tej obronnej budowli i nie znał też pana, do którego należała. Najpewniej do jakiegoś potężnego księcia albo też do któregoś z jego mniej możnych feudalnych podwładnych.

Prowadzący go chłopiec zatrzymał się przed ściemniałymi, ciężkimi drzwiami i zastukał w nie drewnianą kołatką. Cole wzdrygnął się, słysząc ten głuchy dźwięk.

W uchylonych drzwiach pojawiła się pełna bólu twarz starej kobiety. Powieki miała zaczerwienione od płaczu.

- Ach, świątobliwy bracie, przybyłeś niestety za późno!

- Za późno? - powtórzył rozczarowany.

- Moja pani umarła! - kobieta otarła łzy brzegiem fartucha i cofnęła się w głąb pomieszczenia. - Tylko co umarła! O Matko Przenajświętsza! Tylko co!

Cole wszedł za nią do wnętrza, oświetlonego ogniem strzelającym z kamiennego kominka. W głębi można było dostrzec kobietę, leżącą nieruchomo w wielkim łożu z czterema spiralnymi kolumnami z orzechowego drewna, wspierającymi baldachim z zielonego aksamitu. Poza tym jedynym meblem pomieszczenie wydawało się dziwnie puste, zwłaszcza jak na pokój kobiety. Nie było tam ani ramek do haftowania, ani skrzyń do

przechowywania odzieży i bielizny, ani drewnianych podstawek do suszenia damskich sandałów i pantofelków. Nie było też żadnego muzycznego instrumentu. Wszystko to świadczyło, że z tego pomieszczenia korzystano raczej rzadko.

Podszedł do leżącej w łóżu kobiety i przyjrzał się jej uważnie. Mogła nieć trzydzieści do czterdziestu lat, jej twarz była blada i niezmiernie wychudzona, ale sądząc po tym, co można było zobaczyć, wciąż bardzo piękna. Głowa była owinięta białym płótnem, a delikatne białe dłonie złożono na okrywającej ciało pościeli w taki sposób, jak gdyby kobieta leżała już w trumnie.

Cole położył dłoń na jej czole.

- Wciąż jest ciepła - powiedział.

- Ale już nie oddycha. Byłam przy niej i sama słyszałam, jak wydaje ostatnie tchnienie. Śmierć porwała ją dopiero co.

Cole czuł, że jego serce zaczyna gwałtownie bić, na zewnątrz jednak wydawał się całkowicie opanowany. Sięgnął po swą podróżną sakwę z medykamentami i postawił ją na pościeli. Na początek wyjął z niej puzderko z wysuszoną miętą. Roztarł między palcami parę listków i podsunął ich pył tuż pod nos leżącej nieruchomo młodej kobiety. Ostry zapach był wyczuwalny z daleka, ale ona na to nie zareagowała.

- Co jej się właściwie stało? - zapytał starą opiekunkę.

- Spadła z konia i uderzyła się w głowę. Od tego momentu nie otworzyła już oczu.

- Kiedy zdarzył się ten wypadek?

- Dwa tygodnie temu, świątobliwy bracie.

- Aż tak długo była nieprzytomna?

- Tak.

- I przez cały ten czas nic nie jadła ani nie piła?

- Tak było, świątobliwy bracie. Próbowałam jej dawać jedzenie i picie, ale bez skutku.

*

- A więc prawdopodobnie umarła z głodu i pragnienia! - powiedział Cole głosem pełnym desperacji, ostrzej, niż zamierzał. Zawstydzony swoim wybuchem, odwrócił się znów ku zmarłej. Zdążył zauważyć, że stara kobieta aż się ugięła pod ciężarem jego słów. A przecież i przedtem była szczerze zrozpaczona. Nie miało sensu dokładanie do jej żalu jeszcze i poczucia winy.

Postanowił wypróbować jeszcze jeden sposób, którego nauczył się podczas pobytu w Ziemi Świętej od jednego z arabskich lekarzy. Sposób niezwykły, a polegający na tym, by spróbować tchnąć oddech życia z powrotem w martwe już ciało. Otworzył usta zmarłej i

prawym kciukiem mocno przycisnął jej język, jednocześnie odchylając głowę do tyłu, by stworzyć jak najszerszy dostęp powietrza do gardła. Potem dwoma palcami ścisnął nozdrza leżącej nieruchomo kobiety, nabrał powietrza w płuca i pochylił się nad nią. Stara kobieta przez cały czas stała z boku i patrzyła z nie ukrywanym przerażeniem, jak świątobliwy brat całuje usta trupa.

Cole starał się wdmuchiwać powietrze w znieruchomiałe płuca możliwie ostrożnie, by niechcący nie uczynić tym krzywdy. Sam był roslym mężczyzną, a kobieta była drobna i delikatna. Przez kilka minut regularnie wdmuchiwał powietrze do jej płuc, martwiąc się przez cały czas, że jest już za późno i że jej własny oddech już nie powróci, albo że on sam ze zdenerwowania zapomniał o jakimś ważnym elemencie tej procedury. Był tak skoncentrowany i spięty, że na jego czole wystąpił kroplisty pot. Czuł się krańcowo zmęczony, ale wciąż się nie poddawał wiedząc, że jeśli i ten sposób nie pomoże, trzeba będzie już ostatecznie pogodzić się z tą niedorzeczną śmiercią.

I nagle nieruchome dotąd ciało drgnęło. Młoda kobieta odkaszlnęła. Cole znów pochylił się nad nią i słaba początkowo nadzieja rosła w nim w miarę, jak dostrzegał kolejne, ledwie widoczne oznaki powolnego powracania funkcji organizmu. Dało się słyszeć kolejne kasznięcie.

Tymczasem opiekunka chorej patrzyła na to wszystko z rosnącym przerażeniem.

- Boże wszechmogący, miej litość nad nami! - krzyknęła piskliwym głosem i co sił w nogach uciekła z pomieszczenia, stukając wysłużonymi sabotami. Wybiegając trzasnęła drzwiami z siłą doprawdy niezwykłą jak na tak starą kobietę.

Cole kompletnie to zignorował, całą swą uwagę poświęcając wracającej do życia młodej kobiecie. Znów sięgnął do swej sakwy i wyjął z niej cienką szklaną rurkę i niewielką butelkę, zawierającą silny środek wzmacniający, sporządzony głównie ze specjalnie destylowanego wina. Wciągnął sporą ilość tego płynu do szklanej rurki, po czym włożył ją między rozchylone wargi młodej kobiety i odsunął palec od drugiego końca rurki, pozwalając, by ożywczy płyn spłynął poprzez zęby prosto do gardła. Szok, wywołany taką porcją bardzo mocnego środka ze znaczną zawartością alkoholu, miał siłę wystarczającą, by zbudzić z każdego snu - nawet wiecznego. Z kolei kojąca słodycz tego płynu i moc skoncentrowanych w nim składników odżywczych bardzo skutecznie wspomagały nawet najdrobniejszą iskierkę życia, jeżeli tylko jeszcze tliło się w organizmie.

Młoda kobieta kaszlnęła i wypluła część płynu, ale od tego momentu jej oddech stał się już wyczuwalny i niemal regularny. Wciąż jednak nie otwierała oczu.

Cole ponowił podawanie płynu za pomocą rurki, ale tym razem napełnił ją czystą

wodą ze stojącego w pobliżu dzbanka. Młoda kobieta połykała spływającą drobnymi porcjami wodę, niczym spragniony ptaszek. Cole z wdzięcznością wspominał Giovannę i sposoby, których go nauczyła. To dzięki niej potrafił w razie potrzeby podawać płyny niemal po kropelce. Może właśnie to ratowało teraz życie tej młodej kobiety.

Minęła jeszcze godzina, nim wreszcie zdecydował się posadzić ją na łóżku, podpierając poduszkami i przez cały czas podtrzymując ją ramieniem tak, by jej głowa stale opierała się o jego klatkę piersiową. Od ostatniej nocy z Giovanną nie zdarzało mu się trzymać kobiety w ten sposób. Ta tutaj wydała mu się jednocześnie krucha i wzruszająca. Powoli i bardzo ostrożnie kontynuował podawanie jej swego winno - ziołowego preparatu wciąż przez tę samą szklaną rurkę aż do momentu, kiedy przełknęła ostatnią kroplę. Potem po prostu już tylko trzymał ją przytuloną do siebie, wiedząc, że najbardziej tu pomaga zwyczajne ciepło ludzkiego ciała i wyczuwany przez skórę puls i rytm serca drugiego człowieka.

Jej oddech wciąż był płytki, ale już regularny. Cole miał nadzieję, że ostatecznie uda mu się przywrócić ją życiu, choć nadal nie było żadnej pewności, czy się zbudzi z dotychczasowej śpiączki i czy odzyska świadomość. Wszystko zależało od tego, czy fatalny upadek z konia spowodował jakieś uszkodzenie mózgu.

Postanawiając zbadać rozległość zewnętrznych obrażeń głowy, odwinął płócienny bandaż, uwalniając burzę ciemnych, naturalnie wijących się włosów, bardzo przypominających mu miękkie, czarne kędziory Giovanny. To wspomnienie zabolalo go niespodziewanie mocno, ale w końcu potrafił się z nim uporać i siłą woli zmusił się do myślenia o czasie teraźniejszym. Delikatnie ułożył wciąż nieprzytomną chorą w ten sposób, żeby jej głowa opierała się na poduszce, a potem zaczął systematycznie badać miejsca obrażeń. Za prawym uchem najpierw wyczuł palcami, a potem także zobaczył spory guz. Obejrzał go uważnie, sprawdzając, czy skóra nie jest skaleczona i czy nie wypływa z niej ropa.

Uderzenie musiało być bardzo mocne, ponieważ jeszcze po Czternastu dniach utrzymywał się tam spory obrzęk. Ale skóra nie była przecięta, nie dostrzegł też żadnych śladów, wskazujących na poważny krwotok, ranę czy też zakażenie krwi. Dla dalszego upewnienia się, powoli i systematycznie naciskał różne punkty czaszki, a potem kolejne kosteczki jej drobnej szyi i karku, szukając urazów, których inni mogli nie dostrzec.

Trzymając w dłoniach jej smukłą szyję po raz pierwszy uważniej przyjrzał się tej kobiecie. Jak bardzo teraz przypominała mu Giovannę, zwłaszcza po odwinięciu bandaży i uwolnieniu tej prawdziwej kaskady czarnych, wijących się włosów. Cole odsunął kilka bujnych pasm, zakrywających znaczną część jej wychudzonej twarzy. Mógł teraz wyraźnie

widzieć jej cały profil i charakterystyczną, delikatną linię szczęki i podbródka. Przyjrzał się uważnie i przez chwilę nie chciał wierzyć własnym oczom.

Czyżby miał jakieś zwidy po zbyt długiej i ciężkiej podróży? A może mu się to po prostu śniło? Chryste Panie, przecież ta śpiąca kobieta to Giovanna! To była naprawdę ona. Szok po uświadomieniu sobie tego faktu był tak silny, że niewiele brakowało, żeby i on sam zemdlął.

Skąd Giovanna tutaj? I jakie dziwne fatum kazało im się zetknąć po tylu latach i w takich porażających okolicznościach? Poczul nagle lodowaty dreszcz przerażenia. Przecież sam widział ją już martwą! I oto teraz to on przywracał ją życiu. Miał ochotę paść na kolana bo to, co właśnie wydarzyło się w tym ustronnym zamku w wysokich Alpach, graniczyło z cudem!

- Giovanna! - wyszeptał, wciąż oszołomiony. Drżącą ręką pogłaskał ją po wychudłej twarzy. O Boże, a gdyby umarła? Gdyby nie przyjechał na czas, by ją uratować? I znów skurcz przerażenia ścisnął mu serce. Przecież wciąż nie miał żadnej pewności, że potrafi utrzymać ją przy życiu.

Pełen naglej determinacji poderwał się do następnych działań. Nie wolno było tracić czasu na jałowe przyglądanie się, trzeba było natychmiast coś robić! Wykorzystać każdą minutę! Postanowił, że odtąd nie spocznie nawet na moment, póki jej ostatecznie nie wyleczy i nie doprowadzi do odzyskania pełnej świadomości. Będzie przy niej czuwał dniami i nocami, dokładnie tak samo, jak ona niegdyś czuwała nad nim tam, w Jerozolimie. Niczego teraz nie pragnął tak bardzo jak tego, by móc znów spojrzeć w jej oczy.

- Giovanni! - szepnął, pochylając się do jej ucha. - To ja, twój baron, twój rycerz, który powrócił, żeby walczyć o ciebie i żeby cię uratować.

Miał nierozumną nadzieję, że może mu odpowie, ale Giovanna nawet nie drgnęła. Nie mogło być inaczej, ale mimo to z oczu Cole'a popłynęły łzy, których przez dłuższą chwilę nie potrafił powstrzymać.

- Giovanni, jestem przy tobie - powiedział. - I pozostanę, dopóki całkiem nie wyzdrowiejesz.

Pochylił się nad nią i wtedy poczul znajomy i ledwie wyczuwalny zapach perfum z płatków róży. Bardzo ostrożnie i czule dotknął wargami jej warg. Po prostu nie potrafił się powstrzymać.

Jessica prawie na oślep biegła z powrotem do siebie, co chwila wpadając w rozpryskujące się kałuże. W jej głowie kłębiło się tysiąc myśli na raz, a wszystkie dotyczyły Cole'a i jej. Albo jej i Cole'a.

Powiedział jej, żeby sobie poszła do wszystkich diabłów i wreszcie zostawiła go w spokoju! Z takim samym skutkiem mógłby ją po prostu uderzyć w twarz. To ta jego przekłeta duma, która sprawiała, że już w ogóle nie był w stanie dostrzec prawdy. Uważał, że litowała się nad nim, że go żałowała! Wcale go nie żałowała, tylko po prostu go kochała! Jak to możliwe, że on wciąż tego nie dostrzegał?!

Była tak zaabsorbowana swymi myślami, że początkowo w ogóle nie zauważyła brązowego samochodu, zaparkowanego niemal przed samym wejściem do domu.

Na ganku czekał na nią niespodziewany gość.

- Pan Turner - zdziwiła się Jessica.

- Dzień dobry, panno Ward - powiedział detektyw, uchylając kapelusza.

- Dzień dobry. Jak idzie?

- Mogłoby lepiej. Bardzo chciałbym zakończyć tę sprawę jeszcze przed świętami - sięgnął do kieszeni wygniecionego płaszcza i wyciągnął coś. - To jest oficjalny nakaz rewizji - podał jej standardowy dokument, żeby mogła się z nim zapoznać. - Chciałbym się tu ponownie rozejrzeć, tym razem być może dokładniej.

- Proszę bardzo - odpowiedziała nieco rozbawiona Jessica. - Tylko właściwie po co? Co nasz zwykły letni dom z ogrodem mógłby mieć wspólnego z tym morderstwem?

- My, niestety, musimy nieraz po wielokroć sprawdzać wszystko. Właśnie wróciłem ze swego rodzaju inspekcji, obszedłem całą winnicę - ponownie sięgnął do kieszeni, wyciągając tym razem przezroczysty plastikowy woreczek, zazwyczaj wykorzystywany przy zabezpieczaniu wszelkich dowodów rzeczowych. - Czy kiedykolwiek widziała to pani, panno Ward? W woreczku były męskie okulary w brązowej metalowej oprawce, Jessica postarała się, żeby nawet najmniejsze drgnienie jej twarzy nie zdradziło, że natychmiast rozpoznała okulary Cole'a. - A gdzie pan to znalazł? - spytała. - Proszę odpowiedzieć na moje pytanie, panno Ward. - Nie, nie sądzę, żebym je kiedykolwiek widziała.

Turner przyglądał się jej uważnie przez dłuższą chwilę, nim w końcu schował do kieszeni woreczek z okularami, by z kolei wyjąć służbowy notes i długopis.

- Co pani wiadomo o zawodowym futbolście z St. Louis Bulls, który teraz mieszka w pokojach gościnnych państwa domu?

- Ma pan na myśli Cole'a? - Jessica odruchowo mocniej otuliła się płaszczem.

- Tak, właśnie jego.

- To nasz długoletni znajomy i przyjaciel. Poznałam go, kiedy jeszcze byłam małą dziewczynką.

- Wobec tego powinna pani wiedzieć, że nosi okulary.

- No cóż, czasami rzeczywiście nosi, chociaż zazwyczaj...

- Pani sąsiadka, Isabella Cavanetti, gotowa jest przysiąc, że to właśnie jego okulary.

Jessica wzruszyła ramionami.

- Może są jego, trudno mi powiedzieć. Cole najczęściej nosi szkła kontaktowe, więc nie wiem.

Detektyw znów zapisał coś w swoim notatniku. - Tak więc zna pani Cole'a Nicholasa bardzo dobrze i od dawna. Czy zauważyła pani kiedykolwiek, że zachowuje się jakoś... dziwnie?

- To znaczy jak?

- Słyszałem, że miewa momenty niespodziewanej utraty świadomości. Pada zemdłony i nawet tego nie pamięta.

Jessica nagle poczuła przykry, dojmujący lęk. Pojęła już, w jakim kierunku zmierzają domysły detektywa. Chodziło o te morderstwa w okolicy. Czyżby naprawdę zamierzał wciągnąć Cole'a na listę potencjalnych podejrzanych? To wydawało się po prostu niedorzeczne. Ale wobec tego czemu Turner tak szczegółowo wypytywał ją o Cole'a? A poza tym skąd wziął te okulary?!

- Czy zdarzyło mu się kiedykolwiek zemdleć w pani obecności?

- Tak, ale to trwało bardzo krótko. W chwilę później już znów był przytomny i w doskonałej formie, jak gdyby w ogóle nic się nie stało. Podejrzewam, że podobnie musiało być podczas tych paru przypadków, dla sensacji tak bardzo rozdętych przez prasę.

Detektyw zajrzał do swoich notatek.

- Czy może przypomina pani sobie, gdzie mógł być pan Nichols w czwartek, dziewiętnastego grudnia wieczorem?

- To znaczy dwa dni temu? - Jessica usiłowała sobie uporządkować kolejność zapamiętanych wydarzeń. Akurat na przestrzeni tych czterdziestu ośmiu godzin mnóstwo rzeczy się wydarzyło z udziałem jej ojca, brata Cosimo, Cole'a i Michaela.

Niełatwo było to ułożyć w jakiś zborny ciąg spotkań i rozmów. Ostatecznie jednak przypomniała sobie, że to właśnie w czwartek odbyło się to najważniejsze spotkanie w sprawie dzierżawy i ewentualnej sprzedaży winnicy. I że później, kiedy wyszło na jaw, że Isabella zamierza wykupić winnicę do spółki z gangsterami, Cole najpierw zrobił o to potworną awanturę, a potem trzasnął drzwiami i z piskiem opon odjechał - nie wiadomo dokąd.

- Nie... nie przypominam sobie, co mógł wtedy robić - odpowiedziała niepewnie. Przykre poczucie, że coś niedobrego zagęszcza się wokół Cole'a, jeszcze bardziej się nasiliło.

Zwłaszcza że detektyw Turner wciąż przyglądał się jej w dziwny sposób. Mimo woli stawała się nerwowa, postanowiła więc już skończyć tę rozmowę.

Gdy odwróciła się, by otworzyć drzwi i wejść do domu, zapytał jeszcze:

- To znaczy, że nie był wtedy z panią?

- Nie.

Turner zamknął notatnik i wsunął go do kieszeni. - Dziękuję, panno Ward - powiedział. - Jeśli pani pozwoli, będę kontynuował przeszukiwanie terenu.

Jessica nagle chwyciła go za rękaw, jakby chciała go na moment zatrzymać.

- Pan chyba nie sądzi, że Cole mógłby mieć coś wspólnego z tym morderstwem w parku, prawda? On z całą pewnością nie mógł być w to zamieszany!

- Skąd ta pewność, panno Ward?

- On... on po prostu nie jest typem mordercy!

- A na przykład pani Cavanetti uważa, że właśnie jest. Utrzymuje stanowczo, że pan Nichols bardzo często traci panowanie nad sobą i bije przy tym ludzi. No i jest jeszcze ta kobieta z Filadelfii, która twierdzi, że to właśnie ten słynny sportowiec napadł ją i zgwałcił.

- Nie wierzę ani w jedno, ani w drugie. To nie mógł być Cole.

- No cóż, panno Ward, powiem tylko, że zachowania ludzi niekiedy nas zaskakują. Zdawałoby się, że w ciągu tylu lat pracy widziałem już wszystko, a jednak od czasu do czasu ciągle jeszcze natrafiam na niespodzianki.

Przeszukanie, kontynuowane przez Turnera, nie doprowadziło ostatecznie do odkrycia niczego istotnego, albo też detektyw nie zechciał jej o tym poinformować. W każdym razie gdy tylko jego samochód odjechał i zniknął za najbliższym zakrętem, Jessica natychmiast pobiegła do pokoi gościnnych, żeby ostrzec Cole'a. Zastała jednak jedynie Lucy, która powiedziała, że Cole pojechał do miasta.

Zaniepokojona Jessica zadzwoniła jeszcze do Marii, jednak i ta rozmowa nie za bardzo pomogła w rozproszeniu jej obaw. Przejęta najnowszymi wydarzeniami Maria przez dłuższy czas wylewała przed nią swoje żale, i to głównie w jakimś kompletnie niezrozumiałym włoskim dialekcie. Minęło sporo czasu, nim w końcu Jessice udało się trochę uspokoić starą służącą i skłonić do jakiegoś bardziej zbornego przedstawienia faktów. Jessica zrozumiała z tego tyle, że Isabella Cavanetti bezwstydnie oczerniła Cole'a przed policją, opowiadając funkcjonariuszom same kłamstwa i wmawiając im niestworzone rzeczy na temat porywczego i kompletnie nieodpowiedzialnego charakteru Cole'a. Maria była tak zdenerwowana, że z trudem powstrzymywała się od płaczu i Jessica stale musiała ją uspokajać, choć sama przecież nie była w dużo lepszym stanie.

Maria powiedziała też, że po tym przedświątecznym przyjęciu stary pan Michael wciąż domaga się, by wezwano do niego jego syna. Jakby tego było jeszcze mało, Isabella i Shawn pozarły się okropnie o jakąś tam rzecz, którą Shawn podobno miała ukraść Isabelli. Odtąd w domu niemal bez przerwy trwały kłótnie i wrzaski. Żyć się odechciewało.

Jessica postarała się uspokoić Marię, zapewniając ją, że Cole z całą pewnością jest niewinny i że nikt nie może zrobić go w jakieś tam morderstwo, niezależnie od tego, co wygaduje Isabella. Poza tym już wkrótce Cole uzyska z sądu decyzję, przyznającą mu wyłączne prawo do opieki nad ojcem. Tak więc Maria powinna przestać się niepokoić i mieć tylko trochę cierpliwości. Jessica odwiesiła słuchawkę, zdając sobie doskonale sprawę, że sama też wcale nie jest pewna tego wszystkiego, co mówiła Marii. Otworzyła szafę i sięgnęła po płaszcz. Powiedziała sobie, że musi choć na chwilę wyjechać z domu, wyrwać się z tego zamkniętego kręgu deprymujących spraw. Mimo pieskiej pogody i wciąż gęstniejącej mgły, postanowiła dla odprężenia pojechać na zakupy do najbliższego supermarketu.

Tłok przedświąteczny był większy, niż się spodziewała, i w rezultacie spędziła w tym kompleksie handlowym całe popołudnie. Zrobiła najważniejsze zakupy spożywcze, a potem w sąsiednim dziale odzieżowym kupiła - poza świątecznymi prezentami - także nowe - ubranie i koszule dla ojca.

Na wszystkich stelażach z prasą dosłownie przy każdej kasie widziała gazety ze zdjęciami Cole'a i wielkimi tytułami, informującymi o wycofaniu go z podstawowego składu St. Louis Bulls, najpoważniejszego kandydata do zwycięstwa w rozgrywkach playoff. Jedna z wieczorówek wydrukowała wielkie kolorowe zdjęcie słynnego rozgrywającego, w pełnym futbolowym rynsztunku i z wielkim logo Bullsów na piersi. Poszerzona ochraniaczami sylwetka była rzeczywiście imponująca, ale twarzy spoza siatki hełmu praktycznie nie było widać.

Zbliżał się wieczór, a Jessica za wszelką cenę chciała uniknąć spotkania z ojcem o tej właśnie porze, kiedy to zazwyczaj był już pijany, ale jeszcze nie na tyle, by go wreszcie zmorzył błogosławiony sen. Zjadła więc lekką kolację w chińskiej restauracyjce, po czym poszła do mieszczącego się tuż obok kina i przesiadła cały seans oglądając jakiś sentymentalny melodramat, myśląc zresztą zupełnie o czym innym.

Gdy wyruszyła z powrotem do Moss Cliff, było już ciemno i padał lekki śnieg. Z uwagi na śliską nawierzchnię starała się jechać ostrożnie, by uniknąć konieczności jakiegoś nagłego hamowania. Ostatecznie dojechała, całkowicie bezpiecznie, a gdy już wysiadała w rozmokłym śniegu przed gankiem, najbardziej ucieszyło ją to, że wyjeżdżając w pośpiechu zapomniała zmienić obuwie i pozostała w starych, ale za to nieprzemakalnych sportowych

botach.

Wyjęła paczki z zakupami i zatrzasnęła bagażnik. Obróciła się i właśnie w tym momencie wydało się jej, że dostrzegła jakąś niewyraźną postać, kryjącą się za drzewem nieopodal werandy, od strony wejścia do pokoi gościnnych. Jessica znieruchomiała, z napięciem wsłuchując się w każdy najdrobniejszy szelest i usilnie wpatrując się w otaczające dom drzewa i zarośla. Gdy w końcu jej oczy przystosowały się do niemal kompletnego mroku, dostrzegła jakiś poruszający się cień - wysoką, ciemną postać, która teraz była już za domem i kierowała się ścieżką przez winnicę gdzieś w dół w stronę rzeki. Ale kto to mógł być? - pomyślała. Cosimo? Czy Cole? Czy też może ten zbiegły więzień?

Nie wiedziała, co ma teraz zrobić. Najchętniej ruszyłaby tą samą ścieżką w dół, w ślad za oddalającą się tajemniczą postacią, żeby - być może - w ten sposób dowiedzieć się czegoś, co pozwoliłoby na oczyszczenie Cole'a z zarzutów. Ale takie samotne skradanie się w ślad za nie wiadomo kim byłoby wysoce nierozsądne i mogłoby się bardzo źle skończyć - gdyby się na przykład okazało, że jest to właśnie ten zbiegły więzień - morderca. Z drugiej strony, jeżeli ona teraz nie zrobi nic, umykająca ku rzece postać już ostatecznie zniknie w ciemności i wszelka szansa na dowiedzenie się czegoś przepadnie bezpowrotnie.

Coraz bardziej zdenerwowana, rozejrzała się dookoła. Samochodu Cole'a nie było pod domem, więc na jego pomoc nie mogła liczyć. Na swojego ojca - tym bardziej. Zresztą o tej porze pewnie już spał. W domu nie było żadnej broni palnej ani w ogóle niczego, co choćby z daleka mogło przypominać jakąkolwiek broń. A jednocześnie Jessica czuła, że koniecznie powinna ruszyć w ślad za tą oddalającą się postacią, bez względu na zagrożenie.

Zaniosła wszystkie paczki na ganek i zostawiła je przed drzwiami. W jednej z nich, na samym wierzchu, dostrzegła jaskrawożółty pojemnik z aerozolem do czyszczenia piekarnika. Jessica uśmiechnęła się. Z własnego doświadczenia wiedziała, że ten aerozol jest mocno żrący i do obrony może posłużyć nie gorzej niż niejeden pistolet gazowy. Zdjęła i odłożyła plastikową osłonę i na wszelki wypadek wypróbowała działanie - strumień był natychmiastowy i mocny. Tak więc z tą bronią w dłoni ruszyła w ślad za znikającym cieniem.

Ścieżkę знаła na pamięć, toteż potrafiła zbiec z wzniesienia stosunkowo szybko. Potem zwolniła, starając się poruszać jak najciszej. W pewnej odległości przed sobą znów mogła już widzieć tę tajemniczą postać z jakimś podłużnym pakunkiem czy też zawiniątkiem w rękach.

Dreszcz przebiegł jej wzdłuż kręgosłupa, na czoło wystąpił zimny pot. Czy w tym podłużnym pakunku mogło być czyjeś ciało? Po co w ogóle się w to wszystko pakowała? Z mniejszej odległości mogła rozróżnić szczegóły i była już pewna, że tajemnicza postać ma na

sobie mnisi habit i kaptur. Może to więc Cosimo? Najchętniej krzyknęłyby głośno jego imię, ale jeżeli to nie był on, naraziłyby się na wielkie niebezpieczeństwo. Lepiej było zachować ostrożność.

Dziękowała Bogu, że tak dobrze zna każdy zakręt tej ścieżki. Potknęła się ledwie dwa razy, a i to na tyle lekko, że śledzona przez nią postać, odległa o jakieś pięćdziesiąt metrów, najwyraźniej niczego nie zauważyła.

Jessica spodziewała się, że tajemniczy osobnik skręci w kierunku mostu, okazało się jednak, że przy najbliższym rozwidleniu ścieżki nieznajomy wybrał drogę w prawo, prowadzącą na skaliste urwiska nad zatoką Puget Sound. Jessica zawahała się, teraz już naprawdę poważnie wystraszona. To odgałęzienie ścieżki prowadziło przez gęste zarośla dziko rosnących krzewów i drzew. Było tam znacznie ciemniej i nieporównanie bardziej niebezpiecznie niż w winnicy.

Tymczasem tajemnicza postać szła dalej równie pewnym krokiem, wciąż nieświadoma tego, że jest śledzona. Za parę chwil ostatecznie zniknie z oczu, ale śledzenie jej w takich warunkach byłoby podwójnie niebezpieczne. Jessica właściwie już była gotowa się wycofać, gdy nagle przypomniała sobie widziane ledwie przed godziną zdjęcie Cole'a - i to zadecydowało o wszystkim. Musi przełamać lęk, powiedziała sobie, bo jeśli tego nie zrobi, to już nikt Cole'owi nie pomoże, a jutro wieczorem w tej samej szmatławej gazecie ukaze się kolejny artykuł, tym razem oskarżający go na przykład o zabójstwo. ' Ścisnęła więc w dłoni pojemnik z aerozolem i ruszyła w ślad za znikającym cieniem.

Wijąca się w rzadziejących zaroślach, prowadząca na skały ścieżka nie była szczególnie stroma, a osobnik nie szedł nadmiernie szybko. Mimo to Jessica była już mocno zmęczona, kiedy w końcu doszli niemal do krawędzi urwiska nad oceanem. Była krańcowo wyczerpana nerwowo, ale chyba także i fizycznie. Jak dotąd udało się jej nie zdradzić swojej obecności. Schowała się za pniem ogromnego cedru, podczas gdy śledzony przez nią osobnik w habicie mnicha zarzucił dźwigany pakunek na ramię i poprzez niskie, ale gęste zarośla kolczastych krzewów skierował się do skupiska głazów, stanowiących spękane resztki olbrzymich niegdyś skał. W chwilę potem tajemniczy mnich był już przy jednym z tych ogromnych kamieni. Pochylił się niespodziewanie nisko i nagle po prostu znikł z oczu Jessiki.

Zerwała się miejsca. Gdzie on mógł się tak nagle podziać?

Ostrożnie podkraśla się do miejsca, gdzie mnich zniknął jej z oczu, przez cały czas trzymając w pogotowiu pojemnik z aerozolem. Spróbowała obejść dookoła całe to skupisko głazów i niespodziewanie poczuła jakiś chłodny powiew, który poruszył jej włosy. Strumień powietrza najwyraźniej wydobywał się z dość szerokiej szczeliny między głazami, a z głębi

dobiegał wyraźny odgłos oddalających się kroków. Za załomem skały zobaczyła miejsce, gdzie musiał zniknąć mnich. Był to częściowo ukryty za zaroślami otwór, wystarczająco duży, żeby można było przezeń wejść do środka bez konieczności pełzania czy choćby stawania na czworakach. To musiało być wejście do jakiejś ukrytej pieczary!

Weszła przez mroczny, niski otwór i przez chwilę nasłuchiwała odgłosu oddalających się kroków. Słysząc je było coraz słabiej i jakby coraz niżej. Jak głęboka mogła być ta pieczara? W chwilę po tym poczuła zapach dymu, co oznaczało, że ten ktoś tam w głębi zapalił pochodnię. Ruszyła powoli, trzymając się skalnej ściany i już po chwili ku swemu ogromnemu zaskoczeniu, zorientowała się, że droga w dół prowadzi po spiralnych, wykutych w kamieniu schodach. Zdała sobie sprawę, że to, co dotąd brała za pieczarę, było w rzeczywistości czymś w rodzaju wewnętrznej klatki schodowej, wykutej w skale urwiska i prowadzącej w dół. Ale dokąd?

Musiała się chyba zbliżyć do śledzonego mnicha, ponieważ zapach dymu był teraz silniejszy, a w głębi można było dostrzec pełgające błyski światła pochodni odbite od ścian jakiegoś tunelu. Jessica dotarła już do podnóża schodów i teraz starała się wcisnąć plecami w najgłębszą szczelinę w spękanej kamiennej ścianie. Na szczęście światło pochodni nie było zbyt jasne, mogła więc mieć nadzieję, że pozostanie nie zauważona, tym bardziej że miała na sobie ciemne sztruksowe spodnie i płaszcz. Rozejrzała się ostrożnie i zorientowała się, że skradając się w dół schodami dostała się do dużej pieczary, oświetlonej teraz bardzo skąpo przez jedną jedyną pochodnię, wetkniętą w specjalnie wykute zagłębienie. Tajemnicza postać w habicie była zajęta zapalaniem następnej pochodni, która w analogiczny sposób została umocowana na przeciwległej ścianie pieczary. Jessica mogła teraz widzieć więcej. W głębi dostrzegła jakieś migotanie, jakby odbicia światła pochodni w wodzie. Po chwili zorientowała się, że powierzchnia tej wody się porusza, w regularnym, bardzo powolnym rytmie. I wtedy ją olśniło - to musiał być ocean! Pieczara poprzez ukryty pod powierzchnią wody kanał miała połączenie z brzegiem zatoki!

Jako młoda dziewczyna przez wiele lat przychodziła tu właśnie na wybrzeże, ale oczywiście nigdy nie przyszło jej do głowy, że w sterczącej pionowo skale urwiska może być ukryta pieczara. Wejście od dołu musiało być parę metrów pod wodą nawet podczas odpływu, tak jak teraz. A podczas przypływu pewnie cała pieczara była zalana aż po schody. Spojrzała pod nogi i zobaczyła, że w niewielkich zagłębieniach rzeczywiście stoi woda, co potwierdzało jej stworzoną *ad hoc* teorię.

Ponownie podniosła wzrok na człowieka w ciemnym habicie, który właśnie wziął jedną z zapalonych pochodni, po czym podniósł złożony na płaskim kamieniu tajemniczy

pakunek i przeniósł go do sąsiedniej, mniejszej pieczary. Jessica po chwili namysłu postanowiła ruszyć za nim. Zmierzała w kierunku mniejszej pieczary, starając się unikać kałuż i luźnych kamieni i stawiając stopy szczególnie ostrożnie.

Doszła do wykutego w skale otworu, w którym przed chwilą zniknął tajemniczy mnich ze swym pakunkiem. Jessica postawiła nogę na czymś, co wyglądało jak spory okrągły kamień, ale natychmiast poruszyło się i po prostu uciekło spod nogi. W ostatniej chwili udało się jej zdusić rodzący się już w gardle krzyk przestachu na widok ogromnego kraba, który po nadeptaniu przez nią cofał się pośpiesznie, przełaząc w dodatku przez jej drugą stopę. Opanowała instynktowny lęk, ale gwałtownie zachwianej równowagi nie udało się już utrzymać. Jessica upadła do tyłu, wypuszczając w dodatku ściskany dotąd w dłoni pojemnik aerozolu, który z pluskiem wpadł w sam środek głębokiej kałuży. Sama Jessica klapnęła siedzeniem na część jakiegoś głazu, akurat płaską i suchą, ale nie była to wielka pociecha.

Hałasu narobiła wystarczająco dużo. Zamarła w nadziei, że może mimo wszystko nikt tego nie usłyszał, ale nadzieja okazała się płonna. Ktoś już biegł ku niej. Najpierw usłyszała szybko zbliżające się kroki, a potem zobaczyła postać w habicie - tuż przy sobie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

O, moja nocna astronomiczna pani! - usłyszała znajomy głos. Krańcowe napięcie musiało się w czymś rozładować. Jessica odrzuciła głowę do tyłu i zaczęła się śmiać jak szalona. Zdziwiony Cosimo pomógł jej stanąć na nogi.

- Och, Cosimo, nie masz pojęcia, jak się cieszę, że to ty!

- A ty myślałaś, że kto?

- Ten zbiegły więzień, Rogers! - otrzepała z grubsza swój płaszcz i spodnie.

- Ten skazany za morderstwo?

- Tak.

- Ale skąd pomysł, że właśnie ja mógłbym być tym mordercą?

Jessica szybko opowiedziała mu, jak to po powrocie do domu zobaczyła jakąś podejrzaną postać i jak w końcu postanowiła ją śledzić.

- Zrobiłam to głównie dlatego, że policja ostatnio chyba zaczęła podejrzewać Cole'a - dodała w końcu.

- Niccolo miałby mieć coś wspólnego z tymi zabójstwami? To niemożliwe!

- Powiedziałam im dokładnie to samo. Ale jeden z detektywów znalazł okulary Cole'a, pewnie gdzieś w pobliżu przeszukiwanego przez policję miejsca. Nie chcieli mi powiedzieć, gdzie - machinalnie Otrzepywała resztki błota i żwiru z pobrudzonych dłoni. - Zaczęłam się bać, Cosimo. Zdarzało się już przecież, że dla wykazania się szybkimi sukcesami policja wraz z prasą oskarżały Bogu ducha winnego człowieka. A Cole akurat teraz może być wręcz idealnym celem takiej nagonki.

- To bardzo źle - powiedział Cosimo po chwili zastanowienia. - Bardzo źle przede wszystkim dla winnicy św. Benedykta.

- Przede wszystkim dla Cole'a - zaprotestowała impulsywnie Jessica. - Dla Cole'a, na miłość boską! Nie myśl teraz o winnicy, Cosimo, zapomnij o niej!

- Nie mogę - odpowiedział spokojnie, ale stanowczo. - Jestem przecież jej Strażnikiem!

- Ale co Cole, zwłaszcza teraz, ma z tym wszystkim wspólnego? I co miał na myśli jego ojciec, kiedy parę dni temu wskazał na niego i powiedział jakieś niezrozumiałe słowo - „praw”, albo coś w tym rodzaju?

- Chcesz powiedzieć, że oboje wtedy rozmawialiście z Michaelem Cavanettim?

- Tak, ale bardzo krótko. Biedny pan Michael najwyraźniej musiał się czymś strasznie martwić, ale po wylewie prawie nie może mówić - bełkoce i bardzo trudno go zrozumieć.

Wtedy powiedział coś również o tobie, kiedy wymieniłam imię Cosimo. A potem jeszcze mówił chyba o Franku - że nie został wybrany, ale nie zrozumiałam, do czego. O co tu może chodzić? - Usilnie wpatrywała się w nieruchomą postać mnicha, starając się dostrzec choćby zarys twarzy pod kapturem. - Cosimo, powiedz mi, co to wszystko znaczy? Jesteś przecież Strażnikiem Winnicy, więc musisz coś wiedzieć!

Cosimo odwrócił się, jakby chciał odejść, ale Jessica zastąpiła mu drogę.

- Cosimo, proszę cię, powiedz mi coś!

- Po prostu zostaw to wszystko mnie. To wystarczy.

- Jak to - wystarczy? A co ty możesz zrobić?

- Mogę zrobić bardzo dużo.

- Na przykład rzucić urok na detektywa Turnera? - powiedziała ironicznie. Popatrzyła na mnicha i wojowniczo skrzyżowała ręce na piersiach. - Otóż wiedz, że ja też długo się nad tym wszystkim zastanawiałam. Między innymi nad dziwną zbieżnością czasową. Pojawileś się tu nagle, po długiej nieobecności, jednocześnie z przyjazdem Cole'a. A przedtem przez trzynaście lat nie było cię tu, podobnie jak i jego. Nie potrafię powiedzieć, na czym polega ten tajemniczy związek między wami dwoma, ale taki związek istnieje, prawda?

Cosimo milczał. Znów stał całkowicie nieruchomo i trwało to dłuższą chwilę. Gdzieś w podświadomości Jessiki pojawiło się nagle uczucie lęku, ale postanowiła, że się temu nie podda. Była zdecydowana poznać prawdę, jakakolwiek miałyby być.

- Nie pozwolę, żebyś poświęcił Cole'a dla jakichś tam tajemniczych celów, których nie rozumiem - oświadczyła stanowczo. - Cole nie może być ofiarą, Cosimo!

- I nie będzie - odparł mnich. - Absolutną koniecznością jest tylko jedno - żeby pozostał w winnicy Św. Benedykta. Jak sądzisz, dlaczego nakłaniałem cię, żebyś wyznała mi swoją miłość? Przede wszystkim dlatego, że w takim przypadku pozostanie tutaj, ożeni się z tobą i przejmie dziedzictwo. To on jest tym, który ma kontynuować tradycję!

Oszołomiona Jessica nie zdobyła się na żadną odpowiedź.

- Jestem Strażnikiem Winnicy, Jessico. A to znaczy, że muszę przedkładać moje obowiązki nad wszystko inne. Nawet nad uczucia.

- Jakie uczucia? - spytała zaskoczona. Mnich milczał.

- Miłości i pożądania - odpowiedział w końcu. - Bo jestem do nich zdolny. Bo ja też mam serce! - To ostatnie zdanie niemal wykrzyczał gdzieś ku górze, tak że poszczególne słowa odbiły się echem od sklepienia pieczary.

Uczucia miłości i pożądania!

Jessica cofnęła się chwiejnie, przerażona dojmującym, dziwacznym bólem, który

zdawał się rozrywać jej serce i duszę jednocześnie. Patrzyła na mnicha, jak wolno opuszcza wciąż zakrytą kapturem głowę, a cała jego postać, jeszcze przed chwilą wyprostowana, nagle się pochyła i garbi w wyrazie żalostnej bezradności.

- Cosimo... - zaczęła i urwała. Chciała wyciągnąć rękę i dotknąć go, ale jednocześnie z jakiegoś powodu obawiała się jego nieopanowanej reakcji.

- Czy wiesz, jak ja cierpię, moja nocna pani? - zapytał prawie szeptem. - Jak cierpię, kiedy mówisz mi o swej miłości do Cole'a, kiedy zmuszasz mnie, żebym był powiernikiem twego serca?! Czy w ogóle zdajesz sobie sprawę, że przecież ja też wciąż mam serce, równie prawdziwe jak jego i twoje?!

- Równie prawdziwe? - spytała zaskoczona. - Ale jak to w ogóle możliwe? Jesteś przecież...

- No właśnie! Kim jestem, Jessico? - obrócił się ku niej. - Kim jestem? Nie jestem duchem! I nie jestem upiorem! - Wyciągnął rękę i nim Jessica zdążyła się cofnąć, chwycił ją za nadgarstek. - Duchy i upiory nie mogą dotykać, nie mają ciała, podczas gdy ja je mam! - Podniósł drugą dłoń ku twarzy, wciąż ukrytej pod zasłoną kaptura. Jessica patrzyła na niego nieco przerażona, ale też i zafascynowana tym, co mogło kryć się w tym cieniu.

- Duch ani upiór nie mógłby złożyć pocałunku na dłoni pięknej kobiety tak, jak ja to czynię.

Jessica poczuła na grzbiecie swej dłoni delikatne dotknięcie gorących i jednocześnie czułych warg. Poczwała nawet leciutki dotyk jego zębów i jego wilgotny oddech tuż nad skórą jej dłoni, kiedy szeptem wymawiał jakieś imię. Bała się, ale nie cofnęła ręki, świadoma ogromu cierpień, jakie przeżywał Cosimo.

- Jestem mężczyzną, Jessico. Mężczyzną, który przez całe swoje życie kochał tylko jedną kobietę. Ale ta kobieta nigdy ostatecznie nie została z nim. A teraz ten mężczyzna musi się pogodzić z tym, że ona znów nie będzie jego kobietą. Ani teraz, ani już nigdy - na przestrzeni całej nieskończonej rzeki czasu.

- Cosimo, na miłość boską, o czym ty mówisz?!

- Mówię o tobie, moja damo, moja nocna pani! - odpowiedział, puszcżając jej rękę. - O tobie, która - być może na szczęście - już nie potrafisz sobie przypomnieć straszliwie okaleczonej twarzy twego rycerza, twego ukochanego barona.

Jego zagadkowe słowa zdawały się odbijać głuchym echem od ścian pieczary. Jessica rozglądała się półprzytomnie, jak gdyby chciała dostrzec gdzieś w przestrzeni obrazy, które te jego słowa próbowały wywołać. Echo ich już milkło, ale w jej świadomości, czy może raczej podświadomości, nagle coś się obudziło. Przypominała sobie kochającego ją

średniowiecznego barona. Pamiętała też to samo dotknięcie jego gorących warg na skórze dłoni i to samo brzmienie głosu. Te niejasne wspomnienia ciągnęły się z jakiejś niewyobrażalnie odległej przeszłości.

- Miałem nadzieję, że będziesz mnie pamiętać, albo przynajmniej będziesz pamiętać mój głos. Ale pomyliłem się, niestety. Nie pamiętasz nic. Być może przeceniłem głębię miłości tamtej kobiety do mnie.

- Mogę tylko powiedzieć, że naprawdę ci współczuję, Cosimo - powiedziała Jessica. Cosimo wzruszył ramionami, ale Jessica mówiła nadal.

- Wierz mi, że bardzo chciałabym to pamiętać. Jestem pewna, że kimkolwiek była ta kobieta, ta niezwykła średniowieczna dama, z pewnością cię kochała.

- Tą kobietą byłaś ty, Jessico.

- Nie, Cosimo. Ja żyję teraz, w dwudziestym wieku. A ona w dwunastym!

- Ale ona nadal jest gdzieś w środku, w tobie. Pozostaje - wiem o tym na pewno - jako niejasne odczucie, jakieś rozmywające się w pamięci wspomnienie... Ale pozostaje, tylko ty już nie przypominasz sobie tego.

- Przypomniałabym sobie i pamiętałabym, gdybym tylko mogła. Cosimo, wierz mi, proszę. Uważam cię za wspaniałego mężczyznę, który nauczył mnie bardzo wiele. Ale moje serce należy do Cole'a. Zawsze do niego należało i ty o tym wiesz.

Cosimo tylko wzruszył ramionami i westchnął.

- Chodźmy - powiedział i wyciągnął do niej dłoń. - Odprowadzę cię z powrotem do domu.

Wspięli się schodami aż do ukrytego w skałach wyjścia przy urwisku, a potem tą samą co poprzednio drogą doszli do wąskiej ścieżki, prowadzącej w górę przez winnicę. Cosimo szedł przodem, a Jessica za nim. Przez cały czas patrzyła na niego, współczując mu całym sercem i martwiąc się jego cierpieniem. Chciałaby mu jakoś pomóc, ale jednocześnie wiedziała, że to po prostu niemożliwe. Zastanawiała się też, jakie tajemnicze i sięgające aż tak odległych czasów związki mogły go łączyć z Cole'em. Czowała, że te więzi muszą być ogromnie ważne i już wiedziała na pewno, że nie tylko chce, ale wręcz musi je poznać.

Wspinali się zboczem prowadzącym do domu i werandy od strony pokoi gościnnych. Ostatnią, najbardziej stromą część drogi, przeszli już wolniej. Rzekomo nieprzemakalne buty Jessiki przemiekły do szczętu, włosy miała oblepione mokrym śniegiem, a ręce zupełnie przemarznięte. W dodatku czuła się nieszczęśliwa, nie tylko z powodu Cole'a, ale także ze względu na to, że przed chwilą okłamała brata Cosimo. W rzeczywistości coś przecież jednak pamiętała - w nagłych przebłyskach wracała do niej ta niepojęta przeszłość sprzed wieków. Z

drugiej jednak strony wołała mu się do tego nie przyznawać, obawiając się, że Cosimo mógłby ponownie podjąć próbę jej zahipnotyzowania.

Kiedy już byli niezbyt daleko domu i wejścia do pokoi gościnnych, Jessica niespodziewanie dostrzegła tam jakiś ruch. Światło padające od zawieszanej przed gankiem latarni było dość słabe, ale wystarczyło, żeby zobaczyć, że okno łazienki, przylegającej bezpośrednio do sypialni Cole'a, otworzyło się niespodziewanie i jakaś smukła postać kobieca z zarzuconym na ramiona płaszczem zeskoczyła z tego okna na ziemię. Jessica rozpoznała ją natychmiast. To była Shawn, która szybkim krokiem obeszła przybudówkę od tyłu i skierowała się prosto do domu Cavanettich, nie zauważywszy nawet, że ktoś to wszystko obserwuje.

Jessica wzdrygnęła się, gdy Cosimo nagle położył dłoń na jej ramieniu.

- Przepraszam cię - powiedział bardzo łagodnie. - Nie zamierzałem cię przestraszyć.

Jessica nie była w stanie wydobyć z siebie nawet słowa, tak bardzo była zszokowana widokiem Shawn wykradającej się nocą przez okno łazienki Cole'a.

- Chciałem ci tylko powiedzieć - kontynuował Cosimo - że to wcale nie jest to, co myślisz.

- Nie to, co myślę?! - Była tak wściekła, że nagle odzyskała głos. - To znaczy, że nie widziałam tego, co widziałam? No więc proszę, wytłumacz mi to! I dlaczego nagle tak bronisz Cole'a, chciałabym wiedzieć? Znów w interesie winnicy?

- Chodzi o coś zupełnie innego, ale nie dajesz mi dojść do słowa.

- Shawn też może mieć dzieci. Czemu więc nie miałbyś pozwolić jej i Cole'owi na podtrzymywanie tej tradycji?!

Cosimo w końcu musiał ją chwycić za oba ramiona i mocno przytrzymać, ponieważ przez cały czas próbowała mu się wyrwać.

- Jessico, posłuchajże mnie wreszcie! - huknął na nią tak głośno, że aż zamrugła powiekami. - Niccolo nie zrobił nic złego.

- A Shawn wyskoczyła z jego okna ot tak sobie, bez żadnego konkretnego powodu?

- Nic między nimi nie zaszło, możesz mi wierzyć.

- Ciekawe, skąd ty to możesz wiedzieć? Czyżbyś miał zdolność widzenia przez mury?

- Znów próbowała mu się wyrwać. Chciała uciec do swego pokoju, rzucić się na łóżko i wypłakać całą swą rozpacz. Jak Cole mógł jej to zrobić?! Wybrać Shawn zamiast niej! - Puść mnie, Cosimo! - krzyknęła. - Nie masz prawa mnie zatrzymywać!

Ale Cosimo ścisnął jej ręce tak mocno, że przestała się wyrwać i naprawdę się przestraszyła. Najwyraźniej nie miał zamiaru jej puścić, a z pewnością był od niej dużo

silniejszy.

- Nie walcz ze mną, proszę - mówił Cosimo. - I posłuchaj mnie wreszcie, bo to bardzo ważne. Tylko ty należysz do tego naszego wspólnego świata, do winnicy św. Benedykta! Ty, a nie Shawn i nie Isabella. Wiem, co mówię, możesz mi wierzyć!

- Wierzyć? Ja nie wierzę już nikomu! A tym bardziej tobie, z tymi twoimi stałymi sekretami i z wiecznie zasłoniętą twarzą! Jeżeli naprawdę chcesz, żebym ci wreszcie zaufała, jeżeli chcesz, żebym ci pomogła uratować winnicę - musisz w końcu zacząć odpowiadać na moje pytania.

Cosimo patrzył na nią w milczeniu.

- Te odpowiedzi mi się należą. Nie uważasz?

- Tak - odpowiedział Cosimo. - Należą ci się. Rozluźnił uścisk i pozwolił jej cofnąć się o krok.

- Chodź ze mną - powiedział. - Zamiast tłumaczyć, po prostu ci coś pokażę.

Przeszedł werandę i otworzył drzwi wejściowe, po czym skierował się prosto ku sypialni Cole'a. Zaskoczona Jessica szła za nim, zastanawiając się, co też robi Cole, gdy nagle w środku nocy do jego pokoju wejdzie mnich? I to w jakim celu? Żeby z pozycji osoby świątobliwej pouczyć go o niewłaściwości przyjmowania żony brata w swoim łóżku? Cosimo zatrzymał się i otworzył przed nią drzwi. Jessica machinalnie odgarnęła włosy z czoła i weszła do środka.

W sypialni było wręcz gorąco, zwłaszcza w porównaniu z temperaturą na zewnątrz. Jessica pośpiesznie rozcierała zmarznięte dłonie, ale też od razu skierowała wzrok w stronę nie zasłanego łóżka, na którym, twarzą w dół, leżał Cole. Miał na sobie pasiasty ciemnoczerwony szlafrok, a w zaciśniętej dłoni trzymał jakąś kopertę. Cały pokój zastawiony był wypchanymi aż po brzegi torbami z supermarketów, a także innymi podobnymi paczkami w najróżniejszych firmowych opakowaniach. Na nocnym stoliku obok telefonu stała też szklanka wina. Cole w ogóle nie zareagował na ich wejście. Albo był pijany, albo po prostu spał aż tak głęboko.

Cosimo popatrzył na Jessikę.

- Obudź go! - powiedział.

Spojrzała na niego zaskoczona, ale Cosimo najwyraźniej powiedział to serio. Stał teraz nieruchomo, skrzyżowawszy ręce ukryte w rękawach habitu. Jessica podeszła do łóżka i spróbowała najpierw delikatnie, a potem coraz mocniej potrząsać śpiącego za ramię.

- Cole... - powiedziała półgłosem. A potem już głośniej: - Cole, obudź się! - Ale śpiący nawet się nie poruszył. Pociągnęła go więc za rękę tak mocno, jak tylko potrafiła.

Nadal bez rezultatu.

- Nie mogę go obudzić - powiedziała i wyprostowała się.

- No właśnie - odpowiedział Cosimo. - Shawn też nie mogła.

- W jaki sposób możesz być tego aż tak pewny?

- Ponieważ Cole będzie tak spał dopóty, dopóki ja nie zdecyduję, że ma się obudzić.

- Zahipnotyzowałaś go! - wykrzyknęła i mimo woli położyła dłoń na odwróconej głowie Cole'a, jak gdyby zamierzała go osłonić.

- Nie - Cosimo uśmiechnął się. - Nazwijmy to raczej tak: Niccolo czasowo znalazł się w stanie, w którym pozwala mi się z siebie wydostać.

- Nie rozumiem. Co to znaczy - wydostać? Więc ty jesteś w nim? Jak to możliwe?

- Sam tego nie wiem. Po prostu tak jest między nim i mną. Tylko wtedy, gdy on śpi lub - jeśli wolisz - gdy jest nieprzytomny, ja zyskuję swobodę poruszania się. Na ten czas staję się wolny.

- Nadal tego nie rozumiem - powiedziała Jessica.

- To jest część tego ciągnącego się od średniowiecza dziedzictwa, związanego z winnicą. I stary pan Cavanetti właśnie o tym usiłował wam powiedzieć.

- Ale czym miałyby być to dziedzictwo?

- W jakimś sensie to jest przede wszystkim pamięć. Zbiorowa pamięć tej naszej linii Cavanettich. Cole nosi ją w sobie.

- Tę „pamięć zbiorową”? Ale co to znaczy?

- Znaczy tyle, że Cole - jeśli tylko zechce - może sobie całą tę przeszłość przypomnieć. Niezwykle wyraziście i ze wszystkimi szczegółami.

- I ty też masz podobną pamięć?

- Nie, Jessico. Ja nie mogę jej mieć, ponieważ jestem pierwszy. To ode mnie ileś tam wieków temu zaczął się nasz ród.

Powiedział to spokojnie i prawie zwyczajnie, ale Jessica i tak poczuła nagły dreszcz, przebiegający wzdłuż kręgosłupa.

- Przy normalnym stanie rzeczy mój duch niejako rezyduje wewnątrz umysłu Cole'a, będąc po prostu częścią jego pamięci. I częścią rodzinnej tradycji naszego szczególnego stosunku do winnicy. Rzecz jedynie w tym, że jego duch lub - jeżeli wolisz - jego osobowość jest tak silna, że pozwoliła mu stłumić całą tę pamięć, wciąż przecież tkwiącą w głębi jego duszy. I to stłumić tak mocno, że potrafił się wyrzec wszystkiego i zachowywać tak, jakby tej pamięci nigdy w nim nie było.

Jessica poczuła kolejny, jeszcze bardziej dojmujący dreszcz. Nagle zrozumiała wiele

rzeczy.

- Więc te jego nagłe omdlenia... ?

- Są rezultatem straszliwej duchowej walki, jaka teraz się w nim toczy. Jedno ci mogę powiedzieć, Jessico. Cole nie może już dłużej negować istnienia w nim tego dziedzictwa. Mój duch jest w tym względzie równie silny jak jego. A jako Strażnik Winnicy jestem po prostu zmuszony walczyć z nim i zadawać mu te cierpienia, dopóki nie podejmie obowiązku, który złożyły na nim całe wieki. Póki ostatecznie nie przejmie tego dziedzictwa, omdlenia będą się powtarzać coraz częściej.

- A jak to się dzieje, że... że ty się wtedy pojawiaasz?

- Przestaję wtedy być tylko częścią jego pamięci i zaczynam istnieć samodzielnie. O czymś takim pisuje się przecież i u was, w różnych książkach w rodzaju *Życie po życiu*.

Jessica znów popatrzyła na niego.

- Ale ty wcale nie przypominasz postaci z tamtych opisów. Mogłeś mnie dotknąć, twoje dłonie i wargi były ciepłe, jak u kogoś w pełni żywego. Nigdy o czymś takim nie słyszałam.

Cosimo wzruszył ramionami.

- Być może stało się tak dlatego, że przez całe życie nigdy nie stawiałem sobie żadnych ograniczeń. I nie przyjmowałem ich od nikogo. Taki już byłem - i widocznie zostałem.

Jessica jeszcze raz popatrzyła na niego, a potem obróciła się do Cole'a.

- Tak więc za każdym razem, gdy Cole nagłe traci świadomość, ty się pojawiaasz?

- Właśnie tak.

- Więc dopóki ja widzę ciebie, Cole nie może odzyskać świadomości ani się obudzić?

- Rzeczywiście. Ale nie zapominaj, że tylko bardzo nieliczne osoby mogą mnie widzieć. Gdyby na przykład teraz weszła tu Shawn czy też Lucy, zobaczyłyby tylko ciebie.

- A dlaczego ze mną jest inaczej niż z nimi?

- Czy ja wiem? - Cosimo podszedł do okna i przyglądał się płatkom śniegu, padającym coraz gęściej. - Być może jest tak, że i w tobie - jako część twojej pamięci - żyje jakaś kobieta sprzed wieków. Może ta, którą znałem? I że akurat w tobie ma - być może - odrobinę więcej swobody?

- To znaczy, że we mnie też trwa ta pamięć zbiorowa?

- Ona jest w każdym z nas, ale zazwyczaj jest bez reszty stłumiona. Natomiast u mężczyzn z rodu Cavanettich ta właśnie pamięć wciąż wydaje się niezwykle silna, znacznie bardziej niż to się spotyka.

Jessica pochyliła się nad wciąż uspionym Cole'm i pogłaskała go po włosach.

- Co zatem powinien robić Cole, żeby już nie mieć tych nagłych omdleń?

- Musi wrócić do winnicy i przyjąć na siebie swoją rolę, wynikającą z dziedzictwa i tradycji. Stać się właścicielem tej winnicy i sam wytwarzać w niej wino.

- I wtedy ty - jego praprzodek - będziesz usatysfakcjonowany?

- Och, moja droga pani nocy! - Cosimo spojrzał na nią przez ramię, a potem z wolna obrócił się w jej stronę. - Teraz, kiedy miałem okazję dowiedzieć się, jaka jesteś niezwykła, będzie mi szczególnie trudno czuć się usatysfakcjonowanym. Zwłaszcza w pełni.

Frank stał ukryty za krzewami obok kapliczki i czekał, aż Shawn go minie. Słyszał obcasy jej botków, stukających o kamienne płyty ścieżki. Szła opatulona w narzucony na ramiona płaszcz, trzymając go mocno, by nie porwał go silny grudniowy wiatr, zacinający płatkami śniegu prosto w jej twarz.

Frank obserwował, jak rozejrzała się, po czym chyłkiem weszła do środka. Skrzywił się, wychodząc zza osłony kolczastych krzewów, i poszedł za nią.

Rozmyślnie pozwolił, by drzwi kapliczki trzasnęły za nim. Shawn, która właśnie zapalała papierosa, podniosła głowę i w rezultacie płomień trzymanej przez nią zapalniczki przez chwilę jałowo palił się w powietrzu gdzieś obok jej warg. Frank uznał to za swój sukces - wreszcie udało mu się ją zaskoczyć. Z satysfakcją napawał się widokiem drżącego - przynajmniej jego zdaniem - i wciąż nie zapalonego papierosa w kąciu jej ust. Shawn była wyraźnie speszona.

- Wpadliśmy na papieroska? - zapytał szyderczo. - Czyżby mój braciszek nie pozwalał palić w łóżku?

Shawn kompletnie go zignorowała, koncentrując się na przypalaniu papierosa, który dla pewności osłoniła dłonią. Potem bardzo powoli zaciągnęła się i schowała zapalniczkę do kieszeni. To wszystko dało jej wystarczająco dużo czasu, by opanować się przynajmniej na tyle, że w jej oczach znów błysnęła wyzywająca bezczelność. Ale wciąż można było dostrzec w nich także i pewne zaniepokojenie, a jej dłoń z papierosem rzeczywiście lekko drżała. Bardzo dobrze, pomyślał Frank. Może wreszcie zrozumiała, że tym razem naprawdę przebrała miarę.

Shawn wypuściła niebieski obłoczek dymu i spojrzała na męża.

- Nie wiem, co ci się znów roi, skarbie - leniwie przeciągała słowa - ale powiem ci jedno: gównu wiesz, jak zawsze.

Wysunęła różowy koniuszek języka, wypluwając jakieś żdźbło tytoniu. Franka ten widok podrażnił, ale i podniecił jednocześnie.

- Wiem, u kogo byłaś, Shawn, więc nie próbuj mi kłamać!

- A więc mnie śledziłeś?! - Popatrzyła na niego z pogardą i nienawiścią. - Ty sukinsynu!

- Tak, śledziłem cię. Chciałem wiedzieć, jak nisko potrafisz upaść.

- Po prostu potrzebowałam ludzkiego towarzystwa.

- Towarzystwa, akurat! Poszłaś tam, żeby wleźć do łóżka Cole'a. Do łóżka mojego brata! Na miłość boską, Shawn, czy w tobie nie ma już nawet odrobiny najzwyczajniejszej przyzwoitości?

- Twój brat to przynajmniej kawał chłopca... i do tego prawdziwy mężczyzna. Taki, który potrafi mi dać to, czego potrzebuję. A skoro mój mąż tego nie potrafi, idę tam, gdzie mogę to znaleźć.

- Zdzira!

- Możesz mnie wyzywać jak tylko zechcesz, gównu mnie to obchodzi. Mam już po uszy ciebie i twego piskliwego głosu. I tego twojego mizernego i wiecznie obwisłego...

- Zamknij się! - wrzasnął Frank, chwytając ją za ramię z niespodziewaną siłą. - Stul ten swój pysk, bo...

Próbowała mu się wyrwać, ale bez skutku. Trzymał ją mocno. Tym razem nie będzie mogła po prostu odejść i zignorować go, jak zawsze.

- Masz się trzymać z daleka od Nicka! Zrozumiałaś?

Shawn tylko wyduła wargi.

Rozwścieczony Frank zaczął nią potrząsać.

- Zrozumiałaś?!

Ale Shawn wciąż patrzyła na niego drwiąco i bez lęku.

- To ty powinieneś go sobie obejrzeć - powiedziała. - Jeżeli chcesz wiedzieć, jak wygląda naprawdę wielki...

- Zamknij się, co cholery! - wrzask Franka nagle się załamał, a on sam poczuł się tak, jak gdyby w tym momencie coś w nim pękło. Huczało mu w uszach, nie słyszał już jej głosu, nie widział też twarzy Shawn, tylko jakąś rozmazaną czerwoną plamę. Pełen wściekłości i obrzydzenia odepchnął ją od siebie z całą siłą. Huczenie w uszach ustało, ale za to niemal w tej samej chwili dał się słyszeć odgłos nagłego uderzenia w drewno, a potem trzask metalu spadającego na kamienną podłogę.

Frank zamrugał. Shawn wywróciła się wprost na ołtarz, zrzucając dwa wielkie srebrne świeczniki i dodatkowo ściągając haftowany obrus. Z trudem podniosła się na nogi i z wściekłością odrzuciła nie dopalonego papierosa.

- Ty skurwysynu! - wrzasnęła. Obróciła się na pięcie, zamierzając wyjść, ale Frank rzucił się w ślad za nią i chwycił ją za włosy. Z całą siłą ciągnął jej głowę do tyłu i w dół, dopóki na twarzy Shawn nie pojawił się grymas bólu. Mógł ją teraz trzymać w ten sposób dowolnie długo i z satysfakcją zauważył, że tym razem jest naprawdę przestraszona. Ale ten jej lęk także go podniecił. Pochylił się do jej ucha.

- Jeżeli jeszcze kiedykolwiek przyłapię cię z jakimś innym mężczyzną, to możesz być pewna, że... Rozumiesz mnie, Shawn?

- Rozumiem! - odpowiedziała. Miała zaciśnięte zęby, ale i tak udało się jej splunąć mu pod nogi. - Rozumiem, że byłeś, jesteś i pozostaniesz ostatnim skurwysynem!

Frank zaczął szarpać nią ponownie, tym razem na boki, żeby straciła równowagę. Miał nadzieję, że upadnie na plecy, a wtedy on przydusi ją do ziemi i nacieszy się nią tu, na podłodze w kaplicy. To będzie dla niej najlepsza lekcja zrozumienia.

Shawn rzeczywiście straciła równowagę, ale w sposób dużo groźniejszy, niż przypuszczał. Jeden z jej obcasów zakleszczył się w ukruszonym rogu kamiennej płyty podłogi i to sprawiło, że zachwiała się nadszpiewanie mocno i z całą siłą poleciała głową do tyłu. Frank usłyszał tylko głuchy odgłos uderzenia czaszki o krawędź ławki, i już po chwili jego żona leżała nieruchoma, niczym rzucony na kamienną podłogę stos luksusowych koronek z dodatkami z lśniącej czarnej skóry.

- Zdzira! - powtórzył Frank. Bardzo dobrze się stało, powiedział sobie w duchu. Niech teraz tak poleży! Rano zbudzi się z potwornym bólem głowy i może to ją wreszcie nauczy, że powinna dwa razy pomyśleć, zanim znów spróbuje mu wykręcić podobny numer. Może nie powinien był potraktować jej aż tak ostro, ale za to ona zapamięta to sobie na długo i odtąd będzie się z nim liczyć.

Podszedł bliżej, ale Shawn nawet na niego nie spojrzała. Najpewniej liczyła na to, że ją tu zostawi i sobie pójdzie, a wtedy ona będzie mogła pobiec do Nicka, żeby poszukać pociechy i przy okazji oskarżyć męża o brutalne traktowanie. No więc - jeśli taki właśnie był jej plan - bardzo się pomyliła! Frank miał zamiar zostać przy niej, dopóki sama się nie podniesie.

- No dobra, Shawn, dosyć już tego - powiedział cierpko. Ponieważ ciągle leżała bez ruchu, Frank czubkiem buta pchnął jej pośladek, i to wcale mocno. Ale ona mimo to nawet nie spojrzała w jego stronę.

- Shawn, przestań już wreszcie. Wstawaj, ty cholerna wywłoko!

Nadal nie ruszała się z miejsca. Frank westchnął, pochylił się i chwycił ją za rękę. Ale jej drobna dłoń okazała się bezwładna jak u szmacianej lalki.

Fala lodowatego lęku sprawiła, że zapomniał o gniewie. Pochylił się nad żoną i przyjrzał się jej uważnie. O Boże, czyżby naprawdę nie żyła? Ale już po chwili zauważył, że drobna żyłka na jej szyi nadal pulsuje. A więc jednak jej nie zabił...

- No dobra, dosyć tego, Shawn! Obudź się wreszcie! - powiedział nienormalnie wysokim głosem. Dopiero co Shawn oskarżała go, że mówi piskliwie - no więc przynajmniej teraz tego nie usłyszała. Podrapał się w tył głowy i rozejrzał się bezradnie. Co właściwie mógł zrobić w takiej sytuacji? Może jednak wezwać lekarza? Obrócił się i pobiegł w stronę drzwi. Matka, oczywiście! Ona już będzie wiedziała, co zrobić. Wyciągnie go z tego.

Niedługo potem Isabella już biegła w stronę kaplicy, a za nią Frank z jej futrzaną etolą, jako że matka wybiegła z salonu z najwyższym pośpiechem, nawet nie narzucając nic na siebie. Niezborne i urywane wyjaśnienia Franka trudno było zrozumieć, postanowiła więc, że sama jak najszybciej przyjrzy się obrażeniom, jakie odniosła synowa. Franka odesłała już od samych drzwi kaplicy, polecając mu, żeby pobiegł na górę po jakiś koc dla okrycia Shawn.

A ta leżała na kamiennej podłodze, nadal nieruchoma. Nie zareagowała, kiedy Isabella głośno ją zawołała. Kiedy zbliżyła się jeszcze o parę kroków, zobaczyła wielki i mocno już podbiegły krwią guz tuż nad skronią, w miejscu, którym Shawn musiała uderzyć o drewnianą krawędź ławki. Przez chwilę Isabella stała nad synową w milczeniu, wstrząśnięta głównie tym, że oto na własne oczy widzi Shawn zupełnie inną niż zawsze - cichą i całkowicie bezsilną. Czyż to nie głupie, przywracać taką dziewczuchę do normalnego stanu? - pomyślała mimo woli.

Szybko jednak odrzuciła natrętne myśli. Sięgnęła po poduszeczkę z pobliskiego klęcznika i pochyliła się, zamierzając ją wsunąć pod głowę Shawn. I wtedy dobiegły ją ledwie słyszalne słowa synowej.

- A to skurwysyn! Własny mąż... - Shawn wciąż nie otwierała oczu, a jej głos był cichy i niewyraźny.

Isabella zdrętwiała. I nagle zdała sobie sprawę, że istnieje prosty sposób na to, by Shawn już na zawsze pozostała tak cicha i niegroźna, jak jeszcze przed chwilą. W dodatku było to niezwykle łatwe do wykonania, a podobna okazja mogła się już nigdy nie powtórzyć. Isabella w jednej chwili przyklękała nad nią i mocno przycisnęła poduszeczkę do ust i nosa Shawn, całkowicie uniemożliwiając jej oddychanie. Shawn przez krótką chwilę próbowała się jeszcze szamotać, próbowała unieść ręce w geście bezsilnej obrony, ale w kilkadziesiąt sekund znieruchomiała już ostatecznie.

Isabella zdążyła zdjąć poduszeczkę z jej twarzy akurat w momencie, gdy drzwi się otworzyły i wbiegł zdyszany Frank.

- Tu jest ten koc - zawołał, biegnąc ku niej. Isabella podniosła się z klęczek.

- Za późno, Frank - powiedziała, wciąż trzymając poduszczkę w dłoni i ukradkiem spoglądając w dół, na Shawn. Sprawdzała, czy nie dostrzeże jeszcze jakichś oznak życia - mając nadzieję, że jednak nie.

- Co to znaczy „za późno”? - spytał przerażony.

- Właśnie wzięłam tę poduszczkę, by podłożyć jej pod głowę. Ale kiedy się nad nią pochylałam, zdałam sobie sprawę, że już nie oddycha.

- Co takiego? - Twarz Franka nagle zrobiła się szara. Ukląkł obok Shawn.

- Ona nie żyje, synku. Ten upadek musiał ją zabić.

- Ale jeszcze oddychała, kiedy wybiegłem.

- Najpewniej miała jakiś wylew do mózgu lub coś w tym rodzaju. Frank ukrył twarz w dłoniach.

- O Boże, Boże! - jęknął.

- Frank, to był tylko fatalny wypadek - Isabella położyła dłoń na ramieniu syna. - Nie można było nic na to poradzić.

- Mamo, to ja ją pchnąłem. Nie chciałem jej zrobić krzywdy, ale ona swoim zachowaniem tak mnie rozwścieczyła...

- Ty ją pchnąłeś? - Isabella jeszcze raz spojrzała na Shawn. Frank skinął głową.

- Tak, mamo. Jaja zabiłem - czy ty tego nie widzisz?!

Isabella wyprostowała się.

- Jedyne, co widzę, to oczywisty fakt, że to był wypadek. Znam cię wystarczająco długo. Nigdy nie zdarzyło się, żebyś komukolwiek celowo zrobił krzywdę - położyła dłoń na głowie syna. - Wiem, że teraz musisz się czuć okropnie, ale też, Bogiem a prawdą, sama Shawn wręcz prosiła się o to. Takie jak ona często kończą gwałtowną śmiercią. I być może wcale nie powinniśmy rozpaczać, że tak się stało.

Frank patrzył na nią szeroko rozwartymi oczami.

- Mamo, jak możesz mówić coś podobnego?!

- Były z nią same kłopoty, Frank. Puszczala się, z kim tylko się dało, sam mi to mówiłeś. A w stosunku do mnie nie tylko zawsze była arogancka, ale nawet próbowała mnie szantażować. Twierdziła, iż ma jakiś list, który jakoby dowodzi, że mój ślub z twoim ojcem jest nieważny. W sumie więc to lepiej dla nas obojga, że wskutek tego wypadku nie żyje.

- Ale przecież...

- Musisz tylko coś zrobić z jej ciałem, Frank. Ja zajmę się jej rzeczami. Każdemu, kto nas o to zapyta, odpowiemy, że po prostu się na nas wściekła i wyjechała bez pożegnania. W

końcu przez ostatnich kilka dni nasze kłótnie rzeczywiście słyhać było w całym domu. Maria z pewnością potwierdzi, że Shawn musiała już mieć tego dość i zapewne postanowiła wyjechać.

- Ale...

- Ja posprzątam ten cały bałagan tu w kaplicy, a ty tymczasem zajmij się ciałem - Isabella położyła poduszeczkę z powrotem na klęcznik, po czym podeszła do ołtarza i pochyliła się, żeby podnieść obrus i świeczniki. - No już, Frank! Musisz być mężczyzną i naprawdę wziąć się w garść!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Cole kolejny raz poprawił się w twardym fotelu, ustawionym obok łoża, w którym leżała Giovanna. Niewidzącym wzrokiem patrzył na trzaskający w kominku ogień. Od co najmniej kilku dni stan pacjentki stale się poprawiał i Cole wiedział już, że chora wyzdrowieje. Co prawda nadal nie odezwała się, ani nawet nie otworzyła oczu, ale po dwóch tygodniach podawania ziołowych wyciągów i odżywek twarz Giovanny wyraźnie nabrała kolorów, po krańcowym wychudzeniu nie pozostało nawet śladu, a jej cera znów zaczęła przypominać brzoskwinie - tak jak przed laty.

Cole zdawał sobie sprawę, że jego zadanie dobiega końca, a to oznaczało też, że ich wspólne dni były już policzone. Uświadamiał to sobie z ciężkim sercem. Nie chciał jej pozostawiać, ale wiedział, że tak czy inaczej będzie to nieuniknione. Giovanna była kobietą zamężną, a on sam musiał wracać do klasztoru, który w końcu dał mu schronienie przed światem, kiedy po straszliwych okaleczeniach nie był w stanie pokazywać się ludziom na oczy bez wprawiania ich w przerażanie.

Tylko Giovanny te okaleczenia nie odpychały. Cole zastanawiał się, jak to się mogło stać, że mimo jego wyglądu ona - tak przecież piękna - potrafiła patrzeć na niego, całować go i mówić mu, że go kocha.

Oparł podbródek na dłoni i spoglądając w ogień przypominał sobie dni i noce, które w okresie rekonwalescencji spędzał sam na sam z Giovanną. Teraz kochał ją co najmniej równie mocno jak wtedy, ale też zdawał sobie sprawę, że ta miłość nie ma już żadnych szans i że poniesie ją ze sobą do grobu, nigdy nie zaznawszy słodczy wspólnego życia.

- Panie mój?

To wprost nie do uwierzenia, jak wyraźnie i żywo dźwięk jej głosu potrafił wciąż brzmieć w jego pamięci. Jak gdyby mówiła do niego w tej chwili - a przecież minęło już dziesięć lat. Odwrócił wzrok od kominka i spojrzał w stronę łoża. I nagle zerwał się na równe nogi.

- Giovanni!

Obudziła się! I patrzyła na niego z uśmiechem, również i wtedy, gdy Cole pośpiesznie podbiegł do jej łóżka i pochylił się nad nią. Nadal nie przerażała jej jego okropna twarz.

- A więc to ty! - powiedziała, uśmiechając się nadal. - Wiedziałam to! Wiedziałam!

- Odzyskałaś przytomność! - wykrzyknął Cole. Chwycił ją w ramiona i mocno przytulił. - Dzięki Bogu!

Oszalały ze szczęścia przyciskał twarzyczkę Giovanny do swej piersi i głaskał jej

długie, kędzierzawe, kruczoczarne włosy. Ona - wciąż tym samym, znajomym gestem - położyła dłonie na jego piersi, a Cole niemal umierał ze szczęścia, w ogóle nie zdając sobie sprawy, że przecież rozdzielało ich grube sukno jego zakonnego habitu.

- Mój pan i baron - szepnęła Giovanna.

Cole pochylił się i z zamkniętymi oczyma, dotknął wargami jej policzka. Czuł się szczęśliwy.

- Zdawało mi się kilka razy, że przez sen słyszę twój głos - powiedziała.

- I nie myliłaś się, Giovanni! Byłem tu przy tobie nieustannie, czekając, aż się obudzisz.

- A ja spałam tak długo! Tak strasznie długo!

Ich wargi odnalazły się. Cole całował ją namiętnie, jednakże pamiętając o jej osłabieniu, przez cały czas bardzo ostrożnie podtrzymywał jej plecy i głowę. Choć tak naprawdę marzył tylko o tym, by natychmiast położyć się do łóżka razem z nią i kochać się aż do ostatecznego zatracenia.

Giovanna delikatnie pogłaskała go po twarzy.

- Jak mnie odnalazłeś? - zapytała.

Cole wypuścił ją z objęć. .

- Wezwano mnie. Jestem teraz klasztornym zielarzem i leczę ludzi. Jechałem tu aż dwa dni.

- Jesteś zakonnikiem?

- Tylko świeckim bratem.

- A co z twoimi posiadłościami?

- Przekazałem je kościołowi. Musiałem uciec od ludzi, ze względu na moją twarz.

- Ze względu na twoją twarz?! - Giovanna pieszczotliwie przeciągnęła końcami palców po jego okaleczonych policzkach i spojrzała na niego czule, a w jej oczach pojawiły się znajome złote iskierki. Cole całą siłą woli musiał się powstrzymać, by nie rzucić się na nią i nie zacząć jej całować bez pamięci.

- Twoja twarz dla mnie zawsze będzie cudowna, mój piękny rycerzu!

- Obawiam się, że bredzisz w gorączce, pani - powiedział z uśmiechem Cole i skłonił ją do ułożenia się z powrotem na poduszce. - Staraj się odpoczywać i nabierać sił. Byłaś w bardzo ciężkim stanie.

Giovanna posłusznie poddała się jego zaleceniu, a przy tym uśmiechnęła się do niego tak, że serce Cole'a nagle skoczyło jak oszalałe.

- Chciałabyś czegoś, Giovanni?

- Tylko ciebie, panie.

- Z tym jeszcze trochę musimy poczekać. Skinęła głową i westchnęła.

- Jaka to dziwna zamiana naszych miejsc, zauważyłeś? - powiedziała i uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Tak. Los widocznie igra z nami. Giovanna położyła dłoń na jego dłoni.

- Powiedz mi... czy mój mąż jest tu w zamku?

- Nie. Wyjechał gdzieś na południe i spodziewają się go dopiero za kilka tygodni.

- Och, to dobrze. - Znów westchnęła i przymknęła powieki. Cole patrzył na nią z miłością i bólem. Przez ostatnie dwa tygodnie nie tylko leczył Giovannę, ale też pielęgnował ją i kapał, znał więc już na pamięć każdy centymetr jej ciała. Nie mógł nie dostrzec na tej białej skórze śladów od rzemieiennej dyscypliny, bynajmniej nie przypominających obrażeń typowych dla upadku z konia.

- Powiedz mi, Giovanni, skąd się wzięły na twych plecach te poprzeczne sine ślady?

- Mój mąż karmił mnie batem z siedmioma rzemieniami. Cole poczuł narastający w nim gniew.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie byłam posłuszna.

- Bił cię batem?

Znów przymknęła powieki.

- Tak.

Cole w milczeniu rozmyślał o cierpieniach i upokorzeniach, jakie musiała tu znosić przez lata. Już sama konieczność dzielenia łóża z obleśnym starcem była wystarczająco okrutną karą dla młodej kobiety, a tymczasem do tego dochodziło jeszcze bicie. To było po prostu nie do zniesienia.

- Wiedz, panie, że nigdy nie byłam mu uległa z własnej woli. Nigdy mu się nie oddałam. Za każdym razem mógł mnie wziąć tylko gwałtem.

- Giovanni...

- Wiem, że istnieje coś takiego jak obowiązki małżeńskie. Ale dla mnie było to zawsze ponad me siły. Nie potrafiłam być posłuszna.

Cole zauważył łzy, które błysnęły w kącikach jej oczu. Delikatnie ścisnął jej dłoń.

- Przez cały czas pragnęłam tylko ciebie, baronie. Tylko ciebie.

- Dlaczego więc wyszłaś za niego? - głos Cole'a stał się nieco ochrypły.

- Zostałam z nim zaręczona w wieku dziesięciu lat. I choć później płakałam i prosiłam, ojciec nie chciał się wycofać z raz danego słowa. Twierdził, że się w końcu do niego

przyzwyczaję. Ale to niemożliwe - mój mąż jest nie tylko obrzydliwy, ale i z gruntu zły i zdeprawowany.

Cole wyraźnie czuł, jak wszystko się w nim przewraca. Wolał już tego nie słuchać, ale Giovanna mówiła dalej.

- Chciałam umrzeć. Wyzwolić się od prawdziwego piekła, jakim było dla mnie życie w tym małżeństwie. Kiedy znów mnie zbił kilka tygodni temu, nie chciałam już żyć. I pewnie bym umarła, ale wtedy nagle usłyszałam twój głos i natychmiast wszystko się we mnie zmieniło. Samo brzmienie twego głosu przywróciło mnie do życia - mój baronie, mój panie!

- A to z kolei mnie uczyniło szczęśliwym. - Cole ujął jej dłonie i delikatnie ucałował koniuszki palców. - Ale to nie twój mąż był winien, przynajmniej nie tym razem. Jak mi powiedziano, po prostu spadłaś z konia.

- Wcale nie spadłam z konia - cofnęła dłonie i spojrzała mu prosto w oczy. - To mąż pobił mnie tak, że straciłam przytomność. Tu, w tym pokoju. Na koniu w ogóle wtedy nie jeździłam.

- A zatem mnie okłamano - stwierdził Cole. - Ale nie rozumiem, jak hrabia Brindisi mógł cię bić tu, w cudzym zamku? Nie obawiał się, że ktoś usłyszy twój krzyk?

- Był zbyt rozwścieczony, żeby zwracać na to uwagę. - Giovanna zasłoniła oczy ramieniem.

- A co go tak rozwścieczyło?

- Wiadomość, że oddałam syna Kościołowi.

- Czemu to aż tak rozwścieczyło twojego męża?

- Ponieważ mój syn jest jego jedynym spadkobiercą - westchnęła głęboko. - Ale ja postanowiłam, że nie pozwolę, żeby mój Niccolo miał być wychowywany na mężczyznę przez kogoś takiego, żeby dorastał pod wpływem tej zdeprawowanej bestii, hrabiego Brindisi. Dlatego oddałam syna Kościołowi. Mój możny i bogaty mąż może teraz wyłamywać bramy nieba i piekła, ale i tak go już nie odnajdzie!

Następnego ranka Jessica zerwała się z łóżka wcześniej niż zwykle, żeby jak najprędzej podzielić się z Cole'em tym wszystkim, czego dowiedziała się o przyczynach jego nagłych omdleń. Jeśli tylko potrafi go przekonać, to pewnie i on sam zacznie się wreszcie zachowywać rozsądnie. Szybko zjadła śniadanie i ruszyła ku wyjściu. Po drodze rozsunała zasłony w pokojach i właśnie miała wyjść z pracowni, gdy nagle zobaczyła spory stosik papieru przy maszynie ojca. Zaciekawiona, wzięła pierwszą stronę, potem jeszcze dwie następne i pobieżnie przejrzała pierwszą scenę nowej sztuki. Przeliczyła następne kartki - w sumie było ich dziesięć. Jeszcze raz spojrzała na pierwszą stronę i pokiwała głową. Ojciec

naprawdę zabrał się do pisania nowej sztuki.

Szczerze ucieszona, lekkim krokiem ruszyła w stronę frontowych drzwi. Otworzyła je, i - ku swemu niemałemu zaskoczeniu - zobaczyła na ganku Grega Kesslera, trzymającego w dłoniach doniczkę pięknych poinsecji.

- Z życzeniami świątecznymi! - wykrzyknął, wręczając jej prezent.

- Jestem doprawdy zaskoczona. Dziękuję, Greg. - Spojrzała na jaskrawo - czerwone liście rośliny, a potem znów na niego. - Dziś okazałeś się wyjątkowo rannym ptaszkiem.

- Kto rano wstaje... i tak dalej. - Greg uśmiechnął się, po czym zaczął otrzepywać śnieg z butów i zabijać ręce, jakby chcąc zasygnalizować, że bardzo zmarzł i liczy na zaproszenie do środka.

Jessica z pewnymi oporami poddała się tej niemej presji.

- Miałbyś może ochotę na filiżankę gorącej kawy?

- O tak! - spojrzał na zegarek. - Ale już o dziewiątej muszę być u Cavanettich.

- W interesach?

- W interesach.

Szedł w ślad za nią do kuchni, po drodze zdejmując okulary. Jessica nalała mu z dzbanka pełną filiżankę, a dla siebie połowę, po czym przysiadła na brzegu kuchennej ławy.

Greg rozpiął płaszcz, ale go nie zdjął, z uwagi na czekającą go za chwilę wizytę u sąsiadów.

- Jakież to interesy prowadzisz z Cavanettimi? - zapytała Jessica jakby mimochodem.

- No cóż, wygląda na to, że mogę zostać współnikiem Isabelli.

- To znaczy - współwłaścicielem winnicy? - Sączyła kawę i przyglądała mu się spod oka.

- Niezupełnie. Moss Cliff to nie jest dziś miejsce na winnicę, Jessico. Te tereny są już zbyt cenne.

- Ale ja sama pamiętam, jak stary pan Cavanetti tysiące razy powtarzał, że tutejszy mikroklimat jest wprost idealny dla winnicy.

- Wcale tego nie wykluczam, ale nawet najlepszy mikroklimat nie oznacza, że warto poświęcać na jakąś tam winnicę tysiące metrów kwadratowych wymarzonych terenów budowlanych - i to w dodatku z tak wspaniałym panoramicznym widokiem.

Jessica spojrzała na niego uważniej.

- Mam rozumieć, że ty i Isabella macie wspólny plan wykupienia winnicy i przekształcenia jej w tereny budowlane dla bogatych inwestorów?

- Wspólnych planów jeszcze nie mamy. - Greg dopił kawę. - Ale zamierzam ją do tego

przekonywać.

- Nie utrudzisz się za bardzo - powiedziała Jessica z jawnym sarkazmem.

- Też mam taką nadzieję - odparł. - To dopiero byłby piękny prezent gwiazdkowy! W przyszłym roku mógłbym już być właścicielem większości terenów Moss Cliff, no pomyśl tylko!

Jego twarz promieniała zadowoleniem. Jessica w odpowiedzi uśmiechnęła się bardziej niż powściągliwie.

- Coś ci powiem, Jessico! - Greg odstawił filiżankę. - Zrób mi uprzejmość i pozwól mi wykupić ten teren - a kto wie, czy w ten sposób sama nie zrobisz na tym najlepszego interesu.

- Co masz na myśli?

- Można to załatwić tak, że i teren, i pieniądze pozostałyby w rodzinie.

- Masz na myśli swoją rodzinę, oczywiście?

- Tak, ale rodziny mają to do siebie, że można je łączyć, droga Jessico! - zaplótł dłonie i spojrzał na nią znacząco, najwyraźniej czekając na odpowiedź.

Jessica na chwilę oniemiała. Czyżby to miało znaczyć, że proponował jej małżeństwo?

- Aaa! Trafiło?! - Greg z jeszcze bardziej rozpromienioną miną zrobił krok do przodu i ujął Jessikę za ramiona. - Szkoda, że nie możesz teraz widzieć wyrazu swojej twarzy!

- Wciąż nie jestem pewna, czy cię zrozumiałam, Greg.

- Zrozumiałaś. Oświadczam ci się, Jessico! To znaczy - proponuję już formalne odnowienie naszych dawnych nieformalnych więzów. To chyba nie najgorsza oferta?

A więc rzeczywiście proponował jej małżeństwo! Oczywiście w typowy dla niego sposób - bez sentymentów, ale za to z precyzyjną kalkulacją finansową.

Jessica cokolwiek bezmyślnie wpatrywała się w jego wąsy, mając nadzieję, że nie spróbuje jej teraz pocałować. Na wszelki wypadek cofnęła się o parę kroków.

- To dosyć... dosyć nieoczekiwana oferta, nie sądzisz?

- Wiem, wiem. - Podniósł dłonie do góry, jak gdyby dopiero teraz zdał sobie sprawę, że trochę się pośpieszył. - Chcę tylko, żebyś to sobie przemyślała, nic więcej. Dalszy ciąg może być znacznie spokojniejszy i miłszy. W żadnym wypadku nie zamierzam cię ponaglać.

- Powiem ci, Greg, że nie chcę...

- Wierzę, że może teraz jeszcze nie chcesz, ale przecież możemy się spotkać parę razy, widywać się częściej i dłużej. No a wtedy - kto wie?

- Za kilka dni wracam do Kalifornii.

- A to konieczne?

- Tak.

- No cóż, to z pewnością utrudnia sprawę. Ale możemy się spotykać podczas weekendów.

- Greg, posłuchaj... Spojrzał na zegarek.

- O cholera, już dziewiąta! Przepraszam cię, ale muszę już iść, Jessico. Obiecuj mi tylko jedno - że to sobie przemyślisz.

W progu na pożegnanie musnął wargami jej policzek i już go nie było. Tymczasem Jessica kątem oka dostrzegła, że ktoś ich chyba obserwował. A tym kimś był Cole. Najwyraźniej nie chcąc im przeszkadzać, skręcił szybko w stronę winnicy. Jessica patrzyła w ślad za jego oddalającą się teraz sylwetką. Co widział i co sobie pomyślał? Szlag by trafił tego Grega Kesslera! Jeżeli Cole widział, że Greg wychodzi z jej domu tak wcześnie rano i w dodatku całuje ją na pożegnanie, to doprawdy trudno byłoby wymyślić gorszą i bardziej niedorzeczną sytuację. Należało to natychmiast wyjaśnić! Jessica chwyciła nieprzemakalną kurtkę i co sił w nogach pognała za Cole'em.

To, że ostatecznie go dogoniła, zawdzięczała wyłącznie temu, że na moście prowadzącym przez bagna i rzekę zatrzymał go policjant. Przejście było zagrodzone rozciągniętymi na słupkach jaskrawożółtymi taśmami z winylu.

Zdyszana Jessica dobiegła do Cole'a akurat w momencie, kiedy protestował przeciw uniemożliwieniu mu przejścia do parku.

- W tej chwili nikogo tam nie wpuszczamy, proszę pana - wyjaśnił policjant. - Jedna z naszych funkcjonariuszek, wysłanych tu na wabia, została dziś rano zaatakowana przez tego zbiegłego mordercę.

Przyjrzał się uważniej twarzy Cole'a. - Chwileczkę... czy przypadkiem nie pan Cole Nichols?

Cole nie zdążył odpowiedzieć, gdyż przeszkodził mu w tym jakiś osobnik w szarym prochowcu, który podszedł do nich, nic sobie nie robiąc z ostrzegawczych zapór i barierek. Jessica zmarszczyła brwi, rozpoznając pucołowatą twarz detektywa Turnera.

- Dzień dobry, panno Ward.

- Dzień dobry panu. Co słyhać?

- Jestem cokolwiek zmęczony, na nogach od dwunastu godzin. Taki już los detektywa.

- Obrócił się i zmierzył wzrokiem stojącego przy policjancie Cole'a. - A pan się pewnie nazywa Nichols?

Na chłodne spojrzenie detektywa Cole odpowiedział jeszcze chłodniejszym.

- Tak, jestem Cole Nichols. A pan, jeśli wolno wiedzieć?

- Detektyw Turner.

Uścisknęli sobie ręce, po czym Turner sięgnął do kieszeni i wyciągnął notes.

- Czy zechciałby mi pan powiedzieć, panie Nichols, gdzie pan spędził ostatnią noc?

- A dlaczego to pana interesuje? - Poirytowany Cole skrzyżował ręce na piersi. Jessica zrobiła krok do przodu.

- Z wielu powodów. Co pan robił ostatniej nocy między drugą a czwartą nad ranem?

- Spałem.

- Czy ktoś może to poświadczyć?

- Skąd mam to wiedzieć, u diabła, skoro spałem? - Cole był już wyraźnie wściekły na detektywa i nie zamierzał tego ukrywać. - A jeśli ma pan więcej podobnych pytań, proszę się zwrócić do mojego prawnika.

- Panie Nichols, w najmniejszym stopniu nie zamierzałem insynuować...

- Owszem, zamierzał pan, i doskonale pan o tym wie, detektywie Turner. A mnie się to nie podoba, i to bardzo!

Młody policjant starał się w ogóle nie patrzeć w ich stronę, cokolwiek zakłopotany całą sytuacją. Pierwszy raz ktoś w ten sposób ośmielał się rozmawiać z jego przełożonym. Odwrócił więc wzrok i nagle znieruchomiał. Jessica zauważyła to i spojrzała w tym samym kierunku.

- Jest tam! - wykrzyknął policjant, wskazując w stronę parku. - To on!

Zważywszy wiek i tuszę, detektyw Turner obrócił się doprawdy błyskawicznie. Teraz już wszyscy czworo patrzyli w tę samą stronę. Jessica zdążyła dostrzec niewyraźną sylwetkę, która chyłkiem przemknęła wśród kęp krzewów przy bagnach i uciekając już całkiem jawnie w chwilę później skryła się za drzewami jednej z parkowych alei.

Ale Jessica w tym czasie widziała już tylko Cole'a, który w jednej chwili zmienił się w sposób wręcz zdumiewający. Jego cała sylwetka nagle się sprężyła, przypominając szykującego się do skoku drapieżnika, który właśnie dostrzegł umykającą ofiarę. Jessica nigdy nie oglądała go na boisku, nie mogła więc wiedzieć, że konieczność błyskawicznego dogonienia przeciwnika i powalenia go na ziemię jest jedną z najbardziej typowych sytuacji w amerykańskim futbolu. Cole bez wysiłku przeskoczył obie bariery i pomknął przez most w stronę parku z imponującą szybkością. W chwilę później już był przy drzewach, za którymi znikł ścigany przestępca.

- Stać! Nie wtrącać się w działania policji! - wrzasnął Turner.

- Cole! - jęknęła Jessica.

- Nichols, natychmiast z powrotem! - Turner dobiegł do środka mostu i znów próbował krzyknąć do Cole'a, ale ten nie zwracał na niego najmniejszej uwagi, biegnąc z

niezwykłą lekkością i gracją doskonale wytrenowanego zawodnika.

- Niech go szlag! - detektyw Turner był zdenerwowany do tego stopnia, że aż rzucił notesem o ziemię. Młody policjant czym prędzej go podniósł i oddał przełożonemu, oczyściwszy przedtem okładki z wilgotnych liści, które do nich przyłgnęły.

- Niech się pan nie martwi, szefie. To Cole Nichols!

- No to co?

- Chodzi o to - policjant odrobinę się jąkał z emocji - że Cole Nichols to... to najszybszy zawodnik, jakiego w ogóle mamy. Nawet słynny Randall Cunningham nigdy nie był taki szybki. - Zachwyconym spojrzeniem śledził przebieg pogoni. - No niech pan tylko popatrzy, szefie, to coś niesłychanego!

Jessica patrzyła równie zafascynowana.

- Rogers może być uzbrojony - powiedział Turner. - Ten Nichols to zupełnie nieodpowiedzialny wariat!

- Ale, szefie, gdyby ten Rogers w ogóle miał broń, to po co by dusił swoje ofiary?

- Tak czy inaczej, może być niebezpieczny.

- Ale nie dla Cole'a Nicholasa. Nigdy nie chciałem być w skórze tych zawodników, których on podczas meczu dogania, chwytą w pole i przewraca.

Turner ponownie schował notes do kieszeni i kiwnął głową na policjanta.

- Idziemy - powiedział. - Musimy przecież jakoś wspomóc tego futbolowego narwańca. - Obrócił się i spojrzał na Jessikę. - Pani zostanie tutaj, panno Ward.

Jessica skinęła głową i skrzyżowała ramiona na piersiach. Miała nadzieję, że Cole doścignie i obezwładni mordercę, ale jednocześnie zamartwiała się, czy aby nie zdarzy mu się coś złego.

Tego milczącego przyrzeczenia, że będzie spokojnie czekać na miejscu, oczywiście nie dotrzymała, i chyba nie miała nawet takiego zamiaru. Zwłaszcza że wydarzenia rozwijały się w błyskawicznym tempie. Ze wszystkich stron zaczęli zbiegać się policjanci - a także jacyś postronni, przez nikogo nie wzywani ludzie - i ogólne zamieszanie rosło z każdą minutą. Tymczasem Cole nie tylko bardzo szybko doścignął uciekającego Rogersa, nie tylko obezwładnił go profesjonalnym chwytem, ale jeszcze i skłonił go do przyznania się do popełnionych zabójstw, i to w dodatku przed obiektywem filmującej to wszystko kamery. Stało się tak dlatego, że jeden z dziennikarskich szakali miał tym razem nosa i jeszcze wczesnym wieczorem ukrył się w parku wraz z kamerą, w nadziei na jakiś sensacyjny materiał. Było mu wszystko jedno, co miałby nakręcić - czy jakąś kolejną skandaliczną historię na temat Cole'a Nicholasa, czy też ewentualny sukces policji, przygotowującej

zasadzkę na zbiegłego zabójcę. Liczyło się tylko jedno - żeby znaleźć się w odpowiednim miejscu i w odpowiednim czasie. No i tym razem reporterski nos go nie zawiódł. Trafił dosłownie w dziesiątkę i z bliska sfilmował wszystko - jak Cole dogonił i powalił Rogersa, jak obezwładnił go po krótkiej walce, a następnie - w gruncie rzeczy posługując się wyłącznie znajomością psychologii - nakłonił zabójcę do publicznego przyznania się do wszystkiego, obiecując mu w zamian jedynie to, że zarówno sam pojmany, jak i każde wypowiedziane przez niego słowo, jeszcze dziś znajdą się w wydaniach wszystkich programów informacyjnych na terenie całych Stanów Zjednoczonych. Cole słusznie założył, że niemal każdy tego typu osobnik ma w sobie przemożne poczucie dumy ze swych „osiągnięć”, i że bardzo chce, żeby dowiedzieli się o nich wszyscy.

Detektyw Turner nadal próbował fukać na niepotrzebne, jego zdaniem, wtrącenie się Cole'a, ale oczywiście równie chętnie jak inni słuchał zeznań Rogersa. Natomiast Jessica, która też ich wysłuchiwała, była przede wszystkim wstrząśnięta sposobem myślenia Cole'a, jego zdolnością chłodnego a jednocześnie zdumiewająco szybkiego myślenia i podejmowania decyzji, i jego głęboką - jak się okazało - znajomością ludzkiej natury. W pewnej chwili pomyślała sobie, że w bardzo podobny sposób mógłby ten dyskurs ze złapanym więźniem poprowadzić Cosimo - tak przecież mądry Cosimo. Cole zręcznie podrażnił ambicję Rogersa, utrzymując, że naprawdę dobry futbolista i tak jest nieporównanie bardziej znany od zwykłego mordercy. Rogers natychmiast zaprotestował i powiedział, że to się dopiero okaże, kiedy zostaną wydobyte szczątki wszystkich jego ofiar. I wtedy to właśnie on, Rogers, przejdzie do historii jako jeden z najokrutniejszych seryjnych zabójców wszystkich czasów. Pochwalił się morderstwem, którego dokonał na krótko przed aresztowaniem i osadzeniem w więzieniu, przy czym miało to być tylko jedno z całej serii zabójstw, o których policja nie miała najmniejszego pojęcia. Posunął się aż do zasugerowania, że już jedną z pierwszych swych ofiar przed laty po prostu utopił w bagnie pod Moss Cliff.

Potem Rogers został formalnie przekazany ludziom Turnera. Już w kajdankach, siedł między dwoma policjantami bardzo spokojnie, z posępnym uśmiechem na twarzy, od czasu do czasu zauważalnie zerkając na Jessikę. Starając się uniknąć tych jego spojrzeń, Jessica odwróciła wzrok i nagle ledwie o jakiś metr od alejki dostrzegła coś błyszczącego pod cienką warstwą śniegu. Schyliła się i podniosła damski pantofelek z charakterystyczną ozdobną sprzączką.

- Co to takiego? - spytał detektyw Turner.

- Damski pantofel...

Jessica miała niejasne wrażenie, że gdzieś już widziała taki właśnie pantofel. Ależ tak!

Shawn miała na sobie dokładnie taką samą parę, kiedy to pierwszego dnia po przyjeździe wybrały się razem na zakupy.

- Dziwne - powiedział Turner, obracając pantofel i przyglądając się mu uważnie. Jessica wzdrygnęła się mimo woli, starając się nie dopuścić do świadomości niejasnych jeszcze, ale złowieszczych myśli.

- Te ozdoby na skórze przypominają mi bardzo... - zaczął Cole i niemal natychmiast urwał.

- Co panu przypominają, panie Nichols?

Cole wzruszył ramionami.

- Bardzo mi przypominają taką parę pantofelków, które nosiła Shawn Cavanetti.

- Żona pańskiego brata?

- Tak.

- Ale skąd nagle wzięłyby się pantofel Shawn akurat tutaj? - spytała Jessica.

Turner pokręcił głową.

- Zajmę się tym natychmiast, gdy tylko odwieziemy Rogersa do komisariatu.

Policjanci wpełnęli aresztowanego na tylne siedzenie samochodu, siadając po jego obu stronach. Turner szedł w ślad za nimi, ale po paru krokach odwrócił się i jeszcze raz spojrzał na Cole'a.

- Dziękujemy za pomoc, panie Nichols! - powiedział.

Cole w odpowiedzi tylko skinął głową, po czym odwrócił się i bez słowa ruszył w stronę mostu, prowadzącego do winnicy. Dziennikarz natychmiast pobiegł za nim, błagając go o wywiad. Cole pokręcił głową przecząco i chciał iść dalej, ale Jessica chwyciła go za ramię. Zdawała sobie sprawę, że akurat ten wywiad może mieć decydujące znaczenie dla całej jego przyszłej kariery i że w żadnym wypadku nie wolno zmarnować tej szansy.

- Pan Nichols z przyjemnością udzieli panu wywiadu - powiedziała z cokolwiek wysiłonym uśmiechem. - Sądzę, że najlepiej będzie, jeżeli zaproszę obu panów do domu i poczęstuję dobrą kawą.

- Och, wspaniale - rozpromienił się dziennikarz. - Co pan na to, panie Nichols?

Cole popatrzył najpierw na Jessikę, a potem na reportera. Oba te spojrzenia trudno byłoby uznać za przyjazne.

- Żeby postawić sprawę jasno: tak czy inaczej będzie dziś pan w czołówce wszystkich wiadomości - powiedział reporter. - Niezależnie od tego, czy udzieli mi pan tego wywiadu, czy nie.

Jessica mocno ścisnęła ramię Cole'a.

- Posłuchaj, to naprawdę może mieć bardzo korzystny wpływ na dalszy przebieg twojej...

- Od kiedyż to prasa i telewizja jest po mojej stronie? - przerwał jej z ponurą miną. - Nie, bardzo dziękuję. Wiem, że cokolwiek powiem, wy potem i tak obróćcie to przeciw mnie.

Dziennikarz wciąż biegł za nim, walcząc z ciężkim sprzętem, który dźwigał na ramieniu.

- Niech pan zaczeka, panie Nichols, bardzo pana proszę. Obiecuję, że nie puszczę ani jednego słowa bez pańskiej autoryzacji!

- Nawet jeśli panu uwierzę, to przecież i tak nad panem jest pański wydawca.

Teraz Jessica stanęła na jego drodze i nie miała zamiaru ustąpić.

- Posłuchaj, Cole - powiedziała. - Powiem ci tylko jedno: właśnie teraz będziesz miał najlepszą okazję, żeby udowodnić, że skończyły się te niewytłumaczalne omdlenia i że jesteś w pełni gotów do wystartowania w rozgrywkach playoff.

- Udowodnić? A jaką im dam gwarancję?

- Każdą, jakiej zechcą. Wszystko ci później dokładnie wytłumaczę, ale możesz mi wierzyć, że omdlenia już się nigdy nie powtórzą. Nie tylko więc możesz grać, ale w dodatku od jutra będziesz bohaterem narodowym, czy tego chcesz, czy nie chcesz.

- Z całą pewnością, panie Nichols - poparł ją dziennikarz. - Gdy tylko to wszystko pojawi się na antenie, nagrody i zaszczyty posypią się na pana ze wszystkich stron, i...

Cole przerwał mu w pół zdania.

- Nie potrzebuję żadnych nagród. Jedyne, czego chcę, to żeby mnie do cholery zostawiono w spokoju.

- Cole, proszę cię...

Ale Cole odwrócił się i odszedł, a ramiona Jessiki nagle opadły. Jego nieufność w stosunku do dziennikarzy zaślepiała go do tego stopnia, że nie dostrzegał najoczywistszych korzyści, jakie gwarantowało udzielenie wywiadu na takich warunkach. Zrezygnowany reporter postawił torbę z kamerą na ziemi i westchnął z nie ukrywanym żalem.

- Szkoda - powiedział. - To byłby naprawdę wielki temat. Z taką twarzą i taką figurą już teraz mógłby podpisać kontrakt filmowy do Hollywood - wzięliby go natychmiast po zakończeniu sportowej kariery.

Jessica spojrzała na zasmuconego reportera i wyprostowała się z nową energią.

- Za łatwo się pan poddaje jak na dziennikarza. Idziemy. Już ja go przekonam!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Ostatecznie Cole zgodził się na udzielenie wywiadu, ale nawet po jego zakończeniu nie przestał być milkliwy i ponury. Gdy tylko dziennikarz pożegnał się i wyszedł, Cole umknął pod prysznic, pozostawiając Jessikę w towarzystwie Lucy.

Lucy spojrzała za nim zdziwiona.

- A co go znów ugryzło? - spytała.

- Podejrzewam, że jest wściekły na mnie - odpowiedziała Jessica, sięgając po kurtkę. - Bo to ja go w końcu wrobiłam w ten wywiad.

- Och, Cole czasami potrafi być uparty jak osioł! Przecież ten reporter zachowywał się tak, jakby był jego najwierniejszym wielbicielem! Więc co mu to mogło przeszkadzać?

- Cole po prostu w ogóle nie wierzy dziennikarzom - odpowiedziała Jessica, już z dłonią na klamce. - A znając naszą prasę i telewizję, specjalnie mu się nie dziwię.

Resztę dnia Jessica spędziła w mieście, szukając odpowiedniej choinki, robiąc drobne ostatnie zakupy i zastanawiając się przez cały czas, w jaki sposób przekonać Cole'a, że to jednak ona miała rację, namawiając go do tego wywiadu.

Kiedy wracała do domu, był już wczesny wieczór. Z nieba znów zaczynał sypać śnieg. Może więc tym razem będzie to rzeczywiście białe Boże Narodzenie, co w okolicach Seattle nie zdarzało się zbyt często.

Zostawiła choinkę na ganku i weszła do środka. Zdziwiła się, słysząc dobiegające z pracowni ojca jakieś głosy. Kiedy tam zajrzała, okazało się, że ojciec siedzi w fotelu za biurkiem, z nieodłączną szklaneczką whisky w dłoni, a na środku pokoju stoi Lucy i aktorskim głosem czyta z kartki kobiece kwestie z nowo powstającej sztuki. Widząc to, Jessica wycofała się dyskretnie, nie chcąc im przeszkadzać. To, co zobaczyła, ogromnie by ją ucieszyło, gdyby nie fakt, że ojciec, choć najwyraźniej trzeźwy, nadal jednak nie potrafił wyrzec się alkoholu.

Wyszła, żeby wnieść choinkę do środka, a przy okazji zajrzeć do Cole'a, gdyby przypadkiem był u siebie. Ale w oknach pokoi gościnnych było ciemno, a samochodu Cole'a też nigdzie nie widziała. Zmartwiło ją to bardziej, niż się przyznawała. Gdzie go znów poniosło? Chciałaby wreszcie z nim porozmawiać i wyjaśnić wiele rzeczy - łącznie z tą ranną wizytą Grega. Ale z takim narwańcem jak Cole niczego nie dawało się przewidzieć. Kiedy mu coś strzeliło do głowy, gotów był włóczyć się po mieście do późnej nocy, a potem wracać w szaleńczym tempie, nie zważając na śliską nawierzchnię.

A tymczasem ona już ostatecznie zdała sobie sprawę, że nie ma dla niej ważniejszej

rzeczy niż jak najszybsze wzajemne wyjaśnienie sobie wszystkiego, co dotąd pozostawało nie wyjaśnione w ich stosunkach. Chciała mu powiedzieć, że po prostu go kocha - i to całkowicie niezależnie od jego gwałtownego charakteru, kłopotów w drużynie i trzynastoletniej nieobecności. Ale jak w ogóle zacząć rozmowę o uczuciach, skoro znów był na nią wręcz wściekły?

Spojrzała na piękną kanadyjską choinkę, którą kupiła nie wiadomo po co. Komu to było potrzebne? Ona sama już niemal odzwyczaiła się od świętowania Bożego Narodzenia, a dla jej ojca był to dokładnie taki sam dzień, jak wszystkie inne pod warunkiem, że również i tego dnia nie brakowało mu wódki.

Westchnęła głęboko i pomyślała, że najlepszym lekarstwem na takie myśli byłaby rozmowa z kimś rozsądnym - na przykład z Cosimo. Skoro jednak Cole'a nie było w domu, to siłą rzeczy i Cosimo był w tym momencie nieosiągalny. Jessica postanowiła więc wejść do kaplicy, w nadziei, że chwila medytacji jakoś uspokoi jej nerwy.

Nie była katoliczką i nie przeżegnała się przed wejściem, co zrobiłaby na przykład Maria. Ale kiedy usiadła w pierwszym rzędzie pociemniałych staroświeckich ławek, poczuła wokół siebie atmosferę tak potrzebnego spokoju. Popatrzyła w górę i przyjrzała się wyblakłemu witrażowi nad wielkim krzyżem z drewnianą figurą rozpiętego na nim Chrystusa. Właśnie pod nim wznosił się niewielki ołtarzyk, a z boku, jak zawsze, stała przykryta szklaną płytą przezroczysta gablotka, od lat pełniąca rolę czegoś w rodzaju relikwiarza. Tam bowiem przechowywane były pamiątki po tragicznie zmarłym księdzu Cavanettim - różaniec i zakonny habit.

Tyle że - i tu Jessica nagle zerwała się z ławki - tym razem ta przykryta szkłem skrzynka była pusta!

Kto mógł zabrać stąd ten habit? Czyżby znów Cole - i czy to mogło oznaczać, na przykład, że powrócił do swego dawnego zamiaru porwania ojca z domu Cavanettich? Z pewnością Cole był ostatnio tak zgnębiony i podenerwowany, że mogła mu strzelić do głowy i taka szalona myśl. Ale wobec tego należało go natychmiast powstrzymać!

Pośpiesznie wybiegła z kaplicy i rozejrzała się dookoła. Na świeżym śniegu zobaczyła ślady, które wykluczały domysł o przygotowywaniu porwania. Ślad prowadził bowiem nie do domu Cavanettich, ale w przeciwną stronę - w kierunku przybudówki z pokojami gościnnymi i dalej w dół, ścieżką przez winnicę. Mimo nocnej już pory Jessica postanowiła ruszyć tym śladem, zresztą ze znacznie mniejszym lękiem niż wczoraj - jako że ukrywający się groźny przestępca został już przecież złapany.

Dobrze sobie znana ścieżką zbiegła na dół równie szybko, jak poprzedniego wieczoru,

i już po chwili dostrzegła jakąś postać na drewnianej kładce, prowadzącej nad bagnami Samish Slough. To ją zaniepokoiło - bo po co Cole miałby się kierować na bagna? Mimo warstwy mokrego śniegu przyśpieszyła jeszcze kroku, a potem starała się utrzymywać odpowiedni dystans.

Kiedy jeszcze była dzieckiem, ojciec nigdy nie pozwalał jej bawić się w pobliżu tych miejsc, właśnie ze względu na bagna i grząskie piaski. Na szczęście chmury ustąpiły i w świetle księżyca można było coś dojrzeć. Jessica bardzo ostrożnie stawiała stopy na kładce, a potem na wąskiej ścieżce wijącej się między dzikimi krzewami, starając się nie nadepnąć na jakiś śliski kamień czy suchą gałązkę. Od czasu do czasu kolczaste krzewy chwytaly ją za rękawy kurtki, a z wysokich drzew kapaly grube krople wody z roztopiającego się śniegu.

Śledzona postać była teraz nie dalej niż dziesięć metrów od niej i właśnie skręciła w lewo, w stronę niewielkiego, ale głębokiego stawu. Choć Jessica była niemal pewna, że musi to być Cole, postanowiła nie zdradzać swej obecności i na własne oczy zobaczyć, do czego to wszystko zmierza. Ukryła się za sporym krzakiem, by stamtąd obserwować rozwój wypadków.

Ten ktoś w habicie i kapturze był najwyraźniej zdenerwowany i przez dłuższą chwilę chodził tam i z powrotem nad samym brzegiem stawu. W pewnej chwili Jessica usłyszała nawet jego westchnienie, a potem dość głośne i żalodne „O Boże, Boże!”. Dopiero wtedy naprawdę się przeraziła, bo słyszany przez nią głos z pewnością nie należał do Cole'a. Ale wobec tego kogo śledziła - sama, i w dodatku niemal w środku nocy?

Tymczasem tajemniczy osobnik nagle zaprzestał chodzenia tam i z powrotem, i popatrzył w jej stronę. Jessica była ukryta za dość gęstym iglastym krzewem, ale i tak zamarała ze strachu. Tamten jednak najwyraźniej rozglądał się za czymś innym. Z uschniętego zwalonego drzewa oderwał nadłamany już długi konar i posługując się nim jak podręcznym bosakiem, zaczął go zagłębiać w stawie, raz koło razu, najwyraźniej usiłując natrafić na coś, co musiało tam leżeć na dnie.

Zaciekawiona i przejęta Jessica zrobiła krok do przodu, żeby lepiej widzieć, i nadepnęła na suchą gałązkę, która pękła z głośnym trzaskiem.

Osobnik w habicie natychmiast się odwrócił, wciąż trzymając w dłoni grubo i ciężki konar. Jessica nie czekała już na to, co zrobi, i pędem rzuciła się do rozpaczliwej ucieczki. Akurat tej ścieżki w ogóle nie znała, a w dodatku była ona wyjątkowo kręta i śliska. Jessica potykała się więc raz po raz i choć udawało się jej wciąż utrzymywać na nogach, to sądząc z coraz bliższego tupotu ścigających ją kroków, jej szanse wymknięcia się były prawie żadne. Ostatkiem sił spróbowała jeszcze przyśpieszyć, ale i tak zaraz za kładką czyjeś ręce chwyciły

ją wpół i rzuciły na ziemię.

Jessica broniła się rozpaczliwie, usiłując uwolnić swe uchwycone za nadgarstki ręce, ale napastnik pchnął ją do tyłu tak mocno, że upadła na plecy, a potem jeszcze przygniótł jej uda kolanem. Dysząc i jęcząc usiłowała się wyrwać, była jednak wyraźnie słabsza. Przygniatający ją napastnik ciężko oddychał i wpatrywał się w nią usilnie, jak gdyby zastanawiając się, co ma z nią zrobić dalej. Jessica nadal nie mogła widzieć rysów jego twarzy pod opuszczonym kapturem, ale nagle rozpoznała znajomy zapach wody kolońskiej. Ależ tak, to nie mógł być nikt inny!

- Frank!? - wykrzyknęła ochryplym głosem.

Zdając sobie sprawę, że został rozpoznany, Frank odrzucił do tyłu niepotrzebny już kaptur.

- Musiałaś tu za mną leżeć?! - spytał szyderczo. - Oczywiście, że musiałaś, przecież zawsze lubiałaś wtykać nos w nasze rodzinne sprawy.

Jessica pokręciła głową.

- Ja zupełnie nie wiedziałam, że idę za tobą, tylko...

- Wcale nie chciałem jej zabić! - wybuchnął nagle Frank. - To był po prostu wypadek. Ale kto teraz w to uwierzy? Więc muszę coś zrobić, po prostu muszę!

Jessica patrzyła na niego kompletnie oszołomiona. Czy to znaczyło, że Frank kogoś zabił? W coś takiego nie mogła wprost uwierzyć! Ale potem przypomniała sobie ten pantofel, który znalazła w śniegu obok pobliskiej ścieżki. To był pantofel Shawn. Czyżby więc Frank naprawdę zabił swoją żonę, a potem wrzucił jej ciało do tego stawu? A jeżeli rzeczywiście tak było, to co robi teraz z nią? Przecież chcąc nie chcąc była świadkiem.

- Frank, ja w ogóle nic nie widziałam! Ja tylko...

- Zamknij się i daj mi pomyśleć! - Wyprostował się i podniósł na równe nogi, przez cały czas trzymając rękę Jessiki wykręconą do tyłu. Musiała więc wstać razem z nim, ponieważ ból wywołany przez ten obezwładniający chwyt był nie do wytrzymania. Nie mogło być nawet mowy o tym, żeby się wyrwać.

- To mnie strasznie boli, Frank - jęknęła, kiedy pchnął ją do przodu i ruszył za nią wąską ścieżką. Zdawała sobie jednak sprawę, że przynajmniej chwilowo nie zamierza jej nic zrobić, jeżeli tylko nie będzie próbowała się wyrwać i posłusznie pójdzie przed siebie ścieżką, prowadzącą teraz pod górę, w stronę urwiska Moss Cliff.

Ale co będzie potem? Czyżby zamierzał po prostu zrzucić ją ze stromej skały? Spróbowała się nagle wyrwać, udając, że się potknęła, ale w rezultacie Frank tylko wykręcił jej ramię jeszcze boleśniej.

- Bez takich numerów, Jess. Jasne?! - Ton jego głosu wskazywał bardzo wyraźnie, że na współczucie nie ma co liczyć.

Starła się nie jęczeć z bólu i przez cały czas obmyślała najróżniejsze plany ucieczki. Nieszczęście polegało jednak na tym, że mogła je wyłącznie obmyślać. Wolną ręką od czasu do czasu ocierała łzy, starając się, by Frank tego nie zauważył. Płacz nic tu nie pomoże, mówiła sobie. Trzeba zachować spokój i nadal myśleć chłodno i racjonalnie.

Tymczasem okazało się, że Frank doprowadził ją do znanego jej już rumowiska skalnego, gdzie za kępą ciernistych krzewów ukryte było wejście do pieczary. Nie dbając o to, że kolce kaleczą jej ręce, Frank wepchnął ją przed sobą przez niski otwór.

- Spróbuj się tylko wyrywać, a zrzucę cię z tych schodów - powiedział, gdy znów chciała się opierać.

Jessica krzyknęła z bólu, kiedy zacisnął na jej ręce swe mocne palce tenisisty.

- Frank, po prostu mnie wypuść. Przecież ja dla ciebie nie stanowię żadnego niebezpieczeństwa - powiedziała, próbując pokornej perswazji.

- Pewnie, że nie stanowisz. Jesteś przecież ślepa, głucha i nawet w ogóle nie wiesz, jak się nazywasz, prawda? - Frank roześmiał się szyderczo, ale też tak nerwowo i histerycznie, że przez całe ciało Jessiki przebiegł nagły dreszcz. W tym było już coś ze śmiechu wariata.

Kiedy w końcu zeszli na sam dół, do pieczary, Frank potknął się w ciemności, ale zdążył pchnąć ją tak, że padła do przodu, a on sam unieruchomił ją ponownie, kolaniem przygniatając do ziemi jej kręgosłup. Jessica obróciła głowę i dotykając policzkiem zimnego, mokrego piasku, usiłowała zajrzeć mu w twarz.

- Nie rób mi nic złego, Frank - powiedziała. - Przecież nic ci to nie da.

- Da - odpowiedział szyderczo. - Jeżeli teraz zrobię z tobą to samo, co ten twój Cole robił z moją żoną.

- To niemożliwe! Cole nigdy by...

- Owszem, możliwe - uciał Frank. - I zamknij się wreszcie. Jessica zdrętwiała z przerażenia. W najkoszmarniejszych snach nie potrafiłaby przypuścić, że Frank będzie chciał ją zgwałcić.

- Posłuchaj, Frank - powiedziała, starając się mówić jak najspokojniej. - Daję ci słowo, że Cole nigdy nie spał z twoją żoną.

- Właśnie że spał - jeszcze mocniej wbił kolano w jej obolały kręgosłup. - Sam widziałem, jak zeszłej nocy wymykała się z jego sypialni.

- Ja też to widziałam. Ale Cole akurat wtedy miał ten swój atak, o którym przecież pisały wszystkie gazety. Był nieprzytomny przez całą noc, więc nie mógł spać z twoją żoną.

- I ty chcesz, żebym w to uwierzył? Masz mnie za kretyna?

Nacisk jego kolana nagle zelżał, choć nadal wystarczał do przytrzymania jej na ziemi. Jessica usłyszała, jak Frank gorączkowo rozpina metalową sprzączkę. Potem chyba wyciągał pasek, albo rozsuwał suwak spodni. Zebrała w sobie wszystkie siły, by wykorzystać okazję, nagle się odwrócić i pchnąć go na ścianę. Może wtedy udałoby się jej uciec.

Ale Frank nawet nie próbował podciągać do góry jej spódnicy. Chwytał jej ręce i związał je swoim paskiem od spodni.

- Frank... - powiedziała drżącym głosem Jessica.

- Jeżeli tylko o to ci idzie, to nie musisz się martwić - powiedział, przywiązując drugi koniec paska do wmurowanego w ścianę zardzewiałego uchwyty do łańcucha. - Nigdy nie byłaś w moim typie, Jessico.

Odetchnęła z ulgą. Może więc Frank zamierzał jedynie uwięzić ją w tej pieczarze, na czas potrzebny mu na bezpieczną ucieczkę - na przykład do niedalekiej Kanady, gdzie łatwo zniknąłby ludziom z oczu. Takie rozwiązanie wydawało się w jego przypadku znacznie bardziej prawdopodobne, niż brutalny gwałt, czy dokonane z zimną krwią morderstwo.

Tymczasem Frank związał ją jeszcze dodatkowo sznurem od zakonnego habitu tak, by już w żaden sposób nie mogła się uwolnić.

- No to żegnaj, Jessico - powiedział i ruszył z powrotem w stronę schodów.

Jessica nagle zbladła, zdając sobie sprawę, na czym polegał okrutny i straszliwie skuteczny pomysł Franka. Wystarczyło spojrzeć na oblepione morskimi skorupiakami i wodorostami kamienne ściany pieczary, wystarczyło dostrzec wciąż stojącą w zagłębieniach wodę i wilgotny piasek pod stopami, by zdać sobie sprawę, że pieczara była regularnie zalewana wodą podczas każdego przypływu. Tymczasem związana Jessica była całkowicie unieruchomiona, a pora przypływu zbliżała się nieuchronnie.

- Frank, błagam cię, nie rób tego! Nie zostawiaj mnie tu, proszę!

- Nie mam wyboru! - odpowiedział, przechodząc ledwie o pół metra od jej twarzy. - Wiesz, co zrobiłem z Shawn. I wiesz, gdzie jej można szukać.

- Nie powiem nikomu, Frank, dam ci na to słowo honoru! - Jessica już czuła, jak wąskie strużki wody podpływają pod jej łydki i uda. Podciągnęła kolana pod brodę, ale niewiele to dało. Przypływ już się zaczął i teraz szło to bardzo szybko.

- Gdybyś nie była taka wścibska, nie znalazłabyś się tutaj. Pomyśl o tym.

Jessica patrzyła na niego, zastanawiając się, jak wiele czasu będzie potrzebował ocean, by zalać całą pieczarę wraz z nią. Ponieważ głowę miała najwyżej, z pewnością najpierw będzie potwornie cierpieć od wyziębienia, zanim ostatecznie się utopi. Woda o tej porze roku

była lodowata. Spróbowała się jakoś ruszyć, ale zarówno pasek, jak i sznur unieruchomiły ją całkowicie.

- Frank, posłuchaj, oddam ci tę winnicę za darmo. Podpiszę wszystko, co zechcesz, tylko wypuść mnie stąd!

- Za późno już na to, Jess. Czy nie widzisz, że wszystko się zawaliło? Nawet gdybym został właścicielem winnicy, i tak mnie to nie uratuje.

Woda podnosiła się coraz wyżej, sięgając już jej talii. Była tak zimna, że Jessica już dygotała, jak w febrze. Z nosa jej kapało i nie wiedziała już, czy był to skutek wyziębienia, czy po prostu łzy, przez które nie była w stanie nic zobaczyć. Słyszała oddalające się kroki Franka, który już ostatecznie zostawiał ją tu na pewną i straszliwą śmierć.

- Cosimo! - zawołała nagle, i to imię zabrzmiało w jej ustach jak błagalna modlitwa. - Cosimo, ratuj mnie! Ratuj mnie!

Jej bezradny głos odbijał się echem od ścian pieczary, a tymczasem woda już całkowicie przykryła jej kolana i biodra, podchodząc teraz pod piersi. W bezsensownej próbie ratowania się próbowała drzeć paznokciami pokrytą morskimi skorupiakami kamienną ścianę i zardzewiały żelazny uchwyt, do którego Frank przywiązał jej rękę.

I nagle gdzieś z góry pojawiło się ledwo widoczne światło. Jessica uniosła głowę i wyraźnie zobaczyła zbliżające się odbłyski i cienie na ścianach, otaczających zejście. Widziała też Franka, który wycofując się stał teraz nieruchomo w połowie drogi między ostatnim stopniem schodów a kamienną ścianą, do której ona sama była przywiązana.

Odbijające się od ścian światło było coraz wyraźniej widoczne, coraz głośniejszy był też odgłos zbliżających się kroków. Frank dość bezsensownie zaczął się cofać pod ścianę pieczary, zdając sobie sprawę, że jedyna droga ucieczki była odcięta.

W krótkim korytarzu, łączącym schody z pieczarą, pojawiła się płonąca i trzaskająca iskrami pochodnia, niesiona przez ogromną niczym wieża postać w zakonnym habicie i kapturze.

- Cosimo! - wykrzyknęła Jessica z ogromną ulgą i radością. Frank nadal próbował się cofać, ale już po chwili znalazł się po kostki w wodzie, o parę metrów od Jessiki.

- Kim jesteś? - wyjąkał przerażony.

- Jestem Strażnikiem - odpowiedział Cosimo, a jego głęboki głos, wzmocniony powtarzającym się echem, sprawił, że postać zakonnika wydała się jeszcze większa. Trzymana wysoko płonąca pochodnia rzucała wokół migotliwe blaski i Jessica przez moment miała nawet wrażenie, że pod rzuconym przez kaptur cieniem dostrzega spojrzenie żywego oka. Przerażony Frank próbował się jeszcze cofnąć, ale za sobą miał już tylko ścianę.

- A ty, świętokradczy złodzieju zakonnych relikwii - głos przybysza grzmiał jeszcze potężniej - prędzej czy później będziesz płonął w piekle!

- Czy to ty, Nick? - wyjąkał Frank, nieprzekonująco udając, że się swobodnie uśmiecha. - No daj spokój, stary! Przestań już żartować.

- Nie, to nie Nick! I nikt tu nie żartuje. - Cosimo zbliżył się. - Ja nie jestem Niccolo, tylko Cosimo Cavanetti!

- Co... Cosimo? - Frank obrócił się i spojrzał w dół, ku ledwie widocznemu pod dziesiątkami metrów wody otworowi, który z dna pieczary prowadził pod powierzchnię oceanu. Trudno było sobie wyobrazić, żeby przy tym poziomie przyływu ktoś mógł tamtędy wypłynąć żywy. Frank miał teraz oczy zwierzęcia schwytanego w śmiertelną pułapkę. Jessica szarpnęła się, usiłując uwolnić się z więzów.

- Chciał mnie tu zostawić przywiązaną, ponieważ wiem, że zabił swoją żonę i że utopił jej ciało w stawie na bagnach.

Frank podniósł ręce w geście protestu, a dłonie trzęsły mu się ze strachu.

- Ja wcale nie chciałem jej zabijać! Z Shawn to był tylko nieszczęśliwy wypadek.

- A z Jessica to też miał być wypadek?

- Tak! To znaczy, nie... Ale po prostu musiałem, bo ona...

- Milcz! - zagrzmiął Cosimo. Frank skulił się i zamilkł.

- Rozwiąż ją.

- Oczywiście, natychmiast! - Drżącymi rękami jakoś rozsupłał węzły sznura, po czym odpiął sprzączkę krępującego ręce paska. Jessica z trudem podniosła się na nogi i potykając się, wyszła z sięgającej jej już niemal po szyję wody. Podeszła do Cosimo i stanęła tuż za nim, na jedynym jeszcze w miarę suchym miejscu w pieczarze.

- Posłuchaj, Nick, wcale nie miałem zamiaru tak jej tu zostawić.

- Milcz, powiedziałem! - Cosimo przybliżył się jeszcze o krok. - Ty nędzny tchórz! Zaslugujesz na taką śmierć, jaką szykowałeś dla Jessiki!

- Nie! Nie, proszę!

- Uspokój się, nie zrobię tego. Ludzie mordowali się przez wieki i jestem doprawdy znużony wszelkim zabijaniem. Zresztą zabijanie też nie daje już poczucia satysfakcji, nie sądzisz?

- Nick, daj już spokój z tym udawaniem, proszę cię! Ja się poddam, nie będę się bronił. Ale przestań już udawać mnicha!

- Więc ty wciąż myślisz, że jestem Niccolo? No więc dowiedz się, że nie jestem - sięgnął dłonią do krawędzi kaptura. - Teraz widzisz?

Odrzucił kaptur. Jessica, która stała za nim, mogła widzieć od tyłu tylko jego głowę i lwią grzywę czarnych włosów. Ale Franco musiał spojrzeć prosto w twarz Cosimo Cavanettiego.

- O mój Boże! - Jęknął i zasłonił sobie oczy. Jessica zdążyła'; zobaczyć, że Frank zbladł jak ściana i niemal w tej samej chwili padł na ziemię bez przytomności.

Cosimo naciągnął kaptur z powrotem na głowę. Spojrzał na Franka, który leżał zemdłony na mokrym piasku. Jego stopy były już w wodzie.

- Sukinsyn i mięczak przy tym - mruknął Cosimo. Potem wstawił pochodnię w zagłębienie ściany i obrócił się w stronę Jessiki. - Czy z tobą wszystko w porządku, Jessico?

- Och, Cosimo! - Jessica wzdrygnęła się, jakby wyrwana z jakiegoś koszmarnego transu, i rzuciła się w ramiona swego wybawcy. Uścisnęła go tak mocno, jak tylko potrafiła, i wtuliła twarz głęboko w cień kaptura, całując jego ukrytą twarz z prawdziwym zapamiętaniem. Był taki wielki i taki mocny, a przy tym tak niezwykle ciepły i bliski. Przy nim czuła się teraz absolutnie bezpieczna.

Cosimo objął ją swymi potężnymi ramionami i mocno przytulił. Potem wyciągnął rękę i delikatnie przesunął dłonią po jej głowie, jakby sprawdzając, czy nie ma tam jakichś urazów i czy rzeczywiście wyszła z tej przygody cała. Sama Jessica przez cały czas tuliła się do niego, obejmując go tak mocno, jak tylko potrafiła. Jej drobne dłonie pod grubą tkaniną habitu przedostały się aż na jego szerokie plecy, pod palcami wyczuwała jego łopatki i kręgosłup i unoszącą się i opadającą w przyspieszonym oddechu klatkę piersiową.

- Jessico! - powiedział cicho, a jego dłoń badała teraz jej kark i szyję. Tego dotknięcia wystarczyło, by przebiegł przez nią jakiś niezwykle prąd. A jednocześnie w jej uszach i sercu wciąż brzmiał jego głos - głęboki, ciepły i tak niesłychanie teraz bliski. Przecież to on - kimkolwiek był - uratował ją ze śmiertelnego niebezpieczeństwa, jak gdyby w odpowiedzi na jej modlitewne wezwanie, wysłane ku niemu w chwili ostatecznej rozpacz. A teraz to właśnie on obejmował ją i przytulał zupełnie tak samo, jak mógłby to czynić jakikolwiek zwykły śmiertelnik. Jessica czuła w sobie przemożną chęć, by go pocałować. By ująć jego twarz w dłonie, przyciągnąć i połączyć wargi z jego wargami. Ale właśnie siła i spontaniczność tego odruchu w jakiś paradoksalny sposób powstrzymywała ją od natychmiastowego poddania się nagłemu pragnieniu. Bo przecież tak samo czuła się w obecności Cole'a. Jak to możliwe, żeby odczuwać dokładnie to samo w stosunku do dwóch różnych mężczyzn? Lekko odsunęła się od swego wybawcy, ale nadal trzymała dłonie na jego ramionach.

- Jesteś całkowicie przemoczona - powiedział Cosimo głosem ochrypłym od emocji. -

Musimy jak najszybciej wracać.

- Tak.

- Weź pochodnię i idź przodem. Ja zabiorę Franka i razem z nim będę szedł za tobą.

- Co chcesz z nim zrobić? - zapytała, usiłując zepchnąć gdzieś w głąb podświadomości te wszystkie odczucia, których przed chwilą doznawała w jego ramionach.

- Nie niepokój się o Franka. Zajmę się nim. A ty musisz zaraz po powrocie zadzwonić na policję.

Cosimo związał ręce i nogi Franka tym samym paskiem i sznurem, który przedtem posłużył do skrepowania Jessiki. Potem zarzucił go sobie na ramię z taką łatwością, jak gdyby niósł nie człowieka, ale owcę albo worek zboża.

- Pośpieszmy się, Jessico. Zrobiło się naprawdę zimno, a ty jesteś cała przemoczona.

Cosimo odprowadził Jessikę aż do ganku jej domu i przed odejściem pomógł jej jeszcze wejść na schody. Potem Jessica usiłowała trzymanym w rozdygotanych palcach kluczem otworzyć drzwi, co w końcu jej się udało. Szczęki bolały ją od stałego zaciskania zębów, które w przeciwnym razie uderzałyby o siebie głośniejsz niż kastaniety. Stawiając stopę na progu zdała sobie sprawę, że na nogach ma skorupę lodu. Z pracowni wyjrzała Lucy i popatrzyła na nią przerażona.

- Co się stało, Jessico?

- Lucy, zadzwoń zaraz na policję - Jessica tak szczekała zębami, że niełatwo było zrozumieć, co mówi. - Poproś detektywa Turnera i powiedz mu, żeby natychmiast tu przyjechał.

Jessica spojrzała na jej stopy, a potem dotknęła jej dłoni i policzków.

- Ależ ty jesteś do szczytu przemarznięta! Gdzieś ty była?

- Na urwisku Moss Cliff, z Frankiem Cavanettim. On chyba po prostu oszalał...

- Zrobił ci jakąś krzywdę?

- Nie, ale nie o to chodzi. Dzwoń na policję!

- Tak czy inaczej najpierw trzeba cię rozebrać, ogrzać i wysuszyć! - Nie zważając na opór Jessiki, Lucy zaciągnęła ją do łazienki. Kompletnie wyczerpana Jessica usiadła na krawędzi wanny.

- Poradzę sobie ze wszystkim - powiedziała ostatkiem sił. - A ty idź wreszcie i zadzwoń!

- W porządku, ale obiecaj mi, że weźmiesz porządną, gorącą kąpiel. Właż do wanny - przesunęła chromowaną dźwignię i ustawiła pożądaną temperaturę wody. - No już, bez dyskusji! A ja biegnę zatelefonować.

Przez chwilę Jessica stała jak otępiała przed szybko napelniającą się wanną i przypominała sobie tę niedawną przecież chwilę, kiedy to morską wodą podchodziła jej już niemal do gardła. Wzdrygnęła się nagle, i gwałtownie ściągnęła z przemarzniętej stopy wciąż pokryty lodem pantofel, nawet nie usiłując rozwiązywać sznurowadeł. Potem to samo zrobiła z drugim. Wciąż dygocącymi palcami ściągnęła też w końcu skarpety, a potem wierzchnią odzież i bieliznę.

Lucy zastukała do drzwi łazienki.

- Jesteś tam? Właśnie rozmawiałam z detektywem Turnerem. Już tu jedzie.

- Świetnie! Dziękuję.

- Chcesz może czegoś?

- Nie, poradzę sobie. Dzięki, Lucy.

- Wobec tego pobiegnę po Cole'a. Z pewnością też będzie chciał z pierwszych ust usłyszeć, co się stało. Zaraz wracam.

Jessica nawet nie spróbowała jej zatrzymać, chociaż była pewna, że niezależnie od tego, gdzie Cole mógłby teraz być, raczej nie da się go obudzić. Przynajmniej do powrotu Cosimo.

Czubkiem wielkiego palca sprawdziła temperaturę wody w wannie. Początkowo wydała się jej strasznie gorąca, ale już po paru sekundach to odczucie ustąpiło. Walcząc z obolałymi mięśniami, najpierw usiadła w kucki, a potem udało się jej wyprostować nogi i wyciągnąć w wannie na całą długość. Przymknęła oczy i napawała się rozkosznym ciepłem.

Jednak już parę minut później usłyszała głośne trzaśnięcie drzwi wejściowych i podniesiony głos Cole'a, który pytał o nią i natychmiast chciał z nią rozmawiać. Jessica usiadła w wannie, zaskoczona tym, że jednak był w domu i że udało się go obudzić.

- Chwileczkę, Cole! - usłyszała głos Lucy spoza drzwi. - Nie możesz tam wejść, bo ona się teraz kąpie!

Jessica chwyciła ręcznik kąpielowy, na wypadek, gdyby Cole nagle wdarł się do łazienki, ale Lucy najwyraźniej udało się go powstrzymać.

- Wszystko z tobą w porządku, Jess? - zapytał przez drzwi.

- Dziękuję, już czuję się dużo lepiej.

- No to jeszcze zrobię ci coś gorącego do picia.

Jessica postarała się szybko skończyć kąpiel, wytarła się i narzuciła na siebie miękkie włochaty szlafrok. Tylko z grubsza osuszone włosy zawiązała w fantazyjny węzeł na czubku głowy i obejrzała się w lustrze. Skrzywiła się, widząc, że nadal wygląda rozpaczliwie mizernie i że wciąż ma podkrążone oczy. Ta historia z Frankiem odebrała jej wiele sił. Z

drugiej jednak strony był to przecież prawdziwy cud, że w ogóle żyła. Jeszcze raz poprawiła włosy, przewiązała szlafrok paskiem i wyszła z łazienki.

Cole już czekał na nią przy wejściu do hallu.

- Rany boskie, Jess! - wykrzyknął. - Co się stało?

- Frank zabił swoją żonę - odpowiedziała, biorąc z jego dłoni filiżankę gorącej kawy. - I w ogóle chyba coś mu trzasnęło pod sufitem. W każdym razie próbował zabić również mnie.

- Co takiego?!

- Na szczęście zjawił się Cosimo i mnie uratował - z prawdziwą satysfakcją wypić kolejny łyk.

Cole zmarszczył brwi i przyjrzał się jej uważnie.

- Cosimo cię uratował?

- Tak - odpowiedziała i spojrzała mu prosto w oczy. - I między innymi dzięki temu wiem już na pewno, że między wami jest niezwykła rodowa więź. Zupełnie wyjątkowa!

- Między mną i tym mnichem?

- Tak.

Cole spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Jess, a czy jesteś pewna, że podczas tego wszystkiego nie uderzyłaś się na przykład w głowę? Dobrze się czujesz?

- Czuję się więcej niż dobrze i z pełną odpowiedzialnością oświadczam ci, że Cosimo naprawdę tam był. Ten mnich jest równie rzeczywisty jak ty i ja! I właśnie dlatego mógł uratować mi życie! - Spojrzała na Cole'a i naraz cofnęła się o krok. - Ale jeżeli wolisz mi nie wierzyć, masz do tego pełne prawo.

- Mnie tylko chodziło o to, że...

- Och, dajmy już temu spokój! - Jessica gwałtownie odstawiała filiżankę z kawą, omal jej nie rozlewając, i uciekła korytarzem w głąb domu. Była wściekła, że Cole nadal jej nie dowierza. A przecież bez zrozumienia i zaakceptowania tych więzów, które ich łączyły, Cole nigdy nie będzie wolny od zagrożenia dalszymi niewytłumaczalnymi przypadkami utraty przytomności.

Jednak Cole już po chwili przyszedł do jej pokoju. Dyskretnie obrócił się twarzą do ściany, ponieważ Jessica nie skończyła się jeszcze ubierać.

- Jess, naprawdę mi przykro, jeżeli sprawiłem wrażenie, że nie wierzę w ducha tego mnicha.

- On wcale nie jest duchem! Istnieje realnie, już ci to mówiłam. Chociaż to trochę skomplikowane, bo jest jednocześnie i Strażnikiem dziedzictwa Cavanettich, i założycielem

waszego rodu. Pojawił się tu, ponieważ dziedzictwo jest zagrożone, a jego obowiązkiem jest ochrona tradycji.

Odłożyła do szafy cienką bluzkę i zdecydowała się na górę od dresu i grube wełniane skarpety.

- W każdym razie dla ciebie, Cole, najważniejsze jest to, że nie pozbedziesz się tych nagłych przypadków utraty świadomości, dopóki nie przyjmiesz na siebie swojej rodowej roli Strażnika Winnicy.

- Jakiej znów roli? I dlaczego rodowej?

- Bo do tej roli po prostu się urodziłeś. Winnica jest częścią waszego rodowego dziedzictwa, którego zawsze ma strzec Strażnik. Ale ty nie chciałeś przyjąć na siebie tej roli i wyjechałeś, dlatego musiał się pojawić Cosimo. A ponieważ on jest jednocześnie częścią twojej świadomości, może się pojawiać jedynie wtedy, kiedy ty śpisz bądź jesteś nieprzytomny.

- Kiedy śpię lub jestem nieprzytomny? - Cole odwrócił się od ściany i patrzył na Jessikę, jakby sprawdzając, czy naprawdę mówi to serio. - Przecież to po prostu zawracanie głowy. Wytwór imaginacji!

Poirytowana jego uporem Jessica w ogóle zapomniała, że ma na sobie tylko skarpetki, rajstopy i górę od dresu, a wciąż jeszcze nie włożyła dzinsów.

- Jeżeli to jest wytwór mojej imaginacji, to jak wytłumaczysz fakt, że nie można było ciebie obudzić, kiedy wczorajszej nocy byłam u ciebie w pokoju?

- Wczoraj w nocy byłeś u mnie?

- Tak. A ty spałeś i nie dałeś się obudzić, mimo że bardzo się starałam. Trzęśłam cię za ramię, krzyczałam ci do ucha twoje imię - wszystko na nic. Jak gdybym dla ciebie nie istniała.

W trakcie tego wywodu zdążyła włożyć dzinsy i wreszcie była kompletnie ubrana. Ucieszyło ją, że do Cole'a coś zaczynało docierać.

- Ja i Cosimo staliśmy przy twoim łóżku i rozmawialiśmy o tobie, a ty przez cały czas spałeś, czy też byłeś nieprzytomny.

Nagle gdzieś znikła dawna pewność siebie Cole'a. Tym razem był najwyraźniej poruszony jej relacją.

- Cosimo powiedział mi, że ród Cavanettich ma pewną rzadką i szczególną cechę - ma wspólną pamięć rodu. Ta pamięć sprawia, że właściwie mógłbyś sobie przypomnieć każdego z twoich przodków tak wyraziście i szczegółowo, jak gdybyś go widział żywego. Czy nie przypominasz sobie czegoś z takiej właśnie odległej przeszłości?

- Na jawie na pewno nie - odpowiedział Cole, marszcząc czoło. - Za to mam jakieś zupełnie szalone sny. Właśnie wtedy, kiedy jestem nieprzytomny.

- I co to są za sny?

- Och, kompletnie niedorzeczne. Na przykład śni mi się, że jestem jednym z tych średniowiecznych rycerzy krzyżowców. Albo znów, że jestem jakimś... - Cole nagle urwał; w jego spojrzeniu pojawił się dziwny wyraz.

- Że jesteś jakimś - kim? - Jessica nie ustępowała. Cole przejechał palcami po włosach.

- Że jestem zakonnikiem... jakimś mnichem.

- Ten mnich to właśnie Cosimo! A więc jednak go pamiętasz, mimo wszystko!

- W tych moich snach nikt nie nazywał mnie imieniem Cosimo.

- To nie jest ważne! Jak wyglądał ten mnich z twojego snu?

- Wysoki i silny, z szerokimi ramionami - takimi jak moje. Widać to było nawet pod obszernym habitem. No i chyba miał okaleczoną twarz... jakieś takie straszne rany i oparzelizny, które ukrywał pod kapturem.

- Właśnie tak! - wykrzyknęła Jessica.

- Poza tym ten mnich był chyba związany uczuciowo z jakąś średniowieczną damą, bardzo piękną, ciemnowłosą, która wbrew swej woli wyszła za hrabiego. - Cole nagle urwał i oszołomiony wpatrywał się w twarz Jessiki. - Jess, niech mnie diabli, jeżeli... Właśnie zdałem sobie sprawę, że Giovanna - to znaczy, ta hrabina z mego snu - jest bardzo podobna do ciebie!

- Giovanna? Tak miała na imię?

- Tak. Giovanna di Montalcino. - Cole zupełnie oszołomiony przysiadł na łóżku i ukrył twarz w dłoniach. - Co, się ze mną dzieje, Jessico? I z tobą zresztą też?! Jakim cudem oboje pojawiajemy się w tych snach?

Jessica miała ogromną ochotę położyć dłoń na jego ramieniu, a potem po prostu go objąć i pocałować, ale ze względu na poprzednie przykre doświadczenia nie chciała się narazić na kolejne odtrącenie.

- To ma coś wspólnego z tym, co w średniowieczu nazywano rzeką czasu. Wtedy ludzie mieli o nim zupełnie inne pojęcie niż obecnie. Wierzyli, że na przestrzeni wieków ścieżki ludzkie mogą się krzyżować, i to po kilka razy.

- Ludzkie ścieżki mają się krzyżować na przestrzeni wieków? Co to u diabła ma znaczyć?

Jessica nie zdążyła odpowiedzieć, ponieważ właśnie w tym momencie dał się słyszeć dzwonek u drzwi.

- Podejrzewam, że to przyjechała policja - powiedziała i ruszyła ku drzwiom. -
Chodźmy, Cole. Do naszej rozmowy wrócimy później.

- Możesz być pewna, że wrócimy. Teraz muszę wiedzieć wszystko, co ten Cosimo ci
powiedział.

Przerwało mu głośnie stukanie do drzwi.

- Hej tam, słuchajcie! - dał się słyszeć głos Lucy. - Przerwijcie może swe sekretne
rozmowy, bo właśnie przyjechał pan detektyw Turner.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Czy to nie zbyt późna pora na towarzyskie odwiedziny? - spytała lodowatym tonem Isabella Cavanetti. Wkroczyła do salonu w atlasowej szkarłatnej sukni z wysokim - na wzór szat królewskich - koronkowym kołnierzem.

Detektyw Turner wstał w momencie jej wejścia, Jessica pozostała w fotelu, a stojący przy kominku Cole obrócił jedynie twarz i chłodno spojrzał na panią domu.

Oburzonej Isabelli na moment odebrało mowę.

- Ty tutaj? - wykrztusiła w końcu. - Wydaje mi się, że dostatecznie wyraźnie zabroniłam ci raz na zawsze...

- Jeśli wolno, pani Cavanetti - przerwał jej Turner. - To ja poprosiłem pana Nicholasa, żeby tu ze mną przyszedł. Chodzi między innymi o to, że dowiedzieliśmy się właśnie o kolejnym morderstwie.

- Kolejnym morderstwie? - Głos Isabelli nagle się zmienił, a dłoń sięgnęła koronkowego kołnierzyka na szyi.

- Panna Ward twierdzi, że Frank Cavanetti zabił swoją żonę, Shawn.

- Mój syn?! - wykrzyknęła Isabella. - To niemożliwe!

Jessica obróciła się w krzesło i spojrzała na nią.

- Frank sam mi się przyznał do zabicia Shawn.

- Nie, nie! To po prostu absurd! - przerwała jej Isabella. - Shawn pokłóciła się z moim synem wczoraj wieczorem i opuściła nasz dom bez pożegnania, ale...

Turner znów jej przerwał.

- Czy jest pani pewna, że Shawn opuściła państwa dom z własnej woli i o własnych siłach? Czy też może pani syn zabił ją, a ciało utopił w bagnach, w nadziei, że nawet w razie odnalezienia ciała pójdzie to na konto tego seryjnego mordercy? Poza tym, jak pani przecież wie, niedaleko bagna znaleźliśmy pantofel pani synowej.

- Taki pantofel mogła nosić połowa kobiet z naszego miasta! To znana firma i mnóstwo klientek nosi ten model.

- Może gdybyśmy mogli zapytać o to wszystko pani syna, byłoby nam łatwiej wyjaśnić...

- Franka w tej chwili nie ma w domu, panie Turner.

- A czy pani wie, gdzie teraz jest?

- Obawiam się, że nie. - Isabella królewskim gestem złożyła ręce i spojrzała z góry na detektywa. - A teraz, jeśli pan pozwoli, chciałabym już państwa pożegnać. Jest naprawdę

późno, a był to męczący dzień.

Cole, który przez cały czas stał nieruchomo, opierając się o marmurową obudowę kominka, przyglądał się temu wszystkiemu z pozorną obojętnością. Teraz jednak wyciągnął z kieszeni podłużną kopertę i zwrócił się do zamierzającej już odejść Isabelli.

- Zanim nas pani opuści, Isabella, chciałbym wyjaśnić coś jeszcze - powiedział, pokazując list. - Być może zechce się pani ustosunkować również do tego?

Isabella spojrzała na ofrankowaną zagranicznymi znaczkami kopertę, po czym przeniosła wzrok na Cole'a. Wargi miała zaciśnięte, a w jej twardych oczach przebijała nienawiść tak jawna, że Jessica poczuła współczucie dla Cole'a. Ta bezwzględna, pozbawiona serca kobieta miała być dla niego matką, a tymczasem to właśnie jej postępowanie było początkiem większości dramatycznych problemów, z którymi borykał się Cole.

- A cóż to jest? - Jeszcze bardziej lodowatym tonem spytała Isabella, spoglądając na list.

- To jest coś, co powierzyła mi Shawn, obawiając się, że w przeciwnym razie trafi to w pani ręce.

- Nick, odpowiadasz bardzo zawile, a ja jestem zmęczona. Przez co najmniej pół dnia opiekowałam się twoim ojcem, starając się go uspokoić. Nie mam już siły ani chęci na rozwiązywanie zagadek.

- Czytała pani ten list?

Zanim Isabella zdążyła odpowiedzieć, od frontu domu dał się słyszeć trzask otwieranych gwałtownie drzwi, a zaraz po tym krzyk stojącej w hallu przerażonej Marii. W chwilę później drzwi salonu otworzyły się i do środka wpadł Frank, wciąż jeszcze w przebraniu zakonnika. Zmierzwił włosy i błędny wzrok, którym obrzucał po kolei wszystkich obecnych w taki sposób, jak gdyby nikogo nie poznawał, świadczyły o oczywistym załamaniu nerwowym.

- Frank! - wykrzyknęła przerażona Isabella.

Frank podbiegł do niej i padając na kolana, przytulił się do jej nóg.

- Pomóż mi, mamó! - zawołał rozpaczliwie. - Pomóż, proszę cię!

- Frank! - W głosie Isabelli było surowe napomnienie. - Uspokój się natychmiast i zachowuj się, jak należy!

- Nie pozwól mu, żeby mnie zabrał, mamó! Nie pozwól!

- Ale kto miałby cię zabrać?

- Cosimo Cavanetti!

Isabella spojrzała na Jessikę, a potem na detektywa Turnera.

- Frank, co ty w ogóle opowiadasz? - bezskutecznie usiłowała wyswobodzić się z objęć syna.

- On mnie zabije! Powiedział, że mnie zabije!

- Frank, pleciesz jakieś głupstwa!

- Nie, wcale nie! To wszystko prawda! On... on wie wszystko o Shawn! I powiedział, że zabije mnie, jeżeli się nie przyznam. I że wtedy już na pewno będę płonął w piekle!

Isabella chwyciła go za ramiona i spróbowała mocno nim potrząsnąć.

- Frank, czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, co wygadujesz? - spojrzała na Turnera. - Pan jako policjant z pewnością teraz rozumie, jakim wstrząsem stało się dla mojego syna zniknięcie Shawn.

- Chyba rzeczywiście teraz rozumiem - powiedział Turner, przyglądając się jej uważnie.

Tymczasem Frank wciąż usiłował szukać zrozumienia u matki.

- Mamo, ty go nie widziałaś, a on jest straszny! Ma tak potwornie okaleczoną twarz i chyba dwa metry wzrostu! I na pewno mnie zabije!

- Och, daj już spokój z tymi opowieściami, Frank - Isabella poklepała syna po plecach.

- Pewnie trochę za dużo wypiełeś, prawda? - Uśmiechnęła się wyrozumiale i spojrzała na detektywa.

- Nie wypiełem ani kropli, przysięgam! - Frank znów wtulił twarz w jej kolana. - Mamo, powiedz im, że to był wypadek! I że wcale nie miałem zamiaru zabić Shawn! Na miłość boską, wytłumacz im, że ja przecież nie chciałem jej zrobić nic złego!

Isabella wyrwała się z jego objęć, pozostawiając go klęczącego na podłodze.

- Frank, bądźże wreszcie mężczyzną i weź się w garść!

- Opowiedz im wszystko, mamo!

- Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz!

- Ależ wiesz, mamo, przecież byłaś tam! I powiedziałaś, że to nawet lepiej, że Shawn nie żyje. No powiedz im to!

Isabella patrzyła na swego syna szeroko rozwartymi oczami osoby najszczerzej wstrząśniętej i przerażonej. Cofnęła się o kilka kroków i wciąż patrzyła na niego, przecząco potrząsając głową.

- Może rzeczywiście zechce nam pani to opowiedzieć, pani Cavanetti? - powiedział Turner. - A więc i pani tam była?

Isabella zauważalnie zbladła.

- Mamo, przecież ona cię szantażowała! A mnie zdradzała z kim się dało! - Frank

nadal nie podnosił się z podłogi i tylko rozglądał się dookoła, jakby szukając zrozumienia. - To przecież była żdzira, zwykła szmata! Zrobiła ze mnie pośmiewisko!

- Frank, bądźże wreszcie cicho!

W tym momencie Turner uznał, że nadszedł już czas, by podjąć konkretne działania.

- Zechce pani włożyć coś cieplejszego na siebie, pani Cavanetti. I ty również, Frank.

Isabella zmarszczyła brwi i spojrzała na detektywa.

- A to niby po co?

- Zabieramy państwa do naszego komisariatu na oficjalne przesłuchanie.

- Teraz, w nocy? Pan chyba musiał oszaleć!

Turner tylko się uśmiechnął, a jego mina świadczyła o tym, że uważa się za raczej w pełni poczytalnego. To Isabella w końcu nie wytrzymała jego spojrzenia. Obróciła się i wybiegła z salonu.

Turner zdawał się zupełnie obojętnie przyjmować jej zachowanie. Odwrócił się i podszedł do Jessiki.

- Chciałbym pani podziękować za pomoc, panno Ward - powiedział i wyciągnął do niej rękę. - Mam nadzieję, że także i jutro zechce nam pani pomóc i wskaże miejsce, gdzie wrzucono ciało Shawn Cavanetti.

Jessica skinęła głową, a Turner z kolei zwrócił się do Cole'a.

- A pana przede wszystkim chciałbym przeprosić za moje nieuzasadnione podejrzenia. Proszę mi to wybaczyć! Aha, i jeszcze jedno - ten chwyt, którym pan obezwładnił Rogersa, to było naprawdę coś wspaniałego!

- Dziękuję - powiedział Cole.

- Oglądał pan siebie w wieczornych wydaniach wiadomości?

Cole przecząco potrząsnął głową.

- Znow jest pan bożyszczem i ogólnonarodowym bohaterem - ma pan to jak w banku!

Cole w odpowiedzi uśmiechnął się cokolwiek blade, a potem obrócił się w stronę Marii. Ta, wreszcie rozpromieniona, spiesznie kuśtykała w jego stronę i już po chwili objęła go pulchnymi ramionami.

- Och, Niccolo! - zawołała i przytuliła się do niego. Głowę miała mniej więcej na wysokości jego bioder, toteż Cole musiał się mocno pochylić, by mogła sięgnąć jego szyi i ramion. - Dzięki Bogu! Dzięki Bogu! - powtarzała.

- Teraz już wszystko będzie dobrze, Mario. Tak więc tylko czekaj i dobrze się przyglądaj! Bo będzie na co popatrzeć.

- Och, Niccolino! Ja wiem, że to okropne, co teraz powiem... ale mam nadzieję, że już

nigdy więcej nie zobaczymy tu pani Isabelli!

- No cóż, chyba są znaczne szanse, że tak właśnie będzie, *cara mia!* - Cole poklepał ją po plecach. - Z pewnością zostanie oskarżona co najmniej o współudział w morderstwie. Ale nawet gdyby się jakoś z tego wywinęła, i tak pozostaje w mocy zarzut bigamii, którą odkryła Shawn. Isabella wyszła tu w Ameryce za męża, mimo że wciąż miała męża we Włoszech. Tak więc jej małżeństwo z moim ojcem od początku było nieważne!

Maria z satysfakcją kiwała głową i z uwielbieniem wpatrywała się w swego najukochańszego pupila.

- Tak się cieszę, że wróciłeś do domu, Niccolino! Teraz znów wszystko będzie tak, jak za dawnych czasów!

- Mam nadzieję - odpowiedział Cole i ponad siwą głowę Marii spojrzął w stronę Jessiki. - Chyba tak właśnie będzie!

Z prawdziwą ulgą odprowadził wzrokiem światła policyjnego wozu, który zabrał Isabellę i Franka do śródmiejskiego komisariatu. Podobnie jak Maria, miał nadzieję, że już nigdy nie będzie musiał oglądać Isabelli - w każdym razie nie w domu Cavanettich. Po jej wyjeździe była wreszcie szansa, że ojciec wyzdrowieje i odzyska swój dawny wigor. Wyobrażając to sobie, westchnął z nadzieją. Sprawy zaczynały iść ku lepszemu.

Ale wystarczyło jedno spojrzenie na Jessikę, by to poczucie ulgi od razu znikło. Stała w pobliżu wyjścia, powściągliwa i nienaganna bardziej niż kiedykolwiek, ale też najwyraźniej krańcowo wyczerpana. Jej piękna twarz zdawała się wyprana z jakichkolwiek kolorów, pod oczami leżały głębokie cienie, a pełne wargi były nienaturalnie blade. Najchętniej wzięłby ją w ramiona i pocałunkami przepędził z jej oczu ten wyraz zmęczenia i apatii, a nagle przypomniał sobie swój własny bezsensowny wybuch z poprzedniego dnia. Trudno było się dziwić, że teraz starała się trzymać od niego w bezpiecznej odległości.

- Jess - powiedział po chwili. - Wyglądasz na krańcowo zmordowaną. Może odprowadzę cię do domu?

- Dobrze - odpowiedziała całkowicie bezbarwnym głosem. Cole pomógł jej włożyć płaszcz; wyszli i ruszyli w stronę domu ścieżką obok żywopłotu. Jessica nie odezwała się nawet słowem i szła przed siebie całkowicie mechanicznie, z rękami w kieszeniach płaszcza. W pewnym momencie potknęła się lekko i Cole wykorzystał to jako pretekst, żeby ją podtrzymać, a potem dla pewności objąć ramieniem. Pomyślał, że jej głowa pasuje wręcz idealnie do miejsca między jego klatką piersiową a barkiem.

Jessica nie zaprotestowała, kiedy ją przytulił - najpewniej była zbyt zmęczona, żeby w ogóle o tym pomyśleć. Cole popatrzył na nią i uśmiechnął się nieco melancholijnie. Już po

chwili otwierali główne drzwi.

Lucy wciąż jeszcze tam była i czekała na nich w hallu. Cole pokrótce opowiedział jej, co się stało, a potem odprowadził Jessikę do jej sypialni.

Kiedy odwrócił się, żeby zamknąć drzwi, Jessica zdążyła już zdjąć płaszcz i - co było zupełnie do niej niepodobne - po prostu rzuciła go na najbliższe krzesło.

- Usiądź może na łóżku, a ja pomogę ci ściągnąć buty - powiedział Cole. Ku jego zaskoczeniu Jessica natychmiast go posłuchała.

Z pewnym trudem rozwiązał mokre sznurowadła i ściągnął jej buty.

- A teraz, gdybyś się położyła na plecach, ściągnąłbym ci też dzinsy. Propozycja została wypowiedziana tonem absolutnie niewinnym i tak też została przyjęta. Ale Cole nagle poczuł gwałtowny przyływ pożądania na samą myśl o tym, że mógłby ją w ten sposób rozebrać aż do naga. Z ogromnym wysiłkiem udało mu się jakoś nad sobą zapanować.

Na szczęście Jessica najwyraźniej nic nie zauważyła. Przymknęła oczy i przysłoniła je ramieniem.

- Nie mam pojęcia, dlaczego jestem aż tak wyczerpana - powiedziała zmęczonym głosem.

- To skutek przeżytego szoku - odparł Cole. Sam się sobie dziwił, że mimo wszystko potrafi się pohamować, choć przecież niczego na świecie nie pragnął w tym momencie bardziej niż tego właśnie - żeby położyć się razem z nią i kochać się w jej łóżku aż do świtu. Na dobrą sprawę teraz już stale jej pragnął i stale chciał się z nią kochać - w każdym razie od momentu, kiedy tańczyli ze sobą w Falls Winery. A to, że już tyle razy musiał się powstrzymywać, tylko zwiększało siłę tego pożądania.

Nadal stał nieruchomo i przyglądał się jej, gdy nagle Jessica obróciła się leniwie, otworzyła jedno oko i spojrzała na niego pytająco.

- No więc, co z tym rozbieraniem, Cole? - mruknęła, jakby dziwiąc się, że jeszcze tego nie zrobił.

Cole stanął nad jej wyciągniętymi nogami, niczym kowboj nad siodłem, a potem bardzo ostrożnie rozpiął guzik i suwak jej dzinsów. Jessica nawet nie poruszyła się, za to Cole nagle zobaczył jej nagi pępek i dostał takiej erekcji, że spodnie omal mu nie pękły. Rozbieranie jej w takim momencie należało powierzyć Lucy, a on był kompletnym wariatem, biorąc się za coś takiego osobiście.

Dwoma silnymi szarpnięciami ściągnął w końcu te nieszczęsne dzinsy z jej długich, uniesionych teraz w górę nóg. Odwrócił się i bardzo starannie - chyba pierwszy raz w życiu - złożył je dokładnie wzdłuż szwów, a potem w równiutką kostkę, którą po chwili namysłu

ulożował na pobliskim krześle. Wszystkie te czynności miały oderwać jego uwagę od tego, o czym i tak nie przestawał myśleć. Miał jednak nadzieję, że kiedy się odwróci z powrotem w stronę łóżka, Jessica już będzie przykryta.

Nic bardziej błędnego. Jessica zrobiła tylko tyle, że obróciła się na bok, właśnie w jego stronę, z kolanami cokolwiek podciągniętymi do góry. Jej długie i smukłe uda miały odcień mlecznobiały, a kolana i kostki były szczupłe i zgrabne jak u tancerki. Wąziutkie koronkowe majteczki, wysoko opinające biodra, sprawiły, że Cole poczuł kolejny gwałtowny przypływ krwi do łądźwi. Rozpaczliwym wysiłkiem woli oderwał od niej wzrok, przeklinając się za własną głupotę. Wyciągnął spod niej kołdrę i postarał się ją okryć możliwie szczelnie. Jessica znów lekko się poruszyła i westchnęła.

- Dobranoc, Jessico - powiedział. Był dumny, że udało mu się przy tym nie zgrzytać zębami.

- Dobranoc, Cole. Dzięki za wszystko.

- Żadna sprawa - odparł i z determinacją ruszył w stronę drzwi.

- Aha, Cole... - Jessica niespodziewanie go zatrzymała.

- Co?

- Twój ojciec... - Jej senny głos stawał się coraz bardziej niewyraźny. - Chyba odtąd będzie pod dobrą opieką, prawda?

- Oczywiście. Mam nadzieję, że jeszcze nie jest za późno. No to do jutra, Jess.

Pośpiesznie zsunął się z łóżka i sięgnął po swój habit. Jego wyczulony słuch wyłapał daleki jeszcze odgłos zbliżających się kroków, którym od czasu do czasu towarzyszył charakterystyczny szcęk metalu. Cole już od dziesięciu lat nie miał do czynienia ze zbrojnymi rycerzami, ale wcześniejsze doświadczenia sprawiały, że rozpoznawał dźwięki równie bezbłędnie jak kiedyś. Po kamiennych schodach szedł w górę ktoś w zbroi i z mieczem u boku.

Cole błyskawicznie narzucił na siebie swój strój zakonnika, podczas gdy Giovanna jedynie poruszyła się przez sen w swej pościeli, jeszcze gorącej od ich wspólnej, dopiero co uprawianej miłości. Kilka ostatnich spędzonych razem dni i zwłaszcza nocy oboje uważali za tak cudowne i niebiańskie, że nieomal godziło ich to z nieuchronną koniecznością bliskiego już rozstania.

Teraz jednak nie było czasu na rozmyślanie nad tym wszystkim. Drzwi otworzyły się z głośnym hukiem i do wnętrza wtargnął niski, mocno zbudowany mężczyzna bez hełmu, ale wciąż jeszcze w zbroi i z mieczem w dłoni. Rondolfo di Brindisi wrócił do zamku - niezapowiedziany i w bardzo złym humorze.

- Giovanna! - warknął tuż nad uchem żony.

Rozbudzona nagle Giovanna półprzytomnie usiadła na łóżku, a jej białe nagie piersi ostro rysowały się na tle ciemnej pościeli.

- Nierządnica! Dziewka! - krzyczał hrabia Brindisi.

Cole mimo woli pomacał się po boku, jakby szukając własnego miecza. Nie czuł żadnych wyrzutów sumienia z tego powodu, że dopiero co był z Giovanną w jej łóżku. Brindisi, jeżeli w ogóle kiedykolwiek miał jakieś prawa do niej, wyzbył się ich już ostatecznie w dniu, kiedy pobił swą żonę do nieprzytomności i zostawił ją samą, żeby umarła. Tak właśnie by się stało, gdyby on, Cole, nie przywrócił jej do życia. Teraz więc Giovanna była jego - jak to zresztą było im pisane. I doprawdy nic nie sprawiłoby mu większej przyjemności niż zabicie tego bydlaka, który skatował swą żonę niemal na śmierć.

- Jak śmiesz mnie tak wyzywać! - krzyknęła Giovanna, prostując się i dumnie unosząc podbródek. Najwyraźniej także i ona nie wstydyła się tych wspólnie spędzonych nocy.

- Ubieraj się, ty bezwstydna dziewczko! - Rzucił w nią sukienką. - Ledwie wyjechałem na miesiąc i czego się dowiaduję po powrocie? Że przyjmujesz w swym łożu jakiegoś klechę, nierządnico! - Podniósł dłoń, zamierzając uderzyć żonę.

- Stać! - huknął Cole.

Rondolfo obrócił się i spojrzał na niego.

- A więc to ty jesteś tym, który zginie, święty braciszku! Bo nikt nie będzie przyprawiał mi rogów, nawet jeśli nosi zakonną sukienkę i należy do Boga!

Ruszył w stronę Cole'a, oburącz podnosząc do góry ciężki miecz. Cole odskoczył na bok i rzucił drewniany taboret pod nogi hrabiego, ale ten bez trudu odtrącił lekki mebel obutą w żelazo stopą. Jego przekrwione oczy ziały nienawiścią, a podniesione niczym u wściekłego wilka wargi odsłoniły nierówne, żółte zęby.

- Giń za swe grzechy, ty przeklęty bękarcie! - Rondolfo jeszcze raz zadał cios i tym razem samym czubkiem miecza przeciął kilka nitek w zakonnym habicie.

Cole rozglądał się za czymś, co mogłoby posłużyć za oręż, ale w pustym pomieszczeniu nie było dosłownie nic. Chwycił więc jedyną rzecz, którą mógł się bronić - swą pelerynę z kapturem, który udało mu się zarzucić na głowę hrabiego. Unieszkodliwiony w ten sposób Rondolfo stracił ledwie chwilę, nim udało mu się ściągnąć ów kaptur z głowy i odrzucić go w kąt. Ale tej jednej chwili wystarczyło, by Cole złożonymi we dwoje pięściami zdążył zadać w trzymającą miecz prawą rękę cios tak silny, że kość przedramienia pękła natychmiast. Rondolfo zawył z bólu i upuścił miecz.

- To za Giovannę! - wykrzyknął Cole, uderzając go na zmianę z prawej i lewej strony

z taką siłą, że bezradny wobec tej wściekłości Rondolfo zachwiał się i upadł na plecy. Cole obrócił się, gdy nagle Giovanna krzyknęła rozpaczliwie:

- Cosimo, uważaj! On ma nóż!

Imię, którego użyła Giovanna, kompletnie zaskoczyło Cole'a i w rezultacie odwrócił się o ułamek sekundy za późno. Rondolfo zdążył się już rzucić na niego z nożem w lewej dłoni. Cole Cosimo zdusił w sobie jęk bólu, gdy ostrze sztyletu trafiło go w ramię, ale nie cofnął się ani o krok. Z bojowym okrzykiem na ustach - tym samym, z którym ruszał do walki, kiedy sam był jeszcze baronem - odbił bez trudu następną próbę ciosu, a potem z nieczłowiecką wręcz siłą oderwał przeciwnika od ziemi, uniósł go wysoko nad głowę i rzucił nim o pobliską ścianę.

Rondolfo di Brindisi wciąż jeszcze miał na twarzy wyraz bezbrzeżnego zdumienia, kiedy po przeleceniu kilku metrów w powietrzu i uderzeniu o ścianę spadł prosto na trzymany we własnej dłoni sztylet. Nie potrafił pojąć, jak to się mogło stać, że oto sam sobie zadał śmierć. Jeszcze przez moment próbował się unieść na łokciu, a potem ostatecznie zwałił się na kamienną podłogę i znieruchomiał.

Zanim Cole Cosimo zdążył w jakikolwiek sposób zareagować, od strony drzwi dał się słyszeć tupot nóg biegnących po kamiennych schodach ludzi i do pomieszczenia wpadła grupa zbrojnej służby hrabiego Brindisi. Wraz z nimi pojawiła się ta, która ich tu przywiodła - stara kobieta, którą Cole tak przeraził swą diabelską umiejętnością ożywiania zmarłych.

- To on! - zaskrzeczała. - Czarownik! I do tego zabójca!

Cole spoglądał na nią, nie pamiętając w ogóle o krwawiącym ramieniu ani o tym, że z odsłoniętym kapturem ukazywał wszystkim swą potworną, okaleczoną twarz.

- Hrabia Rondolfo nie żyje! - powiedział najstarszy ze zbrojnych. - Pojmać tego zakonnika!

Kilku pozostałych chwyciło Cole'a, wykręcając mu ramiona i prowadząc w stronę drzwi. Giovanna zerwała się z łóżka, osłaniając się prześcieradłem.

- Cosimo! - krzyknęła rozpaczliwie.

Cole mimo bolesnej rany usiłował się wyrwać, ale nie dał rady. Trzymający go mężczyźni odciągnęli go i powlekli w stronę drzwi. Zdołał jeszcze obrócić głowę.

- Ja wrócę, Giovanni! - zawołał. - Pamiętaj! Wróć do ciebie!

Cole zbudził się z twarzą pokrytą potem. Dotkliwie bolało go ramię, całkowicie zdrtwiiałe w rezultacie wyjątkowo niewygodnej pozycji, kiedy to bardzo już zmęczony zasnął w fotelu ustawionym przy łóżku ojca. Tak więc było to po prostu odrętwienie mięśni, a nie krwawiąca rana z tego straszego snu!

Wprawnymi palcami rozmasowywał bolące ramię, a jednocześnie chcąc nie chcąc przypominał sobie szczegóły nocnego koszmaru. Śnił o Cosimo Cavanettim. Więcej - w tym śnie to on sam nim był! I jako Cosimo przyrzekł swój powrót kobiecie, która go kochała. Raczej trudno mu było spełnić tę obietnicę wtedy, w dwunastym wieku, pomyślał i nagle poczuł przenikający go zimny dreszcz, chociaż w pomieszczeniu było naprawdę ciepło. Wzdrygnął się, gdyż dotarło do niego, że to wszystko, co mu opowiadała Jessica, mogło być prawdą.

Tak więc może rzeczywiście Cosimo w jakiś sposób istniał i nadal trwał w jego podświadomości. I może to, co on wciąż jeszcze chciał uważać jedynie za koszarne sny, było w istocie jakimś odtwarzaniem w pamięci rzeczywistych wydarzeń sprzed wielu stuleci. Cole zmarszczył brwi i poprawił się w fotelu. Sama myśl o tym, że przynajmniej po części miałby być tym dwunastowiecznym mnichem, nie była zbyt krzepiąca.

Spojrzał na ojca, który spokojnie spał w swoim łóżku, bez pomocy jakichkolwiek środków uspokajających. Ciekawe, czy i on śnił teraz o Cosimo Cavanettim? I czy to nie o tym wszystkim chciał mu powiedzieć przed trzynastu laty, podczas pamiętnego przyjęcia urzędzonego z okazji dyplomu syna? Cole nie chciał go nawet wysłuchać, ponieważ jedyną sprawą, o której potrafił wtedy myśleć, był futbol i przyszła kariera zawodnika. Tymczasem ojciec owej nocy bredził coś o dziedzictwie Cavanettich i usiłował wprowadzić go w jakieś nedorzeczne rodowe rytuały. Cole ze wstydem przypominał sobie, jak wówczas roześmiał się ojcu prosto w twarz. Ale, jak się okazywało, te wszystkie włoskie nonsensy ze starego kraju nagle nabrały zupełnie innego znaczenia, a on sam chcąc nie chcąc stawał się żywą częścią tego dziedzictwa. I nie było to już ani bezsensowne, ani śmieszne.

Pochylił się nad ojcem i ujął go za rękę.

- W porządku, tato - powiedział cicho. - Teraz już dorosłem i jestem gotów. Mogę i chcę cię wysłuchać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Jessica obudziła się o czwartej nad ranem i mimo usilnych starań nie potrafiła ponownie zasnąć. Wiedziała już, że musi się z tym pogodzić, leżała więc i patrzyła w sufit - z niejasnym poczuciem, że zapomniała zrobić coś ważnego. W żaden jednak sposób nie potrafiła przypomnieć sobie, co by to mogło być.

W końcu zdecydowała się wstać. Może cała ta bezsenność wzięła się z poczucia winy, że ledwie zaczęty referat nadal leżał odłogiem? Ciekawe, jak też będzie się czuła po powrocie do Kalifornii, gdy wyjdzie na jaw, że przywiozła jedynie jakąś szaloną opowieść, pełną morderstw, mnichów i nocnych koszmarów?

Włożyła szlafrok, umyła zęby i ruszyła korytarzem do pracowni. Stosik kartek przy maszynie ojca był wyraźnie grubszy. A zatem rzeczywiście zabrał się do pracy nad sztuką - tak, jak to zapowiadał. To z całą pewnością było pocieszające, ale Jessica nauczyła się już, żeby nigdy nie robić sobie przedwcześnie zbyt wielkich nadziei.

Wyciągnęła wielką żółtą kopertę, w której przechowywała kilka mizernych kartek ledwie rozpoczętego referatu. Szybko przejrzała tekst, kiwając głową nad niepotrzebnie rozwlekłym wstępem. Przekreśliła na krzyż cały akapit i na osobnej kartce zaczęła dopisywać nową, bardziej skondensowaną wersję. Wtedy zdała sobie sprawę, że ma zmarznięte dłonie i że pisze jak kura pazurem, ponieważ w pomieszczeniu jest po prostu zimno.

Rozpalenie kominka mogłoby nie tylko skutecznie ogrzać jej zziębłe ręce, ale i przy okazji trochę poprawić nie najlepszy humor. Już po chwili ogień wesoło trzaskał na żelaznym ruszcie, a sama Jessica poszła do kuchni, żeby zrobić sobie gorącej herbaty, jako że nawet jakieś takie ogrzanie pokoju wymagało pewnego czasu.

Nastawiła wodę w elektrycznym imbryku i zamierzała usiąść, gdy nagle dobiegł ją zapach świerkowego igliwia - na tyle mocny, że postanowiła wstać i sprawdzić, skąd dociera.

Okazało się, że to pachnie kupiona przez nią choinka, która teraz stała w głównym salonie, już w pełni udekorowana srebrnymi łańcuchami i bombkami. Nie brakło nawet kolorowych elektrycznych lampek, gotowych do włączenia.

Jessica ze zdumieniem patrzyła na tę tak staroświecką w swej stylistyce choinkę i niespodziewanie poczuła, że nagle wzruszenie ściska jej gardło. Przypomniała sobie te wszystkie lata, kiedy to na niej właśnie spoczywał obowiązek udekorowania choinki. Każdego roku miała nadzieję, że może tym razem magia świąt zadziała i stanie się coś naprawdę cudownego. Ale nic takiego nigdy się nie stało. Już w wieku sześciu lat przestała wierzyć w świętego Mikołaja, a w rok później wiedziała już, że nikt niespodziewany nigdy do

nich na Wigilię nie przyjedzie. Potem już tylko sama dla siebie wymyślała kolejne, nie istniejące w rzeczywistości zimowe święta. Wymyślała też - najpierw tylko dla swych szkolnych kolegów, a potem już w ogóle dla wszystkich ludzi z bliższego i dalszego otoczenia - bardzo przekonujące historie na temat swego wspaniałego ojca. Historie równie nierealne, jak wszelkie opowieści wigilijne.

Gwizd elektrycznego czajnika oderwał ją od tych niewesołych wspomnień. Pobiegła do kuchni, walcząc ze sobą, żeby się natychmiast nie rozplakać. Nie należało sobie na to pozwalać, zwłaszcza teraz. Wrzuciła torebkę z herbatą do filiżanki i zalała wrzątkiem. Potem zaczęła się zastanawiać, jaki też dobry duch ustawił i udekorował tę choinkę? Czyżby to była Lucy? No bo z pewnością nie ojciec.

Kimkolwiek był ów bożonarodzeniowy duszek, Jessica była mu szczerze wdzięczna za to, co zrobił. Może tym razem naprawdę coś się odmieni w jej życiu, może ojcu uda się wytrwać w zbożnym zamiarze i rzeczywiście napisze nową sztukę? Czy zbliżające się święta usprawiedliwiały taką nadzieję? No, a co z Cole'em i z nią? Wycisnęła torebkę po herbacie i wyrzuciła ją do śmieci. Czy w ten sam sposób powinna wyrzucić wszystkie swoje osobiste nadzieje?

Nalała sobie jeszcze jedną filiżankę i ruszyła z powrotem do pracowni. Z pewnością i tam już zrobiło się wystarczająco ciepło, pomyślała i otworzyła drzwi.

- Dobry wieczór, panno Ward - usłyszała znajomy głos. Przed kominkiem stała wysoka ciemna postać w kapturze i zakonnym habicie.

- Cosimo! - wykrzyknęła Jessica. - A cóż ty tu robisz o tej porze?

- Niccolo akurat śpi. A ja należę do tych, którzy korzystają z nadarżających się okazji. Odwróciła się i postawiła filiżankę na biurku.

- Masz może ochotę na gorącą herbatę?

- Dziękuję, nie.

Jessica przysiadła na brzegu biurka, przyglądając się ciemnej sylwetce na tle jarzącego się kominka.

- Posłuchaj, Cosimo, wciąż mi się wydaje, że nie podziękowałam ci tak, jak należało, za to, że pojawiłeś się w tej pieczarze i uratowałeś mi życie.

- Zawsze starałem się pomóc, kiedy tylko tego potrzebowałaś, moja nocna damo - odparł.

- Tak, to prawda. Pomagałeś mi nie jeden raz. Na dobrą sprawę stale czuwałeś nade mną.

Mówiąc to uświadomiła sobie nagle, że już przez tyle lat nie było przy niej nikogo, kto

troszczyłyby się o nią w jakikolwiek sposób. Matka odeszła, ojciec interesował się jedynie wódką, a nie o córkę. I tylko Cosimo naprawdę się nią opiekował.

A tymczasem ona wciąż nie mówiła mu całej prawdy. Wiedziała już, że kiedyś rzeczywiście musiała istnieć między nimi więź, która była tak ważna dla Cosimo, a jednak z najzwyczajniejszego tchórzostwa nigdy mu się nie przyznała, że o tym wie. Choć przecież właśnie jego nie powinna się była obawiać w najmniejszym nawet stopniu. Zwiesiła głowę w poczuciu winy.

- Czuwałem nad tobą, ale już wkrótce nie będzie ci to potrzebne - powiedział Cosimo i zrobił kilka kroków w jej stronę. - I mnie też już tu nie będzie.

- Jak to? - wykrzyknęła. Poczła coś w rodzaju nagłej paniki.

- Przyszedłem, żeby się z tobą pożegnać, Jessico. - Cosimo złączył dłonie, kryjąc je w szerokich rękawach habitu. - Niccolo zgodził się przyjąć na siebie dziedzictwo Cavanettich, zresztą głównie dzięki tobie. Tak więc moja obecność w winnicy Św. Benedykta staje się zbędna.

- Co to znaczy - zbędna? Dla kogo? - zaprotestowała łamiącym się głosem. - A co ze mną?!

Cosimo pochylił głowę.

- No właśnie. Co z tobą, Jessico?

- Ja cię potrzebuję! Nie poradzę sobie bez twojej pomocy!

Cosimo nie odpowiedział. Stał przed nią nieruchomo, a Jessica miała wrażenie, że jej słowa nagle odbiły się od niego powtarzającym się echem, niczym od skalnej ściany. Sama zresztą była zaskoczona własnym wybuchem szczerości i tym, co mu w tym momencie powiedziała. Zdawałoby się, że już od bardzo dawna umiała sobie dawać radę sama, nie potrzebując niczego i nikogo. I nagle teraz łzy zaczynały się kręcić w jej oczach.

- Ty będziesz miała Cole'a - powiedział w końcu Cosimo. Przygryzła wargi, żeby się natychmiast nie rozplakać.

- Ale Cole to nie ty!

- Nie masz racji. Cole to także ja.

- Nie... To znaczy, może tak... Ale co się teraz stanie z naszymi rozmowami, z naszymi...

Cole uniósł dłoń, by jej przerwać.

- Ja po prostu nie mogę już tu zostać. Gdy Niccolo przejmie dziedzictwo, Strażnik Winnicy nie będzie potrzebny. Gdybym teraz próbował walczyć z nim o prawo przebywania na ziemi, przyniosłoby to wyłącznie szkody nam wszystkim. No a poza tym - jego głos nagle

stał się cichszy - nie będę ukrywał, że takie pozostanie właśnie dla mnie mogłoby się okazać szczególnie bolesne.

- Nie... - powiedziała Jessica na w pół do siebie. Potrząsała głową, jak gdyby wciąż nie potrafiła uwierzyć w to, co usłyszała. Broniła się przed myślą, że Cosimo może ją opuścić. Co ona zrobi bez niego? Kto będzie jej doradzał i pocieszał w razie potrzeby? Myśl o tym, że mogłaby go już nigdy więcej nie ujrzeć, była dla niej prawdziwym ciosem. To prawda, że zamierzała zaraz po świętach wracać do siebie na uniwersytet, ale nie przyszło jej do głowy, że jednocześnie miałyby pożegnać takiego powiernika i przyjaciela, i to na zawsze.

- Nie - powtórzyła. - Nie! Nie!

Jak oszalała rzuciła się ku niemu i objęła go najmocniej, jak potrafiła.

- Och, Cosimo! - Westchnęła i przytuliła się do niego tak blisko, że poczuła jego zapach - jakąś niezwykłą mieszaninę woni winorośli, nagrzonej słońcem ziemi i potu człowieka, który latami w takim właśnie świecie przebywał. Jessica przymknęła oczy i przyciągnęła do siebie jego wciąż ukrytą w kapturze głowę, jak gdyby próbując go w ten sposób zatrzymać. - Cosimo, jesteś częścią mnie i nie możesz mnie zostawić!

Mnich przez dłuższą chwilę milczał, górując nad nią, niczym niewzruszona kamienna ściana.

- Nie opuszczaj mnie, Cosimo!

- Muszę! - ujął jej dłonie, częściowo także po to, żeby zdjąć je ze swojej szyi. - To moje fatum. Zawsze muszę odchodzić.

- Nie zawsze. Tym razem masz wybór.

- Nie mam wyboru. Jesteś Jessica Ward i należysz do Niccoli Cavanettiego. W twojej pamięci nie pozostało nic z tego, czym kiedyś byłeś dla mnie.

- Pozostało. Tylko ze strachu nigdy ci nie powiedziałam, że... Cosimo nagle mocniej ścisnął jej dłonie.

- Nigdy nie powiedziałaś mi, że... co?

- Że... - Jessica przełknęła ślinę. - Podejrzewam, że to ja jestem Giovanną di Montalcino.

- Giovanną... ? - szepnął Cosimo.

- ... ale przedtem ci tego nie mówiłam, bo po prostu się bałam, że mnie zahipnotyzujesz albo użyjesz jakichś czarów.

- Nie jestem czarownikiem. Nigdy nim nie byłem.

- Tamtej nocy, pamiętasz? Kazałeś mi słuchać twojego głosu i sięgać pamięcią w przeszłość, a ja - choć się do tego nie przyznałam - rzeczywiście miałam dziwne poczucie, że

kiedyś już cię znałam. A potem, w pieczarze, też powiedziałam, że nie pamiętam mojego barona o okaleczonej twarzy. Otóż pamiętałam!

- Chryste Panie! - wykrzyknął Cosimo. Ujął w dłonie jej skronie i policzki, jak gdyby chciał unieruchomić jej twarz, by tym dokładniej jej się przyjrzeć. - Ach, moja nocna pani, zraniłaś mnie do żywego!

- Nie chciałam cię zranić! Ja po prostu się tego bałam.

- Niepotrzebnie. Nigdy nie mógłbym ci zrobić krzywdy! - Jego dłonie na chwilę mocniej ścisnęły jej twarz, ale natychmiast ją uwolniły. - Nigdy! - powtórzył.

- Teraz już to wiem. - Jessica wciąż starała się dojrzeć jego oczy pod zasłaniającym twarz kapturem. - Posłuchaj, Cosimo... kiedyś powiedziałeś, że Giovanna nigdy nie była twoja i nigdy twoją nie będzie.

- Tak, to prawda. Obiecałem jej, że wrócę, ale śmierć nie pozwoliła mi dotrzymać słowa. I nigdy się nie dowiedziałem, co się z nią stało.. - Zamilkł na chwilę, a potem znów zaczął mówić, bardziej do siebie niż do niej. - Już nigdy nie znalazłem spokoju, nieustannie myśląc tylko o tym. Przez wszystkie te wieki i lata żyłem w nieustannym poszukiwaniu... i w nadziei, że kiedyś nasze ścieżki znów się przetną.

- I to się właśnie stało - odpowiedziała mu ledwie słyszalnym szeptem. Dotknęła jego dłoni. - Posłuchaj mnie, Cosimo. Nie wiem, co się wtedy stało z Giovanną. Ale jeżeli chcesz, możesz mnie ponownie wprowadzić w trans, a wtedy być może znajdziesz odpowiedź na dręczące cię pytania.

- Zgodziłabyś się na to?! - zapytał, nie ukrywając zaskoczenia.

- Dla ciebie zrobiłabym wszystko, mój baronie, mój panie! - odpowiedziała, pochylając głowę.

Cosimo nagle przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił. Potem poprawił jej włosy i poprowadził do stojącego przed kominkiem fotela.

- Usiądź tu i wpatrz się w płomienie. Jessica posłusznie patrzyła w ogień.

- Słuchaj mojego głosu, wczuj się w jego wibrację - stanął tuż za nią. - Nie staraj się myśleć o tym, kim jestem czy kim mogłem być. Po prostu słuchaj brzmienia mego głosu...

Giovanna z trudem utrzymywała się w siodle. U wylotu wąskiej doliny mogła już dostrzec rozległe zielone pola i równinę, ku której się kierowała. Trudno się jechało w tak zaawansowanej ciąży, ale nie miała innego wyjścia. Jeszcze dalej, już na samej granicy horyzontu, majaczył zarys kolejnego klasztoru, do którego zmierzała.

Tam, u benedyktynów, odnajdzie swego Cosimo i tam też urodzi jego dziecko. Przyjdzie z nim i złoży je w jego ojcowskich ramionach. I wtedy też opowie mu o jego

pierworodnym, jedenastoletnim synu, którego nigdy nie widział. Giovanna westchnęła głęboko i położyła obie dłonie na wydatnym już brzuchu, pozostawiając koniowi troskę o wybór drogi wśród kamieni rozległego górskiego osypiska.

Uciekała ukradkiem, od wioski do wioski, nie mówiąc nigdzie i nikomu, kim naprawdę jest. Wytrwale szukała swego barona, choć i ukrywanie się, i sama jazda były coraz bardziej uciążliwe, zwłaszcza dla kobiety mającej wkrótce rodzić.

Była niemal pewna, że Cosimo nie rozpozna dawnej Giovanny w tej bladej i wymizerowanej istocie, jaką się stała. Obawiała się też, że ten nadmierny wysiłek może odbić się na zdrowiu mającego przyjść na świat dziecka. Czuła się bardzo zmęczona i - po raz pierwszy w swym życiu - zwyczajnie głodna, ponieważ skromna sumka własnych pieniędzy, z którymi w dzień święta Trzech Króli uciekła z zamku, wyczerpała się niespodziewanie szybko. Właściwie tylko nadzieja odnalezienia Cosimo wciąż jeszcze kazała jej kontynuować podróż, choć niejednokrotnie marzyła już tylko o tym, żeby zejść z konia, położyć się w przydrożnym rowie i zasnąć.

Koń szedł cierpliwie w kierunku wylotu doliny, a monotonne kołysanie siodła sprawiało, że Giovanna raz po raz zapadała w drzemkę. W ten sposób dotarła do nieco szerszej drogi, która od wylotu doliny prowadziła wzdłuż rzeki w stronę zabudowań klasztornych. Po obu stronach rozciągały się bezkresne, wciąż jeszcze zielone winnice, a sierpniowe słońce chwilami zupełnie ją oślepiało. Giovanna otarła pokrytą potem twarz i starała się głęboko oddychać, żeby przynajmniej w ten sposób oszukać głód i pragnienie i choć na chwilę zapomnieć o bolesnych skurczach żołądka. Jak długo jeszcze potrafi wytrzymać w takim upale? I czy nie stanie się tak, że w pewnym momencie po prostu spadnie z konia?

Ostatecznie jednak dotarła do klasztoru i przez wielką kamienną bramę wjechała na dziedziniec. Uderzenia podkutych kopyt konia o bruk wyrwały ją z półsnu i przywróciły do przytomności. Kiedy zobaczyła zbliżających się do niej zakonników, omal nie rozplakała się ze szczęścia.

Gdyby nie ich pomoc, nie dałaby rady zejść z siodła o własnych siłach i najpewniej po prostu spadłaby na ziemię. Mięśnie nie były jej posłuszne. Chciała się wytłumaczyć, powiedzieć im, że jest zbyt słaba, ale nawet i na to nie starczyło jej sił. Tymczasem coś ciepłego i wilgotnego popłynęło wzdłuż jej ud i łydek. O Boże, właśnie zaczęła rodzić! Należało zebrać wszystkie siły, które jeszcze pozostały, przecież to był ten moment, który od kobiety wymaga najwięcej. Tymczasem ona żadnej rezerwy sił już nie miała. Zachwiała się i osunęła zemdlona w ręce zakonników.

Obudziła się na prawdziwie spartańskim łóżku w ciasnym, chłodnym pomieszczeniu gościnnej klasztornej celi. Pierwszą rzeczą, którą dostrzegła mimo otaczającego ją mroku, był krucyfiks na białej ścianie. Przez małe okienko naprzeciw łóżka można było dostrzec ciemnogrnatowe niebo z migocącymi gwiazdami. Okienko było uchylone i od czasu do czasu dolatywał stamtąd chłodny powiew.

Giovanna spróbowała unieść głowę i skrzywiła się z bólu, który przenikał całe jej ciało. Jej serce biło niezdrowym, przyśpieszonym rytmem. Na ramionach miała gęsią skórę, a jednocześnie wyraźnie czuła, że ma gorączkę. Nie był to dobry znak dla kobiety, która właśnie urodziła dziecko. A gdzie ono teraz było?! Już wcześniej rozejrzała się po swej izdebce, w której stało jeszcze tylko proste drewniane krzesło. Przymknęła oczy, czując ostry ból pod zwiotczalymi mięśniami brzucha.

- Boże, zmiłuj się nade mną - szepnęła, a w kącikach jej oczu pojawiły się łzy. - Zechciej mi jakoś...

Nie miała nawet dosyć sił, żeby dokończyć suplikacji. Chciała prosić Wszechmocnego o ocalenie dziecka, a także o ocalenie Cosimo i jej samej.

Rano poczuła się jeszcze gorzej. Nie była już w stanie nawet unieść głowy. Kiedy w izdebce pojawił się młody zakonnik z zawiniętym w pieluszki dzieckiem, nie miała siły, by wyciągnąć ręce w jego stronę. Płakała bezgłośnie, podczas gdy zakonnik trzymał zawiniątko z ciemnowłosym dzieckiem tuż przed nią.

- To syn! - powiedział i uśmiechnął się, choć z jego oczu przebijała zauważalna troska. Oboje zdawali sobie sprawę, że gorączka popołogowa i kompletny brak sił, spowodowany wyczerpaniem, bardzo źle wróżył. W tych czasach wiele kobiet umierało wskutek takiej gorączki.

- Jest śliczny. - Uśmiechnęła się tylko kącikami warg.

- I zdrowy! - powiedział zakonnik. - Na pewno będzie się dobrze chował.

- Dziękuję, świętobliwy bracie - oblizła suche, pękające wargi, a jej głos łamał się raz po raz, kiedy mówiła. - Powiedz mi, proszę, czy jest może wśród was świecki brat o imieniu Cosimo?

- Cosimo? - powtórzył wyraźnie zaskoczony zakonnik. Wyprostował się nagle i odwrócił wzrok, udając, że poprawia coś w zawiniątku.

- Powiedziano mi, że tu mogę go odnaleźć.

- Był tutaj, ale...

- Bardzo proszę, świętobliwy braciszku. Muszę go zobaczyć.

- Przykro mi, ale to niemożliwe.

- To niesłychanie ważne! Przejechałam wiele dziesiątków mil, szukając go.

Młody zakonnik potrząsnął głową.

- On nie żyje - powiedział.

- Co takiego?!

- Nie słyszała pani o tym, że był czarownikiem? Że swymi czarami wskrzesił kobietę, która już zmarła? To wcale nie jest jakaś bajka, zmyślona przez trubadurów, ale szczerą prawdą! Pewna kobieta widziała to na własne oczy! Widziała, jak ożywił zmarłą - proszę to sobie wyobrazić!

Giovanna patrzyła w sufit, ale łzy nie pozwalały jej nic widzieć. A więc Cosimo umarł? To wprost nie do pomyślenia! Tyle rzeczy miała mu powiedzieć - o jego dwóch synach i o swojej miłości do niego. I o tym, że już była wolna i mogła zostać jego żoną. Bezgłośny szloch wstrząsał jej wychudzonym ciałem, a każdy taki dreszcz jeszcze powiększał ból.

- Byłem pewien, że tę głośną historię o Cosimo Cavanettim znają już wszyscy - powiedział zakonnik, zaskoczony szokiem, jaki wywołała w niej ta wiadomość.

- Ja jej nie znałam - powiedziała Giovanna.

- Zamurowano go żywcem. W taki sposób karze się za czary, wszyscy to wiedzą.

Giovanna wybaczyła braciszкови jego naiwne, bezmyślne okrucieństwo. Młody zakonnik nie zdążył się jeszcze dowiedzieć, jak nieodłącznie ból i cierpienie związane są z ludzkim losem. Nie był dość mądry, by wiedzieć, kiedy należy zamilczeć. Znowu przymknęła oczy. Czuła się zmęczona ponad wszelkie wyobrażenie.

- Jakie imię chce pani nadać swemu synowi? - spytał, najwyraźniej usiłując dodać jej ducha.

Giovanna otworzyła oczy.

- Cosimo! - powiedziała.

Przeżegnał się i spojrzał na nią wstrząśnięty.

- Chyba nie ma pani zamiaru...

- Owszem, mam. Bardzo cię proszę, świątobliwy bracie, żebyś tego dopilnował, kiedy umrę - niemal nadludzkim wysiłkiem udało się jej usiąść. - Niech ma na imię Cosimo!

Zakonnik cofnął się i przytulił dziecko do swej chudej piersi.

- To szaleństwo!

- On nie był żadnym czarownikiem! - wykrzyknęła głosem pełnym udręki. - Więc dlaczego go zabili? Dlaczego musiał umrzeć?!

Zakonnik przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią bez słowa. Z oczu Giovanny

płynęły łzy, coraz mniej wyraźnie widziała stojącą przed nią postać w habicie. Nagle wszystko wokół niej stało się czarne i w chwilę później straciła przytomność. Osunęła się na bok i spadła z wąskiego łóżka. Ostatnią rzeczą, którą poczuła, był chłód kamiennej podłogi, której dotykała rozpalonym gorączką policzkiem.

Jessica otworzyła oczy i zobaczyła, że Cosimo klęczy obok niej, a dłonie ma kurczowo zaciśnięte na poręczy jej fotela. Sama miała palce były splecione tak mocno, że ich kostki stały się niemal białe. Była zaskoczona, że Cosimo podszedł do niej aż tak blisko.

- A zatem Giovanna umarła - powiedział cicho. - Tak po prostu..

- Chyba tak właśnie było.

- I urodziła mi jeszcze jednego syna - pokręcił głową, zadziwiony. - A zatem miałem dwóch synów.

- I w ten sposób stałeś się założycielem rodu Cavanettich. Ale z tego jasno wynika, że Giovanna również cię szukała. Musiała cię bardzo kochać.

Cosimo położył dłoń na jej wciąż zaciśniętych palcach. Jessica spróbowała się odprężyć i przekazać ten stan również jemu. Poglaskała go po rękę.

Cosimo wciąż nie podnosił się z klęczek.

- Ale czemu wcześniej nie powiedziała mi, że Niccolo był moim synem? Powinna była to zrobić!

- Być może nie chciała ryzykować. Wiedziała przecież, że zechciałbyś wystąpić przeciw potężnemu hrabiemu Brindisi, co w rezultacie mogłoby się źle skończyć dla wszystkich. A potem, po śmierci męża, szukała cię przecież przez cały czas.

- Gdyby powiedziała mi wcześniej, wykradłbym ją temu zdegenerowanemu Rondolfo. Kochałem ją tak bardzo!

Nagle ciepło i rozmarzenie w jego głosie sprawiło, że Jessica poczuła dziwne ukłucie w głębi serca. To dopiero była miłość - naprawdę potrafiła przetrwać wieki! I nagle z niezwykłą jasnością zdała sobie sprawę, że wie, jak mu pomóc. Jak dać mu to, czego tak rozpaczliwie potrzebował. On ją zrozumie, a ona, , ona tylko musi umieć opanować lęk.

- Cosimo?! - powiedziała, sięgając do jego kaptura. - Pozwól mi popatrzeć na ciebie.

Zesztywniał i cofnął głowę.

- Nie - powiedział niepewnie. - Nie, Jessico.

- Właśnie, że tak. Chcę cię zobaczyć.

Chwyciła oba brzegi kaptura i powoli ściągnęła je, by odsłonić jego twarz. Z góry szykowałą się na to, że zobaczy coś potwornego. Frank przecież zemdlał, gdy ujrzał to oblicze. Ale Jessica wiedziała, że świadomość wewnętrznego piękna tego człowieka pozwoli

jej znieść każde, nawet najokropniejsze zniekształcenie jego twarzy.

Cosimo jeszcze usiłował protestować, ale nadaremnie. Kaptur opadł mu na ramiona, odsłaniając to, co kryło się pod nim.

Jego usta były stale wykrzywione i przechylone na jedną stronę, co sprawiało wrażenie jakiegoś potwornego, sardonicznego uśmiechu, który zastygł na zawsze pod zniekształconym policzkiem, składającym się z samych blizn, wybrzuszeń i zagłębień w malinowoczerwonym naskórku. Blizny i ślady poparzeń rozchodziły się promieniście po całej twarzy. Najbardziej biała blizna prowadziła aż do zdeformowanego ucha, przy którym niespodziewanie odrosły kruczoczarne włosy. Brwi zachowały się tylko częściowo, linia włosów nad spalonym czołem była poszarpana i nierówna, a okaleczona i pomarszczona powieka opadała na pokryte bielmem lewe oko. Ale prawe oko było nadal żywe, czarne jak smoła i błyszczące bystrą, a jednocześnie życzliwą inteligencją. Kiedyś ten mężczyzna musiał być bardzo urodziwy - chyba równie przystojny jak Cole, pomyślała. Nagła fala bolesnego współczucia ogarnęła ją, kiedy zobaczyła, jak ten biedny człowiek podnosi ręce i usiłuje ukryć twarz w dłoniach.

- Nie patrz na mnie, proszę - powiedział jeszcze bardziej niepewnie.

Ale Jessica ani myślała go posłuchać. Odsunęła jego dłonie i zaczęła po kolei całować okaleczone miejsca. Wciąż drżącymi rękami przyciągnęła do siebie jego głowę, by całować również jego czoło, brwi, powieki i policzki. Po chwili poczuła, jak straszliwie spięte dotąd ciało Cosimo z wolna się rozluźnia, jak jego dłonie obejmują ją i delikatnie przyciągają.

- Nie powinnaś tego robić, Jessico - powiedział ochryłym szeptem. - Giovanna była jedyną kobietą, która...

- O czymś zapomniałeś, panie mój - wyciągnęła rękę i pogłaskała jego długie, wijące się włosy. - Ja jestem Giovanną.

- Masz na imię Jessica.

- Nie - ujęła jego twarz w dłonie, by ich spojrzenia mogły się spotkać. - Jestem Giovanną di Montalcino, a ty jesteś Cosimo Cavanetti. I wreszcie się odnaleźliśmy - tym razem na zawsze.

Pochyliła się nad jego twarzą i wolno, z rozmysłem pocałowała go w usta. Ze zdumieniem i radością stwierdziła, że nie czuje żadnych blizn na jego wargach. Cosimo nagle ją objął i przytulił do siebie tak mocno, że niczym piórko pofrunęła wysoko nad fotel i znalazła się gdzieś w powietrzu, trzymana w jego potężnych ramionach. Nie przestała go całować, a Cosimo westchnął uszczęśliwiony, nagle i całkiem niespodziewanie pewny, że ona zaakceptowała go razem z jego okropnymi okaleczeniami, że dla niej to już nie ma znaczenia.

Nie czuła żadnego lęku, nic jej w nim nie odpychało. Pozostało tylko poczucie miłości i niepojętego szczęścia. Osunęła się na kolana razem z nim i teraz klęczeli twarzą w twarz przed migocącym ogniem płonącego kominka, a ich uda stykały się ze sobą równie mocno, jak i cała reszta ich ciał. Teraz to Cosimo całował ją, najpierw bardzo delikatnie, a potem coraz goręcej, aż do szaleństwa. Na moment zatopił twarz w jej hebanowych włosach, chcąc poczuć skórą swej okaleczonej twarzy ich jedwabisty dotyk. Jessica odchyliła głowę do tyłu, a Cosimo zaczął całować jej szyję i ramiona, coraz bardziej wtulając się w nią całym ciałem. Ona również nie przestawała go całować, i to wszystko sprawiło, że już bez reszty zapomniał, gdzie jest i kim jest. Miał wrażenie, że unosi się gdzieś wysoko w powietrzu, a jedyne, co jeszcze czuje, to jej bliskość, jej pocałunki i coraz szybszy oddech ich obojga. Zsunął suknię z jej ramion i uwolnił piersi, które natychmiast zaczął całować i pieścić. Jessica - Giovanna przymknęła oczy, tak samo jak on całkowicie już oderwana od rzeczywistości.

- Jestem twoja, baronie - wyszeptała. - A ty jesteś mój.

Gdy Jessica obudziła się kilka godzin później, zdała sobie sprawę, że leży na kanapie, przesuniętej spod ściany i ustawionej na wprost kominka, na którym dogasały resztki ognia. Zmarzły jej nie tylko bosa stopy, ale nawet uda i biodra. Podniosła się i usiadła, cokolwiek zszokowana faktem, że leżała tam właściwie naga i jedynie od góry przykryta sukienką. Nie wiedziała, która może być godzina, i - przede wszystkim - gdzie się podział Cosimo.

Przypomniała sobie godziny, spędzone razem z nim na uprawianiu miłości i mimo woli zaczerwieniła się. Zerwała się na równe nogi, żeby się choćby z grubsza okryć, a jednocześnie nabrać jakiegoś dystansu do tego wszystkiego, co się wydarzyło. Rozglądanie się za Cosimo nic nie dawało, w pokoju nie było już śladu po nim. Czyżby rzeczywiście zniknął na dobre?

W pewnym momencie kątem oka dostrzegła na biurku jakąś grubą książkę, której z całą pewnością wcześniej tam nie było. Potykając się, podbiegła do biurka. Przeczucie jej nie omyliło. Tuż obok kartek z ledwie rozpoczętym referatem leżała bardzo stara średniowieczna księga, już na pierwszy rzut oka wyglądająca na jakiś oryginalny klasztorny manuskrypt. Z całą pewnością sama tylko bibliofilska i muzealna wartość czegoś takiego musiała być niezwykle wysoka. Mógł to być zabytek piśmiennictwa wręcz bezcenny. Jessica drżącymi rękami otworzyła ją na tytułowej stronie.

Okazało się, że to klasztorna księga obserwacji niebios. Każdy wpis opatrzony był dokładną datą: 6. V. 1101. 7. V. 1101. i tak dalej.

Serce Jessiki przyspieszyło i zaczęło bić coraz gwałtowniej. Skąd tak unikatowy zabytek mógł się wziąć na jej biurku?

Nagle dostrzegła wystający koniec pergaminowej zakładki, wsuniętej między strony książki. Ostrożnie otworzyła ją w zaznaczonym miejscu i zobaczyła pieczołowicie wyrysowaną mapę nieba. A na tym niebie natychmiast dostrzegła tę właśnie kometa, której przez lata szukała. Bezskutecznie, ponieważ w posiadanych dotąd dokumentach wciąż nie mogła znaleźć wiarygodnego potwierdzenia jej istnienia.

- Jest! - szepnęła i na jej wargach pojawił się uśmiech triumfu. A więc wreszcie zwyciężyła.

Dopiero wtedy zauważyła, że na pergaminowej zakładce jest jakiś ręczny dopisek. W bladym świetle świtu musiała przysunąć tę notkę bliżej do oczu i zmrużyć powieki, by odczytać drobne literki.

Moja nocna Pani! Wiedz, że moja miłość dla Ciebie będzie trwała wiecznie, podobnie jak wiecznie trwają gwiazdy na niebie. Cosimo Cavanetti, 1074 - 1991.

Jessica przez dłuższy czas wpatrywała się w te trzy króciutkie linijki i jej zwycięski uśmiech bladł powoli, by w końcu stać się bardziej wyrazem smutku niż triumfu. Pokiwała głową i bardzo ostrożnie ukryła złożoną na pół zakładkę pod skórzaną oprawą na końcu książki.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Jessica z prawdziwą wdzięcznością przyjęła filiżankę gorącej kawy, którą Maria nalała ze staroświeckiego dzbanka, od zawsze stojącego w tym samym miejscu w kuchni domu Cavanettich.

- Dzięki, Mario. - Uśmiechnęła się do starej kobiety. - Na dworze jest naprawdę zimno.

- A więc udało ci się odnaleźć to miejsce? - Maria nalała jeszcze dwie filiżanki kawy, dla Cole'a i dla siebie.

Jessica kiwnęła głową. Ta cała ranna wyprawa doprawdy nie była niczym przyjemnym. Całe szczęście, że Cole uparł się, żeby jej towarzyszyć, kiedy wraz z policją pojechali na bagna szukać miejsca, w którym Frank utopił zwłoki żony.

Cole przez cały czas nie odstępował Jessiki i - dla dodania jej ducha - opiekuńczo obejmował ją ramieniem. On też wymógł na policji, żeby zwolniono ją z obowiązku oglądania momentu wydobywania ciała. Jessica była mu za to bardzo wdzięczna.

- Policjanci teraz badają dno we wskazanym miejscu - powiedział Cole. - To może potrwać jakiś czas. Jedyne, co możemy zrobić, to po prostu czekać.

Maria potrząsnęła głową.

- Biedna Shawn - powiedziała. - Nie zasłużyła na taką śmierć. W kuchni dał się słyszeć dzwonek. Maria odstawiła nie dopita filiżankę i pokuśtykała w stronę korytarza. Jessica patrzyła za nią, czując się mocno zmęczona i jakby odrętwiała. Wydarzenia ostatnich dni bardzo ją wyczerpały. Jeśli do tego dodać dzisiejsze obudzenie się o czwartej nad ranem, a potem kilka godzin spędzonych z Cosimo, trudno się było dziwić, że nie czuła się naładowana energią. Cole dostrzegł to i łagodnie pogładził ją po głowie; Jessica cichutko westchnęła.

Pozwoliła się przytulić i opiekuńczo objąć ramieniem. Podobnie jak on, nie powiedziała ani słowa. Kochała Cole'a, ale duma i nieufność wciąż pozostawała tą samą, niewidoczną, ale skutecznie dzielącą ich barierą. Tak bardzo chciałyby, żeby któreś z nich wypowiedziało słowa, które wreszcie zwałyby ten mur i pozwoliły im być dla siebie tym, czym przed wiekami byli Cosimo i Giovanna. Ale to jej własna duma - i towarzysząca jej niepewność - wciąż zamykała jej usta, nie pozwalając przemówić sercu.

Do zaplanowanego wyjazdu pozostawały ledwie cztery dni - zdecydowanie za mało, żeby coś ważnego mogło się jeszcze między nimi wydarzyć. Oboje zmarnowali mnóstwo czasu na ambicjonalne gierki i przepychanki, a teraz okazywało się, że zaczyna im go

brakować.

Jessica westchnęła z rezygnacją. Może więc trzeba będzie postępować według wzoru Cosimo - poczekać kilka stuleci, aż ich ścieżki kiedyś tam znowu się przetną. To jednak strasznie długo, pomyślała. Na razie wtuliła głowę w to tak wygodne zagłębienie pod jego barkiem. Cole w odpowiedzi przytulił ją mocniej i wargami dotknął jej włosów. Jednocześnie jego dłoń jakby machinalnie zaczęła wędrować w dół i w górę wzdłuż jej pleców.

- Cole! - szepnęła zaskoczona.

- Wszystko będzie dobrze, Jess - powiedział łagodnie, najwyraźniej przekonany, że przygnębia ją myśl o wydobyciu martwej Shawn. - Wkrótce już będziesz mieć to wszystko za sobą.

Wciąż jeszcze obejmował ją ramieniem, gdy do kuchni wturlała się Maria, holując za sobą Lucy. Jessica odruchowo odsunęła się od Cole'a i sięgnęła po kubek z nie dopitą kawą.

Mina, z jaką Lucy przekroczyła próg, wskazywała jasno, że musiało się wydarzyć coś ważnego.

- Cole, czytałeś to?! - zapytała, pokazując mu najnowsze wydanie gazety.

- Nie.

- No to zobacz i przeczytaj - wskazała ilustrowany zdjęciami artykuł, wydrukowany na kilku kolumnach pierwszej strony.

Cole uniósł brwi i spojrzał na Jessikę, w końcu jednak sięgnął po gazetę.

- Niesłychane! - wykrzyknął, a Lucy wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Przeczytaj to dokładnie i do końca - powiedziała.

- A o czym to jest? - spytała Jessica, usiłując zajrzeć Cole'owi przez ramię.

- O tej bezczelnej babie z Filadelfii. - Lucy wskazała na zamieszczone w artykule zdjęcie. - Niedawno publicznie oskarżyła Cole'a, że ją zgwałcił, a teraz przyznała się, że nakłamała, bo chciała wzbudzić zazdrość swego narzeczonego!

- Coś takiego! - wykrzyknęła zdumiona Jessica.

- No właśnie! - dołączyła się Maria. - Od razu mówiłam, że ta kobieta kłamie.

- Zobaczyła w telewizji reportaż o Cole'u i o tym, jak własnoręcznie ujął tego mordercę kobiet - i wtedy postanowiła przyznać się do wszystkiego!

- Och, Cole! - westchnęła uszczęśliwiona Jessica i objęła go ramieniem. - To po prostu wspaniale!

- I trzeba to oblać! - wykrzyknęła Maria. - Zejdę do piwnicy i poszukam czegoś odpowiedniego!

Dopijali właśnie ostatnie kieliszki znakomitego szampana, gdy pod dom Cavanettich

zajechał Greg Kessler. Jessica uśmiechnęła się, kiedy zdejmował płaszcz i oddawał go Marii - nie dlatego, żeby widok Grega szczególnie ją uszczęśliwiał, tylko z jakiegoś powodu wydał się jej zabawny. Jeszcze szumiało jej w głowie od ostatnich sensacyjnych wiadomości i od wypitego szampana. A poza tym Cole stał tuż przy niej i obejmował ją ramieniem, co zwłaszcza w tym momencie bardzo jej się podobało.

- Czemu zawdzięczamy te odwiedziny? - zapytał chłodno Cole.

- Po prostu doszły mnie słuchy o jakichś kłopotach - odpowiedział Greg. - Czy może mógłbym w czymś pomóc?

- Absolutnie w niczym. - Ramię Cole'a jeszcze mocniej objęło smukłą talię Jessiki. - W pełni panujemy nad sytuacją.

Greg spojrzał na Cole'a, a potem na Jessikę, wyraźnie zaskoczony ich poufałą bliskością. Jessica nie opuściła wzroku i ponownie się uśmiechnęła. A niech sobie myśli, co chce!

- Doszły mnie pogłoski, że Isabella jakoby jest w więzieniu. Dlaczego?

- Należy sądzić, że Isabella i Frank musieli w istotny sposób naruszyć prawo - odpowiedział Cole jeszcze bardziej powściągliwie.

- O! - Greg otarł wargi palcami. - Mam nadzieję, że to się wyjaśni. W każdym razie chodzi mi o tę umowę dzierżawy bądź sprzedaży. Czy dobrze pamiętam, że ewentualne przedłużenie dzierżawy musiałyby zostać podpisane jeszcze przed świętami?

- Masz rację, ale obawiam się, że Isabella może być nieosiągalna w tym czasie.. - Cole uśmiechnął się. - Chyba tym razem nie masz szczęścia.

- Może mógłbym to podpisać także za nią? - zasugerował Greg. - W końcu praktycznie już jesteśmy partnerami.

- To na nic - włączyła się Jessica. - Umowę musiałyby podpisać ktoś z rodziny Cavanettich.

- Więc może postarałbym się w ten czy inny sposób dostarczyć te dokumenty Isabelli? Z przyjemnością wezmę na siebie ten trud.

- Nie wątpię, że sprawiłoby ci to przyjemność, lecz Isabella raczej przestała już być odpowiednim kandydatem - Jessica nie zamierzała wdawać się w szczegóły ani informować Grega o tym, że sama przynależność Isabelli do rodziny Cavanettich została prawnie zakwestionowana. I tak za dużo plotek było wokół tej sprawy. - No a poza tym mam tu właśnie kogoś z rodziny Cavanettich, kto może taką umowę podpisać w każdej chwili.

- Ale, Jessico, sądziłem, że doszliśmy do porozumienia? - Greg nie ustępował.

- No więc źle sądziłeś.

Greg popatrzył na Jessikę, a potem na Cole'a, najwyraźniej poirytowany faktem, że tak świetna okazja wymyka mu się z rąk, a on nic na to nie może poradzić.

- No, a co ty na to, Cole? - spytała Jessica, wiedząc, że w ten sposób jeszcze bardziej podrażni Grega. - Podpiszysz umowę dzierżawną?

- Myślę, że zrobię coś więcej - odparł Cole. - Po prostu wypiszę odpowiedni czek.

Przytulił Jessikę jeszcze mocniej i powiedział:

- Zawsze marzyłem, żeby mieć na własność winnicę. A już zwłaszcza taką, jak winnica św. Benedykta!

Greg Kessler bardzo szybko opuścił posiadłość Cavanettich, a Jessica postanowiła pójść do siebie do pracowni i przygotować egzemplarze umowy do podpisania. Lucy wyszła z domu Cavanettich razem z nią.

- No, tylko popatrz na ten śnieg! - wykrzyknęła. - Czyż to nie wspaniałe?

Jessica kiwnęła głową. Rzeczywiście - w ciągu kwadransa wszystko pokryło się warstwą białego puchu i krajobraz stał się wręcz bajkowy.

- Ogromnie mi się tu podoba - mówiła dalej Lucy. - Nigdy dotąd nie byłam na północnym zachodzie Stanów, a teraz jestem wprost oczarowana.

- Tu rzeczywiście jest pięknie - zgodziła się Jessica. - Zwłaszcza w okolicach Moss Cliff.

- Nie pojmuję, jak ludzie w ogóle mogą stąd wyjeżdżać. To wprost nie do pojęcia.

- Masz rację, Lucy - odpowiedziała Jessica czując, jak nagle ściska jej się serce. - Ja też nie jestem w stanie tego pojąć.

Szły przez chwilę w milczeniu. Lucy od czasu do czasu spoglądała na nią tak, jak gdyby chciała coś powiedzieć, ale wciąż nie mogła się zdecydować.

- Posłuchaj, Jessico, zastanawiałam się właśnie... - zaczęła trochę niepewnie. - Czy nie miałabyś nic przeciwko temu, żebym spędziła tę Wigilię z wami... to znaczy - z tobą i twoim ojcem?

Jessica popatrzyła na nią, zaskoczona propozycją. Czyżby to miało znaczyć, że Lucy nie zamierza spędzić świąt z Cole'em?

Lucy szybko to wyjaśniła.

- Ponieważ Cole wyjeżdża, zostałabym na Wigilię sama. I czułabym się z tym bardzo źle, chyba mnie rozumiesz?

To było dla Jessiki jeszcze większym zaskoczeniem. A więc Cole zamierzał wyjechać? Odwróciła twarz, żeby Lucy nie zauważyła, jak bardzo poruszyła ją ta wiadomość. Nagle poczuła, że Lucy chwyta ją za rękaw.

- Nie wiedziałaś o tym, że Cole wyjeżdża?

- Nic mi nie mówił.

- A no tak, bo przecież zadzwonili do niego dopiero dzisiaj rano, a potem zaczęło się to całe zamieszanie z policją, poszukiwaniem ciała i tak dalej. A rzecz w tym, że on zaraz po obiedzie leci do St. Louis na spotkanie z właścicielami i trenerem drużyny. Myślę, że zarówno jego wyczyn przy pojmaniu Rogersa, jak i wyjaśnienie sprawy fałszywego oskarżenia o gwałt, ogromnie poprawiły jego pozycję.

- Czy to znaczy, że... Lucy skinęła głową.

- Jestem pewna! Jego koledzy z drużyny i tak byli gotowi ogłosić bunt, kiedy się dowiedzieli, że trener zamierza go usunąć ze składu. Myślę, że teraz i trener, i właściciele bardzo szybko przemyślą sobie całą sytuację. Bohatera narodowego raczej nie da się posadzić na ławce rezerwowych.

- A więc Cole wróci do drużyny?

- Właśnie w tej sprawie odbędzie się to spotkanie.

Jessica próbowała wmówić sobie, że się cieszy. Z pewnością dla Cole'a powrót do drużyny był teraz najważniejszą sprawą na świecie. Tylko czemu sam jej nie powiedział o tym, że wyjeżdża? Aż tak mało dla niego znaczyła? A więc sława i kariera sportowa znów jej go odbierały, tak samo jak przed trzynastu laty.

- Aha, jeszcze coś! Udekorowaliśmy ci choinkę na święta, zauważyłaś? - powiedziała Lucy, kiedy już weszły do domu. - Mam nadzieję, że cię to ucieszyło. Twój tata mi pomógł i powiedział, że to będzie dla ciebie miła niespodzianka.

- Naprawdę ci pomógł?

- Tak! A dla mnie to była niesłychana frajda. Od lat już nie ubierałam choinki! W okresie świąt z reguły jestem gdzieś w drodze.

- Z Cole'em?

- Nie zawsze. Mam przecież innych podopiecznych, nie tylko jego.

- Rozumiem.

Lucy nagle spojrzała na nią i zmarszczyła czoło.

- Zaraz... Chyba nie myślisz - wyciągnęła rękę i palcem tknęła Jessikę w okolicę mostka - że ja i Cole...

Jessica zaczerwieniła się i zaczęła gwałtownie poprawiać coś przy płaszczu.

- Oczywiście że nie.

Lucy zbliżyła się do niej jeszcze o krok.

- Posłuchaj mnie, niemądra dziewczyno. Cole po prostu szaleje za tobą - czy ty o tym

wciąż jeszcze nie wiesz?!

Jessica poczuła, że tym razem zaczerwieniła się aż po uszy. Podniosła głowę i spojrzała na Lucy.

- Nigdy mi nie powiedział.

- No, tacy są właśnie faceci! - wykrzyknęła Lucy i oparła ręce na biodrach. - On też czasami zachowuje się doprawdy jak skończony osioł!

- Ale skąd ty możesz cokolwiek wiedzieć? Czy ci coś mówił?

- Nie musiał nic mówić! Wystarczy zobaczyć, jak on patrzy na ciebie! Nie mów, że tego nie zauważyłaś!

- Nie, ja...

- Posłuchaj, Jessico: pracując z nim od lat, znam Cole'a wystarczająco dobrze. Owszem, były w jego życiu różne kobiety, nie udawajmy, że było inaczej. Tyle że one właściwie zawsze stanowiły raczej część jego *image'u*, jego publicznego wizerunku - ale na pewno nie były częścią jego życia. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Być może rozumiem - odpowiedziała cicho Jessica. Jej serce zaczęło nagle bić szybciej i mocniej.

- Przysiadają sobie na tych jego imponujących ramionach niczym jakieś egzotyczne ptaki, trzepocące skrzydełkami. A on był zawsze dla nich miły, ale jednocześnie jakby... roztargniony, czy wręcz nieobecny. I na żadną z nich nigdy nie patrzył w taki sposób, w jaki teraz patrzy na ciebie. O, mam! Gdyby podobny facet kiedyś zechciał na mnie tak popatrzeć, chyba bym się roztopiła jak porcja malinowych lodów!

Jessica wciąż nie za bardzo mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

- My z Cole'em... znamy się od bardzo dawna i w tym sensie jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, ale...

- Przyjaciółmi, dobre sobie! - Lucy roześmiała się. - Wiesz co? Lepiej przestań już gadać głupstwa, weź te formularze umowy i po prostu idź do niego, ale to już! A ja tu zostanę i postaram się przygotować obiad dla twojego taty.

- Ale...

- Żadne ale! Masz tam iść i koniec! Dotarło?!

Jessica spojrzała na nią i kiwnęła głową.

- Dotarło.

Weszła przez werandę i zobaczyła, że Cole stoi w swoim pokoju i wrzuca bez ładu i składu najróżniejsze rzeczy do szeroko otwartej walizy. Oprócz dzinsów miał na sobie tylko elastyczny podkoszulek, który szczególnie wyraziście podkreślał jego wspaniałą muskulaturę.

Spojrzał przez ramię, kiedy usłyszał jej kroki.

- O, witaj, Jess! Masz te dokumenty?

- Mam.

Na sam widok takiego sposobu upychania rzeczy w walizce miała ochotę wszystko z niej wyrzucić i kazać mu zacząć od początku. Zdobyła się jednak na uśmiech.

- Może nie zaszkodziłoby, gdybyś jako tako poskładał te rzeczy przed włożeniem ich do walizki, jak myślisz? Bo będą wyglądały jak wyjęte psu z gardła.

Cole w odpowiedzi wrzucił na wierzch jeszcze kilka koszul.

- Po przyjeździe do hotelu każę to wszystko odprasować, siostrzyczko przełożona! - powiedział, mrużąc oko. - Zadowolona?

Jessica tym razem już się nie uśmiechnęła.

- Podobno jeszcze dzisiaj lecisz do St. Louis?

- Tak. Skąd wiesz?

- Lucy dopiero co mi powiedziała. - Przyglądała się jego palcom, składającym jedwabny krawat. Zawsze uważała, że dłonie Cole'a były szczególnie piękne.

- Mam nadzieję, że ten mój nagły wyjazd nie pokrzyżował żadnych świątecznych planów?

- Nie, nawet w najmniejszym stopniu.

Nigdy nie robiła żadnych planów na święta wiedząc, że i tak spędzi je samotnie - jako że ojciec z reguły upijał się i zasypiał nie czekając na wigilijną gwiazdkę. Tym razem jednak mogło być inaczej, ponieważ zostawała z nimi Lucy. Jessica już zdążyła ją polubić i cieszyła się, że będzie wraz z nimi. Ale oczywiście Lucy w żaden sposób nie mogła zastąpić Cole'a.

- Nic mi nie powiedziałeś, że wyjeżdżasz - rzuciła jakby mimochodem.

- Tyle się działo od samego rana, sama wiesz. Miałem zamiar ci to powiedzieć, kiedy będziemy sam na sam.

- No cóż... W każdym razie przyniosłam tu te dokumenty, na wypadek gdybyś chciał je podpisać jeszcze przed wyjazdem.

- Oczywiście.

Cole zamknął walizkę i odstawił ją pod ścianę. Potem obrócił się do Jessiki.

Podawała mu papiery, bacząc pilnie, by jej palce przypadkiem nie zetknęły się z jego palcami. Cole szybko przejrzał dokumenty, ułożył je na stoliku i podpisał kolejno jeden po drugim. Zatrzymał dla siebie jedną kopię, a pozostałe oddał Jessice.

- Szanowna pani kontrahentka pewnie chciałaby jeszcze otrzymać czek? - zapytał żartobliwie.

- Chciałabym, i to już teraz.

- W obawie, że samolot mógłby mieć wypadek i wtedy nie dostałaby pani tych pieniędzy? - Nadal się uśmiechał.

- Nie, proszę pana. Po prostu nic a nic panu nie wierzę - odpowiedziała z takim samym uśmiechem.

Cole wyszczerzył zęby i sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wypisał czek, wyrwał go z książeczki i wręczył Jessice.

- A czy ma pan jakiś dowód tożsamości? - zapytała, unosząc brwi. W oczach Cole'a błysnęły iskierki.

- Jaki rodzaj dowodu tożsamości zadowoliliby szanowną panią? - zapytał.

- Prawo jazdy? Albo może jakaś dobra karta kredytowa?

Cole wyciągnął prawo jazdy, nie przestając się jej przyglądać z tym samym szelmowskim uśmiechem.

Jessica obejrzała widoczne pod folią zdjęcie i porównała je z żywym oryginałem. Potrząsnęła głową.

- Nie za bardzo widzę podobieństwo. Przy czeku na tak wielką sumę przydałby się bardziej przekonujący dowód.

- Taki, na przykład? - Niespodziewanie wziął ją w ramiona i pocałował w usta. Zaskoczona Jessica z trudem złapała oddech i spróbowała się uwolnić, zanim Cole zdążył ją pocałować po raz drugi.

- Nie! - wykrzyknęła, starając się go odepchnąć, z nie najlepszym zresztą skutkiem. Przy okazji pogniotła czek.

- Ale dlaczego? - spytał zaskoczony Cole.

- Bo ty próbujesz się mną bawić.

- Nie, wcale nie!

- Teraz znów stąd wyjeżdżasz. No więc powiedzmy sobie „do widzenia” i poprzestańmy na tym.

- Jess, posłuchaj mnie! To, co powiedziałem przedtem, to było...

- Powiedziałeś, żeby cię zostawić w spokoju, i to właśnie usiłuję zrobić. - Tym razem udało jej się uwolnić z jego objęć.

- Chciałbym ci wytłumaczyć...

- Nie musisz mi już niczego tłumaczyć, Cole. Ile razy usiłowałam wyciągnąć do ciebie rękę, tyle razy byłam odpychana!

- Ależ...

- I mam już tego serdecznie dość! Od momentu twojego przyjazdu nie jestem w stanie zrozumieć, jaki właściwie jest twój stosunek do mnie.

- Przyganiał kocioł garnkowi - odparł. - A ty myślisz, że ja mogłem zrozumieć cokolwiek z twojego zachowania?!

Jessica patrzyła na niego, niecierpliwą dłonią ocierając dwa wąskie strumyczki, które popłynęły z kącików jej oczu. I nagle przypomniała sobie radę Cosimo: bądź szczerą i powiedz mu, czego chcesz - i nie lękaj się chcieć czegoś dla siebie!

To rzeczywiście była ostatnia już może szansa, by Cole wreszcie coś zrozumiał. Postanowiła, że nie pozwoli mu odejść, dopóki nie powie mu, co naprawdę do niego czuje. Nie powtórzy tego błędu, który zrobiła Giovanna.

- Z mojego zachowania? - powtórzyła. - Cole, zastanów się przez chwilę: co innego mogłeś dostrzec w moim zachowaniu poza tym jednym - że cię kocham i że cię zawsze kochałam, przez wszystkie te lata.

- Co takiego? - wyjąkał zaskoczony.

- Kochałam cię jako mała dziewczynka i kocham cię do dziś! Nie dlatego, że jesteś sławny! I nigdy mi też nie przyszło do głowy, żeby się nad tobą litować z racji złamanej kariery - bo i tak kompletnie się nie znam na tych twoich futbolowych punktach i przyłożeniach. Po prostu cię kocham i...

Urwała, bo zabrakło jej tchu. No, ale wreszcie wygarnęła mu wszystko. Teraz, kiedy już sobie pojedzie, przynajmniej będzie wiedział!

Zamierzała na tym skończyć, ale nie w pełni jej się to udało. Łzy płynęły z jej oczu coraz mocniej i wiedziała, że musi uciec, bo w przeciwnym razie już za chwilę rozsłocha się wręcz rozpaczliwie.

Ale Cole jej na to nie pozwolił. Chwycił ją za rękę i obrócił do siebie.

- Jess! - powiedział tak cicho i czule, że niewiele brakowało, by Jessica zrezygnowała z zamiaru ucieczki.

Przymknęła powieki i próbowała jakoś zapanować nad rozdygotanymi wargami.

- Teraz po prostu sobie jedź, Cole. Przecież ty nigdy mnie nie pragnąłeś.

- Ja?! - wykrzyknął, mimo woli wbijając palce w jej obolałe ramię. - I ty mi to mówisz?!

- Po prostu wyjedź i...

Ale Cole już nie dał jej dokończyć, zamykając jej usta pocałunkiem który tym razem zdawał się trwać w nieskończoność. Chwycił ją w ramiona i uniósł do góry tak, że w jednej chwili znalazła się kilkanaście centymetrów nad ziemią. Odruchowo objęła go za szyję.

- Cole - zdołała tylko wyszeptać, gdy kolejny pocałunek znów zamknął jej usta. Poczula, jak jego gorący, wilgotny język rozchyła jej wargi i wnika do środka. Było to najwspanialsze odczucie, jakiego kiedykolwiek zaznała. Nagle zdała sobie sprawę, że ten przeklęty mur między nimi w jednej chwili runął i przepadł już na zawsze, a razem z nim przepadły też jej wszystkie dotychczasowe lęki i bezsensowna, uparta duma. Przepelniona szczęściem nie tylko nie stawiała najmniejszego nawet oporu, ale sama oddawała mu pocałunki i pieszczoty z jakimś szalonym, wręcz nieludzkim zapamiętaniem.

A jednocześnie wewnątrz niej, gdzieś w środku, nastąpiło coś, co w tym momencie potrafiłaby przyrównać chyba tylko do spowolnionego wybuchu atomowego, który kiedyś oglądała w kinie. Fala nieopisanie dojmującego ciepła, która w ułamku sekundy zrodziła się gdzieś w jej najgłębszym wnętrzu, powoli rozplýwała się po całym ciele, równie niepowstrzymana jak fala uderzeniowa.

Jej alabastrowe ciało nagle wygięło się w łuk. Przyłgnęła do niego tak, że od tej chwili stanowili jedno. Każdym centymetrem ud, brzucha i piersi czuła potężne mięśnie jego posągowego ciała. A jego dłonie zmieniły się w dłonie rzeźbiarza, które przesuwając się po niej, niczym po najbardziej podatnej glinie, zdawały się na nowo kształtować każdą krzywiznę i każde zagłębienie jej wciąż dziewczęco smukłej, a jednocześnie tak pełnej cudownych kobiecych krągłości figury.

Jessica nagle zdała sobie sprawę, że rozchylonymi udami obejmuje jego uda i wtula się w niego z szaleńczo narastającym pożądaniem. Cole głęboko wciągnął powietrze i przycisnął ją do siebie jeszcze mocniej.

- Ja też kocham cię, Jess - szepnął jej do ucha. - Ach, chyba tylko Bóg jeden wie, jak bardzo cię kocham!

Całował jej smukłą białą szyję, a Jessica odrzuciła głowę do tyłu, by miał jak najwięcej miejsc do całowania. Bez najmniejszego wysiłku podtrzymywał jej ciało jedną ręką, by drugą, wolną, móc delikatnie pieścić jej piersi.

Na to czekała przez całe życie - na ten moment wręcz niewyobrażalnej bliskości i całkowitego oddania się mu bez reszty. To, co działo się z nią w tej chwili, przeżywała po raz pierwszy, ponieważ żaden z mężczyzn, którym zdarzało się obejmować i pieścić jej ciało, nigdy, nawet na krótką chwilę, nie dotknął jej serca. Po raz pierwszy stało się to teraz, gdy Cole odsunął cienką tkaninę jej sukienki, odsłonił piersi i zaczął je całować.

Potem uniósł ją z niezwykłą lekkością i przeniósł na łóżko. Klęczał nad nią i wpatrywał się w jej twarz tymi swoimi ciemnymi oczami, płonącymi narastającym pożądaniem.

- Teraz już się mnie nie pozbędziesz, Jess! - powiedział. - Zapowiadam kategorycznie, że oświadczę ci się jak najbardziej formalnie w pierwszej dogodnej chwili, powiedzmy w samolocie. I nie próbuj mi odmawiać, bo w momencie desperacji jestem niebezpieczny. Ale na razie... - Umiłkł i zaczął rozpinać guziczki jej sukienki.

- Zaraz - wykrzyknęła Jessica. - W jakim znów samolocie?

Cole na moment przestał ją całować.

- Po prostu pomyślałem sobie, że może tym razem zechciałabyś spędzić Wigilię tam, gdzie jeszcze nigdy nie byłaś. Dokładniej mówiąc - w St. Louis, i to z pewnym dosyć cenionym futbolistą. Co ty na taką propozycję?

- Och, Cole! - Objęła go za szyję i uścisnęła, uszczęśliwiona. Święta we dwoje z Cole'em - to przecież było spełnienie jej najskrytszych marzeń! Nie przerażał jej ani wciąż nie dokończony referat, ani perspektywa lotu przez pół Ameryki akurat w okresie świątecznego szaleństwa komunikacyjnego. Nic się nie liczyło, poza tym jednym - będzie z nim. Wreszcie z nim!

- Cole! - powiedziała. - To będą najpiękniejsze święta mojego życia.

- No to... wesołych świąt, kochanie!

EPILOG

Jessica stała przy oknie wielkiego salonu rezydencji Cavanettich i przyglądała się przyjęciu, które urządzono na przydomowym trawniku i które z każdą chwilą rozkręcało się coraz bardziej. W dłoni trzymała niewielkie pudełeczko ze specjalnym prezentem dla swego syna - prezentem, o którym przypomniała sobie właściwie dopiero w ostatniej chwili.

Uśmiechnęła się, widząc jego ciemną czuprynę - chłopiec trzymał w dłoni staroświecką wiejską kołatkę, która obracana na trzymanym w dłoni patyku robiła mnóstwo hałasu. Niccolino z zapamiętaniem kręcił nią najpierw przed nosem ojca, a potem siedzącego obok dziadka. Maria żartobliwie odpędzała go, każąc mu być cicho. Chłopiec się tylko uśmiechnął, podobnie zresztą jak i Maria.

Jessica również się uśmiechnęła. Czowała się przepelniona szczęściem, mając tak wspaniałego, pięcioletniego już synka i tak wspaniałą rodzinę - taką właśnie, o jakiej zawsze marzyła. Nigdy nie przypuszczała, że w normalnym życiu można być aż tak szczęśliwą matką i żoną.

Machinalnie dotknęła pamiątkowego medalu, który stale nosiła do każdej kreacji. Był to medal z wrytą na niej repliką Superpucharu, który drużyna St. Louis Bulls zdobyła dzięki jej mężowi. Ofiarował ten medal właśnie jej, utrzymując, że tylko dzięki niej udało im się go zdobyć.

Jessica z dumą nosiła ten medal, który stał się najcenniejszą częścią jej biżuterii, ponieważ świadczył, że jest żoną samego Cole'a Nicholasa. Ale jeszcze bardziej chlubiła się ślubną obrączką, która z kolei była dowodem, że jest żoną Niccoli Cavanettiego, właściciela tego domu i rozciągającej się Wokół słynnej winnicy.

Jessica wyszła przed dom. Na zewnątrz było równie ciepło jak wewnątrz, mimo późnego już wieczoru. Lato było ciepłe tego roku i zapowiadało się, że winne grona dojrzeją wcześniej niż zwykle. Wtedy dopiero zacznie się zamieszanie - równo z początkiem zbiorów. Musiała jednak przyznać, że czuła się w tym cudownie, nawet kiedy nadchodził ten okres najbardziej wyętej pracy.

Mały Niccolo podbiegł do niej.

- Mamo! co tam masz? - zapytał. Jessica podniosła go i pocałowała.

- Mam coś dla mojego najukochańszego z całej rodziny Cavanettich - powiedziała.

W tym momencie Cole niepostrzeżenie podkradł się od tyłu i objął ją mocno, całując w kark i szyję.

- Zawsze myślałem, że to ja mam być tym najukochańszym z Cavanettich -

zaprotestował żartobliwie i wtulił twarz we włosy żony.

- Ależ skąd! Od początku byłem pewny, że to ja! - oburzył się Michael Cavanetti, który podszedł do nich, tylko od czasu do czasu wspierając się na staroświeckiej lasce.

Jessica uśmiechnęła się do teścia.

- No więc udało mi się nabrać was obu - oznajmiła z satysfakcją. Tymczasem Maria zwróciła się do Jessiki tonem żartobliwej skargi:

- A pan Robert mógłby się wreszcie nauczyć jakiejś punktualności. Obiecał, że razem z Lucy będą dokładnie o ósmej, no i gdzie są?

- Och, to tylko zwykły kwadrans akademicki - powiedział Cole i poklepał ją po policzku. - Nie przejmuj się, Mario, i lepiej wypij jeszcze kieliszek tego znakomitego rieslinga.

Mimo wszystko uśmiech na twarzy Jessiki nieco przygasł, kiedy pomyślała o ojcu. On też zmienił się, i to bardzo, ale też powody były naprawdę dramatyczne.

Przez dwadzieścia pięć lat zapijał się niemal na śmierć, w przekonaniu, że jego piękna żona rzuciła go dla jakiegoś innego mężczyzny. Tymczasem - właśnie podczas wydobywania ciała Shawn Cavanetti - policja odnalazła zakonserwowane w bagnie zwłoki jakiejś znacznie wcześniejszej ofiary. Okazało się wkrótce, że to ciało jednej z pierwszych ofiar owego seryjnego mordercy - zamordowanej przez niego pani Ward.

Prawda o rzeczywistej przyczynie zniknięcia żony tak bardzo wstrząsnęła Robertem Wardem, że wreszcie na serio i z prawdziwą determinacją postanowił wyleczyć się z alkoholizmu. Odbył dłuższą kurację w jednym najlepszych ośrodków odwykowych i w rezultacie nie tylko całkowicie zerwał z pićm, ale miał już nową żonę i nową sztukę, z powodzeniem wystawianą na Broadwayu.

Jessica myślała o tym wszystkim i kiwała głową nad zawilóścią losów - tak jej własnych, jak i wielu osób tak bardzo jej bliskich. Rozmyślała o tym nieraz i nieodmiennie żałowała, że nie może się już odwołać do doświadczenia i życiowej mądrości Cosimo. Po tylu latach ciągle go jej brakowało. Choć nigdy i z nikim o nim nie rozmawiała, wciąż miał w jej sercu sekretny kącik - i tak już miało zostać na zawsze.

Czasami, zwłaszcza późnym wieczorem lub nocą, wydawało się jej, że dostrzega znajomą ciemną sylwetkę obok drzewa czy krzewu. Jednak zazwyczaj już po chwili cień bezpowrotnie rozplywał się i znikał, a Jessica strofowała samą siebie za wyobrażanie sobie Bóg wie czego.

Chwilami przychodziło jej też coś dziwnego do głowy, kiedy patrzyła na swego synka. Te ciemne oczy, te tak lśniące czarne włosy...

Niccolino właśnie podbiegł do niej i chwycił ją za rękę.

- Mamo! - zawołał. - Mamo, zobacz!

- Co takiego, synku? - spytała.

- Zobacz, mammo! Spadająca gwiazda!

Wyprostowanym paluszkiem wskazywał długą lśniąca kreskę, zmierzającą ku ziemi.

- Pomyśl sobie natychmiast jakieś życzenie! - wykrzyknęła Maria. - Szybko, póki gwiazda nie zgaśnie. Wtedy życzenie się spełni!

Niccolino zacisnął powieki, uśmiechnął się szeroko i ponownie otworzył oczy.

- Pomyślałem! Pomyślałem! - wołał, podskakując z radości.

- A jakie było to twoje życzenie, Niccolino? - zapytał Michael Cavanetti, opierając się na swej lasce.

- Żebym został rycerzem, dziadku! Żebym miał zbroję i konia, i miecz! Taaaki wielki!

Wszyscy obecni śmiali się, widząc jego minę i jego szczerzy dziecięcy entuzjizm. Tylko Jessica nie śmiała się razem z nimi. Ten błysk w oczach jej syna, i to szczególne zaciśnięcie warg było tak znajome...

Objęła go ramieniem i mocno przytuliła. Na jej wargach pojawił się ledwie zauważalny uśmiech.